Porywająca historia rodzin na tle wydarzeń,
które **zmieniły losy Polski**.

NIEPOŁOMICE

Przeklęci

EDYTA
ŚWIĘTEK

EDYTA
ŚWIĘTEK

NIEPOŁOMICE

Przeklęci

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

W poprzedniej części

Rozdział 1. Echo bitewnych pól

Rozdział 2. Głos serca

Rozdział 3. Zbójecka dola

Rozdział 4. Anielski puch

Rozdział 5. W imię miłości

Rozdział 6. Rachunki z przeszłości

Rozdział 7. Głos rozsądku

Rozdział 8. Koleje losu

Rozdział 9. Głos z nieba

Rozdział 10. Bicie dzwonu

Bibliografia

Przypisy

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
©Cottonbro/Pexels; Radoslaw Maciejewski/Shutterstock

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcia w środku
Mieczysław Janusz Jagła

Zdjęcie autorki na okładce
Bogusław Hajduk

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021
© Copyright by Edyta Świętek, Warszawa 2021

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-66939-97-4

Wydawca
Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl

Konwersja: eLitera s.c.

W POPRZEDNIEJ CZĘŚCI

Na obrzeżach Puszczy Niepołomickiej, po sąsiedzku ze szlacheckim rodem Żelechowskich, żyją Trzosowie – wolni kmiecie, których korzenie sięgają czasów króla Kazimierza Wielkiego. Ciężarna Bernadeta wraz z mężem Prokopem udaje się na jarmark do Niepołomic. Tam spłoszony koń pędzi wprost na Trzosową, którą w ostatniej chwili ratuje szlachcic Antoni Parnicki. Pod kopytami ginie jednak kilkuletni chłopiec. Jego matka rzuca klątwę na Bernadetę, twierdząc, że to przez nią zginęło jej dziecko.

Przerażona Bernadeta szuka sposobu na umknięcie przed przekleństwem. Udaje się na bagna na Studzieńcu, gdzie przy cudownym źródełku odprawia obrzędy zalecane przez miejscową legendę w celu odwrócenia klątwy.

Antoni Parnicki jest nieszczęśliwie zakochany w Kornelii Żelechowskiej – żonie swojego sąsiada i przyjaciela. Sam musiał ożenić się z córką bogatego krakowskiego kupca, by ratować majątek przed ostateczną ruiną. Cecylia Parnicka źle znosi chłód małżonka i domyśla się, że mąż kocha inną kobietę. Okoliczna szlachta i powinowaci odnoszą się do niej z dystansem.

Tadeusz Żelechowski jest surowym człowiekiem, źle traktuje swoich chłopów, nakładając na nich znaczne powinności pańszczyźniane, karząc ich chłostą i zakuwaniem w kajdany.

Brat Cecylii, Gustaw Zaleski, jest kupcem bławatnym. Nieoficjalnie pełni funkcję emisariusza roznoszącego wieści pomiędzy emigrantami we Francji a Polakami mieszkającymi na terenach opanowanych przez

zaborców i czynnie pomaga w przygotowaniach do powstania. W swoje działania angażuje Parnickiego, o co siostra ma do niego żal.

Austriacy wiedzą, że przygotowywany jest zryw. Na rynku w Niepołomicach częstują chłopów wódką i namawiają ich do wystąpienia przeciwko ziemiaństwu, tłumacząc, że gdyby nie sprzeciw polskiej szlachty, cesarz już dawno zniósłby pańszczyznę. Podburzają kmieci do tego, by nie dopuścili do czynu zbrojnego i wszystkie porywy stłumili w zarodku.

Tuż przed planowanym wybuchem powstania Parnicki umawia się na schadzkę z Kornelią. Między zakochanymi dochodzi do zbliżenia. W tym czasie zbuntowani chłopi mordują całą rodzinę Żelechowskich, plądrują też i palą dwór.

Na terenie Galicji rozlewa się fala przemocy. Chłopi masowo napadają na dwory, dokonują rzezi na szlachcie i rozbijają nieliczne oddziały powstańcze, które próbowały podjąć walkę przeciwko zaborcom.

Parnicki udziela Żelechowskiej pomocy i schronienia. Proponuje Prokopowi, by to on został tymczasowym administratorem majątku wdowy. Kilka tygodni później Kornelia odkrywa, że jest ciężarna. Mimo to udaje się do klasztoru w Staniątkach.

Rebelia zostaje stłumiona. Rzeź na Żelechowskich uchodzi chłopom bezkarnie.

Dwór Żelechowskich zostaje odbudowany, kobieta wraca tam ze swoim synkiem Maksymilianem. Po kilku latach nieurodzajów wzmaga się nędza mieszkańców Galicji. Ludzie są gnębieni przez zarazy oraz głód. Żelechowska, czując potrzebę odpokutowania za grzech, którego dopuściła się z Parnickim, wybacza niegdysiejszym poddanym i próbuje ich wspierać materialnie na miarę swych możliwości. Po jakimś czasie zapada na cholerę.

Po śmierci Żelechowskiej Maksymilian trafia pod opiekę Cecylii, która ma syna Juliusza będącego w tym samym wieku. Cecylia przywiązuje się do dziecka i okazuje mu mnóstwo czułości.

Na cholerę umiera teść Bernadety, jej córka oraz służąca.

Syn Trzosów, Wojciech, jest niesfornym chłopcem o złodziejskich i awanturniczych ciągotach. Gdy w Kongresówce wybucha powstanie styczniowe, chłopak ucieka z domu, by dołączyć do walczących o niepodległość. Spotyka Antoniego, który ratuje mu życie, zasłaniając go własną piersią.

Rozdział 1.

Echo bitewnych pól

Plan byłego starostwa niepołomickiego i puszczy

Rok 1863

Wojciech Trzos przez dłuższy czas spoglądał na zmarłego szlachcica. Chociaż już wcześniej widział ginących towarzyszy broni, po raz pierwszy miał tak bezpośrednią styczność ze śmiercią. Wszak nie chodziło o jakiegoś tam anonimowego żołnierza, ale o człowieka, który był bliskim znajomym jego rodziny. Kogoś, kto nazywał Prokopa przyjacielem i komu Trzosowie zawdzięczali swój obecny status.

– Co ja mam teraz zrobić? – jęknął po chwili stuporu.

Nie mógł porzucić ciała ot tak, na pastwę dzikich zwierząt, które rozwlekłyby szczątki Antoniego po puszczy. Nie miał łopaty, by zakopać szlachcica na miejscu. Odbiegli na tyle daleko, że stracił orientację i nie wiedział, gdzie się znajdują. Otaczały ich jedynie odgłosy kniei, nie docierał tutaj wojenny tumult.

– Najprościej byłoby go pochować, a potem dać jakoś znać jego rodzinie. Jeśli zechcą, przeniosą Parnickiego na cmentarz – bąknął Mietek, choć to rozwiązanie nie wzbudzało jego entuzjazmu. – Wiesz, gdzie jesteśmy?

– Nie. Nigdy wcześniej tutaj nie byłem. I nie pamiętam, z której strony przybiegliśmy. Pokonaliśmy chyba szmat drogi. Ledwo zipię ze zmęczenia – przyznał, chowając szkaplerz Antoniego do kieszeni w czamarze. – Muszę odrobinę odsapnąć.

– Nie możemy tutaj zostawać. Zaczyna zmierzchać, niebawem zapadnie noc. Też jestem zmęczony, ale nie chciałbym, aby wilki zrobiły sobie z nas kolację. Zresztą kiszki marsza mi grają.

– Co radzisz? – zapytał skonsternowany Trzos. Pierwszy raz w życiu poczuł się prawdziwie bezradny. Do tej pory to on wiódł prym, podejmował decyzje i stanowił wsparcie moralne dla Mietka.

– Nie mamy wyboru. Trza brać Parnickiego na grzbiet i wydostać się z puszczy. Poniesiemy go na zmianę. Nie powinniśmy wracać tą samą drogą, bo tam wciąż mogą być Austriacy. Moskale raczej nam nie zagrażają. Mimo wszystko musimy zachować ostrożność. Może nie odbiegliśmy znowuż aż tak daleko w las. Na pewno gdzieś w pobliżu znajdziemy domy i jakichś życzliwych ludzi, którzy pozwolą nam odzipnąć choćby i w stodole. A rano trzeba będzie przedzierać się dalej.

– Słusznie – westchnął Wojtek. Zdawał sobie sprawę, że mają przed sobą co najmniej milę wędrówki, którą będzie spowalniał balast w postaci ciała. Gdyby choć mieli konia! Cóż, gdy Dragon padł, kiedy rozerwało armatę. – Może jak opuścimy knieję, to pochowamy pana Antoniego – stwierdził. – Damy znać pani Cecylii, gdzieśmy go pogrzebali, a potem trzeba będzie odszukać nasze oddziały. Na pewno część powstańców przeżyła i uniknęła niewoli. Nie możemy się poddać, klęska pod Igołomią nie przesądza losów całego zrywu.

– Uff... – Kurdziel odetchnął z ulgą. – Nareszcie gadasz jak ty. To co: ruszamy? Mogę pierwszy ponieść pana Parnickiego, a ty główkuj, w jakim kierunku pójść. Potem mnie zmienisz.

Wojtek pochylił się nad Antonim i ostrożnie domknął szlachcicowi wpółotwarte powieki. Potem pomógł przyjacielowi podnieść bezwładne ciało. Mietek stęknął, uginając się pod ciężarem. *Waży trochę, skurczybyk* – przemknęło mu przez myśl, lecz powstrzymał się przed wygłaszaniem komentarzy. Wiedział, że dla przyjaciela ten człowiek był kimś wyjątkowym. Gdyby w grę wchodził ktokolwiek inny, skłaniałby się ku pozostawieniu ciała w lesie. Może dla spokoju sumienia przykryliby je gałęziami, dokonując symbolicznego pochówku, choć to oczywiście nie zapobiegłoby rozszarpaniu zwłok przez zwierzynę.

Wędrówka przez las była uciążliwa i nader męcząca. Z każdą minutą Parnicki zdawał się ważyć coraz więcej. Młodzi mężczyźni przedzierali się przez zarośla, chłostani witkami po twarzach, oblepiani przez pajęczyny, grzęznąc niekiedy w błocie. Szli w milczeniu, gdyż obydwaj

wycieńczeni byli wcześniejszymi trudami, a śmierć Antoniego przytłoczyła ich niepomiernie.

– Wiesz w ogóle, w którą stronę się kierować? – sapnął Mietek, przystając, by poprawić zsuwający się z ramienia balast.

– Idziemy na południowy zachód. Tak mi podpowiada intuicja – oznajmił Trzos. Miał nadzieję, że obrał dobrą drogę. Drogowskazem był mu mech porastający masywne pnie.

– Mam wrażenie, że las gęstnieje – bąknął Kurdziel. Zatrzymał się, by trochę odsapnąć. – Uff… Pomóż mi go na chwilę położyć. Muszę złapać oddech.

– Nie ma czasu na odpoczynek. Jeśli chcemy wyjść, zanim zapadną ciemności, musimy się spieszyć. Teraz ja go poniosę – stwierdził Trzos, przejmując przygnębiający ciężar z ramion przyjaciela. – A ty patrz na mech i szukaj prześwitów pomiędzy drzewami.

***

Wojciech wygładził czamarę. Zdjął czapkę i przeczesał zmierzwione włosy dłonią. Jego serce tłukło się niespokojnie w klatce piersiowej. Nigdy wcześniej nie odczuwał podobnego zdenerwowania. Ani wtedy gdy srogi belfer maglował go przed tablicą, ani wówczas gdy świsnął czapkę maszyniście pociągu, ani nawet tamtego dnia, gdy pierwszy raz w życiu skutecznie zdołał zbałamucić dziewczynę i poczuł się jak prawdziwy mężczyzna, choć wcześniej martwił się, czy jak przyjdzie co do czego, nie zrobi z siebie durnia.

W końcu, gdy nie sposób było już dłużej odwlekać tej ponurej misji, załomotał energicznie w drzwi dworku.

Zaprowadzono go do bawialni, gdzie siedziały cztery kobiety zajęte robótkami ręcznymi. Każda z nich pracowicie wykonywała szarpie[1] do opatrywania ran, które następnie miały zostać przekazane oddziałom powstańczym za pośrednictwem księży z miejscowego kościoła. Ten rodzaj pracy możliwy był tylko podczas powstania oraz w Wielkim

Poście – Wojtek wiedział o tym od matki, która żywo interesowała się zwyczajami ziemiaństwa i starała się zaprowadzać je we własnym domu. W czasie pokoju oraz poza okresem pokutnym w salonie dopuszczalne były wyłącznie delikatne robótki, takie jak haftowanie, mereżkowanie czy wyszywanie z użyciem kanwy. Nawet szycie czy reperowanie ubrań odbywało się w innych pomieszczeniach i nie w porze gdy można było spodziewać się gości. Jedynie babcia Maria nie zważała na te zasady, turkocząc w bawialni kołowrotkiem lub cerując odzież.

Młody mężczyzna najpierw pokłonił się Gertrudzie. Najmłodsza z dam, śliczna blondynka o anielskiej urodzie, była zapewne siostrą zmarłego. Kolejna wyglądała na starą pannę, kojarzył ją jako rezydentkę.

– Dzień dobry paniom – rzekł krótko.

Podszedł wprost do Cecylii i stuknął przed nią obcasami oficerek, stając na baczność niczym przed generałem.

– Ty jesteś Wojtek Trzos – powiedziała Parnicka, podnosząc się z fotela. Zaszeleściły fałdy sukni rozpiętej na obszernej krynolinie. Kobieta obrzuciła przybysza badawczym spojrzeniem. Widać było na jej twarzy cień delikatnego zdenerwowania, jakby przeczuwała, co zaraz usłyszy. – Mąż wspominał w listach, że walczysz u jego boku – dokończyła, ledwo panując nad drżącym głosem.

O dobry Boże! Spraw, by nie przybywał tu z ostateczną wieścią! – jęknęła w duchu.

Kochała Antoniego miłością, której sama nie potrafiła pojąć. Choć nie było pomiędzy nimi żadnej bliskości ani czułostek, nie wyobrażała sobie życia bez męża.

– Tak, pani Cecylio, razem biliśmy się z zaborcami – potwierdził. A potem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej szkaplerz, który tuż przed śmiercią Antoni zdarł ze swojej szyi. Wyciągnął rękę ku Parnickiej.

Kobieta spojrzała na jego dłoń. Pokręciła głową.

– Nie… nie! Powiedz mi, że to nie jest prawda. – Z jej gardła wydobył się rozpaczliwy jęk. Jednocześnie dało się usłyszeć krzyk Gertrudy oraz Eulalii.

– O mój Boże! – wykrzyknęła najstarsza z dam. – Mój syn stracił życie?

Ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się w głos. Justyna zerwała się z miejsca i kucnęła u jej stóp.

– Ciociu, ciotuchno moja kochana – załkała, obejmując zdruzgotaną kobietę. – Hanko! Marto! – zakrzyknęła na służbę, widząc, że leciwa pani domu omdlewa. – Przynieście sole trzeźwiące.

– Antoni… – jęknęła Cecylia.

– Bardzo mi przykro, *madame*. Pan Parnicki prosił, abym to pani zwrócił.

– Kiedy odszedł?

– Wczoraj. Pokonali nas pod Igołomią. Starliśmy się najpierw z Moskalami, potem dopadli nas Austriacy. Pan Antoni skonał na moich rękach. Zginął bohaterską śmiercią.

– Gdzie jest jego ciało? – zapytała wdowa, nie zważając na służące, które zaczęły krzątać się po bawialni, układając wygodniej Gertrudę i usiłując ją ocucić. Choć jej serce przepełnione było bólem, jak zwykle zapanowała nad emocjami. Próbowała wydobyć jak najwięcej faktów od młodzieńca, który zapewne lada moment znowu wyruszy na wojenną tułaczkę. Bała się, że jeśli i on zginie, to wraz z nim przepadnie wiedza o miejscu, w którym spoczął Antoni. A ona nade wszystko pragnęła przenieść go do rodzinnego grobowca, by jego mogiła nie została opuszczona i zapomniana, a wreszcie wchłonięta przez knieję.

– Pochowaliśmy pana Parnickiego wczoraj wieczorem na skraju puszczy. To kawał drogi stąd, nie byliśmy w stanie go tutaj przynieść, a koń padł na polu bitwy.

Szczegółowo wyjaśnił, gdzie wraz z Mietkiem złożyli szlachcica na wieczny spoczynek.

– Niech cię Bóg wynagrodzi, żeś nie zostawił go na pastwę dzikich zwierząt – odparła głosem tak słabym, że ledwo było ją słychać. – Przepraszam! – rzuciła ostatkiem sił, a następnie pospiesznie opuściła salon, zaciskając w garści szkaplerz Antoniego.

– Bardzo mi przykro – wymamrotał Wojciech, wychodząc.

***

Eulalia spojrzała z trwogą na Gertrudę, która niemalże bez przytomności wpółleżała na otomanie.

Ostatnie dni obfitowały w przygnębiające wieści. Sama, mimo że nie darzyła Jana jakimś szczególnie głębokim uczuciem, drżała o los swego męża, który także wyruszył z innymi. Od dawna nie miała o nim żadnych informacji, choć on także walczył wraz z Antonim.

Ależ jestem głupia! – jęknęła w duchu, a następnie wybiegła za piechurem.

– Wojciechu! – wykrzyknęła, wypadając niczym burza na podjazd. – Proszę poczekać!

Mężczyzna, który był już w połowie drogi do bramy, zatrzymał się i odwrócił. A potem energicznym krokiem ruszył w stronę szlachcianki, która, podciągnąwszy nieco suknię, biegła w jego kierunku, nic sobie nie robiąc z faktu, że demonstruje mu zdecydowanie zbyt duży skrawek pantalonów.

– Tak, *madame*? – zapytał.

– A nie masz, kawalerze, jakichś wieści o moim mężu? Jan Ostrowski. Walczył razem z wami.

– Jan Ostrowski – powiedział, udając zamyślenie, choć dobrze wiedział, o którego człowieka chodzi. Zagryzł wargę, nie chciał w tej ślicznej damie wywoływać niepotrzebnej rozpaczy, lecz ostatni raz widział jej męża, gdy usiłowali przedrzeć się przez granicę oddzielającą zabory. Tuż za mostem na Wiśle dostrzegł, jak Ostrowski padał w bitewnym zamęcie postrzelony przez policjanta. Od razu stracił go

z oczu, a ponieważ po tej stronie rzeki panował zbyt duży chaos, by zważać na cokolwiek, nawet nie zdążył powiedzieć Antoniemu, że jego szurzy został ranny, a być może zginął.

– Przykro mi, *madame* – odparł po chwili zawahania – lecz nie jestem pewien jego losu. Ostatni raz widziałem Jana tuż po tym, jak przekroczyliśmy mostek graniczny. Obawiam się, że mógł być wtedy ranny.

– Ranny? – powtórzyła za nim głosem zdławionym emocjami.

Potwierdził skinieniem głowy i dodał:

– Ale naprawdę nie dam sobie ręki uciąć za te hiobowe wieści. Po naszej stronie Austriacy zgotowali nam tak gorące powitanie, że rozproszyliśmy się bardzo mocno. Proszę o niego wypytywać ludzi, być może rana nie była ciężka. Daję słowo, że jak wrócę do oddziału, to też będę się dowiadywał, co z panem Ostrowskim. Dam pani znać, gdy będę miał jakieś informacje – obiecał, marząc, by nie musiał tej uroczej osóbce przekazywać kolejnych bolesnych nowin.

Eulalia przytaknęła ze zrozumieniem. Wyciągnęła do niego dłoń.

– Niech Bóg cię prowadzi, Wojciechu.

***

Cecylia na oślep wpadła do swej sypialni. To był ostatni moment, gdy utrzymywała nerwy na wodzy. Zaraz po przekroczenia progu poddała się rozpaczy. Nawet nie dotarła do łoża, by szukać ukojenia wśród poduszek, lecz upadła na kolana tuż przy posłaniu, opierając się łokciami o materac. Wciąż ściskała w drżącej dłoni szkaplerz z wizerunkiem staniąteckiej Matki Bożej Bolesnej. Chociaż spodziewała się podobnych wieści, przepełniał ją ból.

– Ja to czułam – wyłkała, kryjąc twarz w misternie haftowaną pościel. – Wiedziałam…

Z chwilą gdy Antoni poinformował ją o decyzji przyłączenia się do oddziału powstańczego, przeczuła, że to ich ostatnie spotkanie i więcej

go nie zobaczy. Każdego dnia bez większej nadziei modliła się o powrót męża. Wyczekiwała nowin od niego, z zachłannością czytała krótkie listy, które czasami udało mu się przekazać. I wciąż drżała z niepokoju, że prędzej czy później nadejdzie posłaniec taki jak Wojciech Trzos, by położyć kres nadziei.

W samotności i ciszy dawała upust łzom, choć miała ochotę krzyczeć wniebogłosy z rozpaczy. Mimo że w głębi duszy była przygotowana na ten moment, ból był nieznośny.

Nie zwróciła uwagi na skrzypnięcie klamki i zawiasów. Dopiero gdy poczuła przy sobie ciepło czyjegoś ciała i obejmujące ją ramię, uniosła zapłakaną twarz.

– Moja kochana Cecylko, musisz być dzielna – powiedziała Eulalia, która też wylewała gorzkie łzy. – Zawsze byłaś taka silna, od lat stanowisz podporę dla mamy. Wiem, że cierpisz. Wszyscy cierpimy.

– Jak mamy dalej żyć bez Antoniego? Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Wiem, że bardzo go kochasz – westchnęła Eulalia.

Już dawno zauważyła, że szwagierka spogląda na swego męża wzrokiem pełnym czułości. Dostrzegała także jego chłód, wręcz obojętność. Współczuła Cecylii. Sama miała o tyle łatwiej, że miłości Jana była całkowicie pewna. Mąż nigdy nie krył swych uczuć, adorował ją i rozpieszczał ponad miarę zdrowego rozsądku. Nie czynił jej wyrzutów, że po dziesięciu latach małżeństwa nie obdarowała go potomkiem, choć regularnie podejmował wysiłki, by powiększyć rodzinę. Niekiedy Eulalia rozmyślała o tym, że właściwie w żadnym ze znanych jej małżeństw nie ma równowagi pomiędzy uczuciami małżonków. Z jej obserwacji wynikało, że zawsze jedno zadurzone jest bardziej niż to drugie. Z nią też tak było. Choć lubiła tego poczciwca, którego Antoni wybrał na jej męża, być może nawet trochę go kochała, zdecydowanie to Jan był mocniej zaangażowany emocjonalnie. Po prostu łaskawie pozwalała, by ją wielbił, nie utrudniając mu tego zbytnimi fochami, ale i nie dając w zamian pełni czułości. Czasami

wyrzucała samej sobie, że nie stara się bardziej. Ale czy byliby wówczas szczęśliwsi?

Choć szczerze ubolewała nad śmiercią ukochanego brata, a po zasłyszanych od młodego Trzosa informacjach drżała o życie swego męża, czuła, że w tych dramatycznych chwilach to ona musi zachować spokój i rozsądek. I na jej ramionach spoczywa wiele ważnych obowiązków.

Pogłaskała czule Cecylię po plecach.

– Kochana, musisz zawiadomić dzieci, że ich ojciec nie żyje. Mają prawo wiedzieć – przypomniała.

Z Filomeną sprawa była prosta. Dziewczynka pozostawała w domu ze swą guwernantką i zapewne pod jej czujnym okiem uczyła się kaligrafii bądź języka francuskiego. Gorzej było z Juliuszem – młodzieniec przebywał w szkole, więc należałoby posłać kogoś z listem do Krakowa. Eulalia powiedziała o tym szwagierce i z miejsca pojawił się problem, gdyż w tych niespokojnych czasach korespondencja mogła wpaść w niepowołane ręce. Zarówno dla Austriaków, jak i dla Rosjan, których nie brakowało w Krakowie, byłaby to ciekawa informacja. Obydwie kobiety wiedziały, że nie obejdzie się bez konsekwencji, ale czym później władze się połapią, tym lepiej dla wdowy.

***

– Nie wiem, jak to ująć – wzdychała Cecylia, siedząc przy sekretarzyku. Na razie zdołała drżącą dłonią skreślić jedynie powitalny nagłówek. Upuściła przy tym dwa kleksy, lecz nawet nie myślała, by wziąć świeży arkusz papieru.

– Po prostu wezwij Juliusza do domu. Napisz, że to pilna sprawa, lecz nie zdradzaj, o co chodzi – poradziła Ostrowska.

– Tak, masz rację.

– I koniecznie przykaż, żeby zabrał ze sobą Maksymiliana. Wszak Antoni zastępował mu ojca.

***

Po opuszczeniu dworu Parnickich Wojtek skierował kroki w stronę rodzinnego domu. Z Mietkiem umówili się na spotkanie następnego dnia zaraz z rana na obrzeżach Niepołomic. Stamtąd mieli razem powędrować do puszczy w miejsce, w którym przebywali tuż po zaciągnięciu się w szeregi wojska powstańczego. Liczyli, że właśnie tam znajdą towarzyszy broni, którzy zdołali wyjść cało z wczorajszej opresji.

Był nieludzko zmęczony, lecz mimo wszystko zachowywał czujność, nie chciał sobie napytać biedy. Miał do przejścia około mili. Niby nawykł do dłuższych wędrówek, lecz ostatnie wydarzenia robiły swoje.

Poprzedniego dnia, gdy w końcu wyszli z lasu i trafili na wioskę, spotkali się z wrogim przyjęciem ze strony chłopów. Bardzo długo nikt nie chciał udzielić im pomocy. Łazili od chałupy do chałupy, czając się pomiędzy opłotkami, by czasami nie wpaść na Austriaków. W końcu jakiś kmieć zlitował się nad nimi. Pomógł im pogrzebać Parnickiego, dał miskę ziemniaków z okrasą i pozwolił przenocować w stodole, nadmieniając, że skoro świt powinni odejść. W podzięce zostawili mu parę krajcarów.

Wczesnym rankiem wyruszyli w swe rodzinne strony. Rozdzielili się w Niepołomicach i Mietek powędrował do Zakrzowa, Wojtek zamierzał najpierw odwiedzić Parnicką, a dopiero później udać się do domu. Czasu miał sporo, więc postanowił zdrzemnąć się chwilę w czyimś sadzie. Choć w nocy spał niewiele, to i tak nie był w stanie zasnąć, ponieważ ilekroć zmrużył oczy, powracały obrazy jatki, rozrywanego działa, tryskającej krwi, padających towarzyszy broni. Słyszał jęki, świst kul, huk i bitewny tumult. To znowuż wracał do lasu, gdzie na jego rękach konał Parnicki. Strach dławił mu gardło, perlił się potem na czole, przeszywał dreszczami.

Nawet gdy był u Parnickich, nie opuszczał go niepokój, a znużenie odbierało energię. Teraz wlókł się więc noga za nogą, unikając głównych traktów, by nie nadziać się na austriackie patrole. Nie potrafiłby się

wytłumaczyć ze swego ubioru, narodowych barw naszytych na konfederatce oraz gorsie czamary. Odrywać tego wszystkiego i wyrzucać nie myślał, gdyż nazajutrz miał wrócić do swoich. Potrzebował tylko jednej nocy przespanej we własnym, wygodnym łóżku i porządnego posiłku. Pajda chleba, którą przegryzł rano, nie zaspokoiła jego głodu.

Serce załomotało mu radosną ekscytacją, gdy za drzewami dojrzał rodzinny dom. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tęsknił za tym widokiem. Owszem, miewał chwile, gdy myślał o rodzinie i dostatnim życiu, jakie wiódł na jej łonie. Czasami brakowało mu miękkiego posłania, na którym wyspałby się jak król, bez nerwowego wyczekiwania na pobudkę lub sygnał alarmowy. Nie na twardej ziemi, w chłodzie i wilgoci, lecz na pachnącym świeżo sienniku i pod ciepłą pierzyną. I jeszcze ckniło mu się za posiłkami serwowanymi przez Gienkę. Aromatycznymi, gorącymi i smakującymi tak, że palce lizać! Dopiero podczas powstańczej tułaczki docenił komfort codziennej egzystencji.

– Mamo! Mamo! Wojtuś wrócił! – wykrzyknęła na jego widok Weronika, gdy stanął w drzwiach salonu.

Pokój ten urządzony był znacznie skromniej niż w dworze Parnickich, lecz i tak znacząco różnił się od paradnej izby w chacie krytej strzechą. Salon szlachecki przeładowany był wręcz ozdobami. Czego tam nie było? Kanapy, liczne fotele, stoły, stoliczki, kolumny, na których ustawiono kwiaty, wazy, popiersia, jakieś fraszki, których przeznaczenia trudno się było domyślić. Na ścianach wisiały lustra i liczne portrety, a w oknach fantazyjnie udrapowano firany. Wszystkie meble bogato tapicerowane, pstre, pasiaste albo kwieciste. I wszędzie serwety, serwetki oraz inne „kanwowe" ozdoby. U matki było bez tego całego blichtru i przepychu, mebli stało zdecydowanie mniej i nie tak okazałych, a ściany wydawały się wręcz puste. Mimo to i tak uważał, że w rodzinnym domu jest ładniej i bardziej swojsko. U Parnickich bał się swobodniej poruszyć, by czasami czegoś nie strącić z licznych

postumencików, a w następstwie nie stłuc jakiegoś kosztownego cacka. Kiedy natomiast wspominał izbę paradną w drewnianej chałupie, przed oczami zaraz miał drewniane ławy, skrzynie malowane w pstre kwiaty oraz roślinne esy-floresy, łóżka z siennikiem i maleńkie okienka, w których nie zawieszano firanek.

– Wojtuś! Synku! Wróciłeś? – zapytała Bernadeta, zrywając się z kanapy i podbiegając do niego.

Zaszeleściły falbany domowej sukni, zafurkotała halka na sutej krynolinie. Młody Trzos ze zdumieniem skonstatował, że matka niewiele odbiega prezencją od dam, u których był nieco wcześniej. Może tylko nie nosiła wielu ozdób, prócz kolczyków z bursztynami oraz maleńkiego złotego krzyżyka na cienkim łańcuszku. Jej uczesanie także było znacznie prostsze i skromniejsze. Prezentowała się jednak jak wielka pani, a towarzysząca jej siedmiolatka niczym szlachetnie urodzona panieneczka.

Na moment zatonął w uściskach matki, siostra objęła go rączkami w pasie.

– Synku! Jak dobrze cię widzieć całego i zdrowego – wyłkała Trzosowa, odsuwając go na wyciągnięcie ramion, a następnie znowu mocno go tuląc. – Tak się bałam o ciebie. Każdego dnia modliłam się, abyś uniknął niebezpieczeństwa, nie został raniony, nie trafił w niewolę, nie zachorował, nie… – urwała, słowa o śmierci nie chciały przejść kobiecie przez gardło.

– Jestem, matulu. Nic złego mi się nie przydarzyło, choć wczoraj biliśmy się srodze i z Moskalem, i z Austriakami. Ech. Długo by opowiadać… – rzucił. Wiedział, że jeszcze zdąży przekazać domownikom smutne wieści.

– Syneczku mój, syneczku! Jakże ja za tobą tęskniłam. Jak ja rozpaczałam! Pewnieś głodny i zmęczony. – Matka w lot odgadywała jego potrzeby. – Idź no, Weroniczko, do Gieni, niech zaraz podaje obiad. Na pewno coś jej zostało, my już jedliśmy – oznajmiła.

– A tato gdzie? I babcia? I Zygmuś?

– Babcia u siebie. Wciąż poleguje, bo ostatnio słabuje na serce. Zygmunt jeszcze nie wrócił ze szkoły, powinien być lada moment. A tato jak zwykle zajęty. Pojechał sprawdzić, jak idzie budowa grobli. Zalewało nam ostatnio pola. Niby rzeczułka niewielka, a kapryśna aż strach!

– To ja zajrzę do babci – powiedział, wysuwając się z jej objęć.

– A pewnie! Może jak cię zobaczy, poprawi jej się humor i zdrowie, bo ostatnio wciąż tylko lamentowała, że poszedłeś w świat na zatracenie.

Weszli całą gromadą do niewielkiego, lecz przytulnego pokoiku przylegającego do kuchni. Ledwo się tam pomieścili. Na widok Wojtka Maria zrzuciła pled i usiadła na posłaniu.

– Wojtuś? Tyżeś to, wnusiu? – zapytała, mrużąc oczy, ponieważ wzrok mocno jej osłabł ostatnio.

Uściskom i radości nie byłoby pewnie końca, gdyby nie Gienka, która wpadła, by poprosić panicza na posiłek. Bernadeta wysłała parobka posługującego w obejściu, żeby sprowadził pana domu. Powrót syna był ważniejszy niż groble. W czasie gdy Wojciech z wielkim apetytem zjadał obiad, próbowała wypytywać go o powstańcze wieści i przygody, lecz póki co zbywał ją monosylabami.

Wojak, wiedząc, że ojciec niebawem wróci, nie chciał na razie wspominać o niczym ważnym. Wolał powiedzieć o śmierci Parnickiego raz, niż dwukrotnie wracać do przygnębiających szczegółów. I rzeczywiście, nim skończył się posilać, dało się słyszeć tętent. Już po chwili z impetem wpadł do pomieszczenia Prokop, a krótko po nim Zygmunt.

– Wojciechu! – Trzos rozłożył ramiona i porwał pierworodnego w objęcia. – Jak dobrze widzieć cię całym i zdrowym! Straszne wieści zasłyszałem o wczorajszej bitwie pod Igołomią.

Usiadł z młodym przy stole. Pozwolił mu spokojnie dokończyć posiłek. Choć o nic nie zagadywał, intensywnie na niego patrzył, radując się, że młody uszedł z życiem.

Później zasiedli wszyscy w salonie. Już nie było sensu odwlekać sprawy. Chłopak opowiedział więc o tym, co działo się z nim w ostatnich tygodniach. Zakończył najgorszą wieścią, a ta, zgodnie z jego wcześniejszymi przypuszczeniami, wpędziła bliskich najpierw w osłupienie, a potem w głęboki smutek.

Bernadeta załamała ręce.

– O Przenajświętsza Matulu! Taki szlachetny człowiek… Pani Cecylia jest pewnie zdruzgotana.

– Szkoda Parnickiego – westchnął Prokop. – Wiele mu zawdzięczamy. Ech… Gorąca głowa! Żeby w jego wieku wybierać się na bój? Nie dawałem wiary, że i on pójdzie, gdy przekazywał mi plenipotencje do zarządzania swą ziemią. Myślałem, że zmieni zamiar i zostanie w domu. Albo przynajmniej będzie się trzymał na tyłach, zajęty rekrutacją czy innymi sprawami. A ty mówisz, że on bił się wraz z innymi?

– Tak było, ojcze. A żebyście widzieli, jak on wymachiwał szablą! Ino krew tryskała na boki! Ja też bym tak chciał, ale mnie nikt nie dał szabelki, bom nie jest szlachcicem. – Zmarkotniał. – Nawet pan Parnicki nie wyraził na to zgody, bo stwierdził, że takiej sztuki trzeba się uczyć wiele lat.

– Ech… On zawsze potrafił nadstawiać karku. – Pomyślał o tym, jak to przed laty szlachcic nadział się na rabację dworu Żelechowskich, cudem ratując dziedziczkę od śmierci. Potem sam wszedł w paszczę lwa, gdy pojawił się w wiosce buntowników, nie bacząc na to, że może stracić życie. Cholera też nie była mu straszna, kiedy brał do siebie panicza Maksymiliana oraz służkę pani Kornelii. I jeszcze ta spółka kolejowa, dla której z ziemianina stał się kapitalistą! – Odważny człowiek, godny najwyższego podziwu.

– Poległ na polu chwały. Był bohaterem – przyznał młody. – Prócz niego zginął Józef Wimmer, zastrzelony podczas przeprawy przez Wisłę. I jeszcze Emanuel Czermak, znaliście go pewnie, bo on, gdy usłyszał, jak się nazywam, bez problemu skojarzył, gdzie mieszkamy.

I jeszcze inni polegli, wielu ich było. A Walentego Przepolskiego i Macieja Pikulskiego aresztowali policjanci już po naszej stronie. My cudem zdołaliśmy się przedrzeć, byliśmy o włos od puszczy, gdy zaatakował nas Austriak. No i właśnie wtedy pan Parnicki oddał życie. Trzeba by powiadomić rodziny zabitych i zatrzymanych. Każdy pewnie czeka na jakieś nowiny o swoich. – Spojrzał wymownie na ojca. – Ja dotarłem tylko do *madame* Cecylii.

– Tak. Koniecznie musimy do nich pojechać i powtórzyć to, co nam opowiedziałeś.

– Ale teraz zostaniesz już w domu? – zapytała babcia z nadzieją.

Chłopak pokręcił głową.

– Nie mogę. Jutro wracam do naszego oddziału – oznajmił, nieco rozmijając się z prawdą, ponieważ w rzeczy samej nie miał pojęcia, czy ktokolwiek ocalał i czy znajdzie kompanów w puszczy.

– Ale jak to? – wyraziła zdziwienie matka. – Po co, skoro ponieśliście porażkę? Większość wieści, które do nas spływają, wskazuje na klęskę zrywu.

– Zostań w domu, Wojtku – rzucił Prokop. – Jesteś mi tutaj potrzebny. Odkąd nie ma Parnickiego, pracy mam huk. Myślałem, że to przejściowe, ale teraz już wiadomo, że Antoni nie wróci. A wdowa zapewne będzie oczekiwała, bym miał oko na jej majątek. Ech… jeszcze trochę, a sam będę potrzebował zarządcy. Skoro nie chcesz się dalej uczyć, trudno, nie będę na siłę posyłał cię na uniwersytet. Może Zygmuś zechce się kształcić, bo wciąż tkwi z nosem w książkach.

– Przykro mi, ojcze, lecz nie mogę zostać w domu. Jedna przegrana bitwa nie przesądza losów powstania. Tam potrzebny jest każdy młody mężczyzna. Trzeba walczyć o wolną Polskę! Samiście mnie uczyli – zwrócił się do obydwojga rodziców – umiłowania dla kraju. Znam naszą historię, wiem, jaką byliśmy potęgą na przestrzeni wieków.

– Nie… – jęknęła Bernadeta, łapiąc go za rękę. Siedziała na fotelu blisko młodzieńca, nie mogąc się nacieszyć jego bliskością. – Synu! Nie puszczę cię na pewną śmierć!

– Ależ mamo! Kto mówi o śmierci? Kule szczęśliwie mnie omijały. Jestem to winien narodowi.

– Akurat ty? Jesteś jeszcze taki młody!

– Pozwól, mamo – powiedział, podnosząc się z kanapy. Do matki zwracał się zwykle z większą bezpośredniością niż do ojca. Ujął jej dłoń. – Wstań, proszę – dodał z galanterią, która miła była jej sercu i świadczyła o tym, że syn nie jest byle prostakiem.

Posłusznie się podniosła i pozwoliła, by młodzieniec zaprowadził ją przed lustro w ozdobnej ramie, które powieszone zostało na korytarzu, w pobliżu wejścia do domu. Zatrzymali się przy nim, on łagodnym gestem ustawił matkę bezpośrednio przed taflą.

– Co widzisz? – zapytał.

– Ciebie i mnie – odparła zaskoczona kobieta, zezując na resztę rodziny, która przyszła za nimi, lecz zatrzymała się bliżej wejścia do salonu.

– A precyzyjniej? Co byś powiedziała, gdybyś spojrzała na nas z dystansu, oczami obcego człowieka?

– Matka i syn.

– Jeszcze nie to. Popatrz na nasz ubiór… – podsunął.

– Kobieta w wielkopańskiej sukni i chłopiec w żołnierskiej czamarze z biało-czerwoną rozetką.

– Otóż to, matulu. Widzisz prawdziwą damę i piechura. Damę. Kobietę z klasą, aspirującą do wyższych sfer. Jeśli pragniesz takiego życia dla siebie oraz dla nas, jeśli nie jest ci wszystko jedno, kto przekracza progi tego dworku, to nie możesz mnie dzisiaj zatrzymywać. Nawet jeśli w ostatnich kilku latach naszej rodzinie dobrze się wiodło, wcale nie jest powiedziane, że taka sytuacja będzie nadal trwać, czy nie zjedzą nas podatki na rzecz obcego cesarza. Chcesz, by wysiłek wielu pokoleń Trzosów zmarniał i obrócił się wniwecz?

– Oczywiście, że nie chcę. Ale nie może się to odbywać takim kosztem!

– Niestety Wojtek ma rację, Betko – poparł go Prokop. – Świętej pamięci Antoni wciąż o tym mówił. Dlatego właśnie przekazałem znaczny datek kwestarzowi. I dlatego puszczę pierworodnego na wojaczkę. Bo w przeciwieństwie do tej, w którą próbowali nas wplątać Czop, Dyl i inni, ta jest również nasza.

– Otóż to. Mamo, ja muszę wrócić do powstańców. I nie tylko po to, by bić się o wolność dla Polski, ale także, by pomścić pana Parnickiego. Jego śmierć nie może pójść na marne. Skoro on walczył, ja tym bardziej nie mogę zostać w domu. Nie schowam się pod twoją krynoliną ani pod babciną zapaską – dokończył pogodnym tonem.

***

Następnego dnia Wojciech pożegnał domowników, by wyruszyć na poszukiwania oddziału. Tym razem opuszczał dom z błogosławieństwem rodziny i ich modlitwą. Wyspany, wypoczęty, odświeżony. Najedzony do syta i z zapasem żywności w tobołku odjechał konno, ponieważ ojciec sam mu polecił, by wziął jednego z ich dwóch wierzchowców.

***

Kolejne dni upływały w dworku Parnickich niczym jakiś przygnębiający koszmar. Cecylia zorganizowała wyprawę po ciało męża. Pragnęła, by ukochany spoczął na cmentarzu w Niepołomicach obok innych towarzyszy broni. W tym samym czasie Eulalia w towarzystwie Prokopa przemierzała konno okolicę, rozpytując o ślubnego. Wprawdzie Trzos zapewniał, że dołoży starań, aby odnaleźć szlachcica, którego los nie był pewny, lecz niespokojny duch nie pozwalał kobiecie na bezczynność. Musiała coś robić, działać. Byle nie siedzieć z założonymi rękami, biernie oczekując na wieści. Byle uciec choć na chwilę z domu

pogrążonego w żałobie, gdzie wciąż rozbrzmiewały płacz i zawodzenie, gdzie zatrzymano zegary, lustra spowito kirem, a barwne suknie zastąpiła czerń i żałobna patriotyczna biżuteria.

Mimo wszystko wolała jednak zostać w rodzinnym gnieździe, niż wracać do krewnych męża w Bochni. Tam czuła się obco, tutaj mogła przynajmniej wtulić twarz w matczyną pierś i wypłakać cały swój strach oraz żałość.

Trzy dni po pogrzebie Antoniego Trzos odnalazł Jana. Tego dnia Eulalia została z Cecylią, by ją choć trochę wesprzeć na duchu. Ciężko ranny Ostrowski znalazł schronienie w chłopskiej chacie. Toczyła go gangrena. Skonał, nim Eulalia zdążyła do niego dotrzeć.

Rok 1864

Cecylia miotała się niespokojnie po salonie, doprowadzając Gertrudę do irytacji.

– Usiądź w końcu. Robisz przeciąg tym nieustannym furkotem sukni. Przyprawisz mnie o migrenę – jęknęła błagalnie.

– Nie mogę sobie znaleźć miejsca – przyznała synowa. – Martwię się o Gustawa. Miałam nowiny od niego, nie są zbyt dobre.

– Pomyślnych nie mieliśmy już od bardzo dawna – westchnęła szwagierka, która po śmierci męża podjęła decyzję o definitywnym powrocie do rodzinnego domu. Może gdyby miała dzieci, zostałaby w Bochni, lecz jako bezdzietna wdowa czuła się tam nikim, mało znaczącą rezydentką. – Co ciekawego pisze twój brat?

– Dla mnie smutne wieści. Kilka dni temu aresztowana została córka Eugenii Łodzińskiej, mojej przyjaciółki z pensji – oznajmiła, siadając. Od razu sięgnęła po robótkę, by dać dłoniom zajęcie.

– Za co? – zdziwiła się Gertruda.

– Za to samo, za co zamyka się ostatnimi czasy wielu mężczyzn. Przyłapali ją na działalności konspiracyjnej. Przenosiła pod suknią cały

nakład nielegalnie drukowanej prasy.

– Jakże oni to odkryli? – dociekała zgorszona Eulalia. – Nie powiesz mi chyba, że zajrzeli jej pod ubranie?

– Owszem. Obszerne krynoliny doskonale kryją kontrabandę. Wiem od Gucia, że kobiety chowają pod nimi broń i amunicję. Zapewne byłoby to bezpieczne zajęcie, ale ciężary, które są w ten sposób transportowane, wymuszają na damach nienaturalne przegięcie sylwetki. No i w ten sposób wpadła Jadwiga, która miała przy sobie nielegalną prasę – wyjaśniła. Pod koniec ubiegłego roku Austriacy zawiesili na trzy miesiące publikowanie dziennika „Czas" za sprzyjanie powstańcom. Ludzie zaczęli sobie radzić bez oficjalnej prasy, powstały nielegalne drukarnie, gdzie publikowano ważne materiały informacyjne. Zwykle ich kolportażem zajmowały się damy. – Jadwinię zatrzymał patrol, bo jakiś nadgorliwiec dopatrzył się, że idzie nie tylko powoli, ale jeszcze pochylona na bok. Może i nie zwróciliby na nią uwagi, ale nieboga przyciąga wzrok niepospolitą urodą. Musiał się na nią gapić jeden z drugim. No i wyobraźcie sobie – spojrzała najpierw na teściową, a następnie na Eulalię, jak zwykle ignorując siedzącą cicho w kącie Justynę – że policjant bezczelnie zajrzał jej pod halki.

– O! Przecież to skandal – fuknęła oburzona rezydentka, nie przerywając haftowania serwety. – Prawdziwa zniewaga!

– Ależ oczywiście! Martwię się, że biedactwo trafi za to na Sybir. Słyszałam, że Austriacy bez ceregieli przekazują naszych konspiratorów Rosjanom. A ci od razu skazują ich na zesłanie, a tym, którzy mają dla sprawy największe zasługi, nakładają stryczek. Austriacy ugięli się pod wpływami Moskwy – westchnęła Cecylia zajęta zwijaniem świeżo upranych bandaży, które co jakiś czas dostarczano do ich domu wprost z lazaretu. – O ile początkowo byli obojętnie nastawieni do powstania, to teraz stosują coraz więcej represji wobec naszych działaczy niepodległościowych. Mamy wiosnę, a w samym Krakowie zapadło już grubo ponad tysiąc wyroków skazujących. Szubienica raczej nie grozi Jadwini, ale na pewno nie puszczą jej tego płazem. Szkoda, bo ładna

z niej panna, rezolutna i bardzo miła. Miałam zamiar swatać ją Guciowi, gdy ucichnie powstańcza zawierucha. To niepodobne, by mężczyzna w jego wieku nie miał żony! A Jadzia, choć tak urodna, nie miała do tej pory szczęścia. Chyba dlatego, że jej posagiem Łodziński pokrył hazardowe długi.

– Honorowe. – Gertruda z przyzwyczajenia poprawiła synową, gdyż jej zdaniem w pewnych sferach nie wypadało nazywać rzeczy dosadnie.

– Jak zwał, tak zwał! – żachnęła się Cecylia. – Gustaw pewnie nie patrzyłby na wiano. Nie brakuje mu majątku, a lata lecą – stwierdziła, gdyż brat był już dobrze po czterdziestce.

Słuchająca jej wywodów Eulalia westchnęła nieznacznie. Jak przystało na wdowę po bohaterze wojennym, zajęta była wyrabianiem biało-czerwonych rozetek, które naszywano na czapkach i mundurach. Przypinali je do ubrań nie tylko powstańcy, ale również ludzie, którym zryw narodowościowy nie był obojętny. Na tle czarnej sukni odbijały się wstążki w patriotycznych barwach, które zręczne dłonie wdowy łączyły w zgrabną całość.

Ciekawa była, czy Gustaw wie o planach matrymonialnych, które za niego czyniła Cecylia. A jeśli tak, to czy jest im przychylny.

Ech… Mężczyźni mają w życiu o wiele łatwiej – pomyślała. *Dla nich właściwie żaden wiek nie jest przeciwwskazaniem do ożenku. Czy mają dwadzieścia parę lat, czy czterdzieści, czy nawet i sześćdziesiąt, szukają świeżych, powabnych panienek. A na taką wdowę jak ja już nikt nie spojrzy łaskawym okiem.*

Doskwierała jej samotność. Przez dziesięć lat małżeństwa z Janem wciąż była adorowana i otoczona miłością. Nawet jeśli krewni męża obarczali ją winą za brak dzieci, twierdząc, że jest z nią coś nie w porządku, to i tak było jej dobrze. Teraz właśnie z powodu braku dzieci tęsknota doskwierała jej w dwójnasób. O ileż łatwiej było Cecylii, która miała dwoje własnych potomków, a prócz nich przygarniętego Maksymiliana. Cała trójka stanowiła dla niej wielką pociechę w tych trudnych czasach. Eulalia zdawała sobie sprawę, że jedyne, co może jej

się trafić, to wdowiec obarczony gromadką drobiazgu, z którą nie jest sobie w stanie poradzić. Nie miała co liczyć na zainteresowanie żadnego kawalera, którego celem było zachowanie ciągłości rodu. Fakt, że nie urodziła dzieci, kiepsko rokowałby dla kogoś takiego.

Cecylii pewnie nawet nie przeszło przez myśl, że Gustaw mógłby się ze mną związać. Choć to zwyczajni dorobkiewicze, których matka wręcz określa parweniuszami, to jednak nawet on wybierze na żonę pannę, choćby była biedna, zezowata i miała wredną naturę.

Wyłączyła się z rozmowy pozostałych kobiet. Polityka zdecydowanie nie była jej ulubionym tematem. Zasadniczo w domu zamieszkiwanym chwilowo przez same kobiety mało się rozprawiało o tym, co tak mocno zajmowało od zawsze uwagę mężczyzn. Sytuacja uległa radykalnej zmianie, gdy w dniu 29 lutego Austriacy ogłosili stan oblężenia w Krakowie i całej Galicji. O ile wcześniej pogawędki dam o sprawach wojennych były raczej powierzchowne i sprowadzały się do kwestii związanych z żałobą bądź wspieraniem powstańców, to teraz analizowano każdą wieść i niecierpliwie wyczekiwano nowin.

***

Wieści z bitewnych pól wyglądano również u Trzosów, choć tam nie było tyle czasu na analizowanie sytuacji w kraju. Prokopa pochłaniało nadzorowanie aż trzech majątków, z których najmniej problemów sprawiał mu ten najmniejszy, należący do wdowy po Antonim. By pozbawić Parnicką kłopotu, wydzierżawił od niej resztki ziemi, więc zasadniczo jej grunty traktował na równi ze swoimi. Najwięcej zmartwień przysparzały mu dobra po Żelechowskich i czasami marzył, by Maksymilian wrócił już ze szkół w Krakowie i objął swe dziedzictwo. Trzos miał dość pracy u siebie. I choć on oraz jego rodzina przejmowali coraz więcej wielkopańskich zwyczajów, do tej pory zdarzało się, że łapał wiosną za pług, latem za kosę, a jesienią własnoręcznie zbierał ziemniaki. Lubił pracę na gospodarstwie i nigdy jej świadomie nie unikał, choć siłą rzeczy więcej czasu poświęcał na nadzorowanie

robotników oraz prowadzenie ksiąg. Śmierć Antoniego wybiła go z normalnego rytmu życia, musiał pomóc wdowie w załatwieniu wielu ważnych spraw, co uświadomiło mu, w jak wielkiej desperacji był Parnicki, gdy przed laty przyjechał do niego i zaproponował mu objęcie zarządu nad majątkiem Żelechowskich.

– Oj… gdyby Wojtek wrócił już do domu – wzdychał, uzupełniając księgę rachunkową.

– Jak Bóg da, niedługo wróci cały i zdrów – odpowiedziała żona, unosząc wzrok znad kanwy.

– Każdego dnia modlę się o to – wtrąciła Maria, turkocząc jak zwykle kołowrotkiem.

Mężczyzna rozłożył się z pracą w bawialni, choć miał wzorem innych ziemian osobny kantorek przeznaczony do pracy i przyjmowania petentów. Kiedy jednak nie spodziewał się nikogo, wolał spędzać czas w obecności kobiet. Lubił przysłuchiwać się ich pogawędkom, okolicznym plotkom, piosenkom śpiewanym przez Bernadetę i Weroniczkę. Córka szybko się uczyła i, podobnie jak matka, miała miły dla ucha, czysty głos. Dobrze też było niekiedy unieść wzrok znad dokumentów i ucieszyć oczy widokiem trzech najważniejszych kobiet w życiu.

Prokop kochał je wszystkie całym sercem.

Córcia była mu słoneczkiem na niebie, radosną iskierką, najcenniejszym skarbem. Nie dziwił się, że ślubna wychowuje ją jak pańskie dziecko i pragnie dla niej w przyszłości życia, jakie wiodą damy. Gdy sam był małym chłopcem, taki przeskok społeczny nawet mu się nie roił. Choć widział różnicę pomiędzy swoją rodziną a chłopami pańszczyźnianymi, ani nie pomyślał, że kiedyś będzie aspirował do tego, by zostać ziemianinem i wzorem Żelechowskiego nosić surdut, a do kościoła jeździć bryczką. Wszak jeszcze parę lat temu on i jego rodzina nosili chłopskie przyodziewki, a gdy musieli dokądś pojechać, robili to zwyczajnym wozem, na który dokładał dla wygody deskę służącą za ławkę.

Wszystko to stało się za sprawą Bernadety. To jej marzenia spełniał, zmieniając swoje życie i otoczenie, choć musiał przyznać, że gdyby nie dopisało mu zadziwiające szczęście, nie osiągnąłby tak dużo. Kochał swą żonę całym sercem. Była czuła, troskliwa, pogodna. Nigdy nie podnosiła na niego głosu, choć czasami zdarzało jej się huknąć na służbę. Nie przestał jej pragnąć nawet przez jeden krótki moment. Od dnia, gdy ujrzał ją po raz pierwszy na odpuście w Staniątkach, aż do tej pory była jego jedyną miłością. Nigdy jej nie zdradził, choć miewał ku temu okazje. Niejedna najmowana do pracy chłopka próbowała go uwieść, licząc pewnie na specjalne względy, choć uważał, że to niemądre. Płacił ludziom za wykonywaną pracę uczciwie. Umawiał się z nimi na konkretne zajęcia, które miały dla niego określoną wartość. Nie był nigdy dla swoich robotnic panem. Nikt nie musiał przed nim drżeć ze strachu i zabiegać o jego przychylność. Zresztą jakże miałby się zadawać z jakimiś niedomytymi, zawszonymi dziewkami, skoro w domu miał prawdziwy różany pączek, który z upływem lat, zamiast więdnąć, piękniał niczym wonne kwiecie?

Bez Bernadety byłbym dzisiaj nikim, zwyczajnym chłopem. Moje dzieciaki biegałyby bose, umorusane, ubrane w zgrzebne koszule. Ich edukacja skończyłaby się na wiejskiej szkółce, może na kilku latach pod okiem niepołomickich nauczycieli. Betka już planowała zatrudnienie dla Weronisi guwernantki, która nauczy ją szczebiotać po francusku i włoży w tę śliczną główkę różne mądrości. A Zygmunta zamierzała posłać na uniwersytet! *No coś takiego! Trzos, który pojedzie na nauki do Krakowa?* – rozważał z dumą.

Po chwili przeniósł wzrok na rodzicielkę. Matka pierwsza pokazała mu świat, ptaki na niebie, rośliny, zwierzęta. To ona opowiadała mu najpiękniejsze baśnie, przekazywała dzieje rodu, mówiła o wspaniałej historii kraju, który kiedyś stanowił potęgę na tle Europy. To od niej wiedział, skąd pochodzi nazwa Niepołomic i wyrastającej przy nich puszczy. Właśnie teraz tę samą opowieść snuła przy kądzieli, ponieważ w przeciwieństwie do sneszki oraz wnuczki nigdy nie zmieniła

nawyków i nie zastąpiła drobnych prac gospodarczych wielkopańskimi robótkami.

– Musisz wiedzieć, moja Weronko – mówiła do dziewczynki, uciskając monotonnie i bez większego pośpiechu człapiej – że nim nastali Austriacy, puszcza, która szumi tuż obok, była jeszcze potężniejsza i znacznie trudniejsza do pokonania przez ludzi. Z tegoż względu zwano ją niepołomną, czyli taką, której ludzka dłoń nie zniszczy, bo tak masywnych drzew nie można połamać. I to od tego właśnie pochodzi nazwa miasteczka, które jest nam bliskie, bo to nasza mała ojczyzna, gdzie każda twarz jest znajoma i droga sercu. Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie, próżno byłoby szukać innych Niepołomic na mapie.

– Co to jest mała ojczyzna, babciu? – zapytała dziewczynka. – Chodzi ci o to, że Polska jest pod zaborami i to Austriacy są duzi i ważni, a my się nie liczymy?

– Nie, aniołku – odparła Bernadeta. – Mała ojczyzna oznacza miejsce, z którego się pochodzi. Takie, które zna się dobrze i bardzo kocha. Dla nas małą ojczyzną jest niepołomicka ziemia. A tą dużą, prawdziwą, jest Polska, która kiedyś musi odzyskać wolność.

– Austriacy to zaborcy, którzy pospołu z Moskalami i Prusakami na strzępy rozszarpali nasz kraj. A jak już nastali, to zaczęli masowo wycinać rosnące tutaj dęby. – Maria wróciła do wcześniejszego wątku. – Dla nich niepołomicka knieja to nic innego jak skład, z którego można bezkarnie wydzierać drewno budowlane i opałowe. Zamiast dębów, buków czy grabów, sadzą wyłącznie sosny, bo te rosną najprędzej, dając im szybko nowe zapasy drewna.

– Niszczą naszą puszczę – wtrąciła ponownie matka. W jej dłoni migotała igła z nawleczoną zieloną nitką. – Austriacy, Weroniczko, to zwyczajni intruzi. Rujnują okolicę, a nas gnębią podatkami.

– To dlatego Wojtuś pojechał, by z nimi walczyć?

– Tak, dziecino. Twój brat bije się z nimi między innymi o to, aby sobie stąd poszli, zostawili w spokoju naszą puszczę i zamek królewski.

Aby przestali wtrącać się w nasze sprawy, jątrzyć ludzi i wyzyskiwać każdego, kto tutaj mieszka. Musisz być dumna z Wojtka i każdego dnia odmawiać za niego paciorek.

– Odmawiam, babuniu – odparła ośmiolatka, haftując równie pracowicie jak Bernadeta.

Prokop nie wtrącał się w te patriotyczne pogawędki, lecz serce rosło mu z dumy. Kolejny raz uświadomił sobie, że nie mógł wybrać dla siebie lepszej żony. Bo czy inna kobieta miałaby tyle zrozumienia dla istotnych spraw? Czy prosta chłopka kładłaby dziecku w głowę tak ważne nauki?

Zdawał sobie sprawę z tego, że jego osąd jest być może niesprawiedliwy i zbyt surowy, lecz wciąż miał w pamięci dramatyczne wydarzenia sprzed lat, gdy kmiecie, zmanipulowani i podpuszczeni przez Austriaków, mordowali szlachtę, by nie dopuścić do zrywu narodowościowego. Im było dobrze pod cesarskimi rządami, a marzenia swych panów uważali za zagrożenie dla panującego ładu.

Teraz, gdy pańszczyzna była już tylko smutnym wspomnieniem, wielu jego ziomków prostego pochodzenia zaczynało postrzegać Austriaków jako ciemiężycieli, którzy odebrali wolność narodowi. Zaczęli więc sprzyjać powstańcom, ofiarowując co kto miał: odrobinę jedzenia, kilka zaoszczędzonych krajcarów. Byli też tacy, którzy dołączali do walczących. Na bój wyruszyło dwóch synów Franki Zalipiaczki, poszedł też jeden z Dylów. Prokop nie był zachwycony, gdy krzepki jak byk parobek oznajmił mu pewnego dnia, że skoro panicz Wojciech naraża życie dla ojczyzny, to i on pójdzie w jego ślady. Żałował Antka, bo robotny był jak mało który, ale nie zatrzymywał chłopaka w obejściu. Co więcej, nim młody odszedł, wcisnął mu w garść srebrnego talara, a kobietom przykazał, by dały mu solidny prowiant.

***

Powstanie dogorywało. Jeszcze tylko gdzieniegdzie biły się ostatnie oddziały. Choć ten zryw narodowościowy miał znacznie większy impet

niż insurekcja pod wodzą Kościuszki czy potyczki rozpoczęte w listopadzie trzydziestego roku, to i tak nie doszło do walnej bitwy pomiędzy wojskami polskimi a armią carską. Rozproszone i nieliczne siły Polaków były zbyt słabo uzbrojone i przeszkolone, stawiano więc na nękanie wroga działaniami na niewielką skalę, kąsając go niczym uciążliwa mucha. Dyktatorzy powstańczy daremnie wyczekiwali na pomoc ze strony innych państw, choćby Francji, w których dążenia wolnościowe Polaków spotykały się z aprobatą.

Ostateczny koniec zrywu narodowościowego nastąpił w październiku.

***

Prokop coraz częściej przywoził z Niepołomic przygnębiające nowiny na temat znajomych, którzy ucierpieli wskutek represji austriackich. Zaglądał do miasteczka regularnie, nadstawiając uszu. Czekał na jakieś wieści o synu, który wciąż nie wracał, mimo że powstanie ostatecznie upadło. Obchodził sklepy i karczmy, gdzie gawędził z Żydami, bowiem oni najlepiej orientowali się w okolicznych plotkach. A potem wracał do domu i powtarzał zasłyszane nowiny bliskim.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytała go Bernadeta, ledwo przekroczył próg domu.

Dobrze wiedział, że żonie chodzi o Wojtka.

– Niestety. Na temat młodego nie mam żadnych informacji. Pewnie się chłopak ukrywa przed aresztowaniem. Mnóstwo ludzi zostało zatrzymanych – westchnął ciężko. – W Niepołomicach, w karczmie u Szwarcbauma, ludzie gadali, że Przepolskiego i Pikulskiego zesłano na Sybir. Pamiętasz? To ci dwaj, o których Wojtek wspominał, gdy był w domu. Aresztowano ich podczas przeprawy przez Wisłę. Ponoć każdy z nich dostał po dwanaście lat zsyłki.

– O matulu! – zmartwiła się ślubna. – Toż to kawał czasu! Tyle życia zmarnowanego… – Załamała ręce.

– Ano kawał. Na dobitkę w ciężkich warunkach. Niejeden stracił tam zdrowie, ba nawet życie… Dzisiaj usłyszałem, że w domu Kubali zamieszkali żołnierze austriaccy. Temu dla odmiany skonfiskowali cały majątek za wdawanie się w politykę i udział w powstaniu. Koło budynków zrobili sobie wybieg do ujeżdżania koni.

– A to dranie! Żeby tak odrzeć człowieka z wszelkich dóbr! Prokopie… – urwała zafrasowana kobieta i spojrzała z lękiem na ślubnego.

– Dręczy cię obawa, że i nam dobiorą się do skóry? – odgadł mąż.

Jego też to gnębiło. Skoro raz pokosztował życia na wysokiej stopie, nie chciał wracać pod strzechę. A już nie wyobrażał sobie utraty całego gruntu i dworku, który wzniósł z wielkim mozołem. Miałby wegetować jak ostatni nędzarz? On, potomek w gruncie rzeczy zacnego rodu? Już teraz wiodło mu się znacznie lepiej niż niejednemu zagrodowemu szlachcicowi. Widział jasne perspektywy na przyszłość swych dzieci. A jednak gdyby mógł cofnąć czas do owego majowego dnia, kiedy wpadł do nich na krótko Wojciech, nie zmieniłby swej decyzji i pozwoliłby synowi odjechać, choć przepełniał go strach o niego i z niepokojem czekał na powrót chłopaka.

– Trzeba wierzyć, Betko, że nie podzielimy jego doli. A przynajmniej nie w tak dużej mierze. Na szczęście na razie nikt nie interesuje się Wojtkiem. Nie mieliśmy wizyty policjantów. I oby nadal tak pozostało.

– Tęsknię za nim i bardzo się boję – odparła Bernadeta.

– Ja także. Pragnę, by wrócił. Nie rozumiem, czemu jeszcze go nie ma. Jestem przekonany, że żyje. Gdyby coś mu się stało albo został aresztowany, już byśmy wiedzieli. Na pewno ktoś dałby nam znać.

– A co, jeśli leży w jakiejś bezimiennej mogile? – załkała kobieta. – A w jego grób wbity jest jedynie brzozowy krzyż, który prędko rozsypie się w próchno?

– Ja w to nie wierzę. Nie martw się, pączusiu. – Wziął żonę w ramiona i mocno ją przytulił. – Przecież wiesz, że złe wiadomości rozchodzą się najszybciej. A więc w tym przypadku brak nowin to dobra nowina.

ROZDZIAŁ 2.

GŁOS SERCA

Zamek i kościół w Niepołomicach

Na początku adwentu do dworku Parnickich zawitał Zaleski. Miał zamiar namawiać Cecylię, by wraz z córką przyjechała do Krakowa i zatrzymała na koniec grudnia chłopców w mieście – rodzice bardzo pragnęli ich u siebie gościć podczas świąt Bożego Narodzenia. O tym, by Zalescy spędzili ten okres u Parnickich, nie było mowy. Przez wszystkie lata małżeństwa Cecylii z Antonim nigdy nie zaproszono jej rodziców na wieś. Gustaw odgadywał, że stoi za tym Gertruda, która z niechęcią wyraziła zgodę na mariaż syna z kupcówną. Widać wielka dama nie zamierzała przestawać z parweniuszami. Utarło się więc, że młodsi państwo Parniccy przyjeżdżali do miasta na karnawał. Cóż, gdy od dwóch lat nawet i tego nie praktykowano. Zryw narodowościowy wpłynął na przyzwyczajenia dwóch rodzin, które do tej pory żyły bardziej obok siebie niż ze sobą, choć Gustaw był mile widzianym gościem w dworku.

Skomplikowane te nasze stosunki rodzinne – wzdychał, oczekując w salonie na przyjście siostry. Dotarł do Parnickich tuż po śniadaniu. Reszta dam pozostawała wciąż w swoich buduarach, gdyż ostatnimi czasy każda jadała w samotności. – *Pani Gertruda chyba nigdy nie przestanie się wstydzić swej koneksji z moją rodziną. Może lepiej byłoby, gdyby Cecylia wróciła z dziećmi do domu? Nic tu po niej. Ja i tak żenić się nie myślę, więc kiedyś cały nasz majątek przejmie Juliusz. Jako dobrze urodzony młodzieniec ma otwarte drzwi na salony. Poślubi pewnie jakąś pannę z dobrego domu i we dwoje usankcjonują majątek Zaleskich jako pieniądze szlachetnej wartości. Ech… Trzeba całego pokolenia, by aspiracje mego ojca się ziściły. Bo mnie nie udało się wejść na salony, a Cecylia stanęła w nich zaledwie jedną nogą.*

Z zadumy wyrwało go skrzypnięcie zawiasów. Zerwał się z fotela i odwrócił ku drzwiom. Ku zaskoczeniu Gustawa do pokoju weszła Eulalia. Ostrowska miała na sobie pozbawioną ozdób gładką suknię z aksamitu w czarnym kolorze, ze stanikiem zapiętym pod samą szyję

oraz długimi bufiastymi rękawami, w których rozcięciach widać było koronkowe akcenty. Pod malutkim kołnierzykiem połyskiwała niewielka broszka, zapewne kamea z kosmykiem włosów męża, a na przegubach kobieta nosiła czarno oksydowane bransolety w formie kajdan – podobne często widywał u innych dam pogrążonych w żałobie. W talii opasana była paskiem z prostą, metalową klamrą i z przytwierdzonymi doń kilkoma rzędami metalowych kółeczek stanowiącymi nawiązanie do popularnej ozdoby męskiego stroju ludowego. Nawet fryzura Eulalii podkreślała poważny nastrój – gładko zaczesane włosy upięte zostały z tyłu w prosty węzeł, niczym nieprzypominający niegdysiejszych frywolnych anglezów ozdobionych kwiatkami. Z całej postaci tchnęło głębokim smutkiem.

Wciąż opłakuje męża – przeszło mu przez myśl. *Musiała go bardzo kochać.*

Cóż by dał za to, by znowu zobaczyć ją wesołą i barwną jak rajski ptak!

Ponieważ odniósł wrażenie, że kobieta nie dostrzegła jego obecności, chrząknął.

– Dzień dobry, *madame*. – Ukłonił się kurtuazyjnie.

– Pan Zaleski? Jaka miła niespodzianka!

Przez moment na jej twarzy pojawił się olśniewający uśmiech – ten sam, który mężczyzna zapamiętał z czasów, gdy była jeszcze panienką. Cóż, gdy zgasł równie szybko, ustępując smutkowi. Eulalia podeszła bliżej i podała mu dłoń. Jej skóra była chłodna w dotyku, lecz gładka niczym najkosztowniejszy jedwab.

– Jak się pani miewa? – zagadnął mężczyzna. Pragnął powiedzieć, że pięknie wygląda mimo tej ponurej czerni, lecz wiedział, iż nie wypada prawić komplementów w takiej chwili.

– Dziękuję, panie Gustawie, na tyle dobrze, na ile jest to możliwe – odparła. – Zechce pan usiąść? – Wskazała mu miejsce na fotelu naprzeciwko kanapy, którą sama zajęła. Od razu sięgnęła po odłożoną

tam robótkę. Na tamborku naciągniętą miała serwetę, którą zaczęła pracowicie pokrywać misternym haftem.

– Jak zdrowie? – zapytał, siadając.

Czuł się przy tym jak prostak, który nie potrafi bawić damy rozmową. Nie przychodził mu jednak do głowy żaden temat, który nadawałby się do poruszenia bez pogłębiania przy tym smutku Eulalii. Wieści, które ostatnio przywoził Parnicki, były niezmiennie przygnębiające. Dotyczyły aresztowań, wieszania powstańców, karania ich zsyłkami, konfiskatami majątków lub więzieniem. Kraj coraz bardziej podupadał, drenowany przez trzech zaborców. Czy istniały jeszcze szanse na odzyskanie wolności? Kiedyś gawędziliby zapewne o tym. Nie mieli bowiem wspólnych znajomych, stanowiących wdzięczny przedmiot plotek. Interesy kupieckie zdecydowanie nie były kwestią nadającą się do omawiania z damą. O czym jeszcze mógł mówić? O Krakowie, który coraz bardziej podupadał i przypominał cuchnący nędzą i zgnilizną rynsztok?

– Dziękuję, dobrze – odparła krótko.

Och… jestem przeźroczysta również dla niego – westchnęła nieznacznie. – *Nawet kupiec nie poświęca mi choćby odrobiny uwagi i, niech zgadnę, on marzy o tym, by nadeszła Cecylia i uwolniła go od konieczności zabawiania mnie rozmową.*

Usłyszał to delikatne westchnienie i zinterpretował je po swojemu.

Tęskni za Janem. To oczywiste. Na mnie nigdy nie spojrzy łaskawszym okiem. Na cóż jej taki kupiec jak ja? Ma mnie pewnie za nic. Dla niej niewiele różnię się od Żydów z ich woniejącymi stęchlizną geszeftami albo lichwą – przypomniał sobie odbytą jakiś czas temu rozmowę, podczas której Gertruda w obecności córki określiła w taki sposób starszych braci w wierze, a Eulalia nawet nie mrugnęła powieką na ten komentarz.

Przypuszczał, że Eulalia nie ma bladego pojęcia o tym, że ktoś taki jak on nie prowadzi interesów w ciemnym, ponurym sklepiku i nie zdziera z ludzi w trudnym położeniu wyśrubowanych odsetek od niskich pożyczek. On obracał wielkimi sumami, kupując towar, którego później

nie oglądał na oczy. Teraz w kręgu jego zainteresowań były nie tylko sukna, ale również stal i podkłady oraz wszelki budulec służący rozwojowi sieci kolejowej.

Zerkał na zajętą haftowaniem kobietę. Kilka razy podniosła na niego wielkie szafirowe oczy, obdarzając go spojrzeniem tak smutnym, że aż wewnętrznie drżał. Próbował zagadywać na temat pogody, to znowu zbliżających się świąt, lecz z każdym słowem czuł się coraz bardziej niezręcznie.

Ma mnie pewnie za prostaka i durnia – pomyślał w końcu.

Odetchnął z ulgą, gdy do salonu weszła Cecylia. Siostra także spowita była w żałobną czerń przełamaną zaledwie bielą kołnierzyka oraz koronkowych mankietów, lecz w przeciwieństwie do szwagierki wyglądała nad podziw dobrze. Widać czas okazał się skutecznym lekarzem i zabliźnił rany na jej sercu.

– Gucio! – wykrzyknęła na jego widok. – Nie spodziewałam się ciebie! Jakie pomyślne wiatry przywiały cię w tak paskudną pogodę? – zapytała, otwierając ramiona, by uściskać brata. – Powiedz mi, że przybywasz z zaproszeniem na ślub! – paplała, wpędzając go w zakłopotanie, gdyż na ten temat odpowiedź miał niezmienną.

Eulalia siedząca bokiem do nich dyskretnie spojrzała na gościa. Wstrzymała oddech, jej dłoń zadrżała, skutkiem czego kobieta dźgnęła się igłą w palec, lecz nawet nie poczuła bólu, tak ją ciekawiła odpowiedź Gustawa. *Właściwie to nie powinno mnie w ogóle interesować* – stwierdziła, lecz mimo wszystko czujnie nadstawiła uszu.

– Ach, siostrzyczko! – Mężczyzna parsknął śmiechem, odzyskując nagle cały rezon. – Tobie tylko jedno w głowie! A może ja powinienem zacząć swatać ciebie? Pewnie znalazłby się jakiś dżentelmen, który dałby się omamić twoim oczom – rzucił nieopatrznie i momentalnie zawstydził się własnych słów. Wszak nie powinien wspominać o tym w domu Parnickich! Nie wobec wdowy, która wciąż opłakuje utraconego męża. I – na litość boską! – nie w obecności jego siostry, która na dodatek także jest wdową! *Jeszcze Eulalia gotowa pomyśleć, że za*

plecami szwagierki i teściowej Cecylia już się rozgląda za nowym mężem, choć pamięć o Antonim wciąż jeszcze jest świeża w tym domu! Głupiec, głupiec, po trzykroć głupiec!

Na szczęście niezręczna sytuacja rozładowała się sama, bowiem do salonu weszły kolejne dwie osoby: Gertruda i panna Justyna. Mężczyzna kurtuazyjnie przywitał się z nimi, następnie towarzystwo rozsiadło się w pobliżu kominka, gdyż tam było zdecydowanie najcieplej. Oczywiście damy musiały uważać na obfite suknie, by któraś nie zajęła się ogniem. Każda z nich odruchowo sięgnęła po robótkę, wszak nie wypadało siedzieć bezczynnie nawet w obecności gościa.

– Jakież dobre wiatry sprowadzają pana w tę paskudną pogodę? – zagadnęła Gertruda, niczym perfekcyjne echo swej synowej, wprawiając go w krótkotrwałe zdumienie, gdyż w rzeczy samej rzadko pierwsza rozpoczynała pogawędki i wciąż utrzymywała w stosunku do niego dystans, choć nigdy nie była nieuprzejma. – Przywiózł nam pan w końcu pomyślne wieści?

– Niestety, *madame*, nic nowego. W Krakowie wciąż słychać tylko o aresztowaniach i represjach, końca nie widać.

– Pan się nie boi aresztowania? – zapytała Ostrowska.

– Owszem, czuję obawy, choć byłem tylko emisariuszem i kwestarzem. Ale oczywiście istnieje ryzyko, ponieważ zawsze może mnie wydać ktoś z zatrzymanych.

– Nie myślał pan zatem o emigracji? – drążyła nestorka.

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy, a następnie wyjaśnił:

– Być może tak byłoby bezpieczniej, lecz nie chcę opuszczać kraju. Trzyma mnie tutaj wiele spraw, nie tylko interesy, ale również myśl o rodzinie.

Eulalia opuściła wzrok na robótkę.

Pewnie będzie się żenił – westchnęła. Sama nie pojmowała, czemu tak jej to nie daje spokoju. Kiedyś, gdy była jeszcze panienką, bardzo jej się podobał. Uosabiał męski urok – zawsze elegancki i dobrze ubrany nie

wyglądał na kupca. Jego maniery też pozostawały bez zarzutu. Być może gdyby okazał jej odrobinę zainteresowania, straciłaby dla niego serce i głowę. Zapewne papa i Antoś pozwoliliby jej na ten mariaż, skoro brat ożenił się z jego siostrą. Wszak nazwisko „Zaleski" brzmiało całkiem przyjemnie. Może byłaby przy nim mniej znudzona niż u boku Jana? Podróżowałaby z nim po Europie, miałaby w garderobie wszystkie nowinki z paryskich magazynów i mieszkałaby w dużym mieście, a nie na nudnej prowincji woniejącej naftaliną unoszącą się znad starych, spłowiałych koronek, które pieczołowicie przerabiały zagrodowe szlachcianki, by choć trochę nadążyć za modą. No i wreszcie może nie spoglądałby na nią maślanymi oczami, nie schodziłby jej z drogi, gdy popadała w zły humor, nie traktowałby jej jak laleczki z saskiej porcelany – tak kruchej, że strach jej było dotykać.

Może jemu urodziłaby dziecko?

Matko! O czym ja myślę? – skarciła samą siebie w duchu.

Tymczasem Gustaw wyjawił cel swej wizyty.

– Tym razem, szanowna pani, wpadłem tutaj po moją siostrę oraz po Filomenę. Chcę je uprowadzić na święta do Krakowa. Ostatnio tak rzadko u nas goszczą, że stęsknieni rodzice kazali mi po nie przyjechać.

– Och… – Gertruda szczerze się zmartwiła. – Chce nas pan pozbawić ich pokrzepiającego towarzystwa?

Niedawno uświadomiła sobie, że jej dom funkcjonuje wyłącznie dzięki staraniom Cecylii. To synowa miała największy posłuch wśród służby, przyjmowała wizyty plenipotentów, zarządzała finansami rodziny. Gdy wyjeżdżała, choćby na krótko, pokojówki stawały się opieszałe, kucharka spóźniała się z posiłkami i wszystko zaczynało podupadać. Tak wyglądała jedna strona medalu. Drugą była niezwykła siła, z jaką synowa szła przez życie. Choć szczerze i rozpaczliwie opłakiwała zmarłego męża, nie pogrążyła się w żałobnym marazmie. Dbała o to, by dworek jakoś funkcjonował, pocieszała Eulalię, podtrzymywała na duchu Gertrudę. Troszczyła się o ich wygody, zapewniała im komfort ciszy, nie dopuszczała, by ktokolwiek nękał je

w tych trudnych czasach jakimiś przyziemnymi sprawami. Pozwoliła im na godne przeżywanie żałoby. Zachowywała spokój, opanowanie, rozsądek. Można było w pełni polegać na jej słowach i opiniach. I jak nikt potrafiła swą czułością załagodzić ból. Stanowiła dla Gertrudy zdecydowanie większą podporę niż pogrążona w głębokim smutku Eulalia czy z rzadka przyjeżdżająca Amelia.

Ostatnio Gertrudę nachodziły przerażające myśli o tym, że Cecylia może zechcieć ponownie wyjść za mąż. Liczyła czterdzieści trzy lata, majętne wdowy w jej wieku miały spore szanse na to, by się z kimś związać. Życie nie znosiło próżni. Mało było wdowców poszukujących matek dla swej dziatwy? Albo potrzebujących podreperować upadające majątki?

Byłabym doprawdy w trudnej sytuacji – stwierdziła, bowiem formalnie to Cecylia była teraz właścicielką rodzinnych dóbr. Należało więc zabiegać o przychylność synowej i ugiąć nieco karku przed parweniuszami. *Ach! Co za upadek! Być zależną od widzimisię kupcówny*! – jęczała w duchu Gertruda. Nie mogła dopuścić, by skądinąd dość atrakcyjna wdówka wyprawiła się na karnawał do miasta. Tam na pewno osaczyłoby ją grono potencjalnych absztyfikantów łasych na resztki majątku ziemskiego oraz na udziały w spółce. Parniccy od dawna żyli na tyle godnie i dostatnio, że Cecylia nie wyrażała zgody, by na bieżące potrzeby Maksymiliana ruszać niewielki kapitał, jaki był odkładany z przychodów uzyskanych z gruntów pozostawionych przez Żelechowskich, lecz sama zapewniała chłopakowi utrzymanie i wykształcenie, traktując go niczym rodzonego syna.

– Ależ *madame*! – zaprotestował mężczyzna. – Nie zamierzam na zawsze pozbawiać pani towarzystwa mojej drogiej siostrzyczki. Po prostu pragnę ucieszyć jej wizytą tęskniących rodziców. Przywiozę Cecylię po karnawale. Myślę, że pobyt w mieście dobrze zrobi i jej, i Filomenie.

– Ale to będzie oznaczało, że w czasie świąt nie zobaczę również naszych chłopców – westchnęła ciężko matrona. – A przecież odkąd

pobierają nauki w Krakowie, bywają w domu bardzo rzadko. Dam głowę, że obydwaj często goszczą u państwa Zaleskich, bo doskonale wiemy, że są nierozłączni niczym bracia. Panie Gustawie… no niechże nam pan tego nie robi! Tak być nie może! Czy nie lepiej byłoby, gdyby przywiózł pan swoich rodziców tutaj? Chętnie was ugościmy i przetrzymamy tak długo, jak długo zechcą państwo z nami zostać! Cecylko! – zwróciła się błagalnie do synowej, szukając w niej sojuszniczki. – Co ty na to, kochana? Przecież miejsca nam nie zabraknie, choć przyjedzie Amelia z mężem i dziećmi!

– Och… – Kobieta wyraźnie się zmartwiła.

Pragnęła spędzić święta z rodzicami, lecz po żarliwej prośbie teściowej ogarnęły ją wątpliwości, czy powinna wyjeżdżać do Krakowa. Wiedziała, że jest potrzebna tutaj, ponieważ pod jej nieobecność dwór kiepsko funkcjonuje. Ale – do krocset! – nie mogła rezygnować z jedynej przyjemności, by zapewnić wygodę Gertrudzie, Eulalii, Justynie i spodziewanym gościom.

– Cecylko, panie Gustawie… no, zgódźcie się, tak was proszę! – nalegała starsza Parnicka, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. – Z prawdziwą przyjemnością podejmę waszych rodziców. Wcześniej jakoś tak się nie składało, czego bardzo żałuję.

Do diaska! – pomyślał Zaleski. – *Może faktycznie powinniśmy na to przystać? Wszak Parnicka nigdy nie czyniła nam wstrętów. A że do tej pory nie zapraszała? Równie dobrze mama i papa mogli zaprosić do siebie całą familię, a nie tylko Cecylię i Antoniego, gdy ten jeszcze żył.*

– Dobrze, *madame*. Przekażę rodzicom zaproszenie. Nie chciałbym składać deklaracji w ich imieniu, lecz żywię nadzieję, że wspólnie spędzimy święta – odparł powściągliwie.

***

Wicher wył za oknami niczym diabeł spuszczony z postronka. O szyby stukały zmrożone śnieżne krupy. Pogoda zdecydowanie zniechęcała do

wychodzenia z domu. Trzosowie siedzieli więc w salonie, grzejąc się od ognia buzującego na kominku. Otulona pledem Maria drzemała, lekko pochrapując. Bernadeta spoglądała na świekrę ze smutkiem, gdyż staruszka marniała w oczach. Czy tak bardzo przejmowała się brakiem wieści o najstarszym wnuku? A może swoje robił wiek? Wszak liczyła już siedemdziesiąt sześć lat. Przeżyła męża, trzy swoje córki oraz wnuczkę. Widziała powstania, rabację, cholerę, tyfus i śmiertelne żniwa, które za sobą niosły. Miała prawo do zmęczenia, gdyż większość życia upływała jej na znojnej pracy, choć w domu zawsze była służba, która mogła wyręczać ją w najbardziej przykrych obowiązkach, a odkąd Prokop doglądał ziem Żelechowskich i Parnickich, wiodło im się na tyle dobrze, że właściwie wcale nie musiała się trudzić. Ona jednak uporczywie twierdziła, że męczy ją nuda i wciąż potrzebuje ruchu. Kiedy więc nie spała, starała się być potrzebna, chociaż dłonie, obolałe od reumatyzmu, straciły dawną sprawność i nawet przędzenie sprawiało teraz Marii trudność.

Bernadeta robiła szydełkiem szal. To ją uspokajało. Skupiona na systematycznie powielanym wzorze nie odczuwała nerwowej gorączki, która udzielała jej się w innych momentach. Wciąż bowiem dygotała ze strachu o los najstarszego syna. Wszak wiedziała już, czym jest ból po utracie kochanego dziecięcia, nie chciała myśleć o pochowaniu pierworodnego, nawet jeśli przysparzał jej znacznie więcej trosk niż pozostała dwójka.

Objęła czułym spojrzeniem córeczkę siedzącą obok i mozolącą się z mereżkowaniem, które wciąż ją irytowało, ponieważ drobne dziurki wychodziły koślawo: to były zbyt duże, to za maleńkie.

Westchnęła nieznacznie.

Potem zerknęła na syna pogrążonego w lekturze. On i Prokop siedzieli przy stole, ponieważ tam mieli najwidniej. Zawieszona nad blatem lampa naftowa dawała zdecydowanie więcej światła niż świece łojowe i woskowe, którymi do niedawna posługiwano się w domu.

Łojówka przyświecała do pracy Betce i Weronice, gdyż one wykonywały swe zajęcia bardziej na wyczucie.

Mąż jak zwykle pochylony był nad rachunkami. On, podobnie jak Maria, nie lubił próżnować. Dawniej pewnie wyszedłby do karczmy, nie bacząc na wstrętną aurę, lecz od jakiegoś czasu znacznie rzadziej zaglądał do Mojsiejowicza. Kiedyś, zagadnięty o to przez żonę, bąknął, że surdut zwiększył dystans pomiędzy nim a okolicznymi kmieciami. Nawet Zalipiakowie zaczynali zachowywać w stosunku do niego rezerwę. Coraz mniej był „swój", coraz bardziej „obcy" – przynajmniej na miejscu. W Niepołomicach prędzej znajdował towarzystwo do szklanki i pogwary. Tam więcej było zamożnych mieszczan i Żydów, którzy traktowali go bardziej swojsko, podobnie jak drobni zagrodowi szlachcice. Nawet okoliczni krezusi spoglądali na niego łaskawym okiem. Rosnący w zamożność gospodarz, który równał się stanem posiadania z ziemianami, był pożądanym kompanem – nigdy nie było wiadomo, kiedy któryś z nich będzie potrzebował ubić interes z Trzosem. Na salony wciąż go nie zapraszano, choć bywał w dostatnich dworach, gdzie z reguły przyjmowano go w kantorkach lub gabinetach. Wciąż był zbyt mało światowy i elegancki, by afiszowały się taką znajomością wyższe sfery, znaczył jednak w gminie zbyt dużo, by można było sobie pozwolić na luksus udawania, że nie istnieje. Zwłaszcza po tym, jak kilkakrotnie wsparł hojnymi datkami czy to kościół, czy szkołę. Dla lokalnej społeczności jego gesty miały znaczącą wartość.

– Ech... – westchnęła cichutko Bernadeta, nie chcąc zbudzić teściowej. – Gdzież przepadł nasz Wojtuś na ten parszywy czas? Wróciłby do domu jak inni. Powstanie dawno upadło, a jego jak nie było, tak nie ma. Przecież gdyby spotkało go coś złego, ktoś dałby nam znać do tej pory.

– Musimy być dobrej myśli – odparł mąż. – Wierzę, że wróci. Zapewne dotarł gdzieś daleko, bo powstańcy bili się nie tylko

w najbliższej nam Małopolsce, ale i na Wołyniu, i pod Kielcami, i na Litwie…

– A jakież licho poniosłoby go na Litwę czy Wołyń?

– Nigdy nic nie wiadomo. Po tym, jak w okolicy Pobiednika rozgromili naszych, mógł trafić w absolutnie każde miejsce. Może tułał się w poszukiwaniu oddziału tak długo, że powędrował w siną dal?

– Obyś miał rację. A co słychać u pani Cecylii? – zmieniła temat.

– Odnoszę wrażenie, że ochłonęła po śmierci Antoniego. Jest bardzo silna. Zanim została wdową, miałem o niej inne wyobrażenia. Niewiele rozmawialiśmy, wydawała mi się płocha i próżna jak większość dam, skupiona wyłącznie na dyrdymałach. Zresztą świętej pamięci nieboszczyk sam musiał mieć o żonie podobną opinię, bo choć nigdy nie powiedział tego wprost, czasami odnosiłem wrażenie, że uważa ją za istotę mało rozumną i potrzebującą opieki. Tymczasem po wyjeździe Antoniego na wojaczkę, gdy sama musiała zająć się wieloma sprawami, odkryłem, że jest bardzo mądra i stanowi oparcie dla innych. Pani Gertruda nie poradziłaby sobie z kwestiami majątkowymi, panienka Eulalia tym bardziej.

– Przykry wdowi los – dobiegł ich zachrypnięty głos Marii.

– Nie śpisz? – zdziwiła się sneszka. – Obudziliśmy cię niechcący, a ty pewnie chciałabyś jeszcze się zdrzemnąć…

– Nie, Betko, nie frasuj się. Nie wyście mnie obudzili, ale Wojtuś.

– Wojtuś? – powtórzyła za nią przestraszona synowa. *Czyżby matulę nawiedził w snach duch chłopaka?* – pomyślała, bojąc się powtórzyć pytanie na głos.

– A Wojtuś. Powiedział mi, że wraca. Powinien być lada moment.

Synowa spoglądała na nią z rosnącym przerażeniem.

Szaleństwo? Nadciągająca śmierć?

Przecież żywy człowiek nie mógł przepowiedzieć niczego w cudzym śnie.

– Da Bóg – powiedział ze stoickim spokojem Prokop – to chłopak wróci.

Przez chwilę w salonie panowała cisza, jeśli nie liczyć trzaskających w kominku drew oraz uderzających o okno śnieżnych krup, miotanych przez podmuchy rozwścieczonego wiatru. Nagle mężczyzna wytężył słuch, ponieważ zdało mu się, że słyszy wśród zawiei tętent. W przeciwieństwie do ziemiaństwa z dziada pradziada, Trzosowie nie zatrudniali zbyt dużo służby w dworku, wychodząc z założenia, że można się obyć bez wielu kosztownych zbytków, wszak ważniejsze było budowanie podwalin pod potęgę przyszłych pokoleń. Kiedy więc ktoś donośnie załomotał w zaryglowane drzwi, to Gienka wybiegła z kuchni, by je otworzyć. A potem dał się słyszeć donośny pisk, który zelektryzował i postawił na nogi domowników.

– Weroniczko, zostań tutaj! – rozkazała Betka, łapiąc córkę za łokieć, bowiem jak jeden mąż rzucili się ku przestronnej sieni, by zobaczyć, kto niepokoi ich w zimowy wieczór.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – trajkotała tymczasem służka, witając niespodziewanego przybysza. – Pani Bernadeto, panie Prokopie! Panicz wrócił!

– Wojciech? – wykrzyknął Prokop, stając w progu salonu.

– Wojtuś! – ucieszyła się Maria, drepcząca za nim.

– Synku! Jesteś! – Bernadeta przecisnęła się obok osłupiałego męża i porwała pierworodnego w ramiona. Ściskała go ze wszystkich sił, to znowu odsuwała na odległość rąk, by przypatrzyć się jego pogodnej twarzy. Nie widziała syna przez ostatnie półtora roku, a wieści od niego urwały się krótko po tym, jak odjechał. – Cały jesteś? Zdrowy? – dopytywała tak samo jak wtedy, gdy zajrzał z krótką wizytą. – Ależ ty zmężniałeś!

Przyglądała się jego dość równo przyciętej brodzie i wąsom. Zarost miał na szczęście po ojcu – jasny, lecz nie rudy. Wyglądał więc dobrze.

Poprowadzili chłopaka do salonu. Gienia zaraz zakrzątnęła się, by nakarmić go jakimiś frykasami, choć nie wyglądał na zagłodzonego.

– Gdzieżeś bywał, synu? – zapytał Prokop. – Toć my wszyscy od zmysłów odchodzimy, wyglądając jakichś nowin o tobie! Matka z babką miejsca sobie nie mogły znaleźć, odkąd żeś wyjechał. No… opowiadaj. Co się z tobą działo?

– Ano tułaliśmy się tu i ówdzie z Mietkiem, aż trafiliśmy pod rozkazy generała Hauke-Bosaka[2]. On prowadził kampanię na Kielecczyźnie. Biliśmy się w zimie pod Opatowem, Mierzwinem i w innych miejscach. Mietek dostał kulkę pod Iłżą, ale szybko się wylizał. Potem kręciliśmy się trochę po świecie, uciekając przed Moskalami, aż wróciliśmy tutaj – rzucił ogólnikowo. Później zaczął opowiadać o szczegółach bitewnych, tak lawirując, by nie ujawniać przed rodziną, gdzie spędził ostatnie miesiące.

– Czemu nie dałeś choćby maleńkiego znaku życia? – łajała go matka łagodnym tonem. – Umieraliśmy ze strachu o ciebie. Nikt ze znajomych, którzy wrócili z wojaczki, nie potrafił nic na twój temat powiedzieć.

– Ano bo odłączyliśmy się na dobre od tutejszych. Nie chcieliśmy wciąż kryć się w puszczy, lecz walczyć. Nie pisałem, by nie ściągać wam na głowę kłopotów. Wiadomo, czy list nie wpadłby w niepowołane ręce? Słyszałem, że wiele rodzin potraciło majątki, jeśli nie całe, to w znacznej części. Na Sybir też mi się nie pali, wolałem więc przeczekać w jakiejś dziurze.

– Ale teraz to już chyba zostaniesz na dobre? – zapytała z nadzieją Bernadeta.

Chłopak zaprzeczył gestem.

– Nie mogę was narażać. Jeszcze zbyt wcześnie na mój powrót do domu.

– Ależ nie! Zostań! Przecież mówiłam, że nikt o ciebie nie wypytywał pod twoją nieobecność. Nic ci nie grozi – zapewniła szybko matka. – Gdzie chcesz się tułać na taki ziąb?

– Nie martw się o mnie, mamo. Ja i moi kompani jesteśmy całkowicie bezpieczni. Jak widzisz, nie chodzę głodny ani brudny – oznajmił.

W rzeczy samej wyglądał dobrze, choć jego ubranie nie było pierwszej świeżości. Włosy też miał zdecydowanie zbyt długie, dla wygody wiązał je na karku w kitkę.

– Zostań w domu. – Prokop z miejsca poparł ślubną. – Jesteś mi tutaj potrzebny. Nasze gospodarstwo szybko się rozwija, uprawiam coraz większy areał. Niewiele prac wykonujemy samodzielnie, bardziej muszę polegać na najemnych robotnikach. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz trzymałem w dłoniach kosę lub cep. To już nie jest ta sama robota co przed laty. Teraz więcej trzeba pracować umysłem niż własnymi rękami. Do tego doszła dzierżawa ziemi Parnickich, ledwo daję radę. Najwyższa pora, abyś zaczął się przyuczać do zarządzania ojcowizną, bo przecież kiedyś to wszystko będzie twoje. Zygmunta chcę wykierować na urzędnika. Chłopak lubi się uczyć, może daleko zajść.

Wojciech zwiesił ramiona. Czyli nic się nie zmieniło. Ojciec wciąż widział go w przyszłości jako rolnika, a on nie chciał dla siebie takiego życia! Nawet pan Parnicki nie wytrzymał tej nudy i mimo wieku wyruszył na wojnę z Moskalem. Nie porzuciłby wygód, eleganckiej żony oraz dzieci dla tułaczki i niedogodności, gdyby nie odczuwał znużenia tym wszystkim!

– Marzę o pracy na kolei – odparł. Liczył na to, że stęskniona matka będzie chciała zatrzymać go w domu za wszelką cenę i przekona ojca, by wyraził zgodę na tę wizję przyszłości pierworodnego.

– Och! – żachnął się Prokop. – A ty znowu swoje! Rozmawialiśmy już niejeden raz na ten temat. To się po prostu nie godzi! Ty kolejarzem? Wałęsający się od miasta do miasta, śmierdzący węglem, wciąż w drodze, błąkający się jak jakiś włóczykij?

– I kolejarze mają swoje domy – odburknął.

– Nie. Mowy nie ma! Musisz zostać na roli, to zostało postanowione dawno temu.

– Postanowienia można zmienić! A co byście zrobili, gdybym zginął w powstaniu? Albo jakby mnie zesłali wraz z innymi na Sybir?

– To byłaby zupełnie inna sytuacja – odparł Prokop – bo ojczyzna ma pierwszeństwo przed prywatą. Ale ocalałeś, więc teraz, jak przystało na mężczyznę, powinieneś wziąć odpowiedzialność za przyszłość swoją i naszej rodziny. – Jego ton pozbawił chłopaka wszelkich złudzeń.

– Jestem dorosły. Sam mogę o sobie decydować. Ojcze… nie rozstawajmy się w waśni – powiedział, wstając. Już szukał wzrokiem baranicy i zapinał czamarę, którą rozluźnił, gdy ogrzał się żarem bijącym od ognia.

– Wojtuś, nie! – wykrzyknęła zdruzgotana Bernadeta, próbując zastąpić mu drogę. Nie mogła podejść zbyt blisko, ponieważ chłopak stał przy kominku, a jej mogłaby się zająć obfita suknia rozpostarta na krynolinie. Aspirująca dama wciąż musiała pamiętać o takich drobiazgach, jeśli nie chciała spowodować nieszczęścia.

Prosili go, zaklinali na wszelkie świętości. Babcia wylewała łzy, podobnie jak Weronika. Błagali, by został w domu na Boże Narodzenie, licząc, że w tym czasie chłopak zmieni zdanie. Na nic się to wszystko zdało. W końcu, po wymianie naprawdę ostrych słów z ojcem, Wojciech nacisnął czapkę na głowę i opuścił dom. Odszedł pieszo, konia zostawił uwiązanego przy płotku.

– Ach! Co myśmy narobili, Prokopie! – Bernadeta załamała ręce. – Trzeba było mu jednak pozwolić, by został kolejarzem!

– Oszalałaś? Nie po to go posyłałem do szkół i chowałem na panicza, by pałętał się po świecie. Jego miejsce jest tutaj. – Huknął pięścią w stół. – Ot, smarkacz! Przygód mu się zachciewa! Niech idzie! Jeszcze wróci, jak mu się bieda dobierze do tyłka! – podsumował z goryczą.

Rok 1865

Przez cały okres świąteczny Gustaw szukał towarzystwa Eulalii. Starał się to robić nienachalnie, nie chciał, by wdowa pomyślała, że próbuje jej się narzucać. Przebywanie w jej bliskości sprawiało mu masochistyczną przyjemność. Niby odgadywał, że kobieta wciąż tęskni za zabitym mężem, lecz sama możliwość spoglądania na nią była miła jego sercu.

Właściwie nigdy nie wyleczył się z zadurzenia w Eulalii, choć dzieliło ich zdecydowanie zbyt wiele, by mógł o niej marzyć. Nie śmiał więc wypowiedzieć do niej choćby jednego słowa, które mogłoby świadczyć o jego zainteresowaniu. Szkoda byłoby psuć pobyt u Parnickich jakimiś głupstwami, zwłaszcza że spędzali tam czas bardzo przyjemnie. Amelia, jej mąż oraz dorastające dzieci wnieśli do domu powiew świeżości, podobnie nastroje poprawiła wizyta dwóch studentów. Z uwagi na gości nawet jedenastoletniej Filomenie pozwolono więcej przebywać z dorosłymi, a mniej z guwernantką. W domu zapanowała dość radosna atmosfera, na moment zapomniano o żałobie, mimo że trzy stałe mieszkanki dworu i rezydentka nie zrzuciły czerni oraz prostej, patriotycznej biżuterii wykonanej ze srebra. Dwaj osiemnastoletni kawalerowie oraz mąż Amelii, Wiktor, stanowili nie najgorsze towarzystwo dla Gustawa i jego ojca, choć oczywiście w domu, gdzie prym wiodły kobiety, trudno było o sensowne męskie rozrywki, jak chociażby polowanie.

Tak czy owak czas upływał prędko i dość przyjemnie. Zalescy ani się nie obejrzeli, gdy minął Nowy Rok i nadeszła pora, by myśleć o powrocie do miasta. To miał być ostatni ich dzień w dworku Parnickich. Nazajutrz zaraz z rana wybierali się w drogę powrotną.

Gustaw postanowił, że po śniadaniu jak zwykle uda się na krótki spacer. Robił to każdego dnia, przechadzki zastępowały mu wyjścia do biura i spotkania z interesantami. W mieście o tej porze zazwyczaj pochłaniała go praca.

Pogoda była wyborna: trzymał lekki mrozik, słońce przeświecało nieśmiało zza chmur, nie oślepiając jednak swym blaskiem. Ogród, przykryty pierzynką białego puchu, wyglądał tajemniczo i romantycznie. W nocy musiały być niewielkie opady, ponieważ większość wydeptanych wcześniej śladów została przyprószona. Dostrzegł jednak odciski zrobione niewielkimi trzewikami na obcasie, wskazujące na to, że niedawno przechodziła tędy jakaś dama. Mężczyzna postanowił zabawić się w tropiciela i ruszył tym samym szlakiem, wypatrując w miękkim puchu dalszego kierunku wędrówki. Celowo nie podnosił wzroku, nie szukał pomiędzy drzewami i krzewami kobiecej sylwetki, by się nie rozczarować. Marzyło mu się bowiem, że spotka Eulalię sam na sam – po raz pierwszy, odkąd tutaj przyjechał. Nie będzie skrępowany obecnością jej krewnych bądź służby, a wtedy może zdobędzie się na to, by choć chwilę dłużej potrzymać jej dłoń.

***

Eulalia wiedziała o porannych spacerach Gustawa. Od kilku dni szukała w sobie odwagi, by wyjść do ogrodu i zaaranżować niby przypadkowe spotkanie. W domu nigdy nie było okazji do swobodniejszej pogawędki, wciąż ktoś im towarzyszył. Z rozmów prowadzonych w salonie czy jadalni wywnioskowała, że młodszy pan Zaleski nie jest zainteresowany żadną damą, co kilka razy żartobliwie wytknęła mu siostra. Barbara Zaleska, matka mężczyzny, była znacznie powściągliwsza w tej kwestii. Nie komentowała stanu cywilnego swych dzieci w obecności ludzi, z którymi tak mało miewała do tej pory do czynienia. Tych kilka uwag rzuconych przez Cecylię, która wprost uwielbiała przekomarzać się z bratem, rozbudziło jednak nadzieję Ostrowskiej.

Może gdybym trochę go ośmieliła, ale tak, by nie wydać mu się nachalną… Może zwróciłby na mnie uwagę? Może Gustaw uważa, że dzieli nas przepaść, bo ja jestem szlachcianką, a on… No cóż… kupiec! Ale czy to ma jeszcze jakiekolwiek znaczenie?

Spacerowała po parku, rozmyślając o tym wszystkim, gdy nagle zmroziła ją myśl, że przecież mężczyźni żenią się po to, by mieć potomków – spadkobierców, kontynuatorów nazwiska, kogoś, komu mogą przekazać całe rodowe dziedzictwo. A ona nigdy nie była nawet brzemienna. To wystarczyło, by zniechęcić ją do podejmowania jakichkolwiek działań. Czuła się całkowicie bezwartościowa, a jedyna wizja przyszłości, jaką przed sobą miała, to dola rezydentki mieszkającej kątem w cudzym domu. Już do końca życia pozostanie kimś niewiele różniącym się od panny Kownackiej.

Zawróciła i szybkim krokiem ruszyła w stronę dworu, trochę na oślep, ponieważ oczy momentalnie wypełniły jej się łzami. Zrobiła to z takim impetem, że nagle zderzyła się z idącym z naprzeciwka Zaleskim.

– Najmocniej przepraszam! – wykrzyknął mężczyzna, łapiąc ją za ramiona, bowiem siła ich zetknięcia była tak duża, że kobieta byłaby upadła. Dopiero teraz podniósł wzrok na osobę, z którą się zderzył. Nie miał pewności, czy śni na jawie, czy rzeczywiście to ona stoi przed nim. – Pani Eulalia? Nic się pani nie stało? Jeszcze raz przepraszam, byłem tak zamyślony, że wędrowałem, nie patrząc przed siebie. Och… Pani płacze? – zmartwił się, dostrzegając pod żałobną woalką spływającą z niewielkiego cylinderka jej zroszone łzami policzki. Upewniwszy się, że Ostrowska stoi o własnych siłach i nie grozi jej przewrócenie się w śnieg, zabrał natychmiast dłonie.

– Pan Zaleski… Dzień dobry. To nie pańska wina, byłam zapewne równie zadumana – odparła szybko, ocierając twarz fikuśną chusteczką zdobną w koronki.

– Ale te łzy… – zająknął się zdezorientowany Gustaw. I już nie wiedział, czy chodzi o ból, który niechcący mógł jej sprawić, czy o wdowią rozpacz.

– Ach… To nic takiego. Głupstwo. Fraszka – odparła, siląc się na lekki ton. Przecież nie mogła powiedzieć temu człowiekowi, że właściwie on

był powodem jej smutku. Pomyślałby pewnie, że wyrządził jej krzywdę swą nieuwagą.

– Fraszka? – powtórzył. – Szkoda wypłakiwać takie śliczne oczęta na fraszki. Aż się serce kraje, gdy widzę smutek na pani twarzy. Pięknym damom zmartwienia powinny być obce.

– Jaki pan miły. – Zerknęła na niego z sympatią, ponieważ jego słowa zabrzmiały szczerze, a nie jak przywoływane na zamówienie salonowe formułki. Zdążyła poznać Gustawa na tyle, by orientować się, że daleki jest od głoszenia nieszczerych komplementów.

– Zatem mogę liczyć na to, że choć jeden uśmiech rozjaśni mi świat?

– Mój uśmiech? – zagadnęła z delikatną kokieterią.

Zaleski rozejrzał się wokół, a potem spojrzał wymownie na Eulalię.

– A widzi pani kogoś jeszcze prócz nas? Nikt więcej tu nie spaceruje, ptaki gdzieś odfrunęły, nawet wiewiórki pochowały się w dziuplach.

Rozbawił ją, więc rozciągnęła usta w szerokim, szczerym uśmiechu.

– Od razu lepiej – zauważył. – Pani się jeszcze przechadza czy wraca do dworu?

– Chyba jeszcze pospaceruję – odparła z lekkim wahaniem w głosie. W głębi duszy żywiła nadzieję, że Gustaw zechce jej towarzyszyć.

– Pani pozwoli? – zapytał, wyciągając ku niej ramię. – No chyba że szuka pani wyciszenia.

– Ależ nie! Jeśli będzie pan tak uprzejmy, to możemy pójść razem. Wystarczy na dziś samotności.

Żałoby też już by wystarczyło, wszak była wdową od ponad półtora roku. Chętnie zdjęłaby ją na korzyść barwniejszych strojów, lecz w ryzach trzymała ją surowość matki. Gertruda wciąż była niepogodzona z losem i to ona narzucała córce oraz synowej konieczność noszenia czerni. Może nieco jaśniejsze suknie pozwoliłyby na większą swobodę w zachowaniu? Przecież te wdowie szaty musiały odstraszać dżentelmenów, którzy mogliby być zainteresowani czymś więcej niż tylko wymianą grzecznościowych uwag z odpowiednim

zachowaniem powagi. Czasami Eulalii przychodziło na myśl, że tak naprawdę nie chodzi o nieustające opłakiwanie poległych mężczyzn, ale wyłącznie o noszenie sukien, w których zarówno ona, jak i Cecylia wyglądały niczym posępne wrony, zrażające potencjalnych absztyfikantów.

A może mama wymusza na nas kontynuowanie żałoby, właśnie po to, by zatrzymać przy sobie Cecylię? – olśniło ją nagle. Wszak w przypadku ponownego zamążpójścia bratowej obydwie: i Eulalia, i Gertruda znalazłyby się w takiej samej, niezbyt komfortowej sytuacji. Żadna nie chciała być rezydentką, lecz dla leciwej matki nie było przed tym drogi ucieczki.

Nie do końca świadomie zachichotała na myśl o swym odkryciu.

– Co panią tak bawi? – zagadnął Zaleski, który w gruncie rzeczy był zadowolony, że ponury nastrój towarzyszącej mu damy prysł niczym bańka mydlana.

– Ach, panie Gustawie! Zdradziłabym panu, pod warunkiem że nie oceni mnie pan nazbyt surowo.

– Gdzieżbym śmiał panią potępić? Proszę mówić!

– Przed chwilą odkryłam, że trzeba cieszyć się życiem. Mimo wszystko. I, niech pan nie traktuje tego jak wynurzenia kobiety występnej, ale chyba czas na to, by zdjąć żałobny kir z kapelusza.

– Ależ pani Eulalio! To najwyższa pora, by dopuścić do głosu choćby odrobinę hedonizmu. Nie można w nieskończoność opłakiwać tego, co przeminęło.

Czy nie zagalopowałem się aby? – pomyślał, marszcząc brwi.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, kobieta uniosła krawędź woalki, a potem odrzuciła ją za siebie. Bez ciemnego welonu widać było zarumienione policzki i oczy figlarki, którą uwięziły konwenanse.

Spojrzał na nią z zachwytem, teraz prezentowała się zupełnie inaczej niż w obecności krewnych. W końcu miał przed sobą istotę z krwi i kości, a nie posępnego ducha snującego się z miejsca na miejsce.

– Wygląda pani oszałamiająco. Jestem przekonany, że niejeden dżentelmen stęsknił się za pani obecnością na salonach.

– Dziękuję. Jak dobrze, że pan mnie nie gani.

– Za co? Za żywotność? Miałbym pogrzebać panią za życia? Nie, Eulalio, nie mógłbym. Jakoś lżej mi będzie na duszy, gdy wrócę do Krakowa, mając w pamięci widok pięknych, roziskrzonych oczu. Wiele bym dał, by cieszyć się nim jak najczęściej.

– Co panu stoi na przeszkodzie? Przecież nasz dom otwarty jest dla gości. Pan zawsze był mile widziany w tych progach. Cecylia tak się raduje każdą pańską wizytą. A i mnie w ostatnich dniach było jakoś tak raźniej… – dodała nieco onieśmielona.

Oby nie uznał, że go kokietuję! – przemknęło jej przez głowę.

Czy to kokieteria? – próbował odgadnąć. Potem się zatrzymał i ujął kobietę za ręce.

– Chciałbym wierzyć, że choć po części przysłużyłem się poprawie pani nastroju – powiedział.

Nie miała odwagi, by wprost przytaknąć. Kiedyś zapewne powiedziałaby coś na ten temat, delikatnie próbując sprowokować mężczyznę do dalszych komplementów bądź postawienia kolejnych pytań. Teraz paraliżowała ją myśl, że być może to tylko niezobowiązująca grzeczność z jego strony.

– Panie Gustawie – szepnęła, delikatnie zaciskając palce na jego dłoniach.

– Coraz bardziej żałuję, że jutro muszę wracać do domu.

– Proszę zatem zostać. Cecylia…

– A do krocset z Cecylią! – żachnął się nagle. Niespodziewanie porwał ją w ramiona. – Zostałbym tutaj wyłącznie dla pani modrych oczu, dla różanych policzków i włosów mieniących się złotem.

Pochylał twarz tak blisko, że czuła powiew jego oddechu. Serce łomotało jej niespokojnie, gdy słuchała żarliwych słów Gustawa.

– A gdybym to ja poprosiła, aby pan został?

– Byłbym nad wyraz szczęśliwy. Cóż, gdy najpilniejsze obowiązki wzywają. Ale gdyby pozwoliła mi pani tutaj niebawem powrócić…

– Wróć…

Nie dał jej dokończyć. Zamknął usta Eulalii w namiętnym pocałunku. Pragnął tą pieszczotą wyrazić targające nim uczucia, by nie pozostawić Ostrowskiej choćby cienia wątpliwości.

– Wrócę – odparł po chwili stanowczym tonem – jako starający się o pani rękę.

Czuł, że te słowa były istotne w tym momencie. By Eulalia nie pomyślała, że zamierza uczynić z niej swą kokotkę albo że jest dla niego kaprysem jednej chwili.

Zaskoczył ją tembr jego głosu. Gustaw nieoczekiwanie zrzucił maskę onieśmielonego mężczyzny, niepewnego gruntu, po którym stąpa. Miała przed sobą człowieka przepełnionego determinacją. Takiego, który nie ugnie się przed niczym i za nic będzie miał wszelkie konwenanse.

A może popełniam błąd? – pomyślała. – *Czy kupiec w roli męża będzie się zachowywał jak przystaje dżentelmenowi? Czy nie ryzykuję, rozbudzając w nim nadzieję?*

Nie było nad czym dywagować. W wieku trzydziestu ośmiu lat miała mikre szanse na dobre zamążpójście. W jej odczuciu kawaler był lepszym kąskiem niż wdowiec. O ile oczywiście Gustaw dotrzyma słowa.

Wszak nie był szlachcicem.

***

Ludzie tłoczyli się przy stołach w karczmie u Mojsiejowicza, popijając gorzałkę, zakąszając tym, na co kogo było stać, i gwarząc o wieściach gminnych. A było nad czym pochylać głowę, bo wiele się działo, niekoniecznie dobrego.

Esterka, podstarzała córka sędziwego karczmarza, uwijała się pomiędzy gośćmi, roznosząc kolejne flaszki i miski z jadłem.

– Słyszeliśta, chłopy, nowiny? – zagrzmiał Edmund Filuś, podkręcając mocno wyliniałego, siwego wąsa. Przed momentem wszedł do izby, przeciskając się pomiędzy ziomkami. Nawet nie zrzucił szuby, bo jeszcze dygotał z zimna.

– A które? Te o zbójcach, co napadli na Czopów wracających z targu, czy o Trzosach? – zapytał znudzony Bednarek, gdyż o rabusiach z kokotowskiego lasu wciąż było głośno.

– O zbójcach. O Trzosie nic żem nie słyszał – odparł czerwony na gębie chłopina, sięgając po kieliszek wódki.

– Jak o bandziorach, to szkoda zdzierać gardło. Wszyscy już wiedzą, że poturbowali Zdziśka. Widłakowa leczy go jakimiś ziołami, ale w bidoku ledwo się życie telepie. Gadają, że ani chybi wyzionie ducha, bo nie przestaje pluć krwią.

– Oj, szkoda nieboraka – zmartwił się Zalipiak.

– A szkoda, żebyście wiedzieli – przytaknął organista, skrobiąc się zadziwiająco mało spracowaną, jak na rolnika, dłonią po szczecinie obrastającej szczękę. – Ale i Trzosów szkoda, bo to zacni ludzie, choć Prokop od dłuższego czasu omija coś karczmę. Już nie ma kto postawić gorzałki. Człek sam musi wygrzebywać z kieszeni krajcary.

– A co z nim? – zdziwił się Marcin.

Wszystko wskazywało na to, że nikt o niczym nie ma nawet mglistego pojęcia. Bednarek rozparł się wygodniej, wychylił kolejny kieliszek, odczekał chwilę dla większego efektu, a potem oznajmił:

– Austriacy skonfiskowali mu część majątku.

– Ee… Co ty bajesz? – żachnął się któryś z kmieci.

– Jak Boga kocham! – Ambroży huknął się w szeroką pierś, aż zadudniło. – Byłem dzisiaj w Niepołomicach na zamku. Sprawę urzędową załatwiać – wyjaśnił krótko. – No i zasłyszałem w mieście, że

za udział Wojtka w powstaniu Prokopowi zabrali połowę gruntów i jeszcze nałożyli wysoką grzywnę.

W karczmie zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Idźże, idźże, bajoku! – wykpił go kowal. – Wiedziałbym coś na ten temat, bo jestem kumem u Prokopa. Znaczy chrzestnym Wojciecha – uzupełnił, choć chyba wszyscy zgromadzeni wiedzieli, w czym rzecz.

– Kiedy to świeża sprawa! Dopiero co zapadł wyrok! – Bednarek obstawał przy swoim.

Ludzie spojrzeli po sobie. Franek Zalipiak zaklął siarczyście, ponieważ dwaj z jego synów także brali udział w zrywie narodowościowym. Jeden nawet został solidnie ranny, ledwo się biedaczysko wylizał. Od tamtej pory kuśtykał na jedną nogę, bo miał ją sztywną w kolanie.

– To pewne? – Wbił wzrok w organistę.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Ano jakoś na to wpadli, cholerni urzędnicy.

– A może nie za wojaczkę, ale za zbójowanie na gościńcach? – rzucił z przekąsem Filuś. – Ludzie gadają, że paniczyk widywany był pomiędzy bandziorami.

– Co ty opowiadasz? – zaperzył się Marcińczyk, zły o szkalowanie chrześniaka.

– Co wiem, to mówię. Słyszałem, jakoby młody Trzosek przystał do bandy.

– Nie wierzę! Niby czemu miałby to robić? Trzosy bogate, urosły ponad innych kmieci, przejęli ziemiańskie zwyczaje, bo nie noszą się już po chłopsku, a do kościoła przyjeżdżają bryczką. Betka chodzi w jedwabiach i kapeluszu niczym wielka pani, a Prokop w surducie i cylindrze, jakby się urodził we dworze – odezwał się ktoś inny z lekką ironią, bo dobrobyt zarządcy majątku młodego Żelechowskiego kłuł ludzi w oczy od dawna.

– Niech se ta noszą, co chcą. Grunt, że Trzos nas nie ciemięży tak, jak to robił Karłowicz. Jużeście poprzedniego ekonoma zapomnieli? – huknął kowal. – A i na Wojtka nie wygadujcie głupot. Niczego chłopakowi w domu nie brakowało, więc nie uwierzę, że zbratał się z rzezimieszkami.

– Kiedy nie ma go w domu od dawna, choć powstanie upadło…

– Może wyjechał do szkół? – Marcińczyk twardo bronił swego stanowiska. – Prokop zawsze mówił, że jak Bóg da, to będzie kształcić dzieciaki. Stać go!

– Ano stać – przyznał Filuś, spuszczając z tonu.

Jeszcze przez chwilę gwarzyli nad losami Wojtka, który zniknął im z oczu dawno temu. Potem wrócili do tematu konfiskaty mienia. Jak na zawołanie, w karczmie pojawił się Klemens Dyl, komornik Trzosów, więc posadzili go między sobą na ławie, przed nim postawili kieliszek okowity i napoczętą butelkę. Szybko wzięli go w obroty i póty wypytywali, aż wykrztusił:

– Ano zabrali Trzosom znaczną część gruntów. Właśnie za to, że się Wojtkowi zachciało walczyć w powstaniu. Płacz tam teraz jest wielki, bo to i piękne ziemie, i kawał lasu, i podobno niemało gotówki. Przyjdzie im pewnie szukać oszczędności i zmienić zwyczaje, może nawet zakasać rękawy i wrócić do dawnych obowiązków. Ponoć, by zapłacić grzywnę, wzięli pożyczkę u Goldbluma – wymienił nazwisko znanego w gminie lichwiarza.

– U Goldbluma? – jęknął Ambroży. – Toć lepiej se uwiązać postronek na szyi i przerzucić przez siestrzan[3], niż mieć z tym liczykrupą cokolwiek wspólnego. On z nich zedrze ostatnią koszulę!

– Zaraz, zaraz! Skoro Prokop wziął borg[4] na spłatę grzywny, to oznacza, że sprawa wcale nie jest taka świeża – zauważył Filuś.

– Ano nie – odparł Dyl. – Będzie już ze dwie niedziele, jak zapadł wyrok.

– To czegoś nic nie gadał? – zdziwił się Ambroży. – Przychodzisz do karczmy, pijesz z nami gorzałę i ani słowa nie piśniesz?

– Co tu gadać? – Klemens wzruszył ramionami. – Dopiero wczoraj gospodarze nam powiedzieli. Przez ten czas sami się gryźli ze swoją niedolą. Ale wiosna idzie, a z nią roboty przybędzie, więc musieli powiedzieć, że teraz będzie inaczej, bo trzeba im mocno zacisnąć pasa. Dobre z nich ludziska, pozwolili nam zostać w swej starej chałupie, choć mogli nas przegnać, żeby ją spieniężyć.

– Ee tam, kto by to kupił? Komu wystarcza krajcarów, by coś odłożyć? No i co komu po chałupie za wsią?

– Jakby sprzedali z paroma morgami gruntu, to wzięliby trochę talarów. Ale nie chcą wyzbywać się ziemi, a i nam zabierać dachu nad głową. Prokop gadał, że nie będzie najmował tylu parobków co łońskiego[5] roku. No to przybędzie nam roboty – sapnął. – Trzos sam zamierza pójść w pola, gdy przyjdzie na to czas. A ta przybłęda, Gienia, co ją Michał od Bielaka wziął za żonę, już nie będzie ochmistrzynią, ale zwykłą sługą od wszystkiego.

– No i co: tak po prostu się zgodziła? – zdziwił się Marcińczyk.

– A co miała zrobić? Jak się zwlekła, zawszona i brudna, to Bernadeta trzymała ją na łaskawym chlebie. Cholera wtedy szalała, pamiętacie? Strach było gębę otworzyć do obcych, a co dopiero wpuścić taką powsinogę pod swój dach. Prokopowa ją przygarnęła, odkarmiła, dała dach nad głową, łachy na grzbiet i zajęcie. No to ma teraz u niej Gienka ten… no… dług wdzięczności – chrząknął Dyl. A że w gardle mu zaschło, wychylił kolejny kieliszek i zakąsił ogórkiem kiszonym. Potem otarł wąsa rękawem sukmany. – Pewnie, że zgodziła się zostać, choć będzie miała więcej roboty. Dokąd mieli pójść z Michałem? Do starych Bielaków? Toć tam bida z nędzą aż piszczy. A u nas aż tak źle nie jest. Bo nawet teraz, gdy Trzos tyle stracił, nadal bogatszy jest od niejednego zagrodowego szlachcica. Głód nam w oczy nie zajrzy.

– Szkoda mi Trzosów – stwierdził Marcińczyk. – Poczciwi ludzie. Nawet gdy im się znacząco polepszyło, nie wynosili się nad innych.

Wiadomo, że zaczęli się ubierać z pańska, sprawili se bryczkę, wymurowali piękny dom. Ale pozostali szczodrzy i nieraz na przednówku przychodzili biedakom z pomocą.

– Prawda! – rzucił Filuś. – Z Prokopa lepszy ekonom jak z Karłowicza. Płacił za robotę terminowo i uczciwie. A gdy jeszcze obowiązywała pańszczyzna, nie znęcał się nad nami jak tamten.

Do jego głosu dołączyły się inne. Okoliczni kmiecie szczerze współczuli Trzosom. Nieliczne baby, które przygnało do gospody, ocierały nawet łzy spod oczu, ponieważ Bernadeta i Maria cieszyły się powszechną sympatią oraz szacunkiem.

Rzadko tak bywa, by się ludzie nie śmiali z cudzego nieszczęścia. By żałowali bogacza, gdy mu się noga powinie – pomyślał Ambroży.

***

W sercu Gustawa rozkwitała nadzieja. Ostatnimi czasy bywał częstym gościem w dworku Parnickich. Kilkakrotnie udało mu się widzieć sam na sam z Eulalią i za każdym razem była dla niego równie łaskawa. Ostatecznie, gdy nastał maj, mężczyzna doszedł do wniosku, że nie ma na co czekać – powinien oficjalnie poprosić wdowę o rękę. Wóz albo przewóz! Nie byli pierwszej młodości. Czas upływał zastraszająco szybko. Jeśli chciał jeszcze choć trochę nacieszyć się urokami małżeństwa, to właśnie był ostatni dzwonek na mariaż. A gdyby się okazało, że pani Ostrowska jednak go nie zechce, to przynajmniej nie będzie tracił czasu na zbędne umizgi. Siostra może go odwiedzać w Krakowie, choć w minionych dwóch latach robiła to niezwykle rzadko, ponieważ pochłaniało ją prowadzenie domu i pilnowanie resztek gospodarstwa. Nawet mając pomoc w postaci Prokopa, nie siedziała bezczynnie, wychodząc z założenia, że pańskie oko konia tuczy.

Coraz częściej mężczyzna podejrzewał, że nie bez powodu teściowa scedowała na Cecylię wszystkie obowiązki. Coś mu podpowiadało, że

Gertruda pragnie ją po prostu zatrzymać w domu i zająć tak mocno, by Cecylia nie miała czasu na myślenie o ponownym zamążpójściu.

– Gucio! Ty znowu tutaj? – wykrzyknęła na jego widok siostra. – Wiem, wiem. Musisz częściej zaglądać, bo ja dla odmiany prawie nie pokazuję się w Krakowie.

Zabrała go do ogrodu, gdzie usiedli w altance. Po chwili Helenka przyniosła im kompot dla ochłody, ponieważ dzień był wyjątkowo upalny.

– Co słychać, braciszku? – zagadnęła kobieta. – Minę masz nader poważną. Tylko błagam, nie mów mi, że stało się coś złego.

– Absolutnie nic, Cecylko, nie musisz się obawiać. Rodzice są w dobrym zdrowiu, zasyłają pozdrowienia. Dobrze, że znalazłaś dla mnie moment na osobności. Potrzebuję twej rady. Chcę się żenić – oznajmił prosto z mostu.

Cecylia spojrzała w rozjaśnione szczęściem oczy brata.

– Naprawdę? Ależ to cudownie! Nareszcie! Dawno powinieneś był założyć rodzinę. Kim jest twoja wybranka? Znam ją?

– Tak. To twoja szwagierka.

– Chodzi ci o Eulalię? – upewniła się Parnicka.

Potwierdził ruchem głowy.

– A co ona na to? Oświadczyłeś się już?

– Jeszcze nie. Dała mi nadzieję, ale na razie pewności nie mam. Chciałem cię zapytać, czy nie słyszałaś o jakimś jej absztyfikancie. Mam rywala?

Cecylia zamyśliła się na moment. Nie wsłuchiwała się jakoś szczególnie w rozmowy Ostrowskiej z Gertrudą lub panną Justyną. Ich paplanina niespecjalnie ją interesowała, a gdy już toczyły się poważniejsze rozmowy, to zwykle dotyczyły żałobnych tematów i wspomnień.

– Nie wydaje mi się, by miała starającego. To dość osobliwe, zważywszy, że jest ode mnie młodsza i ładniejsza. – W jej głosie nie było

ani śladu zazdrości czy goryczy. Uroda przestała mieć dla Cecylii znaczenie, gdy dotarło do niej, że mąż nigdy nie odwzajemni jej uczuć. A teraz, gdy nie żył, nie myślała o ponownym mariażu. Nie wyobrażała sobie kolejnego przeżywania niepewności czy zazdrości. – Być może ma to coś wspólnego z tym, że nie doczekali z Janem potomków. Kawaler, któremu zależy na ciągłości rodu, może nie być nią zainteresowany. Taki wybierze młodszą pannę, w nadziei, że ta obdarzy go synem. Ale myślę, że mogłaby być łakomym kąskiem dla niejednego obarczonego dziatwą wdowca. W tym przypadku brak wspólnych dzieci oznaczałby niezachwianą pozycję tych z pierwszego związku.

– Potrafisz być do bólu racjonalna. – Skrzywił się nieznacznie. – A gdzie romantyzm?

– Dawno ze mnie uleciał. Trzeba twardo stąpać po ziemi. Myślałeś o spadkobiercach?

– Ależ oczywiście, siostrzyczko. Mam dwoje: Juliusza i Filomenę. Oni przejmą w przyszłości to, czego nie przepuszczę pospołu z Eulalią. – Puścił oko do siostry. – Zamierzam powoli wprowadzać Juliusza w świat moich interesów. Odnoszę wrażenie, że chłopak jest wystarczająco obrotny, aby to docenić. No i jest szlachcicem, a to zmienia postać rzeczy i daje większe pole do działań.

– Widzę, że wszystko gruntownie przemyślałeś – odparła dość powściągliwie, choć w głębi duszy bardzo ucieszyła ją wieść o tym, że Gustaw planuje uczynienie siostrzeńców swoimi spadkobiercami. Wiele wskazywało na to, że brat w ogóle nie bierze pod uwagę możliwości posiadania własnych potomków.

– Wiesz… Ona od dawna wywoływała przyspieszone bicie mego serca. A teraz, gdy uwierzyłem, że mogę mieć u niej szansę, czuję, jakbym przebudził się z głębokiego snu. Nie potępiasz mnie?

– Za co? Za to, że w końcu zamierzasz się ustatkować?

– Nie. Za to, że zachciewa mi się szlachcianki. Kiedyś pokpiwałaś z tego – wspomniał ich rozmowę sprzed lat.

– Stare dzieje. Sam pomyśl, Guciu, czy jesteśmy w czymkolwiek gorsi od takich Parnickich? Od ładnych paru pokoleń żyjemy dostatniej niż niejeden zagrodnik. Szlachta ubożeje, ponieważ kurczowo trzyma się jedynego stylu życia, jaki znają. Czasami myślę, że dla nich zarabianie pieniędzy to coś wstydliwego. Ratują upadające majątki, zaciągając długi u lichwiarzy. Albo liczą na lukratywne małżeństwa. Gustawie! – Złapała brata za ręce i spojrzała mu głęboko w oczy. – Nawet przez krótki moment nie pozwól Eulalii, by uznała cię za kogoś gorszego od siebie. Jesteś wykształcony, masz nienaganne maniery, dobrze się prezentujesz. Znam paru dobrze urodzonych paniczów, którzy nie dorastają ci do pięt. Zdecydowanie jestem po twojej stronie!

***

Utrata znacznej części gruntu była dotkliwym ciosem, spotęgowanym przez grzywnę o wysokości odpowiadającej połowie wartości domu, która została na nich dodatkowo nałożona. Sędzia rozstrzygający w tej sprawie orzekł, że konfiskacie musi podlec aż tyle, by Trzosom raz na zawsze odechciało się wojennych przygód, i właściwie mają powody do zadowolenia, bo zachowują połowę majątku, choć mogli stracić wszystko. Po wysłuchaniu wyroku, gdy minęło pierwsze niedowierzanie, Bernadeta uderzyła w żałosny płacz, ponieważ prysnęły marzenia o ziemiańskim życiu. Wrócili z Prokopem mniej więcej do stanu posiadania sprzed rzezi, której ofiarami padli Żelechowscy. Teraz było o tyle gorzej, że mieli do spłacenia grzywnę, która znacznie wykraczała poza ich możliwości finansowe. Pieniądze zarobione w minionych latach przez Prokopa poszły na budowę dworku oraz jego wyposażenie, zakup bryczki i dodatkowych koni, kształcenie dzieci oraz trochę zbytków w postaci strojów czy porcelanowej zastawy.

Po kilku dniach wylewania łez bezsilności, ciskania przekleństwami pod adresem zaborcy, sędziego i podłego losu, Bernadeta i Prokop zaczęli działać. Nie mieli czasu na to, by się pogrążać w rozpaczy, musieli jak najszybciej zapłacić krzywdzącą karę.

Siłą rzeczy na pierwszy ogień poszła służba. Bernadeta z ogromnym żalem odprawiła guwernantkę córeczki.

– Szkoda mi jej – wzdychała, gdy Prokop odwiózł nauczycielkę na stację kolejową, skąd panna Dioniza miała pociąg do Krakowa. – Krótko u nas była, niewiele nauczyła Weronisię. Ot, parę słówek po francusku i trochę różnych mądrości. Na szczęście mała nie zdążyła się do niej przywiązać, bo byłby dodatkowy płacz.

– No i co teraz? – zagadnęła Maria, która siedziała przy kuchennym piecu, grzejąc stare kosteczki.

– Nie wiem, matulu. Pewnie trzeba będzie posyłać ją do szkoły.

– W wiosce?

Sneszka pokręciła przecząco głową.

– Nie. Mam na myśli tę w Niepołomicach. Od kilku lat mają tam nauczycielkę. Ponoć panna Waleria Gierczyńska[6] naucza dziewczęta prac ręcznych.

– A tak. Prokop mówił, że Dyrekcja Ekonomii przyznała jej czterdzieści reńskich rocznej pensji. I że to niewiele w porównaniu do Jana Borowca[7] – wspomniała o zatrudnionym w tej samej szkole nauczycielu, który wedle gminnej wieści prócz stu dwudziestu reńskich otrzymywał dodatkowo po pięć sążni drzewa opałowego na każdy rok.

– I tak dobrze, że naczelnik dołożył starań, by coś zrobić w tym kierunku. Jakby nie Jan Zabłocki[8], to pewnie nie miałby kto uczyć dzieciaków. Ech… Słyszałam, że ludzie chwalą pannę Gierczyńską, ale mimo to wolałabym posyłać Weronisię na nauki do klasztoru w Staniątkach. Tam miałaby przynajmniej kontakt z dobrze wychowanymi szlachciankami, przy nich nie straciłaby ogłady. Czy w szkole, do której uczęszcza cała zbieranina dzieci, nie nabierze złych nawyków? Albo czy nie przyniesie do domu wszy? – zmartwiła się przeczulona na tym punkcie Bernadeta. – Wiem, że to, co teraz powiedziałam, jest podłe, bo przecież żadne z nas wielkie państwo, ale

w jej wychowanie włożyłam mnóstwo starań. Nie chcę, by to wszystko zostało zaprzepaszczone.

– Weronisia się nie zmarnuje, Betko. To mądra dziewuszka.

– Obyście mieli rację. Póki nie pospłacamy długów, nie stać nas na to, by ją kształcić u sióstr. Może za jakiś czas, gdy staniemy na nogi… – urwała, bowiem sama nie wierzyła w te słowa.

Następnego dnia Bernadeta pożegnała także pokojówki. Od tej pory to ona i córka miały dbać o porządek w domu, czystą odzież oraz strawę, ponieważ Gienia została oddelegowana z kuchni i pokojów do stajni oraz obejścia, gdzie jak dawniej obrabiała bydło, dbała o drób, pełła ogród, pracowała w polu i sadzie.

Bielakowa miała do pomocy Dylówny oraz Dylowe, zamieszkujące połowę dawnej chałupy Trzosów. W drugiej połowie wciąż mieszkała ona wraz z mężem oraz powiększającą się gromadką dzieciaków. Prokopowa dała jej wolną rękę: mogła odejść na służbę do innych ziemian, mogła także zamieszkać u świekrów – w lichej jednoizbowej chałupinie, dzielonej przez sionkę z krową i ptactwem. Gienka nie zawahała się ani chwili, została u Bernadety. Raz, że wątpiła, czy znajdzie lepszą posadę w ubożejących dworach ziemiańskich. Dwa, do teściów nie chciała się przenosić, tam żyłaby znacznie nędzniej. Trzy, odczuwała wdzięczność wobec gospodarzy, którzy przygarnęli ją pod swój dach w najgorszym momencie, gdy skrajnie wyczerpana zaczynała popadać w bezdenną rozpacz. Trzosowie zastąpili jej rodzinę, otworzyli dla niej nie tylko dom, ale również serca. Nigdy nie usłyszała od nich marnego słowa. Takiego szacunku nie zaznała nigdzie i u nikogo. Gdy więc przyszła chwila na podejmowanie decyzji o przyszłości, dla niej sprawa była jasna.

– Zostanę z wami, pani Bernadeto. Będzie znacznie ciężej, ale jakoś damy sobie radę. Da Bóg, to kiedyś los znowu się na lepsze odwróci. Za tyle dobroci, ile mnie od państwa spotkało, nie mogę odpłacać niewdzięcznością. Zresztą gdzie mi będzie lepiej niż tutaj, pod

Niepołomicami? Teraz tu jest mój dom. Modlę się każdego dnia do staniąteckiej Matuli, żeby wam błogosławiła.

– Dobra z ciebie dziewucha, Gieniu. – Wzruszona Bernadeta uściskała służkę i dała słowo, że gdy tylko staną na nogi i spłacą długi, wynagrodzi jej lojalność.

Ponieważ Prokop usilnie bronił się przed sprzedażą choćby piędzi gruntu, musieli znaleźć jakiś sposób na spłatę grzywny. Spieniężyli więc bryczkę i dwa piękne konie, których żal byłoby zaprzęgać do pługa. Do niepołomickiego Żyda, zajmującego się handlem towarami luksusowymi, poszły jedwabne suknie i zdobny w piórka oraz kwiatki kapelusz Bernadety. Kobieta wyprzedała wszystkie wartościowe drobiazgi, włącznie z porcelanową zastawą, o której tak bardzo marzyła, kiedy przeprowadzali się do dworku.

– Nie szkoda ci? – dopytywał Prokop, gdy ostrożnie pakowała ją do zbitej przez niego skrzyni wypełnionej wiórami.

– Szkoda – pociągnęła nosem – ale nie czas na zbytki, bo trzeba ratować resztę gruntu. Zresztą i tak nie miałam kogo na niej podejmować, cieszyła tylko nasze oczy – uzupełniła z goryczą.

Wimmerowie tylko raz przyjęli jej zaproszenie, zapewne przygnani ciekawością, jak urządzili się niegdysiejsi chłopi. Nie doszło nawet do rewizyty, gdyż *madame* Matylda nie znajdowała czasu na podjęcie Trzosów u siebie. Cecylia Parnicka także nie kwapiła się z odwiedzinami. Gdy jeszcze żył Antoni, wyszukiwała sobie jakieś wymówki, a potem za wytłumaczenie służyła żałoba. Inni zamożni mieszkańcy Niepołomic również robili uniki, przekładając przyjazd na nieokreśloną przyszłość. Tak więc z porcelany miał okazję jadać wyłącznie świętej pamięci Antoni, a prócz niego rodzina organisty oraz kowala. Nie licząc oczywiście Kołodziejów i ich powinowatych.

Zastawę oraz wiele innych wartościowych przedmiotów Trzosowie zawieźli do Achlera, bogatego Żyda z Niepołomic, handlującego wszystkim, głównie jednak towarami bławatnymi. Oglądając oferowane

mu dobra, targował się tak bardzo, że zirytowana Bernadeta nie wytrzymała.

– Skoro nie dacie więcej, sprzedam komuś innemu – burknęła, pakując na powrót zastawę i resztę dobytku.

Gdy jednak zajrzała do innych geszeftów, okazało się, że mało kogo interesuje miśnieńska porcelana i nikt nie da jej więcej niż Achler. Zdruzgotana kobieta wróciła więc do pierwszego kupca. Ten tylko pokiwał głową, aż rozkołysały się jego długie, czarne sprężyny pejsów.

– Nu… Łaskawa pani – powiedział, widząc ją ponownie. – Wezmę zastawę, ale teraz jest ona warta mniej o dwa talary.

– Mniej o dwa talary? – wykrzyknęła oburzona Trzosowa. – A to czemu?

– A temu, że nikt wam nie oferował więcej niż ja – odparł z chytrym błyskiem w oku. – Dobijemy targu czy dalej szuka pani chętnego?

Bernadeta aż zadygotała z nerwów, lecz wyraziła zgodę na mocno zaniżoną cenę. Nie było czasu na to, by jeździć z kruchymi przedmiotami do Wieliczki lub Krakowa. A gdy już wyszli z Prokopem ze sklepu, fuknęła gniewnie.

– Ależ mu źle z oczu patrzyło! Krwiopijca!

***

W ślad za porcelaną poszły kolczyki z bursztynami, które Bernadeta otrzymała od Prokopa jeszcze przed ślubem, oraz złoty łańcuszek z krzyżykiem – upominek z okazji dwudziestej rocznicy małżeństwa.

– Może zostaw sobie choć to, Bernadetko? – oponował mąż, wiedząc, jak bardzo cieszył ją ten kosztowny drobiazg.

– Nie ma mowy. Czym mniej będziesz dłużny Goldblumowi, tym lepiej. Musimy jakoś przetrwać trudne chwile. Masz rację, że nie chcesz wyprzedawać gruntu. Trzeba coś zostawić dla Weronisi i Zygmunta. Bo Wojtek, niecnota, zaginął gdzieś bez wieści. – Najpierw westchnęła ciężko, a potem runęła na kanapę i zaczęła rozpaczliwie szlochać.

Od ładnych paru miesięcy nie miała żadnych nowin o synu. Przepadł jak kamień w wodę, a ona każdego dnia zastanawiała się, czy chłopak jeszcze żyje. Marzyła o tym, aby wrócił pod rodzinny dach. Przecież nie czyniłaby mu wyrzutów za utracony majątek. Obydwoje z Prokopem starali się z tym pogodzić, wszak wiedzieli, czym ryzykują, gdy po przegranej bitwie pod Pobiednikiem i Igołomią syn zajrzał do domu, a następnie pozwolili, by znowu wyjechał. Dali mu wówczas błogosławieństwo na drogę, uznając, że najważniejsze jest dobro ojczyzny.

– Nie płaczże, Betko. – Zafrasowany mąż usiadł obok i objął ślubną ramieniem. – Wytrwamy. A Wojtek na pewno kiedyś wróci. Trzeba w to wierzyć. Trzeba wierzyć – powtórzył stanowczym głosem, choć szczerze w to wątpił, ponieważ jego pożegnanie z synem, gdy ten pojawił się pod koniec ubiegłego roku, było dość niefortunne. Rozstali się w wielkim gniewie, bo pragnął, by młody został na gospodarce. A chłopak zaciął się w uporze, że praca na roli nie jest dla niego. Teraz jednak Prokop nie mógł pozwolić, aby Bernadeta pomyślała, że i on coraz częściej popada w zwątpienie. Chciał być silny choćby po to, by miała w nim oparcie.

***

– Postradałaś rozum, córko? – wykrzyknęła Gertruda, upewniwszy się, że wchodząc do pokoju starannie zamknęła drzwi i nikt nie podsłucha, jak strofuje najmłodszą latorośl.

Zaledwie chwilę wcześniej zajrzała do buduaru Eulalii, ponieważ chciała z nią porozmawiać. Zauważyła bowiem, że kobieta jest dziwnie podekscytowana. Wczesnym popołudniem gościł w dworku Zaleski, wyjechał przed kolacją, twierdząc, że pilne sprawy wzywają go do Krakowa. Był równie zaaferowany jak Eulalia, więc przez cały wieczór Parnicka zachodziła w głowę, czy tych dwoje nie ma przypadkiem jakiegoś wspólnego sekreciku. Nader częste wizyty Gustawa w minionym półroczu wywoływały w niej przerażające podejrzenia. Bała się wypowiadać te myśli na głos, ponieważ nawet w głębi duszy

budziły w niej zgrozę. Od dłuższego czasu niepokoiła się o moralność córki. I właśnie tego wieczoru zamierzała zapytać ją wprost, czy została kochanką tego kupca. Gdy w końcu padło pytanie, zadane drżącym i mocno stłumionym głosem, odpowiedź nieomal przyprawiła ją o palpitację serca lub apopleksję. A już atak globusa był murowany!

– Nie, mamo – odparła córka z miną niewiniątka. Siedziała przed lustrem, przebrana w nocną bieliznę, starannie szczotkując piękne blond włosy, w których od niedawna połyskiwało kilka siwych nitek.

– Powiedz mi, że to nieprawda! Nie możesz przecież wyjść za mąż za tego parweniusza! Za tego kupczyka! Tego… tego… geszefciarza!

– Gustaw nie jest żadnym geszefciarzem! – zaprotestowała oburzona kandydatka na żonę. – To bardzo zamożny człowiek interesu.

– Kupiec! – jęczała Gertruda, przewracając oczami i przykładając dłonie do piersi. – Nie możesz tego zrobić, dziecko! Nie godzi się, by szlachcianka…

– Ależ mamo! Przypominam ci, że twój szlachetnie urodzony syn także poślubił kupcównę. I odnoszę wrażenie, że jesteś zadowolona z takiego stanu rzeczy.

– To była zupełnie inna sytuacja. Antoni poświęcił się, by ratować majątek przed ruiną. Mieliśmy trochę długów, wierzyciele nie dawali nam żyć… – tłumaczyła stłumionym głosem. – Ale nie widzę powodu, dla którego ty miałabyś się zniżać do mezaliansu.

– Nie uważam, by miał to być mezalians. Moim zdaniem powinnaś się raczej cieszyć. Nie będziesz musiała się martwić o moją przyszłość.

– Nie martwiłabym się, gdybyś wychodziła za mąż za kogoś z naszej sfery.

– Chyba lepiej, że to ja zawieram małżeństwo, a nie Cecylia – syknęła złowieszczo Eulalia.

– Chcesz powiedzieć, że ona także…

– Owszem! Nie zauważyłaś, że ostatnio dość często zagląda tutaj pan Niedzielski? I że bynajmniej nie mnie prawi komplementy o pięknych

oczach?

– Och… był może ze dwa razy!

– Owdowiał trzy lata temu – przypomniała córka.

– A może przyjeżdża tutaj z myślą o tobie?

Eulalia odłożyła szczotkę do włosów na toaletkę. By dać zajęcie drżącym nerwowo dłoniom, sięgnęła po ułożone na blacie papiloty. Zwykle zakładała je Marta, lecz wołanie służącej było ostatnią rzeczą, która teraz wchodziła w rachubę. Ostrożnie oddzieliła pasmo włosów nad uchem i zaczęła je nakręcać.

– Pan Niedzielski zaledwie dostrzega moją obecność. Nadskakuje za to Cecylii. Pomyśl, co będzie, gdy się jej oświadczy, a ona go przyjmie. W takiej sytuacji będziemy znaczyły tyle, co zwykłe rezydentki. Owszem, pozwolą nam tutaj zostać, bo Cecylia ma dobre serce. Ona prawdopodobnie przeprowadzi się do Śledziejowic. A my będziemy musiały dopraszać się o każdego krajcara na bieżące wydatki. Nie utrzymamy się z samej ziemi, ponieważ tę Antoni wyprzedał, zostawiając jakiś marny spłachetek.

– Ach! Co za diabeł go skusił, by wejść w spółkę z Gustawem. Brr! Cóż to za straszny człowiek – zawodziła Gertruda, krążąc po buduarze Eulalii. – Najpierw ograbił mnie z majątku, a teraz jeszcze chce mi zabrać córkę!

Eulalia zerwała się z krzesła przy toaletce. Rzuciła na blat papilota, którego nie zdążyła zamotać we włosy, i podbiegła do rodzicielki. Złapała jej dłoń. Mocno ją uścisnęła.

– Mateczko moja kochana! Nie patrz na to w taki sposób! Małżeństwo z Gustawem to najlepsze, co mogło mi się przytrafić. Trzeba się cieszyć, że poprosił mnie o rękę. Zaleski zapewni nam spokojną przyszłość. Zamieszkamy w Krakowie…

– Co? W Krakowie? – żachnęła się kobieta. – Może jeszcze dodasz, że razem z tymi kupcami?

– Nie. Gustaw obiecał, że zamieszkamy w należącej do niego kamienicy przy ulicy Floriańskiej. Osiedlimy się tam tylko w trójkę, ponieważ jego rodzice, jak wiesz, mieszkają przy Grodzkiej. Gustaw na pewno się zgodzi, abyś się tam z nami wprowadziła. Je mi z ręki, dla mnie gotów jest na wszystko – stwierdziła bezkrytycznie. – Przecież dla kogoś takiego to awans społeczny!

Zdawała sobie sprawę, że to, co mówi o swym narzeczonym, brzmi nader arogancko.

– Nie wiem, nie wiem – westchnęła matka. – Czy naprawdę potrzebne jest aż takie poświęcenie? Córeczko… Nie musisz tego robić. Możemy żyć znacznie skromniej, byle zachować godność. Zresztą o czym mowa? Na razie Cecylia nie wychodzi za mąż! I wcale nie jest powiedziane, że wyjdzie. Zawsze może dać arbuza Niedzielskiemu. Jestem w stanie na nią wpłynąć.

Córka parsknęła śmiechem.

– Naprawdę tak uważasz?

– Jesteś okropna – skarciła ją Gertruda. – Lepiej wycofaj słowo dane Zaleskiemu. Nie powinno być skandalu, bo zakładam, że nikt jeszcze o tym nie wie. A choćby nawet, to jakoś przeżyjemy ten wstyd. Nie jesteś panienką na wydaniu, bym musiała załamywać ręce nad twoją reputacją. Nie wychodź za Zaleskiego.

– A jeżeli tego właśnie pragnę? – zirytowała się Eulalia, ponieważ matka usiłowała obalić najlepsze z argumentów, jakie miała do dyspozycji.

– Nie chcę o tym słyszeć! To jakaś niedorzeczność. Ty i ten kupiec… nie widzę powodu, dla którego miałoby się to wydarzyć!

Wzdrygnęła się na samą myśl o planach matrymonialnych córki.

– Ja go kocham, mamo. Uważam, że to wystarczający powód do zawarcia małżeństwa.

– Zamilcz, bezwstydnico! – fuknęła oburzona matrona. – Jak w ogóle przeszły ci te słowa przez usta?

– Miłość nie jest żadnym powodem do wstydu. Z rozsądku wyszłam za Jana. Owszem, darzyłam go sympatią. Ale teraz chcę męża, który wzbudza we mnie głębię uczuć. Czy ci się to podoba, czy nie, za tydzień Gustaw przybędzie tutaj z oficjalną wizytą. To postanowione!

ROZDZIAŁ 3.

ZBÓJECKA DOLA

Rynek w Niepołomicach

Gdyby nie powstańcza draka Wojtka, Weronika kontynuowałaby nauczanie domowe pod okiem guwernantki, a Zygmunt, zamiast do szkoły w Niepołomicach, zostałby zapewne wysłany do gimnazjum w Tarnowie lub Krakowie. Chłopak bardzo żałował, że nie dane mu będzie poszerzenie horyzontów. Lubił czytać, chłonął wiedzę i marzył, by w przyszłości zostać choćby urzędnikiem w Niepołomicach, jak ojciec jednego z jego kolegów.

O Ludwiku Sosnowskim[9], synu pracownika sądowego, słyszał chyba każdy spośród tutejszej młodzieży. Szczupły chłopiec z zadartym nosem wzbudzał powszechną sympatię. Zawsze otoczony był gronem rówieśników. Kolegował się z nim również Zygmunt, choć Ludwik był od niego młodszy. Z Sosnowskim jednak łatwo było nawiązać nić porozumienia. Słynął bowiem z różnych błazeństw, i wiadomo było, że jeśli ktoś komuś spłatał figla, to prawie na pewno Ludek maczał w tym palce. Szczególnym upodobaniem młokosa było naśladowanie nauczycieli, więc niejeden raz za przedrzeźnianie Jana Borowca lądował w kozie.

Tego dnia chłopak znowu został przyłapany na wygłupach. A ponieważ belfer dłuższą chwilę przypatrywał się i przysłuchiwał jego wyczynom, młodemu nie udało się wyłgać od kary.

– Sosnowski, a ty co? Znowu zachciewa ci się żartów? Skoro tak, to zostajesz po lekcjach, aż przyjdzie tutaj twój ojciec – zadecydował nauczyciel, gdy w końcu znudziło mu się obserwowanie, jak smarkacz parodiuje prowadzoną przez niego lekcję. – A ty – złapał za kołnierz Zygmunta, gdyż ten stał akurat najbliżej, zaśmiewając się do rozpuku – w te pędy pobiegniesz do zamku i znajdziesz pana Sosnowskiego. Zaraz ci dam kartkę, którą masz mu wręczyć. I żebyś mi nie próbował żadnych sztuczek, bo inaczej twój koleżka zostanie tutaj choćby i do rana. Puszczę kawalarza do domu dopiero po rozmowie z jego ojcem.

Zygmunt, któremu nie w smak była niewdzięczna misja, rzucił przepraszające spojrzenie Ludkowi. Potem poszedł za belfrem i poczekał, aż ten wysmaruje wiadomość dla Sosnowskiego.

Dzień był ciepły, jesienny. Liście na drzewach rosnących obok mocno zdewastowanego zamku dopiero zaczynały zmieniać barwy. Po zabłoconym dziedzińcu kręcili się piechurzy z trzynastego pułku piechoty, którzy zastąpili stacjonujących tu do niedawna jegrów. Część z nich odbywała musztrę, inni stali bezczynnie w cieniu arkad, kopcąc papierosy. Jeden z nich zaczepił Trzosa i zapytał po niemiecku, czego tutaj szuka. Nastolatek pokazał kartkę i wyjaśnił, że ma ją oddać urzędnikowi sądowemu. Żołnierz podpowiedział mu, dokąd pójść, i wrócił do swoich.

Na szczęście Trzos zastał Sosnowskiego w biurze. Mężczyzna przeczytał wiadomość i poczerwieniał na twarzy. Zaklął półgębkiem na tyle niewyraźnie, że Zygmunt nie dosłyszał całości wypowiedzi. Wyłapał jedynie imię kolegi, epitet „huncwot" oraz zapowiedź spotkania z *mademoiselle Rózią*. Zastanawiał się przez moment, kim jest owa panna wzmiankowana przez pana Franciszka, bo od Ludka nigdy o niej nie słyszał. Czy to gospodyni o wyjątkowo ciężkiej ręce? Jakaś surowa starszawa ciotka prawiąca koszmarnie nudne morały? Mężczyzna, nie zważając na chłopaka, poderwał się zza biurka, sięgnął po kapelusz i ruszył do wyjścia. Zygmunt przezornie szedł za nim, gnany ciekawością. Miał nadzieję, że srogi urzędnik nie natrze uszu Ludkowi. W szkole przyczaił się za drzwiami, by posłuchać ich rozmowy.

– Pański syn notorycznie dezorganizuje mi pracę. Jego psoty, choć może nie są szczególnie szkodliwe, rozpraszają innych uczniów. Takie błazeństwa, szanowny panie, nadają się do teatru, a nie do przyzwoitej placówki!

Posypała się lawina wymówek i utyskiwań przerywanych jedynie pokornymi przeprosinami padającymi z ust pana Franciszka.

Jakiś czas później ojciec i syn opuścili szkołę. Młody szedł ze spuszczoną głową, strojąc potulne miny, lecz na widok Zygmunta

podniósł wzrok i puścił do niego oko.

– Co z ciebie wyrośnie, łapserdaku? – łajał go w tym czasie Sosnowski senior. – Jak będziesz nadal broił, to odeślę cię do gimnazjum w Tarnowie. Tam są surowsi nauczyciele, przy nich przejdzie ci ochota na wszystkie psoty.

– Ale to żadne psoty, tato. Ja się wprawiałem do roli, bo chcę być aktorem.

– Jakim aktorem? – huknął stary. – No jeszcze tego nie było, by w porządnej rodzinie miał człowiek komedianta! Cóż to za durne marzenia? Masz się pilnie uczyć, bo w przyszłości zostaniesz urzędnikiem. To pewny i godziwy kawałek chleba, a nie jakieś facecje! Fiu-bździu masz w głowie, stary koniu! Człowiek wciąż tylko świeci za ciebie oczami. Czekaj, czekaj! Niech no wrócimy do domu! Zaraz wybiję ci rózgą z łepetyny wszelkie głupstwa.

Biedny Ludek – westchnął Zygmunt, pojąwszy, kim jest owa tajemnicza *mademoiselle* „Rózia", a potem ruszył w swoją stronę.

***

Następnego dnia Ludwik nie mógł wysiedzieć w ławce. Raz podpierał się na lewym, raz na prawym pośladku, to znowuż przenosił ciężar ciała na łokcie, którymi wspierał się o stolik.

– Sosnowski! A ty co? Masz pod sobą mrowisko? – huknął w pewnym momencie nauczyciel, widząc, że uczeń wciąż się kręci.

– Przepraszam, psze pana – bąknął młody, robiąc nader poważną minę – ale po wczorajszym spotkaniu z *mademoiselle la verge*[10] odczuwam pewien dyskomfort.

A gdy nauczyciel spuścił go z oczu, szepnął do siedzącego najbliżej niego Trzosa:

– Choćby ojciec dziesięć rózg na mnie połamał, zdania nie zmienię. Zostanę aktorem i już. A jeśli będę musiał, to ucieknę z domu.

***

Ciężka jest zbójecka dola – pomyślał Wojtek, dygocząc z zimna w leśnej kryjówce.

I tak uważał, że lepsze to niż egzystowanie w domu, gdzie musiałby dostosować się do rodzicielskich wizji. Zresztą czy teraz możliwy byłby powrót? Nie pokazywał się bliskim od zimy, a już nadciągała kolejna. Przypuszczał, że matka martwi się o niego, a ojciec jest zagniewany. Bo nie dość, że zlekceważył jego wolę i pogardził ciepłem domowego ogniska oraz spokojnym, ziemiańskim losem, to jeszcze z jego powodu rodzice utracili znaczną część życiowego dorobku. Wiedział i o grzywnie, i o skonfiskowanej połowie gruntu. Miał także świadomość tego, jak mocno tato przywiązany był do swego areału, z jaką dumą dokupował kolejne łany, jak cieszył się na budowanie podwalin pod przyszłą potęgę Trzosów.

Razem z nim do zbójeckiej bandy przystał również Mietek, wszak przyjaźń zobowiązuje. Byli kompanami na dobre i na złe. Wspierali się wzajemnie w każdej trudnej chwili. Walczyli ramię w ramię, a gdy było trzeba, dzielili się ostatnimi sucharami. Kiedy wrócili na powstańczą tułaczkę, obydwaj jeździli wierzchem. Wojtek miał konia od ojca, Kurdzielowi dostał się wierzchowiec po jakimś poległym żołnierzu. Później, gdy postanowili przystać do bandy, zostawili zwierzęta w domach rodzinnych. Wygodniej im było przedzierać się lasami pieszo, a gdy zachodziła potrzeba, bez trudu mogli zrabować jakiegoś siwka czy kasztanka.

Większość rozbójników parała się tym niechlubnym rzemiosłem z biedy. Galicja wciąż nękana była przez głód, tyfus i przypominającą o sobie co jakiś czas cholerę. Parę lat temu przystał do nich Florek[11], wychudzony kmieć z Suchoraby. Sprytny był jak mało kto, zawsze potrafił wywinąć się żandarmom, którzy dość regularnie usiłowali zaprowadzić porządek na niepołomickich gościńcach. Dla Trzosa i Kurdziela stanowił bezsprzeczny autorytet, wymknął się już bowiem

z niejednej zasadzki zorganizowanej przez Austriaków. Siedział teraz z chłopakami przy ognisku, ogryzając kości z zająca, którego upolowali poprzedniego dnia. Ubogi to był posiłek, lecz ostatnio nie szczęściło im się przy łupieniu wędrowców. Albo trafiali na golców takich samych jak oni, albo na szlachciców jadących z tak liczną obstawą, że szkoda było na nich zachodu. Coraz częściej też na ulubionych traktach widywali Austriaków, a ci bez pardonu do nich strzelali, a niekiedy urządzali zasadzki, w które niejeden już wpadł.

– No… Trochę podjadłem – stwierdził Florek, wysysając szpik z kości. – Wolę to niż chlipanie zupy z chwastów, którą gotowała nam matula.

– Moi, jak żem był u nich ostatnio, mielili korę z drzewa, by udawała mąkę – bąknął Mietek. – Matka wypiekała z niej podpłomyki. Rozpłakała się, widząc worek razówki.

Jego rodzina żyła w wielkiej nędzy. Nigdy nie byli krezusami, a gdy on odszedł z domu, zrobiło im się jeszcze ciężej. Najpierw zabrakło Mietkowych rąk do pracy, potem na tyfus zmarł jego młodszy brat. Gdy powstanie stłumiono, na Kurdzielów nałożono grzywnę i także skonfiskowano im część gruntu. Na wieść o tym ojciec Mietka dostał apopleksji i zmarł, zostawiając w chałupie kobietę z czworgiem podrostków.

Wojtek milczał, ponieważ on, nim uciekł, by dołączyć do powstańców, właściwie nie wiedział, czym jest głód. Owszem, miał zdrowy apetyt i nieraz wracał ze szkoły tak głodny, że mógłby zjeść konia z kopytami. Ale taki rodzaj głodu łatwo było zaspokoić, zwłaszcza że w domu Trzosów nigdy nie brakowało smacznego, pożywnego jadła. Dopiero na wojennych szlakach przekonał się, czym jest łaknienie wykręcające flaki. Czasami zaopatrzenie nie docierało na czas i jakoś trzeba było sobie dawać radę. Suchary, które Wojtek trzymał zwykle na czarną godzinę, kończyły się szybko i tylko oszukiwały żołądek. Bez ciepłej strawy błyskawicznie opadało się z sił, a w głowie zaczynało się mącić. To jednak też było niczym w porównaniu z opowieściami Florka, bo nawet wtedy nie żywił się zielskiem niczym jakaś krasula.

Teraz bywało różnie. Gdy im się poszczęściło, zdobywali worki ziemniaków, ziarna, mąki i inne płody rolne. Część tego, po bardziej lub mniej sprawiedliwym podziale, wielu z nich zanosiło cichcem rodzinom, ryzykując złapanie przez policję. Ale jakże nie podarować głodnej matuli choćby odrobiny jedzenia? Jak nie nakarmić dzieciaków, piszczących z głodu niczym ptactwo? Sami najczęściej żywili się mięsem upolowanej zwierzyny. Czasami wymieniali swe łupy na bochny chleba, jaja czy ser. Zdobyczną okowitę z reguły wypijali.

Banda liczyła od kilku do kilkudziesięciu osób. Ta liczba nigdy nie była stała, bo niekiedy któryś z nich wpadał w ręce żandarmów. To znowuż wracał do domu, by wraz z rodziną klepać uczciwą biedę. Bywało i tak, że ktoś został ranny i nie mógł się wylizać, więc umierał trawiony gangreną, gorączką i innymi bolączkami. W miejsce tych, co znikali, pojawiali się nowi ludzie. Dla większości z nich motywacja do uprawiania bandyckiego procederu była ta sama – nędza i głód.

– Pora ruszać na trakt – oznajmił herszt bandy, czarniawy mężczyzna o dzikim, złowrogim spojrzeniu, zarośnięty na gębie tak, że spod krzaczastych brwi błyskały mu jedynie pożółkłe ślepia.

Tego dnia byli nieco spóźnieni, zwykle wychodzili znacznie wcześniej, równo ze świtaniem, ponieważ wtedy na targ ciągnęli gospodarze z różnymi dobrami. Ale i o późniejszej porze trafiały się dobre okazje, bo po spieniężeniu własnych towarów kmiecie wracali z talarami, gorzałką lub jakimiś nabytkami.

– Ale ziąb – burknął Wojtek, otulając się szczelniej mocno poplamioną czamarą.

Pomyślał, że musi wykombinować jakiś cieplejszy przyodziewek, choćby po to, aby było czym się okryć w nocy. Czasami sypiali w stodołach. Gdy dopisało im szczęście, kimali na ławach w karczmie Na Zbóju w Małej Wsi – to była ich ulubiona gospoda, często tam popijali, bawili się i biesiadowali po rozdziale łupów. A kiedy zmuszały ich do tego okoliczności, nocowali wśród bagnisk w lasach – tam mieli swe kryjówki, w których nigdy nie wyśledził ich żaden żandarm,

piechur ani policjant. Znali dzikie, odludne miejsca, gdzie nikt prócz nich nie zaglądał. Byli na tyle bezpieczni, że mogli ogrzać się przy ognisku i upiec na nim zwierzynę złapaną wcześniej we wnyki.

U matki człowiek miał własną izbę, wygodne łóżko i pierzynę z puchu – wspominał z nostalgią Trzos.

Na głos nigdy nie wypowiadał takich myśli, by nie posądzono go o słabość. Kamraci pewnie by go wyśmiali, a potem kazali mu wracać pod spódnice matuli. Takich jak on, którzy przystali do leśnej bandy nie z biedy, lecz z obawy przed aresztowaniem, było jeszcze paru – przeważnie pochodzili z ubogich chłopskich rodzin. Synowie szlacheccy wrócili po wojennej zawierusze do domów, niektórym się upiekło, inni poddani zostali dotkliwym karom. Kilku zesłano na Sybir, kogoś powieszono, ktoś inny trafił do więzienia w Krakowie. Wojtkowi nie uśmiechało się dzielenie ich losów, wolał więc znosić obecne niedogodności.

– Zimno – poparł go Mietek. A ponieważ szli w pewnym oddaleniu, kilka kroków za bandą, gdyż tego dnia stanowili jej tylne zabezpieczenie i mieli stać na czatach, a nie rabować, zdobył się na odwagę i uzupełnił: – Wróciłbym do matuli. Większy by miała ze mnie pożytek, gdybym pola zaorał, obsiał i zżął. Gdybym najął się u jakiegoś bogacza i uczciwie zarobił na bochen chleba.

– Naprawdę chcesz wracać? – zdziwił się Trzos.

– I tak, i nie. Mam dość tego zimna, życia w ciągłym strachu, narażania się na zgubę. Mam też dość łupienia takich samych biedaków jak my – przyznał. – Przecie to grzech śmiertelny! Gdybyśmy tylko rabowali bogaczy, to co innego. Ale jak pomyślę, że wydzieramy ostatnie krajcary nędzarzom, którzy nie mają co do garnka włożyć, to mi ciężko na sercu. Może bym i wrócił, ale jakby mnie zdybali za to, żem walczył w powstaniu, i wsadzili do ciupy, to matce bym nie pomógł, a jedynie przysporzył powodu do wylewania kolejnych łez.

Wojtka także niekiedy nachodziły skrupuły, wszak nie przystał do bandy z nędzy, ale bardziej dla kaprysu. Nie chciał pracować na roli,

a nie miał lepszego pomysłu na życie, choć przecież mógł przynajmniej sprawdzić, czy nie przyjęliby go na kolei.

On także tęsknił za rodziną. Gdy już nie mógł wytrzymać, zakradał się w pobliże dworku i z daleka obserwował kręcących się tam ludzi. Wodził wzrokiem za ojcem, który znowu, jak przed laty, samodzielnie orał pola. Kilkakrotnie widział Weronikę i Zygmunta wędrujących do szkoły w Niepołomicach. Wiedział, że tam pobierają nauki, ponieważ szedł za nimi, czając się, by go nie spostrzegli. To znowuż spoglądał zza drzew lub krzewów na matkę zbierającą w sadzie owoce i uginającą się pod ciężarem załadowanego kosza.

Rok 1868

Mimo protestów ze strony Gertrudy Eulalia dopięła swego. Od niespełna dwóch lat była żoną Gustawa. Wiązało się to z koniecznością zamieszkania w Krakowie. Małżonkowie wraz z Gertrudą osiedlili się w kamienicy przy ulicy Floriańskiej, zajmując w trójkę całe pierwsze piętro. Kamienica od lat była własnością Zaleskiego i przynosiła mu niemały profit.

Przeprowadzka wywołała frustrację u leciwej matrony, choć Gertruda nie mogła narzekać na brak wygód. A jednak Parnickiej nie podobało się w mieście absolutnie nic. Wciąż narzekała na wszechobecne błoto i smród rynsztoków oraz nędzarzy żebrzących niemalże na każdej ulicy. Przeludnione, cuchnące i pogrążone w beznadziei miasto przyciągało okoliczną biedotę, czyli bezrolnych chłopów, którzy upatrywali tutaj swojej nadziei na poprawę bytu.

– Och! – fuczała, ilekroć zmuszona była do odbycia choćby krótkiego spaceru. – Ja się nie dziwię, że prezydent Dietl[12] został porzucony przez żonę, choć to grzech śmiertelny, zgorszenie i obraza boska! Nikt przy zdrowych zmysłach nie tkwi tutaj z własnej woli. Mogę sobie jedynie wyobrazić, jakie Helena przeżywała katusze, skoro wolała się

narazić na skandal i uciec do Wiednia. Na naszych wiejskich gościńcach nie uświadczy aż tyle błota, co tutaj. No, chyba że są roztopy.

– Ależ mamo! Czy ty wciąż musisz narzekać? – westchnęła w odpowiedzi Eulalia. – Spójrz, jak ślicznie jest wokół!

Był piękny wiosenny dzień, przyroda rwała się do życia. Drzewa zdążyły wystrzelić świeżą zielenią i obsypać się wonnym kwieciem. Kobiety wędrowały niespiesznie Plantami, które założono przed czterdziestoma laty z okładem z inicjatywy Feliksa Radwańskiego[13]. Powstały one w miejsce grząskiego śmietniska i ujścia ścieków. A jeszcze wcześniej stały tutaj mury obronne, które okalały miasto.

– Owszem, ładnie – przyznała dama – lecz to nie może w żaden sposób równać się z Niepołomicami. Tam zieleń jest czymś oczywistym, tutaj otacza nas wszechobecna szarzyzna i brud. Nigdy w życiu nie myślałam, że zatęsknię za sielankowymi widoczkami z prowincji.

– Miasto się zmienia. Pamiętasz, jak przed laty przyjeżdżałyśmy tutaj na bale karnawałowe? Ach! Wtedy to było brzydko, zwłaszcza po pożarze, który zniszczył kawał miasta.

– Ja wciąż widzę pozostałe po nim blizny.

– Coraz mniej widoczne. A doktor Dietl jest tak zaangażowany w sprawy Krakowa, że na pewno przywróci mu dawny blask.

– Podziwiam twój optymizm. Mnie tęskno za domem.

– Przecież wiesz, że możemy pojechać tam w każdej chwili. Cecylia zawsze nas życzliwie ugości.

– Niby tak, lecz to już nie jest to samo. Choć mieszkamy tutaj zaledwie dwa lata, mnie się wydaje, jakby upłynęły całe wieki. Nagle nasze niepołomickie życie stało się nieprawdopodobnie odległe. I obce – skwitowała z przykrością. – Jednak prawdą jest, że starych drzew się nie przesadza. Powinnam była zostać na wsi, choć tak naprawdę majątek już do nas nie należy.

– Nie dramatyzuj, mamo. Na razie wciąż zarządza nim Cecylia, ale tylko patrzeć, jak przejmie go Juliusz.

– Nie byłabym tego taka pewna. Chłopak się uczy, marzy o zagranicznych wojażach. O ile wiem, twój ee… małżonek – skrzywiła się nieznacznie – jest w stanie mu to umożliwić. Ponoć latem zabiera go do Francji.

– Tak, to prawda. Gustaw zamierza robić swoje interesy, a Juliusz w tym czasie będzie mógł zwiedzać Lazurowe Wybrzeże. Być może ja także wybiorę się z nimi w podróż – odparła Zaleska, zezując z pewnym onieśmieleniem na rodzicielkę. – Oczywiście o ile mi zdrowie dopisze.

– A widzisz, moja droga? – W głosie Gertrudy słychać było satysfakcję. – Nawet tobie nie służy tutejsze powietrze. Wyglądasz na osłabioną. Dziwię się, że w ogóle zachciało ci się spacerować. Zamiast do Francji powinnaś jechać do wód. Może do Dusznik-Zdroju? Tam gdzie rodzice zabrali młodziutkiego Chopina dla poratowania zdrowia?

– Chyba jednak wolałabym Francję. – Na twarzy Eulalii pojawił się blady uśmiech. Taka podróż od zawsze była jej pragnieniem, lecz teraz nachodziły ją obawy, czy w najbliższym czasie zdoła je spełnić. Mogłaby nie znieść związanych z nią trudów. – Marzyłam o niej od bardzo dawna, a jak sama dobrze wiesz, jakoś nie było ku temu okazji. Jan nie znosił podróży, był domatorem. Cieszę się już na samą myśl o tym wyjeździe!

– Och… A co będzie ze mną? – zmartwiła się Gertruda. Gdy nowożeńcy podróżowali tuż po ślubie do Wiednia, ciesząc się urokami miodowego miesiąca, ona pilnowała pakowania rzeczy i przeprowadzki do Krakowa. Nie miała więc wówczas powodów, by narzekać na nudę. Nieco później Gustaw zabrał Eulalię i ją do Pragi, lecz ten wyjazd, choć nie tak daleki jak planowane wojaże po Francji, nie sprawił jej przyjemności i mocno ją zmęczył.

– To zależy od ciebie. Możesz wyruszyć z nami, zostać w mieście lub spędzić ten okres na wsi.

– Dobre sobie!

Parnickiej nie w smak była żadna z tych propozycji. Nie czuła się na siłach, by podróżować tak daleko. Dla niej nawet wyjazd na wieś

stanowił znaczną uciążliwość. Tkwić w pustym mieszkaniu w mieście, gdzie do towarzystwa miałaby jedynie książki? Nie! To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Gdyby choć można było liczyć na Justynę! Niestety, panna respektowa wciąż mieszkała w dworku, wychodząc z założenia, że woli żyć na łasce Cecylii niż nowożeńców. Co więc mogła zrobić? Pojechać na lato do Niepołomic?

– Uff… Zmęczyłam się tym spacerem – sapnęła, nie wracając już do dylematu, z którem niebawem przyjdzie się zmierzyć.

– Może usiądźmy na moment – zaproponowała córka, wskazując ławkę wykutą z kamienia. Zdążyła już usłyszeć od męża, że pomysłodawczynią ustawienia siedzisk oraz fundatorką pierwszego była hrabina Stanisława Rzewuska[14].

Kobiety zajęły miejsce, skrupulatnie osłaniając twarze przed promieniami wiosennego słońca. Eulalia odetchnęła nieznacznie, gdyż i ona odczuwała znużenie. Właściwie od kilku tygodni wciąż źle się czuła i choć wydawało jej się to całkowicie niemożliwe, powoli zaczynała dopuszczać do głosu myśl, co może być powodem owego dyskomfortu. Jej pokojówka nie była może ekspertem w tej sprawie, ale to ona kilka dni temu wpadła na wyjaśnienie przyczyn złego samopoczucia Zaleskiej. Eulalia nie chciała się cieszyć na zapas, ponieważ przez wiele lat daremnie oczekiwała tej chwili.

Dzisiaj wieczorem powiem Gustawowi, że jestem przy nadziei – postanowiła.

Ciekawa była jego reakcji. Żeniąc się z nią, zakładał, że nie doczekają potomków. Sama mu to zresztą zasugerowała, martwiąc się, czy w jego oczach brak dzieci nie będzie przeszkodą. On wtedy tylko machnął ręką i odparł, że pragnie wziąć z nią ślub dla przyjemności. A majątek, którego nie przetrwonią, otrzyma kiedyś w spadku syn Cecylii. Nie żałował więc świeżo poślubionej małżonce pieniędzy na piękne suknie, kapelusze i biżuterię. Wychodzili razem do teatru, bywali w salonach krakowskich elit i wciąż dobrze się bawili. Tutaj nie traktowano

Zaleskiego z pogardą. Nie był kupczykiem, lecz dżentelmenem dość pożądanym w towarzystwie. Pieniądze otwierały wiele drzwi.

***

Tęsknota za domem była znacznie silniejsza niż rozsądek. Pewnego dnia Wojtek nie wytrzymał i zakradł się do ogrodu warzywnego, gdzie matka w pocie czoła pełła grządki. Rozejrzał się, sprawdzając, czy są sami, a potem podbiegł, by zamienić z nią choć parę słów.

– Dzień dobry, mateczko!

W pierwszej chwili pisnęła wystraszona, bo podszedł znienacka. Odruchowo puściła kopaczkę. A potem porwała chłopaka w objęcia i zalała się rzewnymi łzami.

– Synusiu mój, synusiu! Gdzie się podziewasz? Czemu do nas nie wracasz?

– Nie pytaj, mamo, bo i tak nie powiem – odparł stanowczo.

Przez moment stali niemalże nieruchomo, spoglądając po sobie.

– Zmarniałeś mi, Wojtusiu – powiedziała, głaszcząc go po twarzy.

Serce jej pękało, gdy patrzyła na syna. Zarośnięty był niczym dzikus, znak, że dawno się nie golił i nie podcinał włosów. Nosił zniszczone łachy, te same, w których widziała go niemalże przed rokiem. Teraz podarte i brudne, wisiały na nim niczym na kołku, tak wychudł. Miał zapadnięte policzki i jakąś obcą dzikość w oczach.

On też patrzył ze smutkiem na jej doszczętnie posiwiałe włosy, których już dawno nie fryzowała na wielkopańską modłę, lecz zaplecione w warkocz upychała w siateczkę na karku. Poszarzała na twarzy, przybyło jej zmarszczek, a obok ust czas wyżłobił głębokie bruzdy, które sprawiały, że wyglądała na wiecznie zasmuconą. Jej dłonie zniszczyła praca na roli, chłopak nie pamiętał, by kiedykolwiek tak źle się prezentowały: spierzchnięte, poranione, z połamanymi paznokciami, pod które wżerały się otoczki brudu. Zamiast pięknej sukni na krynolinie i obfitych halkach, kobieta nosiła ciemną,

samodziałową sukienczynę o dość prostym kroju. Przywodziła mu na myśl mocno zubożałe zaściankowe szlachcianki, które przed tygodniem obrabował wraz ze swoją bandą, pozbawiając je nawet ślubnych obrączek.

To był jeden z tych momentów, gdy dopadła go fala skrupułów. Wszak tacy jak on mogli napaść na jego matulę, zabrać jej ostatnie wartościowe drobiazgi, a może nawet nieco ją poturbować.

Rozmawiali przez chwilę, niezbyt długo, bo musiał wracać do swoich. Choć matka zasypywała go pytaniami o to, co porabia, nie chciał nic mówić. Ona jednak musiała się domyślać. Widział to w jej spojrzeniu. Być może w tych dociekaniach było desperackie oczekiwanie, że syn zada kłam jej przypuszczeniom.

– Wróć do domu – błagała go ze łzami w oczach, choć miała świadomość, że od jego poprzedniej wizyty wiele się zmieniło.

O ile początkowo Prokop oczekiwał na powrót syna, to teraz coraz częściej wyklinał pod jego adresem. Ktoś zdążył mu donieść, że chłopak prawdopodobnie przystał do zbójów. Pewności ów osobnik wprawdzie nie miał, mówił bowiem, że równie dobrze mógł zobaczyć kogoś łudząco podobnego, ale raz zasiane ziarno wątpliwości zdążyło wykiełkować. Zachodziły więc obawy, że przez lekkomyślność Wojtka Trzosowie stracą resztę majątku. Bo gdyby tak doniesiono landwójtowi na młodego albo gdyby jakiś urzędnik uparł się, by nałożyć na Trzosów karę za bandycki proceder syna, to zostaliby pewnie całkiem z niczym, skazani na nędzę, ewentualnie na łaskę Maksymiliana Żelechowskiego, który lada moment może uznać, że nie potrzebuje już usług Trzosa.

– Nie mogę. Rozstałem się z ojcem w gniewie. On pewnie nigdy mi nie wybaczy, bo przeze mnie zabrali wam grunt. Dobrze wiem, ile dla niego znaczyła ziemia.

Bernadeta bezradnie zwiesiła ramiona. A potem spróbowała jeszcze raz dotrzeć do syna.

– Wybaczyłby ci. To dobry człowiek. Zawsze miał zrozumienie dla innych. Jestem pewna, że gdyby cię zobaczył, to serce by mu zmiękło.

On także za tobą tęskni, choć tego nie okazuje.

– Mamo… Zrozum… Nie wrócę. Domyślasz się chyba, kim teraz jestem. Gdybym pojawił się nagle wśród was, zaraz zostałbym aresztowany. Policja nas ściga, w lesie jestem bezpieczny.

Jeżeli jeszcze przed momentem miała jakieś wątpliwości co do tego, czym para się syn, to teraz skutecznie pozbawił ją złudzeń. Ich miejsce zajął paniczny strach, że chłopak może stracić życie.

– Bezpieczny? O nie, Wojtuś! Cóż to za bezpieczeństwo, gdy kryjesz się w dziczy? Spójrz tylko na siebie! Zobacz, jak ty wyglądasz. Przeglądałeś się ostatnio? Pominąwszy, żeś ladacy, jakbyś miał zaraz wyzionąć ducha, brudny jesteś jak nieboskie stworzenie. Chodzisz pewnie głodny, przemarznięty, nie dosypiasz… – Złapała go za ramiona.

– Wszystko w porządku, mamo – odparł, ujmując jej spracowane dłonie. Pochylił się, by ucałować je z czcią.

Wszyscyśmy zmarnieli – pomyślał ze smutkiem.

Wróciłby, gdyby mógł, lecz bał się więzienia. Wolał znosić trudy zbójeckiego życia, niż gnić w dusznej ciemnej celi. A kto wie, czy nie zawisnąłby na stryczku? Wiele miał na sumieniu, a gdyby trafił na nadgorliwego sędzię, to pewnie przypisaliby mu również niejedną zbrodnię, której nie popełnił.

– Powiedzże mi lepiej, matulu, co słychać w domu? Jak się miewa babcia? Co słychać u Weronisi i Zygmunta? Jak się miewają Bielakowie i Dylowie?

Kobieta westchnęła ciężko. W jej oczach zalśniły łzy.

– Babcię pochowaliśmy przed miesiącem. I tak dożyła pięknego wieku, starowinka kochana. Pusto w domu bez niej. – Pociągnęła nosem, bowiem tęskniła za świekrą.

Zamilkła. Wojtek zwiesił głowę. Ogarnął go smutek, ponieważ nie pożegnał się z Marią, a przecież to ona go bawiła, gdy był dzieckiem. Do tej pory pamiętał, jak nosiła go na rękach, pokazywała mu świat

i opowiadała dziesiątki pięknych historii, z których część była prawdziwa, a część stanowiła tylko bajanie.

– Gdzie leży? – zapytał z nadzieją, że zajrzy choć na jej mogiłę, by zmówić pacierz.

– Na cmentarzu w Niepołomicach.

– A czemu nie tutaj, w wiosce? – zdziwił się młody.

– Bo tak naprawdę to tam jest nasza parafia, choć do miasta mamy dalej – przypomniała chłopakowi.

– A co z Weroniką? Dobrze się uczy?

– Ano dobrze. Śliczny ma głos, przyjemnie posłuchać jej śpiewu. Przydałaby się dla niej dobra nauczycielka.

Znowu poczuł się fatalnie. To przez niego siostra, której przeznaczeniem były salony, nie mogła rozwijać talentu muzycznego i pobierać starannego wykształcenia.

– A Zygmunt? – odważył się zagadnąć.

– Ach! To już kawaler! – Przynajmniej teraz twarz matki się rozpromieniła. – Wyrósł, zmężniał. Robi się z niego przystojny mężczyzna. A jaki mądry! Wciąż czyta, gdyby mógł, całe dnie spędzałby nad książkami. No ale się nie da, bo w domu zawsze mamy huk roboty. A Zygmusiowi nie po drodze z gospodarką, bo przecież miał się kształcić na urzędnika – przypomniała, markotniejąc.

Poczucie winy narastało.

– To przeze mnie – bąknął chłopak. – Gdyby nie zachciało mi się iść na wojaczkę, dzisiaj Zygmunt miałby czas na lektury, a Weronika uczyłaby się śpiewu. Ty wciąż nosiłabyś piękne suknie i nie miałabyś spracowanych rąk. Pewnie wszyscy macie do mnie żal! Przepraszam, matulu.

– Ależ synku! – wykrzyknęła. – Co też ci przyszło do głowy? Nikt nie ma do ciebie pretensji, że poszedłeś walczyć o wolną Polskę. Ryzykowałeś życiem dla ojczyzny. To prawda, że konfiskata gruntu boli, a dług u Goldbluma ciąży niepomiernie. Ale jakoś sobie poradzimy.

Tylko skończ ze zbójowaniem, błagam! W powstaniu brałeś udział w słusznej sprawie, a to, co robisz teraz… – urwała. – Nie tak byłeś wychowywany – dokończyła z goryczą.

Wiedział, że należy mu się ta połajanka. Zasłużył na znacznie więcej. Nie rozgadywał się na własny temat, choć Bernadeta próbowała go pociągnąć za język. Podminowany spotkaniem, które z założenia miało choć trochę ukoić tęsknotę za domem, pożegnał matkę i czym prędzej się oddalił. Nie chciał, by ktoś zobaczył ich razem, bo to mogłoby przysporzyć jej dodatkowych kłopotów.

***

Mimo ciągłych pouczeń i kar Ludwik nie zrezygnował ze swej ulubionej zabawy, którą było naśladowanie ludzi. Gdy nie przedrzeźniał pana Borowca bądź panny Gierczeńskiej, zakradał się pod cheder[15], by obserwować nauczającego tam miejscowego rabina, a potem kiwał się w przód i tył, udając, że się modli. Czasami podbierał z domu jakieś rzeczy, z których naprędce wykonywał różne przebrania.

Tego dnia przyszło mu na myśl, by odgrywać żebraczkę.

Podczas każdej większej hecy mógł liczyć na wdzięczne audytorium w postaci kolegów. Najpierw jednak musiał solidnie przygotować się do działania. Dla niepoznaki wysmarował twarz i ręce błotem, omotał głowę starą szmatą, a na szkolne ubranie nałożył parciany wór z otworami na ręce. W czasie, gdy guzdrał się z charakteryzacją, jego koledzy już niecierpliwili się nieopodal przyległego do rynku kościoła pod wezwaniem Dziesięciu Tysięcy Męczenników, stojąc tuż przy kapliczce z figurką Matki Boskiej. Stąd mieli obserwować zapowiadane przez niego przedstawienie. Udawali, że są pogrążeni w modlitwie, by ktoś ich nie przegonił. Nikodem Zalipiak zaczął nawet odczytywać na głos mocno zatarty przez czas napis, z którego wynikało, że kapliczkę ufundowano pod koniec ubiegłego wieku w miejsce poprzedniej, pamiętającej jeszcze czasy Kazimierza Wielkiego.

– Ej, weźże nie nudź, nie jesteśmy w szkole – skarcił go Bartek. – No, gdzież ten Ludek?

– Dejże spokój. Przecież musi się przygotować – odburknął Nikodem, a potem parsknął śmiechem na widok nadchodzącego chłopaka.

Sosnowski, przebrany w zgrzebny przyodziewek, kuśtykał powoli, wspierając się o kostur. Przygarbił się, jak przystało na starą babinę. Idąc, zatrzymywał się co jakiś czas, przykładał mocno wybrudzoną dłoń do pleców i stękał, a to że boli go grzbiet, to znowuż, że stare nogi nie chcą go już nosić. Zatrzymała się przy nim nawet jakaś litościwa kobieta, z którą zamienił parę słów. Nieświadoma niczego, ujęła go pod łokieć i doprowadziła do muru okalającego świątynię. Chłopak podziękował, a potem skulił się przy furcie, wyciągnął przed siebie dłoń i skrzekliwym głosem zaczął prosić o wsparcie. Jego koledzy z trudem zachowali powagę, gdy przechodził tuż obok, by nie zdradzić go przedwcześnie wybuchami śmiechu. Dopiero gdy odszedł na bezpieczną odległość, zaczęli rechotać tak, że z oczu pociekły im łzy.

– Patrzcie, chłopaki! – syknął nagle Trzos. – Przecież to pani Sosnowska! – Wskazał palcem damę w eleganckiej sukni, która bez pośpiechu zmierzała w stronę kościoła.

– O ja cię! – westchnął przejęty Nikodem, jego rówieśnik. – Ciekawe, czy Ludek pierzchnie na jej widok.

– Ja tam obstawiam, że zostanie – stwierdził Zygmunt. – Widziałem już niejedną jego psotę. Bardziej mnie interesuje, czy rodzona matula go rozpozna. Obstawiam, że nie. Co więcej, on od niej wyciągnie krajcara.

– A ja się założę, że odkryje przebierańca i zawlecze go za kołnierz do ojca.

– Zakład? – judził towarzyszący im Bartek.

– Zakład! Daję cygaretkę, którą świsnąłem tacie – zaproponował Trzos.

– Zakład! Ja mam kilka karmelków od Blumenfruchta. – Zalipiak wspomniał o sklepikarzu, u którego najczęściej zaopatrywali się w łakocie. Podał rękę Zygmuntowi, po czym zwrócił się do kolegi niebiorącego w tym udziału: – Ty przecinasz i rozstrzygasz, kto wygrał.

– Stoi! – odparł Bartek, a następnie symbolicznie przepiłował ich połączone dłonie.

Potem cała trójka wbiła spojrzenia w Ludwika.

Czas był ku temu najwyższy, bowiem szacowną damę od chłopaka dzieliło ledwo parę kroków. Z zapartym tchem obserwowali, jak chłopak podnosi głowę, obrzuca kobietę spojrzeniem, a następnie wyciąga ku niej brudną dłoń. Sosnowska zamierzała chyba przejść obok niego obojętnie, wszak nagabujących o pomoc nie brakowało, lecz komediant uczepił się jej sukni i powiedział coś, co sprawiło, że przystanęła w miejscu. Widać było, jak grzebie w wyszywanej paciorkami torebeczce, a następnie wyjmuje z niej drobiazg i wciska go w rękę „żebraczki".

Trzos parsknął śmiechem.

– A to ci komediant! Wiedziałem, że tak zrobi! Wiedziałem! – stwierdził z triumfalnym błyskiem w oku.

– Poczekaj jeszcze trochę z tą radością – mruknął Nikodem, zawiedziony, że przegrał, choć w głębi duszy imponowała mu odwaga Ludwika oraz talent do błaznowania.

Przez moment spoglądali za odchodzącą damą. Nim Ludwika Sosnowska na dobre zniknęła za kamiennym murem okalającym kościół, jeszcze się za siebie ze dwa razy obejrzała. W pewnym momencie dało się nawet dostrzec zawahanie, jakby chciała zawrócić i podejść do „żebraczki". Nie zrobiła tego jednak, więc już po chwili Zygmunt podskoczył z uciechy i wyciągnął dłoń po karmelki. Akurat Nikodem miał w zawiniątku cztery sztuki, więc Zygmunt ocenił, że sprawiedliwie będzie, gdy najpierw pospołu wypalą cygaretkę, a następnie dla pozbycia się gorzkawego smaku każdy zje po cukierku.

Bo jakoś nie potrafiłby, niczym ostatni chytrus, samotnie raczyć się ani specjałem zastrzeżonym dla dorosłych, ani łakociami.

Gdy już Ludek porzucił swoje miejsce pod bramą kościelnego ogrodzenia i zdjął przebranie, otoczyli go i zaczęli poklepywać po plecach w dowód uznania.

– No! Kolego! Ty to masz talent do wygłupów – pochwalił go Nikodem.

– Mógłbyś każdego nabrać, skoro nie poznała cię własna matula – dodał Zygmunt z zachwytem. Sam był dość spokojny z natury, wręcz nawet trochę lękliwy. Nie miał głowy do głupstw, i choć do niedawna marzył, aby być powszechnie szanowanym urzędnikiem, wiedział, że i tak osiądzie na roli, ponieważ taka była wola jego ojca. A on nie potrafił mu się przeciwstawić, gdyż uważał, że Wojtek narozrabiał wystarczająco, by liczyło się za nich dwóch. Gdyby i on coś zawinił, dla taty byłby to dotkliwy cios. Zresztą mama często mu powtarzała, że w życiu nie można być egoistą i czasami konieczne jest zrezygnowanie z pragnień dla czyjegoś dobra.

– Bo ja, chłopaki, chcę zostać aktorem. Rodzice wciąż bywają w teatrze i bardzo chwalą odgrywane tam różne sztuki. Gdy byłem młodszy, pozwalali mej bonie, by robiła dla mnie teatrzyki kukiełkowe na wzór „dorosłych" przedstawień. I zawsze, jak na odpuście pojawia się trupa wędrownych aktorów, oglądam ich występy. Też chciałbym grać tak jak oni, choćbym miał ruszyć w szeroki świat cygańskim wozem – oznajmił, dobrze wiedząc, że ojciec nigdy nie wyrazi na to zgody. Zwłaszcza że niebawem miał rozpocząć edukację w zapowiadanym mu tarnowskim gimnazjum.

***

Przyjemnie było wracać z podróży do mieszkania, w którym czekała tęskniąca kobieta. Gustaw w pełni doceniał uroki małżeństwa i wierzył, że Eulalia wyszła za niego nie tylko z chęci zapewnienia sobie wygodnej

egzystencji, ale również z miłości. Bo on kochał ją całym sercem i do szaleństwa. Nie odczuwał zazdrości o to, że przed nim był ktoś inny – mężczyzna, który pierwszy pokosztował jej wdzięków. To nie miało znaczenia, ważne było, że teraz należała do niego ciałem i duszą, na dobre i na złe. Nie mógłby być szczęśliwszy z inną damą u boku. Żadna, nawet najpowabniejsza młoda panna, nie sprawiłaby mu tyle radości, co ta jedna ukochana, wyśniona, wymarzona.

– Udała się przechadzka? – zapytał, gdy żona wraz z teściową wróciły do domu.

Leciwa dama wyniośle skinęła głową i odeszła do swego buduaru. Cóż, nie może być idealnie! Za słodycz pożycia trzeba było zapłacić. A dla niego ową zapłatą było znoszenie kwaśnych min Gertrudy i jakieś gorzkie słowa, które czasami padały. Ot, kropla dziegciu w beczce miodu!

Na szczęście ślubna z nawiązką wynagradzała mu drobne nieprzyjemności ze strony kobiety, którą siłą rzeczy musiał akceptować w swoim domu i życiu. Gdy Parnicka zniknęła za drzwiami, Eulalia podeszła do męża i zarzuciła mu ręce na kark. Potarła nosem o jego nos, co jak zwykle rozbawiło mężczyznę. Uwielbiał drobne czułości, których mu nie szczędziła, gdy przebywali wyłącznie we dwoje. Odkąd się zaręczyli, wyraźnie odżyła, na nowo stając się tą rozkoszną trzpiotką, którą zapamiętał z dawnych lat.

– Tak, Gutku. Cudownie było spacerować pod rozkwitłymi kasztanowcami. Planty to moja najulubieńsza część miasta, oaza zieleni wśród kamienic, namiastka przyrody, z którą niegdyś miałam do czynienia każdego dnia – odparła, a następnie cmoknęła go w usta. – Ale ja już cieszę się myślą o wyprawie na Lazurowe Wybrzeże! Wyobrażam sobie, jakie tam muszą być piękne widoki – zakończyła rozmarzona.

Skorzystał z okazji, by ją do siebie choć na moment przytulić. Pocałował żonę z pasją godną nowożeńca. Nigdy nie traktował serio bzdur wypisywanych w poradnikach dla dżentelmenów. W tych periodykach podkreślano czasami, jak ważne jest zachowanie dystansu

wobec małżonki, by nie rozbudzać w niej nadmiernej ekscytacji. Ta bowiem mogła wywoływać migreny. Albo prowadzić do zdrady. On nie szczędził ukochanej czułości, obsypywał ją pieszczotami, tulił, całował i kochał się z nią z całą fantazją, jaka mu przychodziła do głowy. W blasku świec podziwiał nagie ciało ślubnej ze wszystkimi krągłościami, które są tak miłe oczom.

– Moja duszka – wyszeptał, odsuwając się od niej. – Mówiłem ci już, jaki ze mnie szczęściarz?

– Dzisiaj jeszcze nie – odparła filuternie.

– Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy! Bardziej to chyba nie jest możliwe.

Spojrzała na niego z pewnym zawahaniem. Wprawdzie pierwotnie myślała, żeby zrobić to w sypialnianym zaciszu, lecz coś ją kusiło, by już teraz zdradzić mężowi sekret noszony pod sercem. Przygryzła wargę.

– No? Chcesz coś powiedzieć? – zgadywał, gdyż niemalże dwa lata wspólnego życia nauczyły go czytania emocji z jej twarzy.

Mrugnęła ciężkimi powiekami o długich, gęstych rzęsach. A potem ujęła jego dłoń i położyła ją na swoim brzuchu, tuż nad odcięciem sukni, gdzie toaleta przechodziła z ciasno dopasowanego gorsetu w spódnicę z wyeksponowaną tiurniurą, która stopniowo zaczęła wypierać wciąż obecną w damskiej garderobie krynolinę. Eulalia uwielbiała tę nowinkę modową. Większość bogatych zdobień lokowano teraz z tyłu, spiętrzając tam falbany, kokardy i inne dekoracje.

Gustaw ze zdziwieniem przeniósł wzrok na własną rękę, którą Eulalia przyciskała do swego brzucha, potem spojrzał w oczy ukochanej – błyszczące ogromną radością.

– Czy ty… Czy my… – zająknął się, gdyż bał się użyć niefrasobliwie słów, które mogłyby zranić żonę, gdyby się okazało, że jego przypuszczenia są błędne.

– Tak, Gustawie. Jestem przy nadziei. To niesamowite, zważywszy na mój wiek!

– Kochana! O jakim wieku mówisz, aniele? O dobry Boże! – westchnął. – O tym nawet nie śmiałem marzyć!

Zaczął obsypywać jej twarz pocałunkami, to znowuż całował na przemian obie dłonie, wyrażając swą wdzięczność i bezgraniczną miłość.

***

Żył w lesie raz zbójca niemały / I był on bardzo zuchwały / Napadał na dwory / Rabował klasztory / Napadał rabował i palił [16] – podśpiewywał Wojciech, wędrując wraz z gromadą swych kamratów. Część bandy zmierzała do karczmy Na Zbóju, gdzie najczęściej świętowali swe triumfy, pozostali woleli zostać w lesie albo pod osłoną wieczornych ciemności zakraść się do swych domów i podrzucić głodującym rodzinom choć trochę jedzenia i pieniędzy.

Tego dnia mieli powody do uciechy, ponieważ złupili kupca z Kłaja, który nieopatrznie wybrał się do Wieliczki, zabierając ze sobą zaledwie dwóch ludzi. Trzosowi, prócz kilku talarów, przypadło w udziale odzienie tego nieszczęśnika, ponieważ on jeden dorównywał mu posturą. Oczywiście chętnych na żupan, sztuczkowe spodnie i solidne skórzane buty nie brakowało, ale Wojtek twardo obstawał, że to jemu należy się ten kąsek, ponieważ osobiście połaskotał kupca nożem po szyi i zmusił go, by rozebrał się do samych gaci. Dziabnął go przy tym – dość powierzchownie, bo w gruncie rzeczy nie potrzebował zabijać. No i nie chciał zanadto poplamić koszuli oraz okrycia wierzchniego, choć na białym kołnierzyku odbijała się teraz szkarłatna plama. Trzos całkowicie ją zignorował i szybko zmienił swe brudne, podarte łachy na strój godny szlachcica. Dla lepszego efektu obmył twarz w strumyku, wygładził włosy i zawiązał je w kitę na karku. Przyciął nawet i wyrównał brodę.

– Fiu, fiu! Myślałby kto, żeś ty jakiś dziedzic! – Florek zagwizdał na jego widok.

– A jak! – odparł hardo Trzos, wypinając dumnie klatkę piersiową. – Trza umieć się nosić!

Reszta zgrai też zerkała na niego z podziwem, choć zasadniczo przyodziewku nieszczególnie mu zazdrościli. Najbardziej żal im było butów. Ale i oni nieźle się obłowili, odzierając z ciuchów dwóch towarzyszy kupca. Jednego z nich puścili wraz z nim boso. Drugi zanadto stawiał opór, próbował bronić swych rzeczy, stawał do bitki z bandziorami. To nie była wina zbójców, że nadział się na sztylet. Jakby był posłuszny, zachowałby życie.

Gdy dotarli do Małej Wsi, zostawili jednego człowieka na czatach przed gospodą. Pozostali wpadli z impetem do izby, płosząc okolicznych parobków. Ci już wiedzieli, że gdy przychodzą zbóje, trzeba im ustąpić najlepszych miejsc, bo wdawanie się z nimi w bijatyki zwykle kończyło się rozlewem krwi. Rabusie rozsiedli się wygodnie i zaczęli krzyczeć na Żyda stojącego za szynkwasem, by podał im gorzałkę oraz jadło. Zaraz też kazali se grać do tańca, bo do karczmy przyszło tego wieczoru kilka ładnych i niezbyt cnotliwych dziewek, które złaknione były dobrej zabawy. Ubogie dziewczyny często zachodziły w to miejsce, licząc właśnie na to, że spotkają bandę rozbójników. Za bratanie się z łotrzykami niejedna została wysmagana później przez bliskich rzemieniem lub pasem. Ale zdarzało się również i tak, że gdy w chałupie piszczała nędza, rodzice sami wypychali córki do gospody, licząc, że zdjęty litością bandzior zapłaci niecnotliwej pannie florenem lub choć kilkoma krajcarami za skorzystanie z jej wdzięków. Albo da worek mąki, bochen chleba czy świeżo upolowanego zająca.

Wojciech zdążył już porządnie sobie pojeść, wypił też trochę gorzałki. Siedział teraz, wodząc wzrokiem po dziewczęcych liczkach, szukając oczami tej, z którą mógłby pójść w tany. Jego uwagę przyciągnęła skromnie ubrana panna o grubych, ciemnych warkoczach i różanych ustach. Była dość drobna, wręcz niepozorna, lecz w niewinnym wyrazie twarzy miała coś urzekającego. Przyszła z dziewkami, które już wcześniej tu widywał, lecz jej na pewno do tej pory nie spotkał. Gdy na

moment podłapał harde spojrzenie, poczuł szybsze uderzenie serca. Już wiedział, że musi z nią zatańczyć, a najlepiej tak ją zbałamucić, by poszła z nim na przechadzkę i dała sobie skraść coś więcej niż tylko całusa. Zakładał, że przyszła do gospody po to, by szukać szansy na poprawę swej doli. Może miała liczne, wiecznie głodne rodzeństwo, może zniedołężniałych, biednych rodziców? Może nawet to oni ją tutaj przysłali w nadziei, że przyniesie do domu choć parę krajcarów albo jakieś dobro pochodzące ze zbójeckich łupów?

Nie wygląda mi na taką – stwierdził, mierząc ją spojrzeniem.

Przez jedną krótką chwilę zapragnął nie być zbójem, ale szlachetnym paniczem – kimś, kogo chcieli w nim widzieć jego bliscy, na kogo próbowała go wykierować matka pospołu z ojcem.

Odstawił na ławę kufel, który zdążył opróżnić z piwa. Otarł kciukiem wąsa, wstał i wygładził żupan. A potem pewnym krokiem podszedł do dzierlatki. Pokłonił się delikatnym ruchem głowy i wyciągnął ku niej dłoń.

– Zatańczy panna ze mną? – zapytał.

W pierwszej chwili zamarła, jakby nie była pewna, czy chodzi mu o nią. Zerknęła nawet na tkwiące po bokach koleżanki – znacznie ładniej ubrane, strzelające oczami w stronę co przystojniejszych parobków. Potem jednak zrobiła krok naprzód, ponaglona ich wymownymi kuksańcami. Podobał jej się stojący przed nią mężczyzna. Wyglądał na wielkiego pana, lecz dobrze wiedziała, że musi być rozbójnikiem. Żaden dżentelmen nie siedziałby przy jednym stole z leśną zgrają. Gdy w tańcu przyjrzała mu się trochę uważniej, dostrzegła zaschniętą brunatną plamę na kołnierzyku koszuli. Nie zasłonił jej nawet fantazyjnie zamotany halsztuk. Ale czy prosty kmieć, który wszedł na przestępczą drogę, potrafiłby tak godnie się nosić? Czy wiedziałby w ogóle, jak zawiązać dekoracyjną chustę pod szyją?

– Jak się nazywasz? – zapytał Wojtek znacznie później, gdy na moment muzycy przerwali granie, naradzając się nad wyborem kolejnej piosenki.

– Dominika Gdula. A wy jak się zwiecie? – Nie chciała ryzykować bezpośredniej formy, „pan” także nie przechodził jej przez gardło.

– Jestem Wojciech Trzos. Ziemianin spod Niepołomic.

– Taa… Ziemianin… A krew na koszuli to ślad po brzytwie, którą was ogolił pokojowiec? – zakpiła rezolutnie. – Siedzieliście ze zbójami, więc pewnie do nich należycie. Wyście herszt tej bandy? – Wskazała ruchem głowy.

– Spostrzegawczaś! – Parsknął śmiechem. – A choćbym nawet był zbójem, to co? Lękałabyś się pójść ze mną na spacer?

– Hola, hola! Lękać to ja się mogę jedynie ojcowskiej rózgi. A na spacery z kawalerami nie chodzę.

– Ale przyszłaś na tańce do karczmy.

– Bo mnie przyciągnęły kuzynki – odparła, hardo spoglądając mu w oczy. – Ja nie taka. Nie myśl sobie, Wojtku rozbójniku!

– A jaka jesteś? – zapytał, zezując na jej klatkę piersiową. Jak na złość Dominika miała wysoko zapiętą koszulę, więc nie był w stanie dostrzec owych wypukłości, które zawsze tak ciągną chłopa do baby.

– Inna – rzuciła krótko. – Pójdę już.

Chciała odejść, lecz złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie tak, że aż oparła się o jego tors. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Z zaskoczeniem skonstatował, że w jej oczach nie ma ani strachu, ani zachwytu, jakie widywał u innych dziewcząt. Akurat kapela podjęła na nowo grę, więc po prostu pociągnął Dominikę w tany.

W następnej przerwie znowu zaczął ją zagadywać, by z nim wyszła, ale stanowczo odmówiła. Podziękowała także za gorzałkę. Skusiła się jedynie na miodową kukiełkę, zaznaczając jednak, by nie liczył na wdzięczność za poczęstunek. Bo ona przyszła do gospody wyłącznie dlatego, że kuzynki nie chciały jej odpuścić.

Spodobała mu się jeszcze bardziej. Widać było, że nie jest płochą dziewką, która szuka jedynie korzyści. Inna od razu poszłaby z nim

w krzaki za gospodą albo na stóg siana. A przynajmniej próbowałaby się trochę potargować.

– Oj! Zalazłaś mi za skórę! – Zaśmiał się w pewnym momencie. – Z chęcią dobrałbym się do twojego wianeczka. Dałabyś mi siebie pokosztować!

– Nie dla psa kiełbasa – burknęła niby gniewnie, lecz w jej ton wdarła się miękka, zdradziecka nuta. – A dawać będę jeno ślubnemu!

Zabawa trwała w najlepsze, gdy nagle do izby wpadł stojący na czatach Bartłomiej i krzyknął, że z dwóch stron nadciągają jacyś jezdni. W pierwszym momencie nikt go nie usłyszał, bo w pomieszczeniu panował gwar, a dodatkowo grała muzyka. Dopiero po jakimś czasie dotarło do bandziorów, że mogą być w niebezpieczeństwie. I rzeczywiście już po chwili karczmę zaczęli okrążać żandarmi, szykując broń do oddania strzału.

– Wychodzić z rękami do góry! – zabrzmiał rozkaz wydany gromkim głosem.

– Psiakrew! Jesteśmy w pułapce – krzyknął Florek z Suchoraby.

W gospodzie zapanował rejwach. Dziewuchy podniosły pisk. Miejscowi chłopi od razu rzucili się do drzwi, licząc na to, że do nich nikt nie będzie mierzył. Od bandziorów z lasu różnili się znacznie schludniejszym wyglądem, więc istniała szansa, że Austriacy zostawią ich w spokoju.

– Wracaj do swoich! – krzyknął Wojtek do Dominiki, popychając ją delikatnie ku drzwiom.

– A ty? – Po raz pierwszy w jej oczach zobaczył odrobinę lęku.

– Złego diabeł nie weźmie – odparł, a potem wycisnął na jej ustach szybkiego całusa. – Jeśli ocalę skórę, to cię znajdę.

Upewnił się, że opuściła izbę, a potem zaczął szukać wzrokiem Kurdziela. Dostrzegł jego rudawą czuprynę pomiędzy resztą kamratów. W tym chaosie, podczas gdy niemalże wszyscy naraz zaczęli napierać na drzwi, część zbójców szybko odbywała naradę.

Do tej pory zawsze wywijali się z tarapatów. Już niejeden raz zasadzali się na nich żandarmi. Teraz jednak szanse ucieczki przedstawiały się kiepsko. Mimo wszystko postanowili się bronić. Co kto miał, każdy łapał do ręki. Czy to bagnet, czy nóż, czy zwykły toporek. Paru bandziorów miało nawet pistolety, choć z kulami bywało krucho.

– Wychodzić! Jesteście okrążeni!

Faktycznie żołnierze stali z każdej strony budynku, widać ich było przez okna.

Żyd, u którego się bawili, podniósł lament, że puszczą mu z dymem gospodę.

– Trzeba stąd umknąć fortelem – stwierdził Trzos. – Wmieszajmy się w tutejszych, może nam się uda.

– Tobie pewnie tak, bo wyglądasz jak panicz. A mnie ukatrupią – jęknął Mietek.

– Spokojna głowa – rzucił przyjaciel. – Jeśli mój koncept wypali, to znajdę sposób, by w razie czego wyciągnąć cię z opresji.

Ludzi, którzy opuszczali karczmę, zabierano od razu na bok. Dziewki przegnano do chałup. Kilku kmieciom także pozwolono odejść, gdyż nie budzili podejrzeń. Ale za to bez trudu z tego tłumu wyłuskano paru rzezimieszków. Tych od razu wprawnie rozbroili Austriacy, pętając ich jak bydło i nie żałując przy tym kopniaków oraz kuksańców.

Wojtek i Mietek próbowali wmieszać się w tłum, lecz brudny jak nieboskie stworzenie Kurdziel od razu wzbudził podejrzenia. Żandarmi odwlekli go na bok, złoili pasami w tyłek i związali mu ręce pospołu z nogami. Trzos miał więcej szczęścia. Czysty żupan i śnieżnobiała koszula wzbudziły zaufanie. Wojtek z miną wielkiego pana, wyprostowany niczym struna, bez pospiechu przedefilował pod nosem mundurowych.

Odszedł kawałek od karczmy, wokół której wciąż panował chaos, i przyczaił się za masywnym pniem przydrożnej wierzby. Ze swego miejsca uważnie przypatrywał się rozwojowi wypadków. A gdy uznał, że

nic mu nie zagraża, podszedł nieco bliżej i dał nura w krzaki. Z tej kryjówki widział żandarmów szykujących się do wykurzenia opryszków z gospody. Nie było ich wielu, Trzos szybko porachował, że to jego kamraci mają przewagę liczebną. Czynnikiem sprzyjającym mógł też być zapadający zmierzch, choć akurat wypadała pełnia i srebrny talar księżyca stał już wysoko.

Niewątpliwym atutem Austriaków było solidne uzbrojenie. Zapewne nie przyszli tutaj w celu urządzenia zasadzki. Być może przechodzili gościńcem i przypadkowo dowiedzieli się o balujących rzezimieszkach. A ponieważ od dawna próbowali ich pojmać, potraktowali to jak kolejną okazję.

Schwytanych zostało czterech rozbójników, w tym Mietek i Florek. Pozostali wciąż tkwili w gospodzie. Do pilnowania związanych jeńców wyznaczony został jeden żandarm, reszta usiłowała wedrzeć się do budynku, w którym zabarykadowali się członkowie bandy, tarasując drzwi.

Co robić? – rozmyślał gorączkowo Wojtek.

Mógł próbować na własną rękę zmierzyć się z uzbrojonym po zęby człowiekiem, by uwolnić czterech kamratów. W piątkę zdołaliby może pomóc uwięzionym w karczmie zbójom. Zostało ich wewnątrz kilku – no, chyba że któremuś poszczęściło się podobnie jak Trzosowi.

Alternatywą było wezwanie posiłków z lasu, lecz czy zdążyliby wrócić na czas?

Nie było wyjścia, musiał działać w pojedynkę. Miał przy sobie pistolet i parę kul, lecz wolałby uniknąć strzelaniny, by nie robić zbędnego hałasu. Huk wystrzału na pewno przykułby uwagę mundurowych.

Chłopak bezradnie rozglądał się w gęstniejącym mroku. Nagle dostrzegł wystający z trawy porzucony kołek, być może pozostałość jakiegoś parkanu. Wyszarpał go z zarośli i z zadowoleniem dostrzegł, że na jego końcu zamotany jest kawałek drutu, a z drewna sterczą gwoździe. *Idealna maczuga* – ucieszył się w duchu.

Cicho niczym kot podkradł się bliżej pojmanych. Plan był prosty: musiał zajść Austriaka od tyłu, zdzielić go w głowę, a następnie uwolnić towarzyszy. Na szczęście prócz chwilowo bezużytecznego pistoletu miał przy sobie również solidny nóż – ten sam, który rano zapewnił mu świeży przyodziewek i kilka talarów zarobku.

Gdy znalazł się tuż za plecami żandarma, wziął solidny zamach. Trochę się przeliczył, a może nerwy wzięły górę, bo zamiast ogłuszyć, pacnął go zdecydowanie zbyt lekko. Ten, zaskoczony, wydał z siebie krzyk bólu. Potem odwrócił się do Wojtka, wyjmując z kabury rewolwer. Nie było na co czekać. Trzos ponownie uniósł swój oręż i poprawił mundurowemu. Teraz mężczyzna z cichym jękiem osunął się na kolana, a następnie padł twarzą wprost w pokrzywy. Wojtek bezzwłocznie doskoczył do kompanów i zaczął im rozcinać więzy. Najpierw uwolnił Mietka, który od razu rzucił się do ucieczki, potem przerżnął sznur na nogach Florka. Nie dane mu było zbliżyć się do trzeciego jeńca, ponieważ żandarmi, zaalarmowani krzykiem zaatakowanego przez Trzosa towarzysza broni, oddali w jego stronę kilka strzałów. Wojtek kątem oka zauważył, że już biegną w ich kierunku.

– Chodu! – krzyknął do uwolnionego kompana, lecz w tym samym momencie dosięgły ich kule.

Trzos poczuł coś jakby ukąszenie w lewe ramię, mimo to nie zatrzymał się nawet na moment. Pędził co tchu przez kapuścisko, raz po raz utykając o wyrastające tam główki. Odruchowo złapał się prawą dłonią za pulsujące bólem miejsce. Pod palcami poczuł ciepłą krew. Zaryzykował zerknięcie przez ramię w chwili, gdy austriacka kula dosięgła Florka. W świetle księżyca doskonale widział, jak kamrat pada pomiędzy zagonami. Gdyby nie to, że nad głową świsnął mu kolejny pocisk, pewnie zatrzymałby się, by sprawdzić, czy może mu pomóc.

Sam opadał już z sił, lecz na szczęście ciemności zgęstniały, gdyż chmury zasłoniły miesiączek, dając Wojtkowi jakie takie schronienie. Jak na złość rozbójnik całkowicie stracił orientację w terenie i nie miał

pojęcia, czy zmierza w stronę lasu. Kapuścisko się skończyło, przed nim była jakaś zagroda. Pomiędzy rosochatymi drzewami widział okno oświetlone lichym światłem łojówki. Słyszał także ujadanie psa. Zwolnił trochę, gdyż uznał, że wystarczająco daleko odbiegł od gospody. W tych warunkach nie było szansy na to, aby tam wrócić i cokolwiek zdziałać. Osłabiony upływem krwi potrzebował chwili wytchnienia.

– Psiakrew, pobłądziłem! – wysapał, zatrzymując się pod rozłożystym drzewem. Wiedział, że będzie musiał przeczekać tutaj aż do świtu, bo nocą mógłby jeszcze bardziej oddalić się od lasu.

Usiadł, wciąż uciskając krwawiące ramię. Musiał je koniecznie opatrzyć, najlepiej zalać gorzałką, by się nie wdała gangrena. To było chyba najgorsze, co mogłoby mu się przydarzyć. Był swego czasu w ich zgrai jeden chłopak, który zaliczył kulkę w łydkę. Próbował sam leczyć nogę, okładając ją jakimś zielem, lecz po kilku dniach zaczęła mu puchnąć. Rana się rozjadziła, ciało wokół niej zmieniło barwę na siną, potem czarną. Nieszczęśnika trzęsło jak w febrze, bo dostał gorączki. Skonał po kilku dniach okropnego cierpienia, gdy już nawet błagał kamratów, by mu ucięli przestrzelonego kulasa.

Głupio byłoby zdechnąć, skoro cudem umknąłem – stwierdził.

Z oddali dobiegały krzyki i odgłosy strzelaniny. Słychać było także tętent kilku koni, co świadczyło o tym, że żandarmi otrzymali dodatkowe wsparcie. Psy ujadały już tak, że ich zgiełk wrzynał się czaszkę. Nagle tuż przed nosem Wojtka śmignął ktoś na wierzchowcu, za nim jechał drugi człowiek, nawołując po niemiecku.

Psiakrew! Wszędzie pełno Austriaków – zmartwił się chłopak.

Mimo wszystko postanowił, że zakradnie się pod chałupę. Poszuka studni, uciągnie wody i spróbuje przemyć miejsce postrzału. A potem zawinie newralgiczne miejsce podartą na pasy koszulą z delikatnego batystu. Cóż, nie nacieszył się zbyt długo zdobyczą.

Usiadł i zaczął obmacywać postrzelone ramię. Rana pulsowała bólem, lecz nie czuł pod palcami kuli. Nie był też przestrzelony na wylot. Wyglądało mu to na draśnięcie. Nawet krew nie płynęła już tak obficie

jak w chwili, gdy oberwał. Miał więc powody do zadowolenia, co nie zmieniało faktu, że powinien doprowadzić się do porządku.

Przez moment odpoczywał, spoglądając na ubogie domostwo. Księżyc wyszedł zza chmury, oświetlając pełne rupieci podwórze. Młody rozbójnik dostrzegł zarys cembrowiny oraz żurawia, więc ostrożnie podkradł się bliżej, ignorując ujadanie kundla stróżującego przy obejściu. Zewsząd dobiegało szczekanie, widać psy węszyły Austriaków, którzy wciąż panoszyli się we wsi oraz wokół karczmy. Trzos, nie spuszczając oczu z chałupy, przycupnął obok studni.

Nagle drzwi się otwarły i zamajaczyła w nich wiotka, kobieca postać. Prawdopodobnie była to panna, gdyż w mdłym świetle księżyca Trzos wyraźnie dostrzegł dwa warkocze. Mężatka nosiłaby chustkę, a przynajmniej miałaby włosy zawinięte w skromny węzeł na karku. Dziewka niosła ze sobą wiadra, zapewne szła nabrać wody.

Starał się zachowywać jak najciszej, gdy podeszła do studni.

– O Matulu Przenajświętsza, nie pozwól, by mnie jakieś licho wciągnęło do głębi – wyszeptała, pochylając się nad cembrowiną. – Idźcie spać, utopce. Też se stary umyślił, by mu po nocy wodę przynosić – burknęła sama do siebie.

Głos wydał się Wojtkowi znajomy. Przesunął się trochę, próbując dojrzeć twarz dzierlatki. Nagle jego serce znowu zaczęło niespokojnie łomotać, rozpoznał Dominikę.

A to ci dopiero! – ucieszył się, że przypadkowo trafił właśnie do jej zagrody. – *Gdybym szukał panny specjalnie, pewnie nie miałbym tego szczęścia.*

Odczekał, aż dziewczyna wyciągnie pierwsze wiadro, a potem ostrożnie zaszedł ją od tyłu. Złapał Dominikę wpół jedną ręką, dłonią drugiej zatkał jej usta, dławiąc okrzyk, który już rodził się w gardle.

– Cii! Nie krzycz, nic ci nie zrobię – usiłował ją uspokoić, lecz wierzgała niczym młoda klacz, próbując mu się wyrwać. Chciała go nawet ukąsić, lecz dłonie po ojcu miał wyjątkowo masywne, podobnie

zresztą jak całą posturę. – Cii... to ja, Wojtek – syknął jej wprost na ucho. – Nie piśniesz? – zapytał.

Pokręciła głową, więc zabrał dłoń. Potem odwrócił dziewczynę twarzą do siebie. W świetle księżyca zalśniły jej oczy.

– Wojtek? Tyś to? – upewniła się, uważnie na niego spoglądając.

– No przecież mówię, że ja.

– Zdołałeś uciec przed żandarmami? Przecież wszędzie ich pełno, są w całej wsi. Pod karczmę dotarła zaledwie garstka.

– Jak widzisz, uciekłem.

– Czego chcesz? Zamierzasz mnie zgwałcić?

– Oszalałaś? Niby po co? Jeszcze mi żadna nie odmówiła. Ty też nie odmówisz – stwierdził buńczucznie.

– To się jeszcze okaże. Po coś tu przyszedł?

– Muszę gdzieś przeczekać, aż się Austriacy wyniosą. Strzelali do nas. Zabili mi kompana.

– A tobie nic nie jest?

– Dziabnęli mnie kulką, ale to drobiazg – oznajmił.

– Na pewno? Może trzeba opatrzyć?

– Przydałoby się choć przemyć.

– Pomogę ci, siedź tu. Wiem, gdzie rośnie babka, przyłożymy do rany parę liści.

Po zrobieniu prowizorycznego opatrunku zaprowadziła go do stodoły na świeże siano. Tam Wojtek złapał ją w objęcia i obsypał pocałunkami, usiłując jednocześnie zadrzeć dziewczynie spódnicę. Dominika zgrabnie mu się wywinęła. Oznajmiła, że musi wracać do chałupy, bo inaczej ojciec zacznie się niepokoić i jeszcze gotów posłać kogoś w ślad za nią. Obiecała jednak, że gdy stary pójdzie spać, to wróci i trochę z nim posiedzi. Ale niech se Wojtek nie myśli, że coś u niej wskóra, bo ona nie jest taka.

***

Czas upływał. Wieś z wolna milkła, psy poszły spać. Widać Austriacy wynieśli się na dobre, zabierając ze sobą aresztowanych rozbójników. Wojtek martwił się o swoich kamratów. Intuicja podpowiadała mu, że niejeden z nich został pojmany. Ciekaw był, czy zabili jeszcze kogoś prócz Florka.

Z zadumy wyrwał go szelest siana. To Dominika skradała się w mroku.

– Jesteś tu jeszcze? Żyjesz? – zapytała szeptem, nie mogąc go znaleźć, bo wbił się w sam kąt stodoły na wypadek, gdyby przyplątał się tu ktoś inny.

– Żyję, żyję! Jestem tutaj – odpowiedział.

Już po chwili siedziała obok Wojtka. Czuł ciepło bijące od jej ciała.

– Jak to się stało, że dołączyłeś do zbójów? – zagadnęła. – Nie wyglądasz na jednego z nich.

Zaczął więc opowiadać Dominice historię swego życia, począwszy od tego, jak pragnął zostać kolejarzem, potem jak wojował z Moskalami, a na ostatek jak bardzo zawiódł pokładane w nim nadzieje rodziców.

– Nie tęskno ci za domem?

– Czasami – odparł dość powściągliwie.

Wstyd by mu było się przyznać, że on, chłop liczący dwadzieścia trzy lata, często marzy o tym, by cofnąć czas i wrócić pod matczyne skrzydła. Pragnął znów, jak przed laty, ułożyć głowę na jej podołku i poczuć ciężar pieszczotliwej dłoni, muskającej jego skroń. Zasłuchać się w historie bajane przez leciwą staruszkę, poprzezbywać z Zygmuntem i Weroniką. Ckniło mu się nawet za ojcem, choć ten nie skąpił mu strofowania i chciał go uczynić rolnikiem.

Nie, nie rolnikiem – poprawił w myślach samego siebie. – *Pragnął we mnie zobaczyć wielkiego pana, który przemierza wierzchem włości, a do pracy najmuje parobków.*

Właściwie sam nie potrafił sobie racjonalnie wyjaśnić, czemu wybrał zupełnie inne życie. Czy to była młodzieńcza przekora? Żądza przygód? Chęć postawienia na swoim? Teraz wiele dałby za to, by znowu tam być, lecz na wszystko było za późno. Zaraz złapaliby go żandarmi i wsadzili do ciupy za zbójowanie. Może nawet oberwałoby mu się za udział w powstaniu. Był przekonany, że w takim przypadku czekałby go stryczek. A on chciał żyć! Kochać, śmiać się i bawić.

Skoro zaczęło świtać, z żalem pożegnał przysypiającą w jego objęciach Dominikę. I choć nie zerwał jej wianuszka tej nocy, czuł, że wypełniła mu serce i umysł na dobre.

Sęk w tym, że nie powinien jej bałamucić. Nie miał tej dziewczynie nic do zaoferowania. Przecież nie zabierze ukochanej ze sobą do lasu na poniewierkę wśród zbójów. Nie poślubi Gdulanki, by żyć z nią w chałupie jej rodziców, bo zaraz znaleźliby go Austriacy. A choćby to wszystko się nie wydarzyło: nie było powstańczej tułaczki i zbójowania, gdyby był ziemianinem, to i tak nie mogliby być razem, bo gdzieżby ojciec z matką dopuścili, by się żenił z taką bidulą? Prawdopodobnie chcieliby dla niego prawdziwej damy. Może szlachcianki ze zubożałego rodu, może córki równie zamożnych kmieci, może kupcówny, ale na pewno nie wynędzniałej dziewuchy, która nawet do karczmy na tańce przychodzi w zgrzebnej koszulinie i wyświechtanych spódnicach.

Ech... Gdybym ją poznał w innym życiu... Może los dałby nam szansę?

Jeszcze nigdy nie wracał z takim przygnębieniem w leśne ostępy. Wlókł się noga za nogą. Zważał jedynie na to, czy ktoś za nim nie idzie, usiłując wypatrzyć, gdzie zbójcy mają swoje kryjówki. A kiedy dołączył do swoich, ze smutkiem odkrył, że tylko on i Mietek Kurdziel uszli z austriackiej zasadzki. Reszta została wybita bądź spętana niczym bydło i pognana przed oblicze landwójta.

Druhowie powitali go entuzjastycznymi okrzykami, ciesząc się, że choć on ocalał. Wymienił z Kurdzielem braterski uścisk, a potem opowiedział o ucieczce przez kapuściska i nocy spędzonej w stodole.

Nie wspomniał tylko o Dominice – rozum mu podpowiadał, że powinien wyrzucić ją z pamięci.

Rozdział 4.

Anielski puch

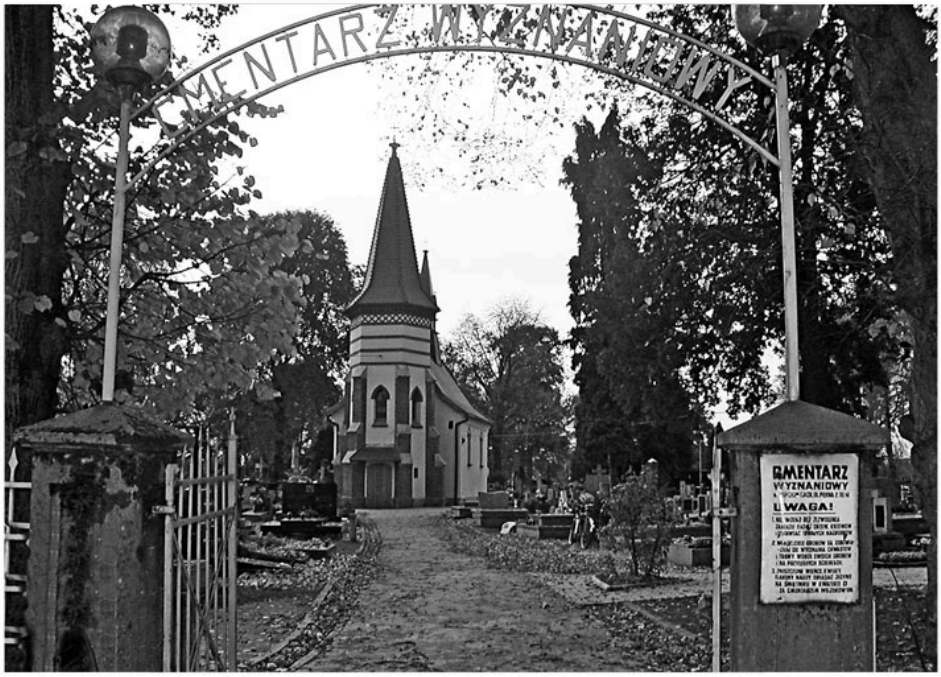

Cmentarz w Niepołomicach

Z nastaniem lata samopoczucie Eulalii uległo znacznemu pogorszeniu. O ile wcześniej dokuczały jej tylko mdłości i senność, to teraz kobiecie zaczęły puchnąć nogi, często słabła i wręcz traciła przytomność. Nie pomagali sprowadzani do niej doktorzy, całe dnie spędzała w łóżku, pod czujnym okiem matki, która niczym cerber strzegła spokoju córki, nie dopuszczając do niej niemalże nikogo. Nawet Gustaw niewiele czasu spędzał z żoną, ponieważ Gertruda bez ceregieli odsyłała go z buduaru Eulalii, gdy tylko dochodziła do wniosku, że zbyt długo się u niej zasiedział.

– Eulalia potrzebuje wypoczynku. Stan błogosławiony w jej wieku to poważne ryzyko! Jak w ogóle mogło do tego dojść? – łajała zięcia podczas obiadu. Siedzieli w jadalni sami, gdyż Zaleskiej obiad zaniosła służąca.

– Mówi mama tak, jakby nie znała życia – żachnął się Gustaw.

– Och! Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Wy, dżentelmeni, podobno znacie różne sposoby… no wiesz, co mam na myśli – odparła, płoniąc się niczym młode, niewinne dziewczątko.

W głębi duszy mężczyzna przyznawał jej rację. Ani przez jeden krótki moment nie brał pod uwagę, że Eulalia może zajść w ciążę. Zakładał, że skoro pierwszemu mężowi nie urodziła potomka, choć ze sobą obcowali, to jest po prostu bezpłodna. Oczywiście bardzo się cieszył, że zostanie ojcem, lecz jednocześnie truchlał wręcz ze strachu o ukochaną. Faktycznie mógł przedsięwziąć jakieś kroki. Wiedział, do czego służą pewne wyroby z gumy, o których nawet w zaufanym towarzystwie mawiano wyłącznie szeptem. Były też inne metody, którymi posługiwano się z dawien dawna.

Nie! Nie mógłby tego zrobić ukochanej! Jakże by to było, gdyby zaproponował żonie podobne bezeceństwo? Jakże by to było, gdyby dał jej odczuć, że nie chce, by była brzemienna? Przecież pragnął maluszka, który zagnieździł się w jej brzuchu. Wprawdzie wcześniej nie śmiał

nawet o tym marzyć, lecz który mężczyzna nie chce zachować ciągłości rodu?

Po skończonym posiłku Zaleski wstał i odłożył na stół serwetkę.

– Zajrzę do Eulalii – powiedział.

– Tylko jej nie męcz zbyt długą pogawędką. Jest wyczerpana, powinna jak najwięcej spać.

Pokiwał głową i odszedł. Zatrzymał się przed drzwiami buduaru i delikatnie w nie zastukał, by w razie czego nie budzić żony.

– Proszę – dobiegło wezwanie, więc nacisnął klamkę i wszedł.

Eulalia była blada, leżała pośród pościeli, w której zdawała się tonąć. Mężczyzna podszedł bliżej i przysiadł na fotelu stojącym obok posłania.

– Gucio! – ucieszyła się kobieta i wyciągnęła ku niemu rękę. Ostrożnie podciągnęła się do pozycji siedzącej. – Jak dobrze, że do mnie zajrzałeś. Tak mi tęskno za tobą…

– Aniele mój, wybacz. Miałem parę spraw do załatwienia, lecz teraz zostanę przy tobie – odparł, ujmując delikatnie jej obrzmiałą dłoń. Wiedział, że bywają chwile, gdy każdy dotyk sprawia jej ból, lecz mimo to delikatnie musnął wargami skórę. – Jak się dzisiaj miewasz?

– Znacznie lepiej – zapewniła.

Powtarzała to każdego dnia od trzech tygodni, a jednak wciąż spędzała całe dnie, leżąc. Domyślał się, że żona po prostu nie chce mu przysparzać zmartwień.

– Wiesz, Guciu? Tak się cieszyłam na ten wyjazd do Francji. Marzyłam o nim – zaczęła. – Ale teraz już wiem, że nic z tego. Podróż koleją nie jest na moje siły. Muszę zostać w domu. Nie wydobrzeję w tak krótkim czasie. Będę za tobą tęskniła.

– Nie będziesz. Ja także nigdzie nie pojadę.

– Ale jak to? – wyraziła zdziwienie, gdyż mąż od kilku dni czynił przygotowania do podróży, w którą planowo mieli wyruszyć za tydzień.

– Zostaję w domu. Odwołałem mój wyjazd.

– Ależ nie! Nie możesz tego zrobić! Musisz jechać! Mną się nie przejmuj! Dzięki tobie odwiedziłam Wiedeń, Pragę i Rzym. Gdyby nie to, nigdy nie miałabym okazji zobaczyć na własne oczy cesarzowej Sissi. Ach! Jaka ona piękna! – Wróciła wspomnieniami do audiencji, podczas której z oddali mogła podziwiać Elżbietę Bawarską. Choć nie dostąpiła zaszczytu bycia przedstawioną, to i tak pozostawała pod jej wrażeniem. – A Włochy? Cóż to za śliczny kraj! I ten wspaniały klimat… Ech… Marzenie spełnione wyłącznie dzięki tobie! Czy to mało? W całym życiu nie odbyłam tylu podróży co w ostatnich dwóch latach. Juliuszowi i Maksowi będzie przykro! Cecylia mówiła, że obydwaj młodzieńcy nie mogą się doczekać wyjazdu.

Bratowa gościła u nich w ubiegłym tygodniu. Przyjechała do Krakowa na krótko, odwiedziła w tym czasie rodziców, zrobiła jakieś zakupy, była nawet w teatrze. A potem czym prędzej wróciła na prowincję, gdzie miała dopilnować sianokosów. Ostatnimi czasy rozmiłowała się w doglądaniu gospodarstwa i o ile jeszcze przed paru laty tęskniła za miastem, to teraz najchętniej przebywała w domu. Niesamowite, jak wszystko potrafiło się zmienić! Tuż po tym, jak poległ Antoni, Eulalia była głęboko przekonana, że Cecylia zechce wrócić do rodzinnego Krakowa. Tymczasem mijały lata, a ona zdawała się odżywać właśnie w majątku pod Niepołomicami.

– Chłopcy pojadą – oznajmił Gustaw. – Napisałem dla nich listy polecające do kilku moich dobrych znajomych. Jestem głęboko przekonany, że zostaną tam dobrze przyjęci. Odbędą swoją upragnioną podróż. A my… My pojedziemy na Lazurowe Wybrzeże za rok, najdalej za dwa lata. Teraz ważniejsze jest, abyś nabrała sił.

– Och… Gustawie… nie wiem, co powiedzieć – westchnęła zafrasowana. – A twoje interesy?

– Przeżyjemy bez tego. Osiągam wystarczające profity, abym mógł odpuścić kolejną transakcję. Nie wyobrażam sobie natomiast, abym miał cię zostawić samą. Każdego dnia umierałbym z niepokoju o ciebie,

niecierpliwie wyczekując listów. Jesteś moim największym szczęściem i miłością. Nie zniósłbym rozłąki.

– Naprawdę?

– Oczywiście, kochana. Przecież wiesz, że latami skrycie o tobie marzyłem. Nie przestałem cię kochać nawet wówczas, gdy byłaś żoną innego.

– Mój ty słodki głuptasie – rozczuliła się kobieta. Pogładziła męża po policzku. – Dlaczego nie starałeś się o mnie, gdy byłam panną?

– Przyjęłabyś mnie wówczas?

– Tak, miły. Mnie także już wtedy serce żywiej biło, ilekroć u nas gościłeś.

– Tylko wtedy? – zapytał, uśmiechając się szelmowsko. – Ha! *Kobieto! Puchu marny! Ty wietrzna istoto!*[17] Co znikało z oczu, to umykało i z serca?

– Och nie, Guciu! Źle wyraziłam swe myśli. Tęskniłam za tobą i wtedy, gdy byłeś daleko. Chciwie łowiłam każdą wieść, jaka o tobie przychodziła. Lubiłam spędzać czas z Cecylią, nie tylko dlatego, że była moją bratową, ale również z twojego powodu. Bo będąc blisko niej, miałam zawsze świeże nowiny. Dobrze wiesz, że zwlekałam z zamążpójściem, aż zaczęto nazywać mnie kandydatką do staropanieństwa. Wyszłam za mąż, bo tak za mnie postanowiono. Antoni uznał, że to będzie dla mnie odpowiednia partia – tłumaczyła szybko, choć już wcześniej zdążyła o tym wszystkim napomknąć mężowi.

Rozczuliła go tymi słowami. Sprawiała wrażenie zagubionej i kruchej. Żeniąc się z nią, miał obawy, czy będzie go szanowała. Czy pewnego dnia nie zarzuci mu, że jest tylko kupcem, który nie jest godny obcowania z kimś takim jak ona. Nigdy nic podobnego się nie przydarzyło. Czasami wręcz odnosił wrażenie, że Eulalia ma na ten temat zgoła odmienne zdanie i obawia się, czy to on nie uzna, że popełnił błąd, poślubiając bezdzietną wdowę. Wspomniała o tym, nim

się zaręczyli, a później jeszcze kilka razy delikatnie wracała do tego problemu, jakby chciała wybadać grunt.

– Mój ty słodki aniele – odparł. Nachylił się i ostrożnie przytulił żonę. Dobrze wiedział, że panienki z jej sfery rzadko mają możliwość samodzielnego decydowania w kwestii zamążpójścia.

Eulalia z ulgą zatonęła w jego ramionach. Była wdzięczna losowi za takiego męża. Który dżentelmen zmieniłby swoje plany, by zostać w domu przy słabującej żonie? Zapewne niejeden wyprawiłby się w świat, tłumacząc, że zostawia ją pod dobrą opieką i nic po nim na miejscu. Nagle naszła ją niepokorna myśl, że szlachetnie urodzeni panowie nie są w niczym lepsi od innych mężczyzn. Różnie u nich bywało z wiernością. Bywali wyniośli, często nieszczerzy, gdyż pewnych kwestii po prostu nie wypadało podnosić. Nawet Jan, choć otaczał ją wielką czcią, miał swoje grzeszki, o których dobrze wiedziała. I nie potrafił jej skutecznie bronić, gdy cichcem mawiano, że jest bezużyteczna, ponieważ nie urodziła mu dzieci. O tym ostatnim skwapliwie doniosła jej pokojówka, która lubiła zbierać różne ciekawe plotki.

Szkoda, że Ostrowska nie może mnie teraz zobaczyć – westchnęła, wspominając byłą teściową. – *No… niekoniecznie taką zmizerniałą i leżącą w łóżku. Ale gdyby tylko wiedziała, że jestem brzemienna! To nie była moja wina, że nie mieliśmy z Janem dzieci! To on był… Och!* – nawet w myślach nie wypadało używać w stosunku do mężczyzny słowa „bezpłodny”. Wszak zawsze w takich przypadkach obwiniano kobiety z ich histeriami, globusami i słabowitością.

Majątek Parnickich, choć mocno okrojony z gruntów, wciąż wymagał nadzoru. Jeszcze za swego życia mąż Cecylii odprawił Zadorę, gdyż przy dworze pozostał niewielki areał, który stosunkowo łatwo było upilnować. Po wyjeździe Antoniego część jego obowiązków przejął Prokop Trzos, który wziął w dzierżawę większość pól. Do tej pory

Cecylia korzystała z jego pomocy. Często bywał w jej domu, lecz gdy zapraszał ją do siebie, grzecznie odmawiała.

Nie żeby gardziła Trzosami!

Po prostu nie miała ochoty na wchodzenie w relacje towarzyskie z kobietą, która, jak sądziła, była przed laty kochanką Antoniego. Cecylia nigdy nie uwolniła się od tej myśli i choć teraz nie miało to większego znaczenia, nie wyobrażała sobie układnej pogawędki z domniemaną rywalką. W jej odczuciu za każdym razem, gdy spoglądałyby sobie w oczy, tamta musiałaby odczuwać satysfakcję, że zabrała Cecylii coś niezwykle cennego – zainteresowanie i miłość męża.

W ostatnich czasach przestała jednak poświęcać temu jakąkolwiek uwagę. Zaproszenia do Trzosa urwały się z chwilą, gdy wybuchło powstanie. W tamtym czasie każdy miał dość własnych spraw na głowie, a życie towarzyskie zostało zredukowane do minimum. Gdy owdowiała, nikt nie nękał jej podobnymi bzdurami. Pozostawiono ją w spokoju, by mogła przeżyć żałobę. A później to Prokopowi nawarstwiły się różne problemy, w efekcie których znacząco zubożał. Zapewne z tego powodu porzucił myśli o zacieśnianiu relacji z Parnicką, być może wychodził z założenia, że skoro nie zdecydowała się na wizytę, gdy był zamożniejszy, to teraz tym bardziej mogłaby nim wzgardzić.

Tak więc przez wiele lat Cecylia unikała wchodzenia w relacje z Bernadetą. A jednak, gdy pewnego dnia spotkała Prokopa z żoną na rynku w Niepołomicach, przystanęła z nimi na moment i oddała się pogawędce. Starała się nie gapić zbyt ostentacyjnie na Trzosową, choć bardzo była ciekawa obecnego wyglądu domniemanej rywalki. Zaskoczyła ją jej uroda, bowiem Bernadeta, jakby na przekór cierpieniom, których nie oszczędził jej los, wciąż nie najgorzej wyglądała. Miała zdrową cerę pokrytą opalenizną, która nie przystawałaby wielkiej damie, ale u niej nie raziła. Znacznie wyszczuplała, co sprawiło, że wyostrzyły się rysy jej twarzy, lecz to nadało Trzosowej subtelności. Wciąż miała piękne, gęste włosy, choć

mocno posiwiałe, a oczy lśniły łagodnie. Nawet kurze łapki jej nie szpeciły, a wręcz dodawały uroku. Nosiła się nie jak chłopka, lecz jak zubożała szlachcianka. Miała na sobie ciemną suknię z perkalu narzuconą na sute halki, choć bez krynoliny czy szalenie modnej ostatnio tiurniury. Głowę przykryła niewielkim czepcem. I tylko jej zniszczone dłonie o szorstkiej skórze świadczyły, że często pracuje na roli.

Po wymianie kilku standardowych grzeczności Cecylia, wiedziona jakimś zaskakującym impulsem, zrobiła coś, czego nigdy wcześniej nie potrafiłaby uczynić: być może z racji uprzedzeń i podejrzliwości, być może przez wzgląd na Gertrudę, która chronicznie nie lubiła bratać się z prostakami.

– A może zechcecie państwo przyjechać do mnie na kawę w niedzielne popołudnie? – zagadnęła. Celowo wskazała ten konkretny dzień, ponieważ zdawała sobie sprawę, że ludzie tacy jak oni są niezwykle zajęci w dni powszednie. – Byłoby mi bardzo miło. Od dawna łączą nas wspólne sprawy, a jakoś nie nadarzyła się do tej pory okazja do towarzyskiej pogawędki.

– Och! – westchnęła zaskoczona Bernadeta. Tyle lat marzyła o podobnej sytuacji! A teraz, gdy nagle jej marzenie było o włos od spełnienia, poczuła zdenerwowanie. No bo jakże zasiadać przy jednym stole z damą wystrojoną w jedwabie, na które jej już od dawna nie było stać?

– Z prawdziwą przyjemnością, *madame* – odparł Prokop. W przeciwieństwie do ślubnej zachował przytomność umysłu. Doskonale wiedział, że Parnicka nie rzuciła tych słów ot tak. Była damą, zawsze zważała na to, co robi i mówi. Na pewno zaproszenie wypłynęło ze szczerego serca.

– Cudownie! Bardzo się cieszę. Przyślę po was konie wczesnym popołudniem – zaoferowała w zupełnie naturalny sposób, domyślając się, że czuliby się skrępowani, przyjeżdżając zwyczajnym wozem. Gdy Prokop zaglądał do niej w interesach, dosiadał zawsze wierzchowca, ale

Cecylia wiedziała, że to jego jedyny reprezentacyjny koń. Doszły ją bowiem słuchy o tym, jak Trzosowie gorączkowo wyprzedawali majątek, gdy Austriacy nałożyli na nich grzywnę za powstańcze wyczyny Wojtka. Bardzo im współczuła z tego powodu, sama miała znacznie więcej szczęścia, ponieważ uniknęła kar za udział Antoniego w rebelii. – No, na mnie już czas! Mam kilka spraw do załatwienia – oznajmiła oględnie. W rzeczy samej wybierała się do rejenta, który miał pod swoją pieczą finanse rodziny. Sprawami spółki zajmował się Gustaw, lecz nie mogła oczekiwać od brata, że będzie dbał o to, by nie zabrakło jej gotówki na bieżące wydatki.

Zadowolona z siebie, odeszła. Od dawna łaknęła towarzystwa, lecz mimo upływu czasu czuła się wyobcowana w Niepołomicach. Mieszkający tutaj ziemianie znali się z dziada pradziada. Szlachta trzymała się razem wciąż w tym samym gronie. Ją traktowano z delikatnym dystansem – wszak była tylko kupcówną. Wciąż! Po tylu latach! Cecylia zakładała, że ci ludzie nigdy nie zapomną o jej pochodzeniu. Może więc przyszła pora na to, by coś z tym fantem zrobić i zapewnić sobie inne grono znajomych? Wszak Bernadeta i Prokop nie byli ciemnymi, niepiśmiennymi chłopami.

Czy znajdzie z nimi wspólny język na gruncie towarzyskim?

***

Nocne niebo rozświetlone było niezliczoną ilością ciał niebieskich. Dominika zadarła głowę i szukała spojrzeniem tych, które mogły zwiastować spełnienie marzeń. Czasami granatowy firmament przecinał nagły błysk spadającej gwiazdy. Wtedy szybko należało wypowiadać życzenia. A ona od dłuższego czasu miała tylko jedno: pragnęła znowu spotkać przystojnego rozbójnika, który skradł jej serce. Urzekł ją, ponieważ nie próbował wziąć jej siłą, choć miał ku temu wyborną okazję tej nocy, gdy austriacka gwardia urządziła zasadzkę. Trapiły ją wówczas wątpliwości, czy powinna mu pomagać, a później

siedzieć razem z nim w stodole. A jednak mu zaufała i nie pożałowała tego ani przez chwilę.

Noc była ciepła, więc dziewczynie nie chciało się wracać do chałupy. Nagle wystraszył ją jakiś szelest w pobliżu, lecz nim zdążyła krzyknąć, usłyszała szept.

– Nie bój się, Dominiko. To ja, Wojtek.

– Co tutaj robisz?

– Chciałem cię zobaczyć.

– Po ciemku? – zakpiła.

– Choćby i po ciemku – odparł niezrażony.

Nie zdążyła powiedzieć absolutnie nic więcej, bo zamknął jej usta natarczywym pocałunkiem. Przywarł do niej całym ciałem i wpił się chciwie w jej wargi. Jeszcze nigdy żaden chłopak nie całował Gdulanki z podobną pasją.

Oderwali się na moment od siebie po to, by przemknąć do stodoły. Musieli wdrapać się po przyczółkach, by wleźć na górę, co nie było prostym wyczynem, gdy wokół panowały ciemności, choć oko wykol, a na dodatek na hakach wbitych pomiędzy belkami rozwieszono różne gospodarskie rupiecie: jakieś łańcuchy, liny i narzędzia. Dopiero gdy wleźli niemalże pod sam dach i zatonęli wśród wonnego siana, na miękkim szeleszczącym posłaniu, ich wargi same odnalazły drogę do siebie, wygłodniałe i zachłanne. Niecierpliwe dłonie błądziły po rozgrzanych ciałach, oddechy rwały się, mieszając w jedno niespokojne tchnienie. Wojciech po omacku zadarł spódnicę dziewczyny, a następnie rozchylił jej uda. Przez chwilę głaskał ich skórę, powoli zmierzając palcami wprost do siedliska grzesznej rozkoszy.

Nienawykła do takich pieszczot Dominika usiłowała złączyć nogi, lecz Trzos na to nie pozwalał, moszcząc się pomiędzy nimi. Pragnęła go i jednocześnie panicznie się bała, bo wśród dziewuch krążyły wieści o tym, że utrata wianka jest bolesna. Ale mimo wszystko ciekawość brała górę nad strachem. Wszak czekała na tę chwilę od dawna!

Wyglądała Wojtka w karczmie, to znowu wychodziła przed dom późną nocą, gdy wszyscy już spali. Wiedziała, że za tę miłość może słono zapłacić, lecz cichy głos rozsądku zagłuszał zew serca.

– Poczekaj – poprosiła. – Trochę się boję.

– Cii… Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy – szeptał, gdy zaczęła stawiać mikry opór. – Nigdy z żadnym nie byłaś?

– A nie – odszepnęła. – Mówiłam ci przecież, że nie jestem taka. Nie wierzysz mi?

– Wierzę.

Rozczuliła go swoją niewinnością. A przecież już wtedy, gdy po raz pierwszy ją zobaczył, uznał, że nie pasuje ani do karczmy, ani do hałaśliwych dziewuch, które ochoczo przestawały z leśną zgrają. Mimo to zakładał jednak, że nie jest niewinna. Myślał, że tylko udaje cnotliwą. Gdy na nią natarł, poczuł, jak jest ciasna w środku.

Okrzyk bólu zdławił pocałunkiem.

– Już po wszystkim, maleńka. Już po wszystkim – powtarzał, obsypując pocałunkami jej szczupłą twarz. – Teraz będzie ci dobrze, zobaczysz – obiecał.

Rzeczywiście po krótkotrwałym, nieprzyjemnym doznaniu zatraciła się w jego pieszczotach, pragnąc więcej i więcej. Choć wiedziała, że grzeszy, czuła się tak, jakby trafiła do nieba. Wszak w piekle nie mogłaby zaznać podobnej przyjemności.

– Ojej, Prokopie! – jęczała Bernadeta, gdy w niedzielę wrócili z sumy. – Myślisz, że naprawdę powinniśmy jechać z wizytą do Parnickiej?

– A skąd te wątpliwości? Przecież marzyłaś o nawiązaniu relacji towarzyskich z panią Cecylią.

– No tak, ale wtedy byliśmy znacznie zamożniejsi. Mogliśmy bez wstydu zaprosić ją do nas, poczęstować kawą w porcelanowej filiżance i ugościć tak, jak się należy.

– Ależ pączusiu różany! Nie frasuj się, jestem pewny, że spędzimy miłe popołudnie. Znam Parnicką nie od dzisiaj i doskonale wiem, czego się po niej spodziewać. To poczciwa osoba o dobrym sercu.

– No tak, tak. Pójdę się odświeżyć – oznajmiła.

Dwa kwadranse później zeszła do sieni, by przejrzeć się w lustrze. To było jedyne porządne zwierciadło w całym domu. Gdy zaciągnęli dług u Goldbluma, wyprzedali większość wartościowych sprzętów.

Mimo uspokajających słów męża Bernadeta odczuwała niepokój i wielką tremę. Staranniej niż zwykle wyszczotkowała i ułożyła włosy w specjalnej siatce. Ten drobiazg bywał bardzo przydatny, gdy nie miało się do dyspozycji zręcznej pokojówki, która potrafiłaby wykonać ładną fryzurę. Ciemna suknia, najlepsza, jaką miała, wydała się nagle Bernadecie okropnie znoszona i uboga, nie pomogło jej nawet dopięcie świeżego kołnierzyka zrobionego szydełkiem.

Kobieta spoglądała na siebie nader krytycznie, wygładzając nieistniejące fałdki na stroju. Przed domem już czekała bryczka podesłana przez Cecylię, a po schodach z poddasza zbiegał Prokop, dopinając żupan.

Podszedł do żony, podłapał jej wzrok odbity w gładkiej tafli. Potem ucałował ślubną w skroń i powiedział:

– Ślicznie wyglądasz, Betko.

Odwróciła się do niego i płasko położyła dłonie na jego torsie. Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Starzeję się – odparła.

– Jak my wszyscy. Dla mnie jednak zawsze będziesz najpiękniejsza. A teraz jedźmy, nie każmy czekać pani Cecylii. Będzie dobrze, zobaczysz.

Rok 1869

Eulalia wciąż trochę żałowała utraconej podróży do Francji. Krótko po tym, jak Gustaw odwołał wyjazd, jej samopoczucie zaczęło się poprawiać. Sukcesywnie nabierała sił, i choć wciąż puchły jej nogi, coraz częściej wstawała z łóżka – początkowo na parę godzin, a później na całe dnie.

Boże Narodzenie spędzili z mężem u siebie, goszcząc Cecylię z Filomenką oraz Justynę, a podczas wieczerzy towarzyszyli im również starsi państwo Zalescy.

Po Nowym Roku kobieta znowu zaczęła spędzać więcej czasu w buduarze, a to dlatego, że czuła się ociężała. Termin rozwiązania nadciągał, a wraz z nim drobne niepokoje o to, czy sobie poradzi w tak trudnej chwili, wszak nie była już młódką. Akuszerka, która miała na nią oko w minionych miesiącach, zalecała wypoczynek i obiecywała, że wszystko będzie dobrze.

– Och, Guciu… – westchnęła Eulalia pewnego zimowego przedpołudnia. – Najpierw zmarnowałam ci wyprawę na Lazurowe Wybrzeże, a teraz psuję karnawał. Pewnie poszedłbyś na jakiś bal, dostaliśmy tak dużo zaproszeń!

– Nie szkodzi, kochana. Za rok o tej porze będziemy balować do woli. Mnie nie przeszkadza, że siedzę w domu – odparł, spoglądając na małżonkę, która wpółleżała na szezlongu. Sam zajmował wygodny fotel ustawiony tuż obok. Pomiędzy nimi stał niewielki stoliczek, a na nim zastawa z kawą.

Mężczyzna przed momentem skończył przeglądać aktualny numer „Czasu”. Starał się do minimum ograniczać wyjścia z domu, w biurze bywał zwykle z rana, by wydać dyspozycje podwładnym, a potem czym prędzej wracał na Floriańską. Nic sobie nie robił z docinków, że niby jest pantoflarzem, po prostu pragnął jak najwięcej przebywać z ukochaną żoną. Czuł, że ona właśnie tego potrzebuje, choć nie mówiła o tym wprost, a wręcz miewała skrupuły, że Gustaw odrywa się od

innych zajęć. Ale odgadywał także, że zbliżające się rozwiązanie budzi w niej wiele obaw, więc chciał je choć trochę rozproszyć.

– Tak, za rok o tej porze będziemy balować – powtórzyła za nim.

Chciała wierzyć w te słowa, zaklinała rzeczywistość, lecz jakieś potworne przeczucie szeptało jej na ucho, że nie będzie przyszłego roku, karnawału i balów.

Gawędzili o jakichś głupstwach, gdy kobieta poczuła dziwne mrowienie w okolicy krzyża. Chciała zmienić pozycję, ponieważ uznała, że zaczyna cierpnąć, lecz wtedy pomiędzy jej udami pojawiła się ciepła wilgoć.

– Gustawie… To chyba już – powiedziała mocno zawstydzona.

– Zaraz sprowadzę pomoc – oznajmił, zrywając się na równe nogi.

***

– Nie jest dobrze – oświadczył doktor Marczyński wezwany do rodzącej kobiety. – Chyba trzeba będzie ciąć.

Eulalia męczyła się już drugi dzień pod okiem bezradnej akuszerki. Dziecko pchało się na świat, choć ułożone było pośladkowo. Mimo że Gertruda wyraźnie się temu sprzeciwiała, tłumacząc swą decyzję względami moralnymi, bo kto widział, by do rodzącej wzywać mężczyznę, zdesperowany Gustaw posłał po lekarza. A ten, niestety, miał złe wiadomości.

– Ciąć? – Parnicka struchlała. – Czy to naprawdę konieczne? Ja też dość długo cierpiałam, wydając na świat pierworodnego… – dodała z zażenowaniem.

– To nie ma nic do rzeczy. Życie pani Zaleskiej jest zagrożone – powiedział bez ogródek.

– Za…gro…żo…ne? – powtórzyła za nim. Jej głos rwał się z emocji. – Proszę ją ratować!

– *Madame*, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy – odparł, a następnie wrócił do buduaru Eulalii, z którego dobiegały coraz cichsze

okrzyki bólu.

***

Przybądźcie z nieba na głos naszych modlitw, / mieszkańcy chwały wszyscy święci Boży; / Z obłoków jasnych zejdźcie aniołowie, / Z rzeszą zbawionych spieszcie na spotkanie[18] – śpiewał tłum żałobników zgromadzonych na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Gustaw z niedowierzaniem spoglądał na trumnę opuszczaną do grobu. Nie odczuwał nic, poza dojmującym bólem, który zdawał się rozsadzać jego klatkę piersiową. Ani szczypanie mrozu w policzki, ani lodowate podmuchy wiatru nie robiły na nim wrażenia. Stał nad czeluścią, w której na wieki miała spocząć jego ukochana żona.

To już? – mówił sam do siebie w myślach. – *Naprawdę nadszedł koniec? Nie będzie więcej wspólnych wieczorów, pieszczot i czułych szeptów? Czy naprawdę nastał kres marzeń o Lazurowym Wybrzeżu, o balach, podróżach, spektaklach? Koniec? Koniec? Koniec?*

Starał się wyrzucić z pamięci awanturę, którą przed dwoma dniami urządziła mu Gertruda, a skupić uwagę na ostatnim pożegnaniu Eulalii. Gdy lekarz powiedział, że nie zdołał uratować ani dziecka, ani matki, przez dłuższą chwilę żadne z nich nie mogło uwierzyć w to, co się stało. Potem Parnicka padła zemdlona, a on omal nie dostał apopleksji.

A później nadszedł czas na zaplanowanie pogrzebu i właśnie wtedy rozpętało się piekło, gdyż Gertruda obstawała przy złożeniu nieboszczki w rodzinnym grobowcu Parnickich na cmentarzu w Niepołomicach. Gustaw upierał się, aby doczesne szczątki żony pozostały w Krakowie. Pragnął mieć ukochaną jak najbliżej, by móc często odwiedzać jej grób.

– Morderco! – wykrzyknęła w pewnym momencie oszalała z bólu staruszka. – Zabiłeś moją córkę! To twoja wina! Przez twoje zachcianki Eulalia skonała w mękach! Gdybyś nie namieszał jej w głowie, dzisiaj bawiłaby się beztrosko na balach karnawałowych!

Jej okrutne słowa wbijały się w jego umysł niczym dobrze naostrzone sztylety, lecz nie miał sił, by się przed nimi bronić. Dręczyło go poczucie winy, bo przecież on spłodził Eulalii dziecinę, która nie dość, że nie przeżyła, to jeszcze skróciła życie swej rodzicielki. A jednak nie chciał odpuszczać w kwestii wyboru cmentarza i tej racji bronił niczym lew.

Grabarze kończyli swą pracę, gdy Zaleski poczuł na ramieniu uścisk czyjejś dłoni. Obejrzał się za siebie. To Cecylia podeszła bliżej, choć wiedziała, że w tej dramatycznej chwili nic nie jest w stanie wlać w jego serce otuchy.

A więc jednak są na świecie mężczyźni, którzy potrafią szczerze kochać – westchnęła, spoglądając w naznaczone cierpieniem oczy brata.

Rozdział 5.

W imię miłości

Spalona karczma Na Zbóju w Niepołomicach

Dominika skończyła zaplatać warkocz. Ozdobiła go najlepszą wstążką, jaką posiadała. Dostała ją od Wojtka, lecz gdy matula zapytała, skąd ma tak ładną rzecz, nałgała jej, że kupiła sobie na odpuście za zaoszczędzone krajcary, które zarobiła, służąc u dziedziczki. Rodzicielka dała chyba temu wiarę, gdyż od czasu do czasu faktycznie najmowano Dominikę do udoju lub innych prac. Burknęła tylko gniewnie, że za takie cudo można byłoby kupić sporo świec, które były w lichej chałupie znacznie potrzebniejsze niż zbytki. Kiedy więc Trzos obdarował dziewczynę modrą chustką o pięknych długich frędzlach, to w ogóle nie pokazała jej w domu, lecz dobrze ukryła ją w spichlerzu i zakładała tylko na przechadzki z Wojtkiem.

Młodzi spotykali się w niedzielne popołudnia na skraju lasu z daleka od wioski, by nie wyszpiegowały ich oczy kogoś ciekawskiego. Spacerowali, trzymając się za ręce, to znowu kochali się na polance. Czasami Wojtek zakradał się do wioski pod osłoną nocy. Zatracali się wówczas w stodole na miękkim posłaniu z siana. Gdy nastały chłodniejsze dni, częściej musieli szukać schronienia pod dachem. Ani ziąb, ani słota nie mogły im stanąć na przeszkodzie – tak ich do siebie ciągnęło.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytał ojciec, gdy sięgnęła po szubę. Dzień był mroźny, jak to na początku stycznia. Roboty w chałupie niewiele, bydlątka już dostały jeść, a w izbie było zbyt ciemno, by brać się do szycia. W domu pierze dawno zostało wyskubane, na kołowrotku też kobiety nie miały czego prząść.

– Idę do Kapuścianki, ma dużo pierza – skłamała gładko. – Obiecałam pomóc.

– Taka wystrojona? – fuknęła matka, gdyż córka miała na sobie paradny, granatowy gorset, rzecz piękną, zachowaną jeszcze po babce i przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Nawet do karczmy w nim nie chodziła, by go ktoś nieopatrznie nie poplamił. Noszony był wyłącznie

od święta. Do tego włożyła najmniej wyświechtaną spódnicę i zapaskę. To wszystko też było pamiątką czasów, gdy Gdulom wiodło się znacznie lepiej. – Zaraz będziesz obrana w puch!

– Dzisiaj nie pójdziesz. Gości będziemy mieli – oznajmił stary.

– No to co? Ja wam do tego nie jestem potrzebna. Zdziśka może podać do stołu. – Ruchem głowy wskazała młodszą siostrę.

– Na Zdziśkę nadejdzie pora. A ty, jakeś się tak wystroiła, to nie musisz się rozdziewać. Ale ani na krok nie ruszaj mi się z chałupy.

– A to czemu?

– Bo swaty do ciebie przychodzą – powiedział z triumfalną miną.

Dominika spojrzała na niego z zaskoczeniem. Tego się nie spodziewała, choć istniało prawdopodobieństwo, że prędzej czy później jakiś kawaler – zapewne równie biedny jak ona i jej rodzice – okaże nią zainteresowanie. Wiano już od dłuższego czasu było gotowe i zajmowało niezbyt dużą skrzynię zbitą niegdyś przez ojca. Sama ją pomalowała w kwiatki oraz esy-floresy, a potem mozolnie zapełniała, czym się dało. Cudów w niej nie miała: poduszkę z puchu, trochę łachów, jakieś inne drobiazgi. Wszystko to ubożuchne i siermiężne, bo nie było za co sprawiać zbytkownych rzeczy.

– A od kogo te swaty? – zapytała, siląc się na spokój, choć dobrze wiedziała, że z całą pewnością nie od tego kawalera, któremu oddała serce i wianek.

– Od Marcina Paciorka z Zakrzowa – powiedział Jędrzej.

– Tego kuternogi? – wykrzyknęła dziewczyna.

Dobrze wiedziała, o kim mówi ojciec. Za sprawą koślawych nóg Marcin znany był chyba wszystkim. W dzieciństwie spadł niefortunnie z dachu i obydwie złamał. Jakoś mu je do kupy poskładali. Wyglądały okropnie, a gdy szedł, telepał się na nich jak kaczor, na dobitkę musiał podpierać się kosturem. Właściwie to, że w ogóle chodził, zakrawało na cud, bo wezwany do niego znachor nie dawał Paciorkom nadziei. Jakby tego było mało, chłopak do urodnych nie należał. Od owego

niefortunnego upadku oczy miał dziwnie rozlatane i dość mocno się jąkał. Nie był biedakiem, wszyscy wiedzieli, że w przyszłości odziedziczy po rodzicach całe, blisko łanowe gospodarstwo, gdyż podczas zarazy większość jego rodzeństwa pomarła na tyfus. Miał wprawdzie młodszego brata, lecz ten służył u piechurów i nic nie wskazywało na to, by zamierzał wrócić do domu. Marcin liczył już swoje lata, ale wciąż był starym kawalerem, bo do tej pory żadna nie chciała za niego iść.

– I co z tego, że kuternoga, skoro majętny?

– Ale szkaradny. I przygłupi.

– Tym lepiej, bo łatwo se go owiniesz wokół palca. – Jędrzej wzruszył ramionami, a potem spojrzał wymownie na swoją ślubną. Ta w mig pojęła, o co mu chodzi.

– Urodą kaszy nie okrasisz. U niego przynajmniej nie będziesz osychała głodem. Biednaś, ale jemu to nie przeszkadza. Weźmie cię choćby w jednej koszulinie.

– Ale ja go nie chcę, matko! – odparła dziewczyna.

– Nie masz nic do gadania. Jak zjadą swaty, masz być dla nich miła. A jak będą do ciebie pili, to im odpijesz – zarządził ojciec. – Ty się lepiej, głupia, ciesz, że ktoś cię zechciał. Dość gadania! – huknął na nią. – To już postanowione. A spróbuj tylko wydziwiać, to tak cię wysmagam rózgą, że przez dwie niedziele nie siądziesz na tyłku!

Zaczęła zaklinać rodziców, by nie kazali jej iść za Marcina, ale oni pozostawali głusi na prośby i ślepi na łzy. Nie pomogły też pełne gniewu krzyki. Ostatecznie ojciec nie wytrzymał i trzepnął ją rzemieniem przez plecy. Gdyby nie spodziewani goście, dałby jej po gębie, by jej nie wodziło po wsi, ale nie chciał córki oszpecić. Wszak Paciorek zgodził się ją wziąć bez wiana, więc tak na dobrą sprawę tylko urodę wnosiła do jego domu. Nawet ta skrzynia, co ją Dominika szykowała od dłuższego czasu, miała zostać dla Zdzisławy albo dla którejś z jeszcze młodszych sióstr.

***

– Muszę sprzedać część gruntu – oznajmił pewnego zimowego poranka zafrasowany Prokop. Martwił się, jak ślubna przyjmie złe wieści, wszak zawsze marzyła o bogactwie i aspirowała do ziemiaństwa.

– Jak to? – zmartwiła się Bernadeta. – Przecież mieliśmy nie pozbywać się roli. Spieniężyliśmy wszystko, co się dało, by opłacić jak największą część kary. Mówiłeś, że sobie poradzimy.

W ostatnich czterech latach żyli nader oszczędnie, usiłując za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni. By nie ogrzewać całego domu, stłoczyli się w części pomieszczeń na parterze. Ona i Prokop zajęli pokój po Marii, Weroniczka służbówkę, a Zygmunt kantorek. Z salonu prawie nie korzystali, ponieważ zimą ciężko było tam utrzymać ciepło, a i oświetlenie tak dużej przestrzeni stanowiło wyzwanie. Życie rodziny skupiało się w kuchni. To i tak były większe wygody niż w starym domu, i siłą rzeczy znacznie wyższe koszty utrzymania.

– Bo tak przypuszczałem, gdy borgowałem u Goldbluma. Trzeba uregulować ten dług, ponieważ zaczyna nas pożerać. Odsetki są duże, więc spłacanie kapitału idzie mozolnie. W tym tempie nigdy nie stanę na nogi. Żal ziemi, ale szkoda, by cały mój trud szedł na utrzymanie lichwiarza.

– Ile areału nam zostanie? – zapytała rzeczowo.

– Własnego będzie dwa łany.

– Czyli mniej, niż mieliśmy kiedyś.

– Niestety tak. Ale są jeszcze trzy w dzierżawie od *madame* Cecylii. No i mam przychody z pracy u panicza Maksymiliana, więc w sumie jest lepiej niż przed laty. Sęk w tym, że młody Żelechowski może mi w każdej chwili cofnąć plenipotencję i nająć innego ekonoma. Albo przejąć osobistą kontrolę nad majątkiem. Nie każdy szlachcic potrzebuje zarządcy. Mało to w okolicy zagrodników, którzy sami doglądają swego mienia?

– W domu trudno o dodatkowe oszczędności. Odprawiłam całą zbędną służbę. Gienia urabia sobie ręce po łokcie. Nie wydajemy pieniędzy na zbytki – wyliczyła.

– Tak, wiem o tym. Dlatego jedynym rozwiązaniem jest sprzedaż gruntu. Już mam kupca – wyznał ze smutkiem.

Bernadeta pokiwała głową. Wiedziała, jak bardzo mąż musi przeżywać tę decyzję. On kochał swoją ziemię. Pełnię szczęścia odczuwał, gdy letnimi niedzielnymi popołudniami spacerowali wzdłuż falujących na wietrze złocistych łanów. Gdy sady obsypywały się kwieciem, a potem dojrzewały owocami. Gdy późną wiosną pachniało świeżo skoszonym sianem.

Wstała z krzesła, podeszła do siedzącego obok ślubnego. Stanęła za plecami mężczyzny wspartego łokciami o kuchenny stół, na którym rozłożona była księga rachunkowa. Objęła go za szyję i, nachyliwszy się, pocałowała w czubek posiwiałej głowy.

– Mój miły… – westchnęła. – Skoro nie ma innej rady, sprzedaj grunt. Będzie nam łatwiej, gdy wyzwolimy się z długu. Może wtedy zdołasz odłożyć pieniądze na odkupienie tego, czego teraz musisz się pozbyć?

– Oby tak było. Dzieciaki dorastają, trzeba myśleć o ich przyszłości. A z kulą u nogi w postaci Goldbluma nic nie zdziałamy – zamilkł, gładząc dłonie Betki. Wdzięczny był Bogu za taką kobietę. Trwała przy nim, ze spokojem znosząc przeciwności losu. Gdy opadły ich kłopoty, pomyślał, że wpadnie w złość i stanie się nieznośna. Tymczasem ona wciąż pozytywnie go zaskakiwała. Teraz wiedział, że ma w niej ogromne wsparcie. Była najlepszym, co spotkało go w życiu. – Boję się jednak, że pewnego dnia i to może nie wystarczyć – dodał po chwili.

Bernadeta usiadła obok, tyłem do stołu, wspierając się o blat łokciem.

– O czym ty mówisz? – zapytała z przestrachem.

– Chodzi o huncwota, któremu zachciało się zbójowania – burknął. Trzosowa zauważyła jakiś czas temu, że mąż przestawał wymawiać imię pierworodnego. – Już raz pokarali nas za jego niefrasobliwość, gdy mu się zachciało wojaczki. Nie musiał iść do powstania, dałem

kwestarzowi naprawdę zacny datek. Cóż za pożytek był z gołowąsa, który nie walczy szablą? Poszedł tam na naszą zgubę – w jego tonie słychać było ogrom goryczy – a teraz może ściągnąć na nas kolejne nieszczęście. Bo jak znowu nas ukarzą za jego wybryki, to możemy skończyć jak ostatni nędzarze. Jak komornicy żyjący z cudzej łaski!

– Och nie! – Bernadeta zasłoniła dłonią usta. W jej oczach zalśniły łzy.

Takiej sytuacji w ogóle nie potrafiłaby znieść. A tyle się naprosiła Wojtka, by poniechał zbójeckiego procederu i nawet jeśli nie chce wrócić do domu, to żeby poszedł w świat i poszukał sobie uczciwego zajęcia!

Najgorsze było to, że Prokop strasznie zawziął się na syna i o ile tuż po upadku powstania oraz konfiskacie części mienia nie chował urazy, to teraz nawet nie chciał o nim słyszeć. Twierdził wręcz, że choćby młody przyszedł skruszony, by się przed nim pokajać, to i tak przegnałby go na cztery wiatry i jeszcze psami poszczuł.

Wojtek o tym wiedział, zaglądał bowiem co jakiś czas do matki, ale nie do domu. Czaił się gdzieś w pobliżu, wyczekiwał stosownego momentu i podchodził, gdy widział ją samą w ogrodzie lub na polach. Wypytywał wówczas o całą rodzinę, o to, jak żyją i czy są zdrowi. O sobie nic nie chciał mówić.

Właściwie z tym jego zbójowaniem to bardziej były domysły, ponieważ nawet ludzie w pobliskiej wsi niewiele wiedzieli na ten temat. Gdyby było inaczej, prawda prędzej czy później dotarłaby do landwójta. Być może chłopak zachowywał daleko posuniętą ostrożność, zasłaniał twarz, nie pchał się przed oczy znajomym.

Bernadeta, która jako jedyna pewna była doli pierworodnego, uroniła nad nim niejedną łzę, bo był w takim wieku, że powinien myśleć o założeniu rodziny. Jego rówieśnicy ze wsi mieli już narzeczone lub żony. Ba! Nawet pierwsze dziatki. A on błąkał się po świecie, dziadując, sam jak palec.

***

– A co ty taka markotna jesteś? – zapytał Wojtek, gdy w końcu udało mu się spotkać z ukochaną.

Nie widzieli się dwa tygodnie, choć zaglądał w umówione miejsce niemalże każdego dnia. Oczywiście mogli się rozminąć, bo nie zawsze miał możliwość, by tam pójść. A gdy już dziewczyna przyszła, wyglądała jak siedem nieszczęść. Miała zapuchnięte od płaczu oczy i czerwony nos.

Wtuliła się w niego i rozpaczliwie zapłakała.

Zaskoczony, pogładził ją po włosach.

– A nie płaczże, Dominisiu! Powiedz, co się stało: tato wysmagał cię rzemieniem? Matula na ciebie nakrzyczała? Zrobił ci ktoś jakąś krzywdę?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Gorzej – zdołała wyłkać.

Teraz przeraził się nie na żarty. Zaczął więc ją zaklinać, by jak najszybciej wyznała mu, co jest powodem jej łez, lecz czym bardziej naciskał, tym mocniej zanosiła się szlochem. W końcu uspokoiła się na tyle, by wyrzucić z siebie:

– Oj…ciec przy…mu…sza mnie, bym szła za mąż.

– Nie może być! – wykrzyknął wzburzony.

– Ślub za dwie niedziele – wyznała.

– Za kogo chcą cię wydać?

– Za Marcina Paciorka z Zakrzowa. To taki kuternoga brzydki jak sam diabeł, na dodatek tuman. Tyle że majętny. Ale żadna go nie chce, więc dogadał się z moim ojcem. Weźmie mnie jak stoję, bez wiana, w jednej koszuli. Ojciec jest mu rad, bo pozbywa się kłopotu. Mówiłam ci, że mam jeszcze cztery siostry i trzech braci, a majątek mikry. Moje wiano przejdzie pewnie na Zdziśkę. A ja nie chcę iść za mąż za Paciorka! Nie mogę! Prędzej umrę, bo już zdążyłam się pochorować z tej rozpaczy. Powiedziałam staremu, że pierwej skoczę do studni, niż pójdę z tym kuternogą do ołtarza. Wtedy on zawarł mnie w komorze i nie chciał

puścić, pókim nie przysięgła na Matkę Boską ze Staniątek, że nie odbiorę sobie życia. Dałam słowo, co miałam zrobić? Nie wypuściłby mnie aż do ślubu – opowiadała z przejęciem. – A przecież musiałam się z tobą spotkać, miły, choćby po to, by się pożegnać.

– O nie! – wykrzyknął rozwścieczony Wojtek. – Ja do tego nie dopuszczę! Jesteś moja, nie oddam cię innemu! Już ja pokażę temu kuternodze, gdzie raki zimują! Nie martw się, nie pozwolę, by cię za niego wydali.

– Ale co chcesz zrobić? Przecież nie pójdę z tobą do lasu między zbójów – odparła, wiedząc, że do bandy należą jedynie mężczyźni. Zresztą bała się jego kamratów, mogliby jej wyrządzić krzywdę.

– Moja w tym głowa – powiedział wymijająco. – A ty już nie płacz, miła. Lepiej niech twoi rodzice myślą, żeś się pogodziła z losem. Ufasz mi, Dominisiu?

– Ufam.

– No to się nie martw – odparł, choć jeszcze nie do końca wiedział, jak ocalić ukochaną przed niechcianym małżeństwem.

Do lasu faktycznie nie mógł jej zabrać, ponieważ tam czekałaby ją jeszcze cięższa dola niż w ojcowskiej chałupie – pewna poniewierka i same niewygody. A i nie byłaby bezpieczna pomiędzy zbójami, choć za swych kompanów mógł zaręczyć. Znacznie większe było ryzyko, że w którymś momencie ktoś wyszpieguje ich kryjówki i naśle na nich policję lub gwardzistów. Zaczynała mu świtać pewna myśl, tylko będzie musiał przekonać swych pobratymców, aby mu pomogli.

***

Tuż po pogrzebie Eulalii Gertruda poleciła służbie, by jak najszybciej spakowano i odesłano na wieś jej rzeczy. Sama, choć było to do niej niepodobne, wzięła tylko Martę, pokojówkę, która usługiwała paniom Parnickim od wielu lat, i pociągiem wróciła do Niepołomic, a stamtąd

najętymi sańmi do swego dawnego domu. Nie mogła pozostawać pod dachem Gustawa – tam wszystko przypominało jej o zmarłej córce.

Nie potrafiła wybaczyć zięciowi. W jej odczuciu ponosił całkowitą winę za śmierć tej nieszczęśnicy. Po pierwsze, nie powinien był się z nią żenić. A po drugie, skoro już tak bardzo tego chciał, powinien był zachować wstrzemięźliwość. A przynajmniej dopilnować, by żona nie zaszła w ciążę. No bo kto to widział, by kobieta w tym wieku rodziła pierwsze dziecko? To raczej czas, gdy małżonkowie zaczynają wybijać sobie z głowy głupstwa. A poza tym młodszym damom jest łatwiej wydać dziecko na świat, ponieważ mają więcej witalności.

Po kilkudniowym pobycie pod Niepołomicami stwierdziła, że i tutaj źle się czuje. To już nie był jej dom, lecz Cecylii. Ona tam była panią. I też przypominała Gertrudzie o przeżytej tragedii – wszak była siostrą tego odrażającego kupczyka! A teraz panoszyła się w dworku, który od lat był własnością Parnickich.

Zgroza! Po prostu zgroza!

No dobrze, też nosiła to nazwisko, ku rozpaczy Gertrudy. I, co chyba najgorsze, zaczęła bratać się z plebsem.

Ostatecznie, z sercem ciężkim, jakby zostało odlane z ołowiu, podjęła decyzję o zamieszkaniu z Amelią w Limanowej. Na szczęście u synowej nie rozpakowano wszystkich jej kufrów, więc kolejna przeprowadzka poszła jeszcze szybciej.

***

Pomysł w głowie Wojtka zdążył dojrzeć, a kamraci okazali się nader chętni do niesienia pomocy. Nie było ani chwili do stracenia, ślub Dominiki miał się odbyć za tydzień.

Na samą myśl o tym, że ukochana miałaby trafić w ręce innego mężczyzny, ogarniała go wściekłość. Przez kilka dni obserwował chatę Paciorków, przyglądając się z ukrycia rywalowi. Czym dłużej na niego

spoglądał, tym większą odczuwał zawziętość. I niby taki niezguła miał mu sprzątnąć sprzed nosa kobietę?

– Niedoczekanie twoje! – burknął, odprowadzając go wzrokiem do chaty.

Wiedział już, że Marcin mieszka z samymi rodzicami. Paciorkowie nie byli najmłodsi. Jego mocno pochyliła do ziemi znojna robota, nie mógł wyprostować pleców. Ona ledwo powłóczyła nogami. Prócz nich w domu było kilku komorników, dochodzili także parobkowie. Marcin nie parał się żadną ciężką pracą. Przeważnie siadywał przed chałupą, grzejąc się w nisko zawieszonym słońcu i wyplatając kosze z wikliny. *Że też mu łapska nie uświerkną!* – zżymał się w duchu Trzos. Co jakiś czas Paciorek ucierał nos otwartą dłonią, a potem wycierał ją o kapotę. Wojtka trzęsło z obrzydzenia, gdy na to patrzył, choć między zbójami nie było miejsca na wielkopańskie maniery.

Plan był, pomocnicy także. Problem stanowiło jedynie wywabienie Marcina z podwórka. Przecież nikt nie będzie z nim robił porachunków pod oknami domu. Jeszcze by kto wyleciał, wmieszał się w nie swoją sprawę i kłopot gotowy. W gruncie rzeczy Wojtek nie chciał krzywdzić starych ani nikogo ze służby. Na szczęście Paciorek lubił czasami pokuśtykać do gospody. Sęk w tym, że zawsze towarzyszył mu jakiś parobek, który miał zapewne nad nim czuwać, gdyby za dużo wychylił, i doprowadzić go z powrotem do obejścia, by se kuternoga nie połamał ponownie kulasów.

Co tam jeden czy nawet kilku chłopaków? Będziemy mieli przewagę, poradzimy sobie – ocenił.

Następnego wieczoru postanowił urządzić zasadzkę. A jeśli szczęście mu nie dopisze, to będzie przychodził w upatrzone miejsce każdej nocy, w nadziei, że kandydat do ożenku zechce opijać swoje kawalerskie. Trzos postanowił tak dać Paciorkowi do wiwatu, by ten sam zerwał zrękowiny.

Szczęście im sprzyjało. Marcin wybrał się tego wieczoru do karczmy z całą zgrają parobków. Wojtka korciło, by przydybać rywala od razu,

lecz kamraci go powstrzymali, twierdząc, że łatwiej sobie z nimi poradzą, gdy wszyscy będą wypici. Trzech rozbójników poszło więc do gospody, żeby pilnować Paciorka. Oczywiście był z nimi Wojtek, wciąż węszący okazji, bo a nuż rywal wyjdzie sam za potrzebą? Zawsze to łatwiej byłoby przeprowadzić atak, gdyby nie było przy nim obstawy.

Niestety tutaj się trochę przeliczył, bo choć Paciorek pił tęgo, nawet na moment nie opuścił swojej kompanii. Być może dlatego że, w przeciwieństwie do bandziorów, raczących się piwem, lał sobie w gardło samą gorzałkę. Nie pozostawało więc nic innego, jak dopaść go w drodze powrotnej. Przy gościńcu, którym miał wracać, było odludne miejsce. Czekała tam na niego niemalże cała banda leśnych ludzi.

– Wychodzą. – Wojtek szturchnął Mietka zagadanego z nadobną karczmareczką.

Odczekali, aż tamci opuszczą gospodę – było ich aż pięciu, a następnie też wyruszyli w mroźne objęcia nocy. Szli bez pośpiechu, utrzymując odpowiedni dystans. Gdy Paciorek przechodził przez kładkę na Obrzynce[19], która nieco dalej wpadała do Podłężanki, rozbójnicy wyskoczyli z zarośli. Otoczyli zaskoczonych parobków.

– A wy czego? – zapytał jeden z nich, chyba najtrzeźwiejszy, gdyż pozostali mieli nieznaczne problemy z utrzymaniem się na nogach.

– Chcemy pogwarzyć z kuternogą. W cztery oczy – rzucił Kurdziel.

Wojtek na razie się nie odzywał, zresztą był tak rozemocjonowany, że wcale nie miał ochoty na pogawędki, najchętniej po prostu skręciłby kark temu łachmycie.

– Nic z tego. Jesteśmy razem – zaprotestował z miejsca chłopak. – Jak chcecie z nim gadać, to mówcie, o co chodzi, a jak nie, to wracajcie, skąd was przyniosło.

– Ja na twoim miejscu zważałbym na słowa – burknął inny rozbójnik, podnosząc lampę, by oświetlić swoją szpetną, pokrytą bliznami twarz. Sam jego wygląd budził respekt. A dla wzmocnienia wydźwięku swej wypowiedzi, dodatkowo błysnął ostrzem, wyjętym zza pasa.

– Hola! Hola! – zaprotestował inny parobek.

Przez chwilę się przegadywali, lecz w końcu któryś nie wytrzymał. Najpierw poszły w ruch pięści, potem zbóje dobyli noży. Wywiązała się bijatyka, lecz podchmieleni i nieuzbrojeni parobkowie nie mieli większych szans. Szybko zostali unieszkodliwieni przez leśnych bandytów. W tym czasie Wojtek odciągnął na bok Marcina. Złość buzowała w nim taka, że nie baczył, czy ma przed sobą kalekę. Zaszedł Paciorka od tyłu, otoczył ramieniem jego szyję i przytknął mu nóż do gardła.

– Wiesz, z kim masz do czynienia?

– N...nie – odparł nieco przestraszony.

– To i lepiej. A teraz słuchaj. Nie ożenisz się z Dominiką od Gdulów.

– A... to cze...e...mu, skoro mi ją o...o...biecali? – zająknął się Paciorek.

– Bo ja tak mówię.

– Ga...a...daj zdrów – burknął Marcin, odzyskując rezon.

– Słuchaj no, ja cię nie ostrzegam – syknął Trzos, odwracając go do siebie przodem. Zajrzał w oczy Paciorka, połyskujące w mroku nocy. – Dobrze zapamiętaj moją twarz, zdychając!

Trzymał go za ramię z całych sił, by mu nie uciekł bądź nie upadł zbyt wcześnie. A potem wziął mocny zamach drugą ręką i pchnął na oślep.

– Co ty? Co ty? – jęknął kaleka, gdy nagle poczuł uderzenie w brzuch i ciepło rozchodzące się falami po wnętrznościach. Ból nie był taki duży, a za drugim i trzecim razem znacznie mniejszy. Czwartego Paciorek nie zarejestrował, gdyż ześliznął się po ostrzu, które rozdarło mu trzewia. Upadł w kałużę krwi.

Trzos pochylił się, by wytrzeć ostrze w jego szubę.

Obok rozgrywała się jatka.

– Ratunku! Ludzie! Mordują!

– Pomocy! – krzyczeli podpici parobkowie.

Rozbójnicy wyrzynali ich bez litości. Gdy tylko ostatni padł trupem, poderwali się do ucieczki. Czas był ku temu najwyższy, bo choć znajdowali się w oddaleniu od zabudowań, to okoliczne burki zdążyły ich zwietrzyć i ujadały jak szalone. A krzyki mordowanych mężczyzn wywabiły z chałup ludzi.

***

Że też ciocia Gertruda nie zabrała mnie ze sobą do Amelii – westchnęła Justyna, wchodząc do salonu. Gdyby wiedziała, że znowu zastanie w nim *tych* ludzi, nie opuszczałaby swego pokoju, choć w małej, spartańsko urządzonej sypialni było zimno, ponieważ nikt nie zaprzątał sobie uwagi paleniem w piecach o tej porze. Za dnia ogrzewano bawialnię i kantorek, dopiero wieczorem służąca rozpalała ogień w innych pomieszczeniach, by podczas wieczornej toalety dało się jakoś wytrzymać. Zarządzająca domem Cecylia doskonale znała słowa „gospodarność" i „oszczędność".

Ku zgorszeniu rezydentki Trzosowie osobliwie często bywali w domu Parnickich. A jeśli nie posyłano po nich bryczki lub sań, to dla odmiany odwiedzała ich Cecylia, zabierając ze sobą Filomenę. Mało tego, panienka przebywała w salonie wówczas, gdy przyjeżdżał Prokop z małżonką. I oni także przywozili swoją Weronikę. Świat zwariował! By dama bratała się z chłopstwem!

No... niezupełnie dama. Wszak to kupcówna. Ciągnie swój do swego – podsumowała w myślach.

Przywitała się z chłodnym, acz grzecznym dystansem. Wzięła swą robótkę i usiadła w ulubionym kątku, na tyle daleko od gości, by nie być zmuszoną do prowadzenia z nimi konwersacji, a jednocześnie wystarczająco blisko, by słyszeć, o czym gwarzy plebs.

Och... Wuj Teofil pewnie się w grobie przewraca! Chamstwo w jego salonie!

Nie do końca było to zgodne z prawdą, gdyż świętej pamięci Parnicki także niekiedy przyjmował Prokopa w bawialni, lecz Justyna wolała

o tym nie pamiętać. Obserwowała więc spode łba gawędzące panienki – siedemnastoletnią Filomenę, która marzyła już o noszeniu długich sukien i coraz śmielej strzelała oczami, gdy w pobliżu pojawiał się jakiś kawaler, oraz czternastoletnią Weronikę, która patrzyła na młodą Parnicką z wielkim podziwem.

W rzeczy samej Weronika zachwycona była Filomeną, podobała jej się śliczna bladozielona sukienka z lekkiej organzy, haftowana w białe kwiatuszki. Sama o podobnych strojach nawet nie marzyła, odkąd jej rodzice tak mocno zubożeli. Właśnie z tych powodów czuła się nieco onieśmielona, ponieważ miała na sobie skromny strój uszyty z taniego perkalu. Na tle wiejskich dziewczynek odzianych w zgrzebne koszule wyglądała może ładnie, ale przy młodej Parnickiej czuła się trochę jak Kopciuszek z baśni Charles'a Perraulta, z tą różnicą, że nie miała dobrej wróżki za matkę chrzestną, więc w przyszłości nikt nie stworzy dla niej pięknej karety z dyń uprawianych w ogródku ani nie wyczaruje kryształowych pantofelków i przepysznej, balowej toalety. Siedziała jednak grzecznie z panną Filomeną, ponieważ tego życzyli sobie rodzice. A im należało się posłuszeństwo nawet wtedy, gdy wiązały się z tym drobne przykrości.

Ona wolałaby niedzielne popołudnie spędzić z rówieśnicami z pobliskiej wsi. Jej koleżanki coraz częściej plotkowały o przystojnych parobkach, a Józia od Dylów dała sobie nawet skraść całusa i potem opowiadała Weronice w najgłębszym sekrecie, jak było i co wtedy odczuwała.

Weronika nigdy w życiu nie pozwoliłaby na to, aby pocałował ją jakiś chłopak. Nawet gdyby był to najmłodszy syn Zalipiaków, Nikodem. Owszem, lubiła na niego patrzeć, choć do tego nie przyznałaby się przed koleżankami za nic w świecie.

***

– Nie tęskni pani za Krakowem? – zagadnęła Bernadeta, sięgając po miśnieńską filiżankę wypełnioną aromatyczną kawą.

– Może odrobinę – przyznała Parnicka. – Tam teraz trwa w najlepsze karnawał, ludzie balują. Cóż… My i tak mamy żałobę po Eulalii. Biedny Gustaw… Tak bardzo przeżywa jej utratę! Bóg dał mu odrobinę szczęścia po to, by znowu zesłać nań cierpienie.

– Wielka tragedia – przyznała Trzosowa. – Ale to niestety kolej naszego życia. Na każdy uśmiech przypada znaczna ilość łez.

– Tak… A ja polubiłam życie na wsi – wróciła do tematu pani domu. – Kiedyś tylko patrzyłam, by pojechać do miasta, wyrwać się między ludzi. Brakowało mi rozrywek, spotkań, tamtego nieustannego ruchu. A teraz zaczęłam doceniać sielską ciszę prowincji. Ostatnio nawet Niepołomice coraz mocniej zaskakują mnie gwarem, gdy zaglądam tam w interesach. Ale i tak bardzo lubię tę naszą mieścinę i cieszę się, że naczelnikiem wybrano Jakuba Bystrowskiego[20]. Sporo robi dla gminy.

– O tak – poparła ją Bernadeta. – Widać znaczną poprawę. Dzieciaki mają piękną, murowaną szkołę. Na Woli Batorskiej i w Podłężu powstały kolejne. Ach! Dobrze byłoby, gdyby jeszcze naczelnik sprowadził tu jakiegoś farmaceutę oraz lekarza! Żeby w mieście nie było nikogo takiego? Jak ktoś zaniemoże, trzeba szukać pomocy w Wieliczce albo u znachorów, którzy niekoniecznie znają się na leczeniu.

– To prawda – przytaknął Prokop. – Tak czy owak dobrze, że w końcu urzędy obsadza się Polakami. Austriacy nie dbali o Niepołomice, zniszczyli zamek, tną na potęgę puszczę.

– Och… Szkoda, że Antoni odstąpił część lasu tym niszczycielom. To, co mieliśmy, też mocno przetrzebił, ponieważ sprzedawał podkłady kolejowe – powiedziała Cecylia ze smutkiem. – Chłopi próbowali go powstrzymać, ale ich nie słuchał. I chyba pierwszy raz muszę przyznać, że to oni mieli rację.

– Czasami warto słuchać nas, prostaczków. – Trzos się uśmiechnął.

– Ależ panie Prokopie! Pan w żadnej mierze nie jest prostakiem – oburzyła się łagodnie Parnicka. – Życzyłabym sobie, by więcej dżentelmenów miało taką przenikliwość jak pan. Przykro to mówić, lecz szlachta w dużej mierze gnuśnieje i podupada. Łatwo mi to ocenić, bo

sama wywodzę się z rodu mieszczańskiego. Mojego brata od dziecka uczono przedsiębiorczości, nieobca mu była praca. Dostał od rodziców wiele, lecz nie spoczął, wciąż pomnażał bogactwo. W tym czasie niejeden wielki pan przegrywał w karty resztki majątku, zadłużał się u lichwiarzy, by spłacać honorowe długi, hulał z kokotkami i wciąż się bawił. Zamiast doglądać swych dóbr, cedował to na najemnego ekonoma. A przecież wiadomo, że pańskie oko konia tuczy!

– Surowy osąd – powiedziała Bernadeta. W rzeczy samej niewiele miała do czynienia z dobrze urodzonymi personami. Zasadniczo lepiej znała wyłącznie Żelechowskich oraz świętej pamięci Parnickiego. I o ile Tadeusz oraz Izydor odpowiadali wizerunkowi nakreślonemu przez Cecylię, o tyle do Antoniego w ogóle to nie pasowało. Owszem, miał swego czasu ekonoma do pomocy, ale gdy jeszcze siadywał na zydlu w ich starej chacie, opowiadał o swym majątku z gruntowną znajomością rzeczy. A i Prokopowi udzielał wielu słusznych rad – tego nie mógłby robić człowiek, który nie ma pojęcia o gospodarowaniu. Byli jeszcze wprawdzie Wimmerowie, lecz o nich nie miała wyrobionej konkretnej opinii.

– Nie, pani Bernadeto. To są realia, choć oczywiście zakładam, że pani uwaga tyczy się Antoniego. I słusznie. Antoni był wyjątkiem. Prócz niego znalazłoby się może jeszcze kilku szlachciców, którzy zasługują na uznanie. Ale nie czarujmy się, to garstka niedobitków, która przeżyła powstańczą zawieruchę. Gorące głowy, gorące serca. Chcieli ratować ojczyznę, podejmując czyn zbrojny. A ja jestem zdania, że to nie była słuszna droga. Owszem, walka miałaby sens, gdybyśmy się do niej lepiej przygotowali. Gustaw mówił mi o tym, jak słabe mieliśmy uzbrojenie i jak mikre były nasze siły w zestawieniu z carską armią. W moim odczuciu wolność należało zdobywać inaczej.

– Jak? – zapytał Prokop, ciekaw zdania Parnickiej. Niby nie rozmawiało się o polityce z damami, takie było przynajmniej zdanie Antoniego i paru innych znanych mu dżentelmenów, lecz w jej słowach

widział znaczną przenikliwość. Wszak sam wiele stracił z powodu nieudanego zrywu narodowościowego.

– Pracą – skwitowała krótko, sięgając po filiżankę kawy. Dopiero gdy umoczyła usta w ulubionym napoju, pokusiła się o rozwinięcie wypowiedzi. – Przede wszystkim powinniśmy dbać o to, co posiadamy. Nie trwonić majątków, nie oddawać się w lichwiarskie ręce. *Pardon*, panie Prokopie, pan jest w innej sytuacji. Mnie chodzi wyłącznie o tych ludzi, którzy w długi wpadli na własne życzenie – wyjaśniła.

Słuchająca jej Justyna struchlała. Wszak nie godziło się, by dama tak swobodnie prawiła o interesach. I jeszcze by z zaciekłością atakowała ludzi ze sfery, do której ją łaskawie przyjęto. *O ciociu Gertrudo! Miałaś rację, że stąd uciekłaś! Serce by ci pękło, gdybyś musiała znosić te uwagi!*

Tymczasem Parnicka, nieświadoma jej milczącego potępienia, kontynuowała:

– Gdyby każdy skupił się na pomnażaniu swych dóbr, zamiast na hulankach, wszyscy by na tym skorzystali. Wieś byłaby zamożniejsza, a miasta nie przyciągałyby biedoty. Kapitał gromadzony przez szlachtę byłby znacznie potężniejszy. Gdyby spożytkować go w odpowiednim czasie na wyszkolenie i uzbrojenie armii, mielibyśmy nieporównywalnie większe szanse na zwycięstwo w starciu z Moskalami. Nie wyrżnięto by w pień kwiatu naszej młodzieży. Nie byłoby żałoby w tylu domach. Może wówczas Anglicy i Francuzi przyszliby nam z pomocą? Gustaw mówił, że za granicą żywo interesowali się naszymi poczynaniami, lecz ostatecznie nikt nie udzielił nam wsparcia. A dlaczego? Bo nikt przy zdrowych zmysłach nie pomaga w z góry przegranej sprawie – skwitowała.

Prokopa nie po raz pierwszy naszła refleksja, że tak naprawdę Antoni wcale nie znał swej połowicy. Między wierszami wyrażał opinię, że Cecylia, jak każda niewiasta, ma w głowie pstro. Tymczasem siedziała przed nim istota rozumna o otwartym umyśle. Zresztą o własnej ślubnej mógłby powiedzieć to samo – Bernadeta także niejednokrotnie potrafiła go zaskoczyć trzeźwym osądem sytuacji.

Ach, te kobiety! Tak niedoceniane w świecie rządzonym przez dżentelmenów. Gdyby pozwolono im mieszać się w politykę, mogłyby zdziałać wiele dobrego. Bo wojny niosą zgubę, wyniszczają społeczeństwo i wyzuwają z sił. One łagodziłyby konflikty i szukały pokojowych rozwiązań – stwierdził w duchu, zaskoczony, że spotkanie z Parnicką obrało tak niespodziewany kierunek. Jeszcze większym zaskoczeniem było to, że Cecylia wyrażała opinie niemalże całkowicie zgodne z jego światopoglądem.

***

– Olaboga! Nieszczęście! – jęczał stary Gdula. – Nie będzie ślubu!

Wpadł do chałupy niczym burza, wcześniej był na targu w Niepołomicach.

– Jak to nie będzie ślubu? – zmartwiła się Katarzyna.

– Ano tak, że Paciorek nie żyje. Ktoś zaciukał jego i czterech innych parobków!

Kobieta podniosła lament, słysząc jego słowa. Zaraz też zażądała szczegółowych wyjaśnień.

Na razie jeszcze żadne z nich nie zważało na niedoszłą mężatkę, która stała przy piecu, mieszając strawę w glinianym garnku. Dominika chciwie łowiła każde słowo taty, odwracając twarz, by czasami nie zdradził jej triumfalny uśmiech. Bez trudu odgadła, kto stoi za „tajemniczą" napaścią. I choć jeszcze niedawno nie zaakceptowałaby takiego sposobu rozwiązywania problemów, gdyby usłyszała o kimś postronnym, tak teraz, gdy to właśnie ją uwolniono od konieczności wychodzenia za mąż, odetchnęła z ulgą. *Jestem potworem, bo cieszę się z cudzej śmierci* – pomyślała nagle z przestrachem. – *Boże litościwy, daruj! Ja nie chcę się smażyć w piekle!*

Zrobiła szybko znak krzyża na piersi, zezując przy tym w stronę rodziców. Przerażały ją własne odczucia i myśl, że dla niej Wojtek zabił Marcina, a wraz z nim zginęło czterech innych ludzi.

Wysoka była cena wianuszka, którego ją pozbawił. Wiedziała jednak, że to jeszcze nie jest koniec kłopotów, ponieważ nie mogła dłużej udawać przed samą sobą, że jej złe samopoczucie w ostatnich tygodniach spowodowały niechciane zaręczyny. Była brzemienna. Na razie ukrywała ten fakt przed matką, zresztą nic jeszcze nie było po niej widać – brzuch miała płaski jak deska, a piersi małe niczym podlotek.

Biada mi, gdy matka się połapie – westchnęła ciężko. Cała radość z powodu odzyskanej wolności prysnęła niczym bańka mydlana. Zdawała sobie bowiem sprawę, że wychodząc za mąż, zapewniłaby sobie spokój. Zawsze mogłaby udawać, że to dziecko Marcina, które przyszło na świat przed wyznaczonym czasem. Takie rzeczy zdarzały się nader często. Paciorek był przygłupi, też by jej uwierzył. Ale ona nie chciała z nim żyć, ponieważ się go brzydziła. Co było lepsze w jej sytuacji? Szykany i wstyd, z jakimi będzie musiała się mierzyć, gdy rodzice odkryją prawdę? Czy związek z człowiekiem wzbudzającym głęboką niechęć?

Och... Gdyby Wojciech nie był zbójem! Może wziąłby ze mną ślub i uratował mnie przed hańbą? Pociągnęła nosem, gdyż w jej oczach zakręciły się łzy. Dobrze wiedziała, że w takiej sytuacji nawet by na nią nie spojrzał. Żyłby jak wielki pan, nosił surdut, jeździł bryczką i może nawet miałby już strojną w jedwabie małżonkę.

– Oj córuś, moja biedna! – zawodziła matka, łapiąc ją znienacka w objęcia. – Szczęście cię odeszło, choć było tak blisko. Mogłaś se być panią u Paciorków! Miałabyś komorników na posługi, ładne przyodziewki i dostatek w spichlerzu.

– Nie bądźcie tego tacy pewni – fuknęła młoda. – Na pewno goniliby mnie do roboty. Mieliby mnie za nic i wiecznie byłoby gadanie, że Marcin wziął mnie w jednej koszuli!

– Nie żal ci narzeczonego? – Katarzyna załamała ręce nad zatwardziałym sercem Dominiki.

– A pewnie, że żal, bo marnie skończył. Ale nie będę łgać, żem nie jest zadowolona, bo nie muszę się za niego wydawać – rzuciła, spoglądając

jej hardo w oczy. Liczyła na to, że przy następnej okazji rodzice choć dwa razy się zastanowią, czy przepijać do swatów.

– Ładnieś mi córkę wychowała! – burknął stary na ślubną, a potem odwrócił się do młódki. – Za grosz serca w tobie! Po kim jesteś taka nieprzejednana?

– A po was – odparła – bo wyście nie chcieli mnie słuchać, gdy błagałam, byście odprawili swatów!

Jędrzej nie wytrzymał dłużej i z całej siły odwinął jej w twarz, aż się zatoczyła na piec. Odruchowo próbowała choć trochę zamortyzować uderzenie, więc na oślep wyciągnęła rękę, by oprzeć się o cokolwiek. Trafiła wprost na rozżarzoną blachę. Wrzasnęła z bólu, jakby ją ktoś żywcem obdzierał ze skóry.

– Bóg cię pokarał, żeś nie zważała na słowa i pyskujesz! – skwitowała matka, gdy ona tuliła do piersi poparzoną dłoń. – Przynieś z komory jajko, trza to obłożyć białkiem, by się nie rozjątrzyło – dokończyła litościwie. – A jak to nie pomoże, będziesz musiała pójść do znachorki. Ale sama jej zapłacisz za leczenie!

– Ale czym? – wyjęczała obolała dziewczyna, czując, że na jej cierpienie nie pomoże sam okład zalecony przez matkę, ani tym bardziej liście babki, którymi leczyła Wojtka. Bo jak raz poparzyła sobie kolano gorącą strawą, choć polała się przez ubranie, to jadziło się i jadziło bez końca. – Przecież nie mam ani krajcara.

– A choćby tą wstążką, coś se kupiła na targu. Sama widzisz, że to zbytek.

– To przestroga dla ciebie – wtrącił stary – żebyś wiedziała, jak gore ogień na dnie piekła. Opamiętaj się, byś tam nie trafiła! Bo z twoją wiecznie rozwartą gębą, będzie ci kiedyś ciężko między ludźmi!

***

Dominice niełatwo było ukrywać ciążowy brzuch. Była bardzo szczupła, więc rosnąca wypukłość coraz mocniej się odznaczała. Z nastaniem

ciepłych wiosennych dni, gdy przyszedł czas na zdjęcie grubszych rzeczy, sekret stał się niemalże nie do ukrycia. A ona, choć wiedziała, że to głupie, nie chciała mówić o dziecku ani matce, ani kochankowi. Rodzicielskiego gniewu bardzo się lękała, więc usiłowała jak najdalej odsunąć go w czasie. A Wojtkowi wolała o niczym nie wspominać, ponieważ martwiła się, że mężczyzna zwyczajnie ją porzuci. Pójdzie w las z rozbójnikami i więcej nie przyjdzie do starej szopy. Poszuka sobie innej dziewki do uciech. Albo ją zabije, tak jak Paciorka.

Trochę się go bała, bywał nieobliczalny. Po ukatrupieniu Marcina powiedział jej, że tak miało być i już. Powinna cieszyć się wolnością, bo zrobił to dla niej.

Przerażała ją myśl o popełnionej zbrodni. Ale w końcu był rozbójnikiem, dla niego to nie była pierwszyzna. Kiedyś opowiedział jej, jak to się zaczęło. Strzelać do ludzi nauczono go w powstaniu. Tam nie było miejsca na skrupuły. Gdyby sam nie mordował, zostałby zamordowany. A kiedy przystał do zbójów, przestał w ogóle zaprzątać sobie uwagę wyrzutami sumienia. To była walka o przetrwanie, choć oczywiście rzadko zadawali śmierć swym ofiarom. Zwykle kończyło się na grabieży i kilku szturchańcach. Jak ktoś zanadto stawiał opór, mógł pożegnać się z życiem.

Ponieważ on tak lekko do tego podchodził, czuła, że na nią spada jego grzech. I z tego właśnie powodu nie mogła się zdecydować na to, by pójść do babki, która spędziłaby wzrastające pod sercem życie. Nie uniosłaby ciężaru podwójnej zbrodni. Zresztą chciała mieć dziecko Wojciecha, choć wiedziała, że będzie wyzywane od bękartów, gdyż przeczuwała, że ich związek lada dzień dobiegnie końca. A ona zakochała się w tym człowieku bez pamięci, niech więc choć tyle jej po nim zostanie.

W skrytości ducha liczyła na to, że zdarzy się cud, i małe samo zniknie z jej brzucha. Wiedziała od innych dziewuch zadających się przed ślubem czy to z bandziorami, czy to z niezbyt porządnymi parobkami, że łatwo się pozbyć takiego kłopotu. Trzeba dotąd skakać

z sąsieka, aż dzieciak się wytrzęsie. Przepychanie dużych ciężarów też dawało pożądane rezultaty. A po wszystkim zawsze można było sobie poszukać porządnego kawalera i wyjść za mąż, bo ze zbójami nie wypadało się bratać. Zresztą oni nie szukali sobie żon, bo zwykle mieli je w innych wioskach. A kawalerowie nie myśleli zakładać rodzin, ponieważ nie potrzebowali kłopotów. Na utraconą cnotę też były sposoby. Niektóre panny kłamały, że nadziały się na kołek, przechodząc przez płot. Inne zawczasu przygotowywały sobie na noc poślubną pęcherz z krwią – choćby i z kury. Byle nikt nie powiedział o takiej, że jest wszetecznicą, nie spluwał za nią na gościńcu, nie wytykał palcami. Bo trudno jest żyć bez szacunku ziomków. A porządny chłopak nie zmajstruje narzeczonej brzucha przed ślubem, jeno będzie czekał na błogosławieństwo księdza, nim zerwie wianuszek ukochanej.

Dominika, choć się nie oszczędzała podczas pracy, samodzielnie nie próbowała metod, o których opowiadały inne dziewczyny. Wszystko zostawiła w rękach Opatrzności, i jeśli o cokolwiek się modliła, to o wybaczenie dla Wojtka i poniekąd dla siebie.

Coraz częściej Gdulanka czuła na sobie badawcze spojrzenia matki. Musiała się więc mocno pilnować. Nie była gotowa na awantury, krzyki oraz lanie, które niechybnie spuści jej stary.

– Dominika! Tyś jest brzemienna! – warknęła Katarzyna, zerkając z ukosa na latorośl.

Wysiewały właśnie jarzyny w ogródku. Dziewczyna chciała wyprostować plecy, po dłuższej chwili pochylania się nad grządkami. I wtedy tak niefortunnie się przegięła, że nie można było nie zauważyć wypukłego brzucha.

Młoda momentalnie się przygarbiła, lecz było za późno. Jej sekret wyszedł na jaw.

– Z kimżeś się złajdaczyła? Gadaj mi w tej chwili! Bo przecie nie ze świętej pamięci Paciorkiem!

– Nie wasza sprawa – bąknęła w odpowiedzi, choć daleko jej było do hardości.

– A pewnie, że moja, póki mieszkasz pod moim dachem! Wstydu nie masz, łachudro! – Zaczęła targać dziewczynę za kudły, usiłując wydobyć z niej prawdę.

– Dajcie spokój! – Dominika próbowała się wykręcić, lecz matka trzymała mocno włosy jedną ręką, a drugą okładała ją po twarzy, wyzywając od najgorszych.

– Co: dajcie spokój? Jakie: dajcie spokój? Mów natychmiast, czyjego nosisz bachora. Ktokolwiek by to był, powinien wziąć z tobą ślub. A jeżeli to ktoś ze dwora, to trza powiedzieć jaśnie pani, niech dadzą grosza na dziecko. Taki wstyd! Taki wstyd! – Nie ustawała w biadoleniu, póki nie skończyły roboty.

Oczywiście w domu od razu doniosła staremu o swoim odkryciu. Akurat zastały go na boisku, reperował wóz. Jędrzej nie czekał na szczegółowe wyjaśnienia. Od razu chwycił kłonicę[21], bo akurat nawinęła mu się pod rękę, i zamierzył się na młodą. Córka zasłoniła się rękami i zdążyła odwrócić tyłem. Chciała uciec, lecz matka capnęła ją za mocno zmierzwiony warkocz i przytrzymała na miejscu. Kołek opadł na wygięte w łuk plecy ciężarnej. Nie był gruby, ale i tak sprawił jej dość bólu, by zaczęła krzyczeć wniebogłosy. Stary jeszcze trzy razy ją uderzył, nim powstrzymała go Katarzyna.

– Dosyć! – Złapała męża za rękę, gdy ten chciał po raz kolejny przyłożyć córce. – Zabijesz ją albo dzieciaka. Chcesz mieć ich życie na sumieniu?

– A pewnie, że zatłukę gadzinę na śmierć! Tylko wstyd i zgryzoty są przez nią! Diabli nadali! Że też musieli ukatrupić Marcina! Wziąłby ją i mielibyśmy kłopot z głowy!

Mimo wszystko słowa żony trochę go otrzeźwiły, choć nadal patrzył na Dominikę tak złym wzrokiem, że gdyby jego spojrzenia miały moc sprawczą, to pewnie młoda spłonęłaby na popiół. On także próbował krzykiem wymusić z niej prawdę o ojcu dziecka, lecz zawzięła się, by nic nie mówić. Stary i tak nie miałby użytku z tej wiedzy, a na nią spadłyby dodatkowe cięgi za to, że zadała się ze zbójem.

Po jakimś czasie zostawili pobitą, zapłakaną dziewczynę. Na szczęście nie było mowy o tym, by ją zamknąć w komorze. Widać obydwoje uznali, że skoro się złajdaczyła, to taka kara nie ma najmniejszego sensu. Zwłaszcza że roboty było dużo – jak to wiosną.

Ech… Czas pożegnać się z Wojtkiem – westchnęła ciężko, pochlipując z bólu. – *Jak mu powiem prawdę, to i on mnie przeklnie. Lepiej mieć to już za sobą.*

Pragnęła go zobaczyć ten ostatni raz. Nawet jeśli i od niego zazna przykrości. A potem niech się dzieje, co chce!

***

Zakładała najgorsze, idąc na spotkanie z kochankiem. Wojtek najpierw wysłuchał jej opowieści, potem zgrzytnął zębami ze złości. Przez dłużą chwilę milczał.

– No i co powiesz? – zapytała w końcu, gdy cisza zaczęła jej nieprzyjemnie ciążyć.

Spojrzał na nią uważnie. Nie płakała, nie lamentowała, że powinien ją poślubić. Nie czekała chyba na nic konkretnego. Właściwie ją podziwiał, niejedna na jej miejscu buczałaby w głos albo z wrzaskiem na ustach próbowała zaciągnąć go przed ołtarz. Byle tylko dzieciak nie był bękartem, a ona wszetecznicą.

– Nie martw się, miła. Coś wymyślę – oznajmił.

– Ciekawam: co? Znowu kogoś ukatrupisz? – zapytała z przekąsem.

Ucieszył się, słysząc jej zgryźliwość. To oznaczało bowiem, że nie wpadła w rozpacz i wciąż była sobą – hardą dziewuchą, która skradła mu serce na dobre i na złe.

– Nie, tym razem nikogo nie zamorduję, choć ręka mnie świerzbi, by odpłacić twojemu ojcu pięknym za nadobne.

– Nawet o tym nie myśl! – wykrzyknęła z przestrachem, wszak ojca, jakikolwiek by był, miała tylko jednego. – Jeszcze byś z niego życie wytłukł. Dość zabijania!

– Cii… Nie krzycz. Przecież mówię, że nie zamierzam nastawać na Gdulę. Najchętniej zabrałbym cię do lasu, ale to niebezpieczne. I nierozważne w twoim stanie – oświadczył. A potem spojrzał na nią z powagą. – Miłujesz mnie?

– Też pytanie! Gdybym cię nie miłowała, pewnie poszłabym za Paciorka. Może bez ukontentowania, bo był odrażający, ale pewnie prędzej czy później pogodziłabym się z losem.

– Dobrze. W takim razie musisz mi zaufać. Na razie idź do swoich, spotkamy się w niedzielę. Jeśli nie będziesz mogła przyjść, to się nie obawiaj, będę tutaj zaglądał do skutku. Jak chcesz, możesz zabrać ze sobą jakieś rzeczy, bo już nie wrócisz do chałupy. Znajdę dla ciebie inny dom – odparł.

– A gdzie? – próbowała dociec, lecz on zaczął się wykręcać od odpowiedzi.

***

Bernadeta stała, opierając się na motyce, i spoglądała na równiutkie grządki. Było poniedziałkowe przedpołudnie. Przed momentem skończyła wysiewać nasionka, z których miały wyrosnąć warzywa. Wierzyła, że to ostatni taki znojny rok. Spłacili Goldbluma, pozbyli się więc sporego długu. Teraz wszystko, co zarobi Prokop i co urodzi grunt, pozostanie w ich rękach. Może z czasem staną na nogi na tyle pewnie, by powoli odkupić choć część tego, co utracili?

O życiu na poziomie, na jakim je wiedli przed konfiskatą mienia, nawet nie próbowała marzyć. Wtedy dopisywało im mnóstwo szczęścia i mimo wszystko mieli znacznie mniej wydatków. Teraz opłacali szkołę Zygmunta i Weroniki. Dobrze byłoby córkę posłać do Staniątek, pomiędzy szlachcianki, niechby nabyła większej ogłady i poszerzyła horyzonty. Zygmuś, osiemnastoletni kawaler, też potrzebował pieniędzy na własne potrzeby. Być może chciałby się uczyć dalej – w Krakowie, ale na to nie było Trzosów stać. Przynajmniej na razie.

A i przyszłość przed chłopakiem rysowała się jasna: miał osiąść na gospodarstwie, bo pewnego dnia ktoś będzie musiał przejąć stery po Prokopie. Mąż cieszył się wprawdzie wybornym zdrowiem, siły wciąż miał za dwóch, ale wiadomo przecież, że nikt nie jest wieczny. Trzeba więc będzie przyuczać młokosa do prowadzenia ksiąg rachunkowych i powoli wprowadzać go w wiele spraw.

– Matulu!

Drgnęła nerwowo, słysząc za plecami głos. Odwróciła się i zobaczyła pierworodnego. Krok za nim stała jakaś zabiedzona dziewuszka, ubrana w zgrzebną koszulinę i spódnicę o mocno ubłoconym dole, która musiała pamiętać znacznie lepsze czasy. Nieznajoma miała zwichrzone ciemne warkocze, w które wplątały się jakieś paproszki, gałązki i listki – zupełnie jakby młodzi przedzierali się przez leśne ostępy. Jej drobna twarzyczka obsypana była piegami i nosiła ślady niedawnego pobicia. Ciemne oczy spoglądały na Bernadetę z przestrachem.

– Wojtuś! – wykrzyknęła, chwilowo ignorując obcą. – Jak dobrze cię widzieć, synu. – Porwała go w ramiona i przytuliła ze wszystkich sił, krzywiąc się przy tym nieznacznie, gdyż jego odzież była, lekko ujmując, nieświeża i drażniła ją swoją wonią. W tej chwili jednak ważniejsza była radość, którą poczuła na jego widok, oraz ulga, że jest cały i zdrów. – A kim jest twoja towarzyszka? – zagadnęła, wypuszczając go z objęć.

Chłopak przygryzł wargi, potem sięgnął ręką za siebie i przepchnął dziewczynę do przodu. Teraz uwadze Trzosowej nie uszedł nieznacznie uwypuklony brzuch oraz niewielki tobołek, który ściskała w rękach.

Brzemienna? Chyba tak, bo skąd byłby brzuch u takiej chudziny? Chyba że z głodu – myśli błyskawicznie przelatywały jej przez głowę. Dobrze pamiętała widok wiejskich dzieciaków z okresu największego nieurodzaju. Niektóre faktycznie miały wydęte brzuchy, choć w rzeczywistości nie dojadały od wielu miesięcy czy nawet lat. *Czyżby Wojtek przyprowadził tę dziewkę jako szukającą pracy?* Westchnęła

nieznacznie, bo w domu miała dość służby, nie chciała jeszcze jednej komornicy. Bardziej przydałby się krzepki parobek do roboty w polu.

– Mamo, to jest Dominika – oznajmił. – Potrzebuje schronienia, bo ludzie jej żyć nie dają, a ojciec ją wciąż tłucze. Proszę... Przyjmij ją pod swój dach. Wiem, że zawsze miałaś dobre serce dla cudzej niedoli.

Nie zapomniał, jak przed laty matka przygarnęła Gienkę, potem Dylów i kilku innych biedaków. Każdego odkarmiła, odziała, ułożyła w starej chałupie do snu. Nigdy nie odmawiała pomocy, gdy ktoś żebrał o miskę strawy.

– Dominika – powtórzyła za nim, wciąż przyglądając się lichocie. – A dalej? Masz jakieś nazwisko? – zwróciła się do dziewczyny, lecz ta albo była niemową, albo sparaliżował ją tak wielki strach, że tylko otworzyła usta, nie wydając z nich żadnego wyraźnego dźwięku.

– Dominika Trzos, matulu. To moja żona – odparł za młodą Wojtek.

– Żo...na? – wychrypiała z przejęciem. – Ale jakże to? Ożeniłeś się, nic nam nie mówiąc?

Zaskoczenie było spore. Nie podejrzewałaby syna, nawet teraz, że zwiąże się ze strachem na wróble. Gdy jeszcze mieszkał w domu, nieraz przyłapywała go na łypaniu oczami za Józią Dylówną, dziewczyną nader powabną, przyuczającą się do służby na pokojach.

Ech... Pewnie się zakochał, a miłość jest ślepa. A może po prostu on widzi w tej biduli coś więcej niż ja, skoro zrobił ze mnie świekrę?

– A komu miałem powiedzieć o ślubie, kiedy ojciec mnie wyklął? Tobie mówię teraz. Wczoraj wieczorem pobłogosławił nam ksiądz z Niepołomic.

– Dał wam ślub ot tak?

– Dał, bo sypnąłem na kościół talarami. I na dodatek zrobił to w sekrecie.

– Pod bokiem Austriaków? Nie bałeś się? Przecież mogli cię pojmać!

– Kapłan zgodził się udzielić nam sakramentu pod tą kapliczką, co jest na rozstajnych drogach tuż przy puszczy.

– Jakżeście się poznali? – wypytywała Bernadeta, ciekawa każdego szczegółu. Wszak nie codziennie zostaje się teściową.

Wojciech opowiedział pokrótce historię ich znajomości. Nie pominął faktu, że tamtej nocy przetrzebiono trochę zgraję jego druhów, choć wiedział, że to tylko wzmoże matczyne obawy o jego zdrowie i życie. Ale jej jedynej nie potrafił okłamywać, bo wiedział, że kocha go najbardziej na świecie. Inaczej niż Dominika. Bezwarunkowo.

– Wygląda na to, że pomogłaś mu, gdy Austriacy zrobili zasadzkę. Gdybyś nie dała Wojtkowi schronienia, pewnie by go pojmali. Albo nawet zabili – stwierdziła Bernadeta.

– To drobiazg – odparła w końcu ciężarna. – Nic wielkiego nie zrobiłam.

– Mamo… I co teraz będzie? Pomożesz nam?

– Pomogę – zapewniła, choć spodziewała się mężowskiego gniewu.

Wprawdzie mogłaby nakłamać Prokopowi, że to nowa dziewka do pomocy, ale po pierwsze stawiałoby to… hm… sneszkę w niezręcznej sytuacji i zapewne byłoby dla niej upokarzające, a po drugie, choć mąż faktycznie żywił urazę do syna, nie zamierzała posuwać się do oszustwa. Nie bała się jego gniewu, w gruncie rzeczy był poczciwym człowiekiem. Przecież nie wyrzuci za drzwi biduli noszącej pod sercem ich wnuka. Tylko trzeba będzie doprowadzić ją do jakiejś ludzkiej postaci, dać lepszy przyodziewek, uczesać ją i umyć. Pod tym względem Bernadeta była nieprzejednana. Zresztą nie wyobrażała sobie, by żona Wojtka chodziła w gorszych łachach niż służba. Na nowe stroje na razie nie było pieniędzy, ale może z biegiem czasu i o tym będzie można pomyśleć.

Uzgodniła z młodymi kilka szczegółów, a na ostatek próbowała jeszcze raz przekonać Wojtka, by wrócił. Ten jednak zawziął się, że pójdzie między zbójów, bo tam jest jego miejsce. A żonę będzie oczywiście odwiedzał w tajemnicy, by nie ściągnąć rodzicom na głowę policjantów lub gwardii. Na ostatek wcisnął matce w rękę kilka

srebrnych talarów, choć wzbraniała się, że nie weźmie pieniędzy pochodzących z rozbojów.

– Kiedy Dominice trzeba sprawić trzewiki i jakiś lepszy przyodziewek. A i małe będzie potrzebowało różnych rzeczy. Weź, matko – nalegał. – I pomódl się czasami za mnie – dokończył.

***

Prokop poznał nowego członka rodziny dopiero pod wieczór. Tak się bowiem złożyło, że niemalże cały dzień spędził poza domem. W tym czasie Bernadeta przedstawiła Dominice Weronikę i Zygmunta oraz tych posługaczy, którzy nawinęli się pod rękę. Weronika z miejsca zapałała do tej chudziny sympatią i nawet chciała oddać jej swoją ciut za ciasną sukienkę, lecz Trzosowa wybiła jej to z głowy, tłumacząc, że nie wypada, by mężatka nosiła strój niezakrywający całych nóg. Kwestią garderoby musiała zająć się sama. W tobołku Dominiki były same znoszone łachy, które Bernadeta poleciła spalić w piecu, ponieważ w jej odczuciu nie nadawały się ani do oddania służkom, ani tym bardziej do noszenia w dworku. Na razie podarowała synowej jedną ze swoich perkalowych sukni, którą skróciły naprędce, odpruwając falbanę. Zrobiły z niej szarfę, by można było przepasać strój powyżej talii, dopasowując go choć trochę do Dominiki. W najbliższym czasie będą musiały pójść lub pojechać do Niepołomic, a tam w sklepie u któregoś z licznych żydowskich handlarzy na pewno zakupią niezbędne rzeczy. Czasu wystarczyło jeszcze na to, by porządnie wyszczotkować włosy i na nowo zapleść warkocze.

– Zgubiłam chustkę w lesie – oznajmiła Dominika, tłumacząc się tym samym, czemu jako mężatka paraduje z gołą głową.

Bernadeta machnęła tylko ręką i wygrzebała spomiędzy swych rzeczy pożądany drobiazg. Sama na zewnątrz nosiła skromny, pozbawiony ozdób czepiec, a w domu nie przykrywała włosów niczym, ponieważ tak jej było wygodniej. Ponadto uważała, że chusty, choćby nie wiadomo jak

były piękne, nie pasują do noszonych przez nią ubrań. Ot, taka wielkopańska fanaberia!

Nim Trzosowie zasiedli do wieczerzy, przedstawiła mężowi synową.

Prokop wybałuszył oczy i przez chwilę nic nie mówił, lustrując dziewczynę od góry do dołu.

– Odejdź do drugiej izby – zwrócił się do młodej.

Odczekał, aż ta pójdzie, a potem zaczął robić ślubnej wyrzuty, że przyjmuje pod ich dach żonę bandyty, przez co może ściągnąć nieszczęście na całą rodzinę. I że on w ogóle nie uważa już Wojtka za swojego syna, bo rodzone dziecko nie czyni rodzicom takich niegodziwości. Nie gardzi ojcowizną przekazywaną z dziada pradziada. Nie ucieka z domu nocą. Nie naraża bliskich na kłopoty, a wręcz niebezpieczeństwa! Bo jak się ktoś obrabowany połapie, że są rodzicami zbója, to jeszcze gotów mścić się na nich za uczynki synalka.

– Prokopie, nie krzycz – odparła spokojnie Bernadeta. – Trzeba ją przygarnąć, bo nie ma dokąd pójść. Źli ludzie nie dadzą jej żyć. A poza tym ona nosi pod sercem naszego wnuka! Pozwolisz, by dzieciątku, w którego żyłach płynie nasza krew, stała się krzywda?

– No dobrze – sapnął w końcu po dłuższych deliberacjach. – Niech zostanie. Ale żeby mi się za nią nie zwlekli tu jacyś zbóje, rozumiemy się? – powiedział, spoglądając wymownie na Betkę, ponieważ miał na myśli Wojciecha. I wiedział, że matczyne serce wciąż się do niego wyrywa.

– Jak się przywlecze ten zbój i powie, że chce z nami zamieszkać, to jego także wpuszczę do domu – oświadczyła zadziornie. – To mój syn. A matka potrafi wybaczyć swemu dziecku największe niegodziwości.

Rozdział 6.

Rachunki z przeszłości

Zabudowa wiejska z okolicy Niepołomic

Rok 1871

W domu znowu zrobiło się gwarno i wesoło, ponieważ Juliusz i Maksymilian wrócili na dobre z Krakowa, choć zanosiło się na to, że ta sytuacja nie potrwa długo. Juliusz bowiem rozdarty był pomiędzy chęcią wejścia w interesy z wujem a poczuciem odpowiedzialności, nakazującym powrót do domu i zatroszczenie się o matkę oraz ojcowiznę. Maksymilian natomiast z góry zapowiedział, że niebawem przeprowadzi się na swoje włości, gdyż przyszedł czas, aby się ostatecznie usamodzielnić.

Cecylia, która w minionych latach przyzwyczaiła się, że sama musi dbać o własne sprawy, nie zamierzała stawać synowi na drodze. Już dawno postanowiła, że jeżeli syn zechce osiąść w mieście, to nie będzie próbowała zatrzymywać go na prowincji. Gospodarstwo było niewielkie, z łatwością dało się nim zarządzać. Ponadto miała jeszcze Filomenę, ukochaną ptaszynę, osiemnastoletnią pannicę, o której zamążpójściu trzeba będzie pomyśleć niebawem.

Na razie jednak całe towarzystwo spędzało miłe popołudnia w salonie, oddając się pogawędkom, grze na fortepianie oraz przyjmowaniu gości, którzy coraz liczniej odwiedzali dworek. Nic dziwnego, skoro pod jego dachem mieszkało dwóch kawalerów do wzięcia i posażna panna na wydaniu. Rzadko zdarzały się chwile, gdy przebywali wyłącznie w gronie domowników, tak jak tego dnia. Młodzież zachowywała się więc znacznie swobodniej, czas upływał im na przekomarzankach. Filomena siedziała, stukając palcami w klawiaturę. Maksymilian stał obok, opierając się biodrem o instrument, a Juliusz przeglądał gazetę. I gdyby nie odziana w żałobną suknię Justyna, pochmurna i złowroga niczym wrona, Cecylia uznałaby, że jest sielankowo.

Rezydentka wciąż była obecna w życiu Parnickich, choć zachowaniem bardziej przypominała wiecznie milczącego ducha. Mało kiedy zabierała głos, jakby bała się akcentować swą obecność. A przecież miała zagwarantowane dożywocie w tym dworze, nikt tego nie podważał. Nikt także nie okazywał jej choćby mikrej niechęci. Cecylia wręcz starała się wciągać ją w rozmowy i dbała o jej dobre samopoczucie, lecz wszelkie starania spełzały na niczym.

Może tęskni za Gertrudą? – pomyślała, zezując na damę pochyloną nad tamborkiem. Justyna pracowicie haftowała obrus, który miał w przyszłości ozdobić ołtarz, ostatnio nie zajmowała się właściwie niczym innym. *Była z nią bardzo zżyta. Pewnie przykro jej, że Amelia nie zaproponowała, by ona także zamieszkała w Limanowej. W gruncie rzeczy szkoda mi Justyny, bo całe jej życie jest jakeś takie… na niby. Wciąż kątem w cudzym domu, bez męża, dzieci… Może przez to jest taka zamknięta w sobie i wiecznie rozgoryczona?* Nie dopuszczała do głosu myśli, że ta stara panna może nią po prostu gardzić i uważać ją za kogoś gorszego, parweniuszkę.

W czasie gdy Cecylia rozmyślała nad skądinąd smutnym losem Justyny, Maksymilian snuł na głos plany przeprowadzki do swojego majątku. Oderwał nawet Julka od „Czasu", młodzi dżentelmeni rozmawiali właśnie o koniach, w które powinien zaopatrzyć się Żelechowski.

– Wierzchowce, masztalerz… to chyba najmniejsze wyzwania – stwierdził dziedzic. – Prócz tego czeka mnie jeszcze całe urwanie głowy.

– Ależ Maks! Nie musisz się przeprowadzać do tego pustego domiszcza tak prędko. Powinieneś najpierw jakoś je urządzić, skompletować służbę… – oponowała Cecylia. – Przecież wiesz, że tu jest twoje miejsce i niezmiennie cieszy mnie twoja obecność pod naszym dachem.

– O tak! – poparła ją gorliwie córka, odrywając się na moment od instrumentu. – Nie bądź taki, Maks, nie opuszczaj nas od razu. Dopiero co wróciliście z Julkiem, a już słyszę, że mój ukochany braciszek myśli

o powrocie do Krakowa, a ty o wyprowadzce! Łamiecie nam serca – dodała filuternie.

Gdyby nie to, że Maksymilian i Filomena wychowywali się razem niczym rodzeństwo, Cecylia przy pierwszej nadarzającej się okazji skarciłaby córkę na stronie za ten entuzjazm. W przypadku każdego innego kawalera mogłoby to zostać odebrane jako nachalność. I chyba tak potraktowała to Justyna, gdyż uniosła oczy znad robótki i spojrzała z wyrzutem na panienkę.

– Droga ciociu, Filutko! Wiecie, jak dobrze mi się tutaj z wami mieszka. Ale nadszedł czas na to, abym wrócił do siebie i przywrócił ojcowiźnie dawną świetność – odparł. – Mam nadzieję, że pomożecie mi w umeblowaniu wnętrz i zatrudnieniu rzetelnej służby. Przyznaję, że nie mam pojęcia, jak zabierać się do takich spraw.

– Oczywiście, że pomożemy! – Filomena ubiegła matkę. – To będzie przyjemność, ale pod warunkiem że nie będziesz się spieszył i nie uciekniesz nam stąd tak od razu.

– Tak od razu nie, choćby dlatego, że będę tam sam jak palec. Tutaj przynajmniej jest pewna sroka, z którą czasami dobrze się poprzekomarzać – powiedział. Puścił oko do dziewczyny i pociągnął ją lekko za jeden z anglezów.

Panna, choć to w ogóle nie wypadało, zerknęła najpierw w stronę Justyny, która pochylała się nad tamborkiem, a następnie wykrzywiła twarz.

– Filutko! – skarciła ją łagodnie matka.

– Ależ mamciu! Widziałaś? Ten łobuz popsuł mi fryzurę.

– Niczego ci nie popsuł. Zagraj nam lepiej coś ładnego, bo widzę, że zaczyna cię nosić jakieś licho.

Miała wiele wyrozumiałości dla swej ukochanej córki. Wciąż pamiętała siebie będącą w jej wieku, karconą przez matkę i pouczaną na każdym kroku. Choć osobiście sztywno przestrzegała wszystkich wpojonych jej zasad, Filomenie pozwalała na większą swobodę. I już

dawno podjęła postanowienie, że pozwoli jej, by samodzielnie dokonała wyboru kandydata na męża. Nie zamierzała nakłaniać córki do przyjmowania oświadczyn mężczyzny, który nie będzie wzbudzał cieplejszych uczuć. Sama przeżyła gorzkie chwile w zaaranżowanym małżeństwie, podobnie było z pierwszym mężem Eulalii, narzuconym przez Antoniego. Dopiero u boku Gustawa szwagierka odżyła i wyglądała na prawdziwie szczęśliwą. *Szkoda tylko, że tak krótko to trwało* – westchnęła. Cecylia, choć miała okazję do ponownego mariażu, nie zdecydowała się na ten krok, mimo że zalecało się do niej dwóch wdowców z okolicy. Podejrzewała jednak, że w ich przypadku nie chodzi o miłość, lecz o interes – wszak była zamożną wdową.

***

Jesienią dwór gotów był do zamieszkania. Ku zmartwieniu Filomeny Maksymilian przeprowadził się bez zbędnej zwłoki. Wprawdzie obiecał, że będzie stałym bywalcem w domu Parnickich, lecz dziewczynie i tak było przykro. Lubiła z nim rozmawiać, żartować, grywać duety na fortepianie. Czasami nawet myślała, że w gruncie rzeczy mogłaby za niego wyjść, choć był mniej zamożny od jej rodziny. Cecylia zdawała się temu sprzyjać. Choć nigdy o tym nie rozmawiały, Filomena czuła jej akceptację choćby wtedy, gdy rodzicielka przymykała oczy na spacery czy przejażdżki konne bez towarzystwa przyzwoitki.

A może nie chodzi o moje plany matrymonialne, lecz o to, że mama traktuje Maksa jak rodzonego syna, a w konsekwencji myśli, że uważam go za brata? – rozmyślała pannica, posyłając tęskne spojrzenia w stronę drzwi od bawialni, jakby w ten sposób miała przyciągnąć wizytę młodzieńca.

Właściwie dziwnie byłoby wziąć ślub z kimś od zawsze obecnym w jej życiu i traktowanym niczym członek rodziny. Tylko czy Maks interesował się nią w t a k i sposób? Owszem, żartowali ze sobą, przekomarzali się, oddawali różnym rozrywkom. Ale nigdy nie wykorzystał sytuacji, gdy przebywali sam na sam, by uścisnąć jej dłoń lub skraść całusa, a do tego właśnie posuwał się Ildefons Ostrowski,

kuzyn zabitego w powstaniu wujka Jana, czy Marcel Branicki – przystojny i dość zamożny absztyfikant. Obydwaj dżentelmeni, także skoligaceni ze sobą poprzez wspólną babkę, byli stałymi bywalcami w jej domu i bynajmniej nie kryli się ze swymi zamiarami. Już samo to wzbudzałoby zazdrość Maksymiliana, gdyby był nią zainteresowany.

Maks od wielu tygodni chodził z głową w chmurach. Czasami bywał tak zadumany, że musiała mu coś dwukrotnie powtarzać, nim udzielił odpowiedzi. Czy to oznaczało, że kocha się skrycie w jakiejś damie? Tego Filomena nie była pewna, ponieważ nigdy nie przyłapała go na tym, by rzucał jakiejś tęskne wspomnienia, wzdychał albo omyłkowo zwrócił się do niej cudzym imieniem.

– Nad czym tak wciąż rozmyślasz? – zagadnęła, gdy pewnego pięknego październikowego popołudnia wybrali się na przejażdżkę po okolicy.

Nie odpowiedział, choć jechali stępa ramię w ramię. Znowu pogrążony był we własnym świecie. Odkąd zamieszkał w swych włościach, zaczął się oddalać, a ich relacjom towarzyszył narastający dystans.

Maks – pomyślała ze smutkiem. – *Nie traktuj mnie w taki sposób.* A potem ponowiła pytanie. Dopiero wtedy spojrzał na nią przytomnym wzrokiem.

– Przepraszam, Filutko. Zamyśliłem się – odpowiedział.

– To widzę – stwierdziła. – Wciąż bujasz w obłokach. Może zdradzisz mi, co cię tak frapuje?

– Ech… Sroczko… Obawiam się, że to nie jest przeznaczone dla dziewczęcych uszu – oświadczył.

– Masz jakieś kłopoty? – drążyła. – Opowiedz mi, może wtedy poczujesz się lepiej?

Mężczyzna zaprzeczył.

– Jesteś dla mnie jak siostra, ale nawet ty tego nie zrozumiesz. Bo skoro ani wuj Antoni, ani Julek nie pojmowali mojego pragnienia, to

jakże mam o tym mówić z tobą?

Serce panny nadspodziewanie szybko zaczęło uderzać. Uroiło jej się, że być może Maks, jeszcze będąc nastoletnim chłopcem, napomknął coś jej papie o możliwości ożenku w przyszłości. A potem ten sam temat poruszył z Juliuszem, a oni obydwaj stali na stanowisku, że młodzieńcowi wychowywanemu w ich domu niczym brat Filomeny nie wypada myśleć o czymś takim. Że dla niego powinna na wieki pozostać młodszą siostrą, którą de facto nie była. A tymczasem Maksymilian nie potrafi oprzeć się miłości, więc tęskni skrycie, nie zdobywając się na odwagę, by wykonać jakiś gest. Przez chwilę pieściła duszę tym pięknym marzeniem.

– Prr! Hiacyncie! – Wstrzymała swego kasztanka.

Maks także zatrzymał swego wierzchowca.

– Coś się stało? – zapytał zdziwiony, gdy wyciągnęła do niego dłoń. Podał jej swoją rękę, a ona uścisnęła ją zadziwiająco mocno.

– Maks… Przecież widzę, że coś cię gryzie. Nikt nie zna cię lepiej ode mnie. Zrzuć z ramion ten ciężar. Czasami trzeba zrobić pierwszy krok, zdobyć się na odwagę… Inaczej do końca życia będziesz nieszczęśliwy i nie przestaniesz się zastanawiać, co byłoby, gdybyś podjął działanie…

Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Jesteś niesamowitą panną, Filutko. Popychasz mnie do tego, bym podjął rękawicę, którą los rzucił mi dawno temu. Masz rację, nikt nie zna mnie lepiej niż ty. Zawsze potrafiłaś odgadywać moje myśli oraz nastroje. Widziałaś znacznie więcej niż wuj Antoni, czy nawet Juliusz, choć to przecież z nim spędzałem najwięcej czasu. A jednak on nie potrafi mnie w lot zrozumieć. On na pewno próbowałby mnie powstrzymać… – mówił dość enigmatycznie, lecz z wielkim żarem. – Mówiłby, że to nierozważne…

– Czasami głos serca ważniejszy jest od podszeptów rozsądku.

– Ach… Filutko! – Uniósł jej dłoń do ust i wbrew zasadom dobrego wychowania ucałował mimo skórzanej rękawiczki. – Wiem, wiem… Nie

powinienem tego robić, przepraszam – powiedział szybko, gdyż ten gest zastrzeżony był dla mężatek, ewentualnie narzeczonej. – Twoje słowa wlewają we mnie otuchę. Zdecydowanie zbyt długo się powstrzymywałem. Hamowałem swe zapędy, wychodząc z założenia, że Antoni miał rację. Ale przecież mógł się mylić! To ja jestem kowalem swojego losu, choć w dzieciństwie wykuwano go za mnie. Teraz przyszedł czas na to, by wziąć sprawy w swoje ręce.

– Możesz być pewny mojej akceptacji – wyszeptała.

– Zdejmujesz z moich ramion wielki ciężar. Nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebowałem tego zapewnienia z czyichś ust – oznajmił.

Przez chwilę miała nadzieję, że Maks zeskoczy z konia i również ją poprosi, by zsiadła, a następnie zamknie ją w objęciach ramion i pocałuje. On jednak uśmiechnął się tylko, a potem spiął Sokoła i ruszył przed siebie.

Dziwni są ci mężczyźni – westchnęła.

***

Pojawienie się nowej osoby w życiu rodziny Trzosów spowodowało spore zamieszanie. O ile młodzież przyjęła bratową życzliwie, to Prokop nie potrafił jej zaakceptować. Traktował Dominikę ze sporym dystansem, choć tolerował jej obecność w swoim domu. Często się z nią przegadywał, lecz bez tej życzliwości, którą Bernadecie okazywał Jakub.

Znacznie większym problemem było to, że choć Dominika większość czasu spędzała w obejściu, nie kręcąc się pomiędzy ludźmi, to i tak w okolicy krążyły plotki, że Trzosowie przyjęli do siebie jakaś ciężarną przybłędę, zapewne wszetecznicę. Nie wypędzili jej nawet wówczas, gdy urodziła syna.

Klemens został ochrzczony w Niepołomicach, a jego chrzestnymi rodzicami zostali Weronika i Zygmunt. Wojciech nie pojawił się podczas cichej ceremonii – nawet nie wiedział o tym, że został już ojcem, ponieważ konsekwentnie nie zaglądał do domu. O tym, że

młodzi małżonkowie widują się czasami, wiedziała tylko Bernadeta, choć i Prokop musiał się czegoś domyślać, lecz on nie chciał nawet słyszeć o synu. A czym więcej mijało czasu, tym mocniejszy był jego gniew.

Odkąd pod jego dachem zamieszkała Dominika, znowu zaglądał do karczmy starego Mojsiejowicza, choć nie służyło mu picie gorzałki. Ale zachodził pomiędzy ziomków po to, by posłuchać, o czym gwarzą. A oni wciąż przyjmowali go życzliwie, ponieważ zawsze postawił flaszkę okowity, z której sam niewiele korzystał. Strzygł za to pilnie uszami, czy nie dojdą go jakieś wieści o synu marnotrawnym.

Wódka skutecznie rozwiązywała ludziom języki. Wiedział zatem dobrze, że okoliczni plotkarze podejrzewali początkowo, jakoby Dominka była kochanicą jeśli nie jego, to przynajmniej Zygmunta. Dziwowano się zatem Bernadecie, że ją u siebie toleruje, choć krążyły słuchy również o tym, że w rzeczywistości młódka jest żoną Wojtka. A ten huncwot wciąż się ukrywał ze strachu przed więzieniem lub zsyłką na Sybir. Bo konfiskata majątku to jedno, a kara na faktycznie winnym chłopaku – drugie.

Oczywiście Prokopowi te domniemania bardzo odpowiadały. Zdecydowanie wolał, by z jego syna robiono włóczęgę, który poszedł w szeroki świat, niż aby nazywano go otwarcie rozbójnikiem i straszono zawleczeniem smarkacza przed oblicze landwójta, gdyby rzecz jasna pojawił się we wsi.

O rozbójnikach gadano dużo i często, ponieważ wciąż mocno dawali się ludziom we znaki.

– Psubraty! – pomstował Zdzisiek Czop, który sam przed laty dostał od nich niezłe lanie, po którym przez miesiąc pluł krwią. Zresztą do tej pory był ladacy, brakowało mu sił do roboty i nawet okowitka nie smakowała mu jak dawniej. Wszystko to zganiał na tamto pobicie, po którym omal nie wyzionął ducha. – Władka mi poturbowali.

– Nie gadaj! – zmartwił się Marcińczyk. – Jego też?

– Ano. Skurwysyny jedne, by w końcu w tych lasach wyzdychali! Władek jechał z targu, sprzedał zboże, więc miał przy sobie talary. Dobrze je ukrył w gaciach, matka swego czasu wszyła mu w nie tajną kieszonkę. Myślał, że mu się uda, bo w jedną stronę przejechał bezpiecznie. A gdy wracał, napadli go w lasku na Winnicy. Gęby mieli dla niepoznaki zamotane szmatami, mierzyli do niego z pistoletów, żądając pieniędzy. Próbował wykpić się kilkoma krajcarami, mówił, że więcej nie ma, ale mu nie uwierzyli. Chyba go, łotry niemyte, przyfilowali, jak jechał do Wieliczki. Diabli nadali! Mówiłem mu, by ruszył na targ do Niepołomic, bo tam bezpieczniej, ale jemu zachciało się akurat w drugą stronę! Twierdził, że na ichni plac przyjeżdża więcej ludzi i można uzyskać lepsze ceny. Miał nawet przy sobie nóż, wziął go dla obrony – przerwał, gdyż dostał nagłego ataku kaszlu.

Dusił się przez kilka minut, aż mu się oczy zaszkliły. Ktoś z dobroci serca postawił przed nim kufel grzanego piwa, mimo że dzień nie był aż tak chłodny, by się rozgrzewać napitkami.

Trzos czekał cierpliwie na rozwój opowieści, choć zdążyły go uspokoić słowa o tym, że rozbójnicy pozasłaniali twarze. No ale zawsze można kogoś rozpoznać po głosie, posturze czy charakterystycznych ruchach. Z Wojtka był kawał chłopa, wyraźnie wybijał się wzrostem ponad innych – krępych niedożywionych kmiotków.

– Słyszałem ja – bąknął Ambroży – że Austriacy co jakiś czas zasadzają się na tych bandziorów. Swego czasu wykurzyli ich z karczmy Na Zbóju. Kilku pojmali żywcem, ze dwóch albo trzech zabili.

– Jakoś mi ich nie żal – burknął Marcińczyk, ocierając z piany sumiastego, mocno posiwiałego wąsa.

Starsze pokolenie nie piło już tak tęgo jak przed laty. Teraz prym w karczmie wiodła młódź, oni zaś siedzieli w kącie skupieni przy jednej ławie, sącząc niespiesznie piwo, męcząc jedną czy dwie flaszki okowity w kilku. Do gospody wiodła ich bardziej chęć pogwarzenia ze znajomkami niż pociągania trunków.

– A kto by żałował tych drabów? – wykrztusił w końcu Czop. – Mojego Władka, choć to kawał chłopa, mocno poturbowali. Ukradli mu wszystko, nawet gacie. Jakby nie to, że na wozie miał starą derkę, to wróciłby do domu goły jak święty turecki. Że też kary na nich żadnej nie ma! – biadolił.

Trzos przyszedł z gospody w złym humorze.

– Diabli nadali – sapnął, moszcząc się w kuchni na ławie.

– Coś się stało? – zapytała Bernadeta, kołysząc na kolanie wnuczka i udając, że chłopiec kłusuje konikiem. – Patataj, patataj, pojedziemy w piękny kraj!

– A snecha gdzie? – odparł pytaniem, widząc, że synowej nie ma w kuchni.

Określenie Dominiki nieprzyjemnie dźgnęło w uszy Betkę. Sama dla nieżyjących już świekrów była zawsze sneszką. Przykro jej było, że mąż nawet nie próbuje poznać i polubić synowej. Wnuka hołubił, z Dominiką darł koty. Na szczęście bystre było z niej stworzenie, bo na jego kąśliwe uwagi potrafiła tak odpowiedzieć, by nie wzbudzać w nim wściekłości, a raczej obracać wszystko w żart. Na pewno nie było jej łatwo ze świadomością, że w gruncie rzeczy żyje na jego łasce, i czasami musiała dobrze powściągać język, by nie wygłosić paru słów za dużo.

– Dokądś poleciała przed godziną – odparła. – Zostawiła mi dziecko, nie chciała z nim chodzić po zmroku.

– Pewnikiem poszła na spotkanie z tym zbójem – burknął Prokop. – W karczmie chłopy gadają, że Austriacy co rusz zasadzają się na bandę. Trzebią ich po trochu, zrobią porządek i z tym drabem – dokończył grobowym głosem.

– O Boże! Nie! – jęknęła ze zgrozą kobieta.

– Snecha nie powinna do niego łazić. Jeszcze ściągnie na nas kolejne nieszczęście. Bo albo zostanie aresztowana z nimi, albo przywlecze za sobą do domu jakiś ogon.

– Ależ Prokopie! Nie może być. To mąż i żona. Muszą się widywać choćby czasami.

– Nie! – Huknął pięścią w stół. – Mieszka pod naszym dachem, więc musi się dostosować do moich oczekiwań. A ja mam już dość kłopotów, nowe nie są mi potrzebne.

***

– Panie Prokopie… Pan dobrze zna ludzi ze wsi.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Trzos wędrował wraz z Żelechowskim po jego włościach, objaśniając szczegóły gospodarcze. Młody wciąż jeszcze się uczył, a jego zainteresowanie było żywe i świadczyło, że niebawem osobiście będzie chciał zarządzać swymi dobrami. W rzeczy samej ziemi nie było nazbyt dużo, gdyż sporo przeszło na własność chłopów. Pół łanu nieboszczka Kornelia odsprzedała Prokopowi, ponieważ pilnie potrzebowała gotówki, gdy budowany był dwór. Potem trochę gruntu zbyto na polecenie Antoniego. Pieniądze z tej transakcji zostały ulokowane w spółkę. Parnicki uznał, że to będzie dobra inwestycja, i miał rację, gdyż interes rozwijał się wybornie. Tak więc majątek był niewielki, i gdyby nie przychody z owej spółki, to Maksymilian byłby drobnym szlachcicem zagrodowym.

Tak właściwie Żelechowski rad był decyzjom podjętym przed laty przez Antoniego. Miał perspektywy na wygodne życie bez większego zachodu i ze stosunkowo niedużymi wydatkami. Nie potrzebował licznej służby, ekonoma, kilku ekwipaży. Uważał, że nie potrzebuje takiej wystawności, w jakiej dorastał u Parnickich. Na razie nie planował założenia rodziny, miał do spełnienia znacznie ważniejszą misję. Małżeństwo odkładał na nieokreśloną i raczej odległą przyszłość.

– Tak, paniczu. Znam – odparł Trzos, ciekaw, co młody ma na myśli. Potrzebował dodatkowej służby? Chciał wymienić najętych przez niego robotników? Pozbyć się kogoś?

– A wie pan, którzy to dopuścili się rabacji domu i wyrżnęli w pień moją rodzinę?

Prokop westchnął ciężko. Właściwie mógł się spodziewać podobnego pytania. Powinien był przewidzieć, że prędzej czy później Maksymilian o to zapyta, ponieważ będzie szukał pomsty.

– Panie Żelechowski… Nie lepiej zapomnieć? Pana wtedy nie było na świecie.

– Nie zamierzam się mścić, jeśli o to chodzi. Wuj Antoni skutecznie wybił mi to z głowy, lecz on nie chciał nic mówić na ten temat. A ciocia Cecylia nie znała wielu szczegółów. Wiem od niej, że tamtej nocy pomógł pan w uratowaniu mej matki. Przechował pan ją w swoim domu, czyż nie?

– Tak. To prawda. – Mężczyzna przeniósł się w myślach do owej przerażającej nocy, która na zawsze odmieniła los wielu ludzi, jego również. I chyba on był jedynym człowiekiem, który sporo zyskał na konsekwencjach tamtych wydarzeń.

Przekleństwo na mnie – nawiedziła go nagle przerażająca myśl. – *Przez te wszystkie lata dorabiałem się na krzywdzie tego młodego człowieka. Nigdy w życiu nie zostałbym zarządcą jego majątku, gdyby nie śmierć pana Tadeusza. Do dzisiaj byłbym zwyczajnym kmieciem, nieznającym wygód, których krótko dane mi było posmakować. Fortuna zatoczyła koło. Utraciłem wszystko to, com z tego powodu zyskał.*

– Jestem panu wdzięczny, że ocalił nam pan życie. Nigdy nie miałem okazji za to podziękować…

– Nie trzeba, młody człowieku. Nie trzeba. To był zwyczajny, ludzki odruch. Posłaliśmy wtedy parobka, by sprowadził jegrów, lecz nim wojacy przybyli, na pomoc było za późno. Och, gdybym wcześniej wiedział, co się we wsi szykuje…

– Pewnie i tak nie zapobiegłby pan rzezi – stwierdził Żelechowski.

– Ano nie. Nie miałem innej możliwości, by pomóc. Moja sytuacja życiowa była wprawdzie lepsza niż los chłopów pańszczyźnianych, lecz

nie dysponowałem ludźmi pod bronią, nigdy nie wojowałem szablą. Owszem, potrafiłem strzelać z dubeltówki, lecz trzymałem ją dla obrony mojego domu. Bo nim kmiecie napadli na dwór, zaszli wpierw do mnie i jęli mnie ze sobą ciągnąć. Baliśmy się wtedy, że jak zaspokoją żądzę zemsty, to wrócą i również nas złupią. Byliśmy z ojcem we dwóch przeciwko niemalże całej wiosce. Prócz nas w chałupie siedziało trzech wyrostków, z których jednego pognaliśmy od razu chabetą do Niepołomic. Drugiego wysłaliśmy pod dwór, by miał oko na to, co tam się wyrabia. A trzeci został na wypadek, gdyby i nam przyszło odpierać ataki, choć nas pewnie żywcem upiekliby w chałupie, bo mieszkaliśmy wówczas pod strzechą.

– Spaliliby was, gdyby wiedzieli, że daliście schronienie mojej matce. To bohaterstwo – powiedział z niekłamanym podziwem Maksymilian.

– Tak, nie uszlibyśmy z życiem. Ale kiedy nieboszczyk Antoni przyprowadził pańską matkę, odchodzącą od zmysłów z rozpaczy, nie mieliśmy wątpliwości, że trzeba pomóc. Modliliśmy się, by nikt jej u nas nie szukał. Czekaliśmy na jegrów, w nich była nasza nadzieja. Gdy pojawili się we wsi, odetchnęliśmy z ulgą.

– Kto przyszedł wtedy pod wasz dom?

– To było tak dawno temu… trudno spamiętać szczegóły.

– Nie wierzę, że pan zapomniał. Takie rzeczy na zawsze pozostają w myślach.

– Co panu da ta wiedza? Ci ludzie są już starzy, schorowani. Jednego zabrała cholera, kilku odeszło ot tak.

– Ale żyją dzieci morderców. Żyją i pewnie śmieją mi się w twarz, ilekroć przejeżdżam przez ich wioskę. Chcę wiedzieć, choćby po to, by w przyszłości nie zatrudniać ich u siebie – odparł młody.

– Ludzie, którzy dla pana dzisiaj pracują, nie mają absolutnie nic wspólnego z tamtymi wydarzeniami. Nie zatrudniłbym zbrodniarzy – oznajmił Prokop zgodnie z prawdą. Zresztą nawet gdyby chciał to zrobić, wątpił, czy ktokolwiek podjąłby się służby w dworku, ponieważ od jakiegoś czasu mawiano, że straszą tam duchy ofiar rzezi.

– Pan nie. Bo pan wie, kto podniósł rękę na moją rodzinę. Ale ja tego nie wiem. I nie chciałbym oglądać u siebie morderców. Albo ich potomków.

– Powtarzam panu, że większość z nich została już dostatecznie pokarana przez los.

Maksymilian westchnął nieznacznie. Wiedział, że od Prokopa nie dowie się niczego. Nie podobało mu się, że człowiek, który sam się narażał, by ocalić życie jego matki, chroni teraz morderców. Nie podejrzewał go, by był z nimi w zmowie. Antoni zawsze oceniał Trzosa jako bogobojnego, prawego człowieka, który wzdragał się przed przemocą. Ale Żelechowskiemu już świtało w głowie, kto mógłby wiedzieć, i co więcej, kto zechce podzielić się ważnymi informacjami. Wszak karczmarz wciąż był od niego zależny, bez jego zgody nie prowadziłby gospody we wsi.

Trzeba się będzie udać w gniazdo os – pomyślał z głęboką niechęcią. *Albo ściągnąć Mojsiejowicza do dworu. A Trzos… Trzos zrobił już swoje. Czas podziękować mu za pracę i znaleźć człowieka, który go zastąpi.*

Rok 1872

Cecylia dobrze wiedziała, że Maksymilian stroni od towarzystwa. Odkąd zamieszkał we własnym majątku, stał się prawdziwym odludkiem. Właściwie początkowo nie zwracała uwagi na to, że młody mężczyzna, którego wciąż traktowała tak, jakby był jej rodzonym synem, rzadko ją odwiedza. Złożyła to na karb przeprowadzki i wielu związanych z nią spraw. Z biegiem czasu zaczęły jednak docierać do niej wiadomości, że Maks nikogo do siebie nie zaprasza, a gdy ktoś próbuje go wizytować, zwykle natrafia na odźwiernego informującego, że nie zastał panicza. Sam także nie przyjmuje żadnych zaproszeń i ignoruje pozostawiane u niego bileciki wizytowe.

Pewnego dnia wybrała się więc osobiście do jego posiadłości. Oczywiście odźwierny próbował ją zatrzymać, tłumacząc, że dziedzica nie ma, lecz dźgnęła go w bok parasolką i oznajmiła, że w takim razie poczeka w bawialni, aż mężczyzna raczy wrócić. I nie, nie ma mowy o tym, by zostawiła bilet i przyjechała innym razem, we wskazanym przez Żelechowskiego terminie, bo wychowała go jak rodzonego syna, więc w jego domu nie będzie czuła się obco. I że przybywa ze sprawą niecierpiącą zwłoki, więc lepiej niech Maciej zejdzie jej z drogi, bo inaczej zawrze bliższą znajomość jeśli nie z jej parasolem, to z batem woźnicy.

Cóż miał chłopina zrobić na takie dictum? Usunął się grzecznie, odebrał od niej płaszcz, kapelusz i ów oręż podręczny, którym go postraszyła. Złożył te wszystkie rzeczy na specjalnie przygotowanym stole w sieni, a następnie wprowadził *madame* do salonu.

– Zechce pani poczekać – mruknął. – Służąca zaraz poda herbatę.

Kobieta weszła do niewielkiej i dość skromnie urządzonej bawialni. Skonstatowała, że niewiele się tutaj zmieniło, odkąd Żelechowski podjął decyzję o przeprowadzce. Nie przybyło ani mebli, ani bibelotów. Pojawił się zaledwie jeden dywan oraz kilka dagerotypów w dość prostych, zapewne srebrnych ramkach. W powietrzu unosił się zapach wypalonego niedawno cygara, na co zmarszczyła nos. Zawsze uczyła swoich chłopców, jak myślała o Julku i Maksie, by nie kopcili w pomieszczeniach, z których korzystają damy. Mogli do woli robić to w kantorku, gdzie przyjmowali petentów, w gabinecie czy we własnych sypialniach. Ale nie w salonie, ponieważ dym wsiąkał w firany, kotary oraz dywany i sprawiał, że pomieszczenie stawało się duszne.

Z westchnieniem zebrała suknię i zasiadła w pobliżu kominka. Już samo to, że trzaskał na nim ogień, sugerowało, że Maksymilian nie mógł odjechać na dłużej. Na pewno nikt nie zawracałby sobie głowy podkładaniem drew, gdyby nie oczekiwano jego rychłego powrotu.

A może jednak był we dworze?

Czujnemu spojrzeniu Parnickiej nie uszła filiżanka z niedopitą kawą odstawiona na podręczny stoliczek, otwarta książka leżąca do góry grzbietem, a obok, w popielniczce żarzący się niedopałek cygara.

Zmarszczyła brwi. Czyżby i ona była dla Maksa intruzem?

W tej samej chwili drzwi salonu otwarły się i do pomieszczenia wszedł pan domu.

– Przepraszam, ciociu! – powiedział na jej widok. – Zapowiedziałem służbie, by nikogo nie wpuszczali, ponieważ nie mam ochoty na przyjmowanie wizyt, lecz nie przypuszczałem, że potraktują to tak dosłownie i również tobie zaczną robić trudności. Wszak ty zawsze jesteś mile widziana w moich progach. Wybacz – dokończył ze skruchą, całując obydwie jej dłonie.

– Uff… Martwię się o ciebie, mój drogi – oznajmiła bez ogródek. – Od dłuższego czasu sąsiedzi skarżą się, że unikasz spotkań.

– Kto taki? – wyraził zdziwienie, ponieważ nawet się nie pokwapił, by przejrzeć bilety piętrzące się na tacy w sieni.

Usiadł naprzeciwko niej. Sięgnął po cygaro i od razu zdusił je w popielniczce.

– Wimmerowie, Niedzielscy, Braniccy, Solscy… – wyliczyła tych, o których wiedziała.

– Ach… Solscy! Mają córkę na wydaniu, podobnie jak Niedzielscy. A mnie się nie spieszy do ożenku – bąknął.

– Phi! Ja też mam córkę na wydaniu – zauważyła. – Tylko czasami nie pomyśl, że najeżdżam cię z powodu Filomeny – zaznaczyła natychmiast, choć w głębi duszy marzyła, by Maks poprosił o rękę Filutki. Dziewczyna wypatrywała sobie za nim oczy, ignorując całkowicie pozostałych dwóch absztyfikantów. Młody Branicki byłby zapewne nieporównywalnie lepszą partią od Maksymiliana, ponieważ jego rodzice posiadali piękny majątek, lecz dla Cecylii nie było to priorytetem. Córka dostanie znaczny posag, który zagwarantowali jej dziadkowie Zalescy. Prócz tego i ona zamierza ją ładnie wyposażyć na

miarę swoich możliwości. Czemu więc panna nie miałaby pójść za głosem serca i wybrać kawalera, który wzbudza w niej ciepłe uczucia? *Dość, że mnie wydano za mąż bez pytania o zdanie* – stwierdziła Parnicka.

Maks parsknął śmiechem.

– Ależ ciociu! W ogóle nie przeszło mi przez myśl, by się kryć przed tobą z uwagi na Filutkę. A i tobie pewnie nie przyszłoby na myśl, by swatać córkę kawalerowi, który przez całe życie był dla niej niczym brat. Jeszcze raz cię przepraszam za to nieporozumienie ze służbą. Już zapowiedziałem Maciejowi, że natrę mu uszu, gdy ponownie dopuści się takiej gafy. A na inne odwiedziny faktycznie nie mam nastroju. Potrzebuję wytchnienia po latach spędzonych w gwarnym Krakowie. Usiłuję ponadto okrzepnąć tutaj. Poukładać wszystkie moje sprawy gospodarcze i tchnąć życie w to miejsce.

– Zwalniając z pracy Trzosa? – weszła mu w słowo, nie dając jednocześnie odczuć, że jego uwagi o swataniu Filomeny sprawiły jej przykrość i poniekąd pogrzebały nadzieję, którą w nim pokładała.

Choć sprzyjała tej miłości, czekało ją nieliche zadanie, gdyż będzie musiała delikatnie dać do zrozumienia córce, że powinna przenieść zainteresowanie na innego kawalera. Raczej małe było prawdopodobieństwo, że w sercu Maksymiliana coś drgnie, skoro widział w dziewczynie młodszą siostrę.

– Już wiesz? – zdziwił się mężczyzna.

Przytaknęła ruchem głowy.

– Wieści rozchodzą się szybko. Trzos dzierżawi część moich gruntów, więc stale mam z nim do czynienia. Zresztą dobrze wiesz, że on i Bernadeta bywają w naszym domu. Choć to prości ludzie, zapałałam do nich sympatią. I podziwiam determinację, z jaką usiłują zachować dorobek swego życia po tym, jak ukarano ich za powstańczą awanturę Wojtka.

– A wiesz, ciociu, doszły mnie słuchy, że młody Trzos wdał się w jeszcze jedną awanturę – oznajmił młody.

Cecylia nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż ich spokój zakłóciła służąca z tacą. Przyniosła herbatę oraz ciasteczka. Rozłożyła nakrycia, zapytała, czy może zabrać wystygłą kawę. Dopiero gdy odeszła, Parnicka podjęła rozmowę.

– Chodzi ci o rzekome zbójowanie? Czy to było powodem, dla którego odprawiłeś Prokopa?

– Tak.

– Popełniłeś kardynalny błąd. Wojciech nie jest rozbójnikiem. Owszem, ukrywa się przed Austriakami z obawy, by go nie aresztowano za udział w powstaniu…

– Bez przesady, ciociu – przerwał jej Żelechowski, rad, że sama podsunęła mu pretekst, gdyż w rzeczy samej Trzosa zwolnił z zupełnie innych powodów. – Za to Trzosowie zostali już ukarani, na dodatek wiele lat temu. Kto jeszcze pamięta o tamtej zawierusze? Teraz żyjemy innymi problemami. Przede wszystkim pracą nad podźwignięciem z ruin tego, co nam zostało po przodkach. Nikt nie myśli o wojaczce, bo szablami, pistoletami czy nawet z użyciem kilku armat nie damy rady potężnym wrogom. Najpierw musimy się wzmocnić, nabrać sił, zregenerować to, co nadwątlone – tłumaczył, gdyż faktycznie taki trend utrzymywał się od dłuższego czasu. Wcześniej rozmawiał o tym z Parnicką wielokrotnie i uważał, że to doskonały temat do mydlenia jej oczu. Byle zostawiła w spokoju jego nieistniejące życie towarzyskie oraz sprawę Prokopa. Kiedyś, gdy przyjdzie na to odpowiedni moment, rozejrzy się za jakąś miłą panną i założy rodzinę. Ponownie zacznie spotykać się z ludźmi, będzie wydawał przyjęcia, organizował bale oraz łowy. Teraz skupiony był na czymś innym. A Trzos… Trzos nie dość, że niczego nie ułatwiał, to wręcz mógłby mu zaszkodzić. Zresztą wcale taki kryształowy nie był, skoro wychował syna na rozbójnika. Tej ostatniej myśli nie omieszkał wygłosić.

– Prędzej uwierzę, że można nauczyć konia latać, niż w to, że Wojtek jest rzezimieszkiem. Nie od dzisiaj znam tę rodzinę. To szlachetni ludzie, którzy myślą nie tylko o sobie, ale i o innych. Przecież dawno

temu mogli sprzedać swój stary dom, by pokryć chociaż część długów. A oni tego nie zrobili, ponieważ żal im było nieboraków, którzy znaleźli tam mieszkanie po tym, jak piorun spalił ich chatę. Nie wypędzili komorników, choć sami byli w tarapatach. To chyba o czymś świadczy.

– Może tak, może nie. Czarna owca może się trafić nawet w najlepszej rodzinie. A Trzosowie nie są żadną szlachtą. To zwyczajni dorobkiewicze, którym na dodatek powinęła się teraz noga. Przykro mi, ciociu, lecz nie zmienię raz podjętej decyzji, daremny twój wysiłek. – Spojrzał na Cecylię znad filiżanki, którą właśnie unosił do ust.

– W porządku. Nie przyjechałam tutaj jako emisariusz. Po prostu zatęskniłam – odparła miękkim głosem. – Dawno cię nie widziałam. Nie pokazujesz się ostatnio ani u nas, ani na salonach wśród naszych znajomych.

– A od kiedy z cioci zrobiła się taka bywalczyni salonów? – zagadnął lekkim, żartobliwym tonem, ponieważ dobrze wiedział, że Cecylia niechętnie odwiedza miejscową socjetę. – Mam to po tobie, ciociu. Też nużą mnie te trywialne, układne pogawędki albo, co gorsza, puszenie się tytułami, dobrami *et cetera*.

– Niezupełnie, choć poniekąd masz rację. Ale nie chciałabym, abyś brał przykład z moich przyzwyczajeń i także zamykał się w domu. Jesteś młody, powinieneś spotykać się z ludźmi, składać wizyty, przyjmować gości… Trwa karnawał, nie wierzę, że nie zaproszono cię na żaden bal, a nie widziałam cię u nikogo. Nie pojmuję twojej przemiany, wszak mieszkając z nami, byłeś towarzyski.

– Obiecuję, że to się zmieni. Po prostu usiłuję jakoś wszystko uporządkować, muszę tutaj okrzepnąć – powtórzył uporczywie. W rzeczy samej wierzył, że kiedyś przyjdzie pora na zabawę, a obecność innych osób ponownie zacznie mu sprawiać przyjemność.

***

– Maleńki chlewiczek, pełen cieliczek, a między nimi różowy byczek – recytowała Bernadeta, podczas gdy Klemens zaśmiewał się do rozpuku, prezentując babci buzię pełną dorodnych ząbków. Po chwili chłopczyk przekornie wystawił język, na co Betka zmarszczyła brwi w udawanym gniewie. – Schowaj ten jęzor, basałyku! Nieładnie tak pokazywać.

Z trudem panowała nad prącymi w górę kącikami ust. Przy wnuczku nie potrafiła zachowywać powagi. Dopiero teraz, gdy sama została babcią, pojęła, czemu Maria tak rozpływała się nad małymi Wojtusiem, Agniesią, Zygmusiem i Weroniczką. Rozpieszczała ich ponad miarę, nie pozwalała na karanie rózgą, gdy czasami któreś z nich było niesforne. Potrafiła wybronić Wojtka z każdej sytuacji, niejednokrotnie powstrzymując Prokopa, gdy zamierzał się na syna pasem. Być może to właśnie ta nadmierna pobłażliwość sprawiła, że chłopak zszedł na złą drogę, lecz Bernadeta też wzdragała się przed stosowaniem kar cielesnych. Sama od swego ojca niejeden raz dostała czy to rózgą, czy rzemieniem. Stary Kołodziej był surowym ojcem, dzieci trzymał krótko i w dużej dyscyplinie. Szczególnie ostry był dla niej, tłumacząc, że robi wszystko dla jej dobra. Bo skoro ma wyrosnąć na panią, a nie pierwszą lepszą chłopkę, to musi być potulna. Betka zaś była dzieckiem ruchliwym, wszędobylskim, buzia jej się nie zamykała. Pupa często więc piekła ją po wymierzanych karach, a jeszcze bardziej piekło ją w sercu i myślach. I po każdej nauczce od tatula długo się na niego boczyła, choć i za to mogła ściągnąć na siebie jego gniew.

Klemens jako żywo przypominał swego ojca. Była w nim ta sama żywotność i przekorność. Podobnie wszystko kleiło się do jego maleńkich rączek. *Oby nie było z tego kiedyś kłopotów* – biadała w duchu zafrasowana babcia. – *Chyba po mnie Wojtek i Klemuś są tacy niesforni, bo Prokop to nadzwyczaj spokojny człowiek, a z wiekiem robi się coraz łagodniejszy. Ech… Żeby jeszcze miał serce dla Dominiki* – westchnęła na koniec swych przemyśleń.

– Zaś go pieścicie? – zagadnęła sneszka, która właśnie przyszła do kuchni. Miała ze sobą kobiałkę jajek przyniesionych prosto z kurnika.

Odłożyła kosz na stół i podeszła do pieca, by ogrzać zmarznięte dłonie.

– A kogo mam pieścić? – zapytała Bernadeta, czuląc się do chłopca. – Pierwszy i jedyny wnusio, to baba mu nieba przychyli. Tak, mój królewiczu?

– Ech… Rady sobie z nim nie dam, jak go nauczycie, że ciągle jest bawiony – utyskiwała młoda, nie pierwszy raz, bowiem takie sytuacje zdarzały się często. – A i hołubić będziecie mieli kogo niebawem – bąknęła nieco ciszej, zezując z niepewnością na świekrę.

Bernadeta zmierzyła ją uważnym wzrokiem. Już kiedyś zauważyła, że Dominika nabrała kształtów, lecz myślała, że to po prostu skutek dobrego jedzenia. Gdy u nich nastała, sucha była jak wiór – sama skóra i kości. Teraz miała pełne piersi, zaokrągloną twarz i wyraźnie zarysowane biodra. Ona także nie nosiła chłopskich przyodziewków, lecz szyte na wzór wielkopańskich suknie z niedrogiego perkalu latem, a zimą z samodziału. Nie ściskała się wprawdzie gorsetem, nie nosiła też krynoliny czy tiurniury, gdyż te przeszkadzałyby w wypełnianiu domowych obowiązków, wystarczały jej same halki. I teraz pod dopasowanym gorsem sukni Betka dostrzegła wypukłość.

– Będzie drugie? – upewniła się, załamując ręce. Choć kochała maleńkie dzieci i uwielbiała je bawić, wiedziała, że wieść o następnym wnuku nie zachwyci Prokopa. Wszak kilka miesięcy temu wyraźnie rozkazał Dominice, by poniechała spotkań z mężem, bo może ściągnąć nieszczęście na niego, siebie i całą rodzinę. Wszak na zbójów wciąż zasadzali się Austriacy.

– A będzie – przyznała młoda, hardo spoglądając na świekrę. – Choć tyle mam z Wojtka pociechy. Bo co to za mąż, z którym nie żyję na co dzień, jak Pan Bóg przykazał? On tam, ja tutaj. Wciąż jesteśmy osobno. Świekr wilkiem patrzy, ludzie gadają, żem przybłęda, ojciec z matulą mnie wyklęli i nie chcą widzieć w chałupie. To choć w dziateczkach będę miała odrobinę radości i ciepłego uczucia, bo wszędzie jestem jak to piąte koło u wozu. Jak kula u nogi. Gdyby nie Klemuś i to małe, co we mnie rośnie, to nic by nie pozostawało, jak tylko uwiązać kamień

młyński u szyi i rzucić się do Wisły. – Pociągnęła nosem dla lepszego efektu. – A i tak lepiej byłoby skoczyć, bo jak świekr usłyszy, żem brzemienna, to mnie pewnikiem przegna na cztery wiatry. Przyjdzie nam tułać się po świecie, może nawet dołączyć do bandy zbójeckiej.

Słysząc jej słowa, Bernadeta zdjęła z kolan Klemensa i puściła chłopca, by sam się pobawił. Wstała z ławy i podeszła do sneszki. Bez zawahania objęła dziewczynę i mocno ją przytuliła.

– Ależ Dominisiu, dziecko! Co też ci chodzi po głowie? Tyś mi jak rodzona córcia. Przecież wiesz, że trzymam z tobą. Nieba bym ci przychyliła. A Prokopem się nie martw, nie dam cię skrzywdzić. Kiedyś i on zrozumie, że skoroś jest zamężna, to i dzieci muszą przychodzić na świat, bo przecież nie możesz żyć cnotliwie, jak zakonnice w Staniątkach.

Wiedziała, że to na niej spocznie ciężar załagodzenia mężowskiego gniewu. Wszak nie mogła dopuścić, by ta nieszczęśnica porwała się na jakieś szaleństwo. Albo żeby zabrała dzieci na poniewierkę.

***

– Olaboga, Betko! – ryknął Prokop, gdy usłyszał nowinę o drugim wnuczątku. – Czyście obydwie rozum postradały? Jedna, że łaziła do tego rzezimieszka, a druga, że przymykała na to oczy? Przecież wyraźnie zapowiedziałem – zwrócił się do sneszki – abyś się z nim więcej nie zadawała. Chcesz, głupia babo, ściągnąć na nas wszystkich jeszcze większą biedę? Ten twój, pożal się Boże, ślubny nie powiedział ci, jakeśmy żyli, nim zachciało mu się przygód? Przecież jak nam się landwójt dobierze do skóry, to wszyscy będziemy dziadować po cudzych komorach i na łaskawym chlebie! Myślisz, że chcę zostać żebrakiem na starość?

– Skoro taka ze mnie dla was kula u nogi, to zabiorę Klemensa i pójdę z nim do lasu – odparła hardo Dominika. – Jeżeli dla was wnuczek mniej znaczy niż kundel uwiązany u budy, zejdę wam z oczu!

– A idź w diabły, snecho! Same przez ciebie zgryzoty!

– Prokopie! – wrzasnęła Bernadeta, porywając w ramiona plączącego się przy nich chłopczyka. – Czy ty nie masz Boga w sercu? Jak możesz? To nasz jedyny wnusio! A gdybyś brzemienną sneszkę wyrzucił na tę zimnicę, to chyba sczezłbyś na samym dnie piekła! Ja na to nie pozwalam! Nasz dom jest domem Dominiki. To żona naszego pierworodnego! Pojmij to wreszcie!

– O, żem ja was dwóch słuchał! Żem się nie sprzeciwiał matuli, gdy zabraniała bić huncwota pasem, jak broił. Żem się dawał przekonywać twoim łzom, gdyś broniła tego drania! Trzeba było lać go jak psa i patrzeć, czy dupa mu równo puchnie! Może wtedy wyszedłby na ludzi! A nie, żebym musiał o nim łgać i nie mógł nikomu spojrzeć w oczy! Toć przez Wojtkowe sprawki młody Żelechowski pozbawił mnie zajęcia! Bo doszły go słuchy, że wyhodowałem w domu bandziora. A on nie chce mieć nic wspólnego ze zbójami, bo policjanci gotowi mu zarzucić, że chroni przestępcę! Wszystko poszło na zmarnowanie przez łotra! Wszystko! – zapamiętywał się w gniewie, choć po prawdzie przypuszczał, że posadę ekonoma stracił przede wszystkim dlatego, że nie wskazał Maksymilianowi sprawców rabacji. Zakładał, że jest jedyną osobą, która mogłaby to zrobić, bo chłopi trzymali się w kupie, a swój swojego nie wyda. Odgadywał także, że panicz nie bez powodu kilkakrotnie naciskał go o ich nazwiska, zapewne zamierzał szukać pomsty za krzywdę sprzed lat. A on nie chciał rozlewu krwi wśród ziomków, ponieważ sprawcy i tak dostali od losu za swoje. W tej chwili jednak zaślepiała go złość tak wielka, że utracone profity przypisał postępkom syna. – Czegom się dorobił ciężką pracą, to straciłem przez jego wybryki! Cała moja harówka na marne! Cud, że choć ojcowizna nam się ostała, ale i to mogą zabrać, za nie nasze przewinienia. Oj! Trza mi było go lać rózgą, pasem, kijem, czym popadło! Może wyszedłby na ludzi, siedział w domu na tyłku, zajmował się gospodarstwem. Chciałaś zrobić z niego wielkiego pana? – fuknął teraz na ślubną. – To ci ładnie odpłacił!

– Nie mów tak, Prokopie! To nie jest wina Wojtka, że tak mu się życie ułożyło.

– Nie? Co ty bredzisz, babo?! Szaleju się najadłaś? Sam sobie winien, nikt mu nie kazał przystępować do bandziorów!

– Bał się kary za udział w powstaniu!

– A za rabunki i rozboje się nie boi? Przecież jak go złapią, to z miejsca powieszą!

– No to się módl do Matki Bożej Bolesnej, by do tego nie doszło! – odparła Bernadeta, tuląc do siebie przestraszonego wnuka. – A Dominice daj spokój! Przed Bogiem ją Wojtek poślubił. A co Bóg połączył, tego nie godzi się rozdzielać. Nie puszczę ich na poniewierkę, bo nigdy w życiu bym sobie tego nie wybaczyła. A jeśli ich przegnasz, tobie tym bardziej nie wybaczę! Zawsze byłeś skory do pomagania innym, więc i teraz nie zamykaj serca, bo chodzi o naszą rodzinę!

***

Nauki u sióstr stanowiły dla Weroniki nie lada wyzwanie. Z mieszanymi uczuciami uczęszczała na nie od kilku miesięcy, wciąż tęskniąc za poprzednią szkołą w Niepołomicach i tamtejszymi koleżankami. Brakowało jej nawet chłopców, choć oni wciąż płatali figle, ciągnęli za włosy albo podrzucali pomiędzy przybory szkolne jakieś nieprzyjemne niespodzianki w postaci żab lub robaków.

Niby uczono ją u benedyktynek różnych pięknych i ciekawych rzeczy, lecz spoglądając na zubożałą rodzinę, zastanawiała się, czy kiedykolwiek ta wiedza na coś jej się przyda. W przeciwieństwie do matki nie widziała się na salonach. Gdy raz na jakiś czas *madame* Parnicka przysyłała po Trzosów bryczkę, towarzyszyła rodzicom podczas wizyt z narastającą niechęcią. Zbyt krótko miała własną guwernantkę, by dorównywać ogładą pannie Filomenie. Nie potrafiła zachowywać się w towarzystwie równie swobodnie. Zresztą z jakim towarzystwem miewała do czynienia? Wyłącznie z Parnickimi, co i tak

było prawdziwym fenomenem, ponieważ od koleżanek pobierających nauki w klasztorze dowiedziała się, że młodziutkie dziewczęta rzadko przebywają z gośćmi. I właściwie póki nie zaczną nosić długich sukni, nikt nie zwraca na nie uwagi, a przynajmniej nie powinien, ponieważ dzieci ma być wyłącznie widać, a uchowaj Boże – słychać! Dlatego właśnie każda z jej koleżanek marzyła, by móc nosić jak najdłuższe suknie i upinać włosy jak przystało na pannę na wydaniu. Wówczas bywało się dopuszczaną do dorosłych pogawędek, choć nadal oczekiwano, że pozostanie się cichą, skromną i akuratną.

Podobnych reguł postępowania było tak dużo, że Weronika nie potrafiła wszystkiego spamiętać. I doskonale wiedziała, że żaden szlachetnie urodzony kawaler nawet na nią nie spojrzy, ponieważ pochodzi z plebsu. Gdyby choć miała odpowiedni posag!

Oczywiście nie było dla niej sekretem, że matka pragnie wydać ją w przyszłości dobrze za mąż, najlepiej za jakiegoś zubożałego szlachcica. Szesnastolatka niejeden raz słyszała, jak rodzice o tym rozmawiają. Jeśli o nią chodziło, dobrze urodzeni dżentelmeni mogliby dla niej w ogóle nie istnieć. Jej podobał się syn Zalipiaków, dwudziestoletni Nikodem – wysoki, krzepki parobek, smukły w biodrach, rozrosły w barach i tak przystojny, że nie można było się na niego napatrzeć.

Wracając ze szkoły, lubiła niekiedy nadłożyć drogi, by przejść przez Zalipie, jak nazywano przysiółek zamieszkiwany przez Zalipiaków oraz dwie inne rodziny. Kiedyś te ziemie były własnością państwa Żelechowskich, lecz po zniesieniu pańszczyzny przeszły na własność chłopów. Często idąc tamtędy, widywała Nikodema przy pracy. Czasami ją nawet dość grzecznie zaczepiał i wciągał w krótkie pogawędki.

Weronika wędrowała bez większego pośpiechu, nucąc ulubioną piosenkę.

– *O zachodzie przed mym domem / Chodzi chłopiec cudnych lic / Wciąż oczyma do mnie mruga / Mruga i nie mówi nic*[22].

Przerwała, gdy dostrzegła na świeżo zaoranym polu parobka przyprawiającego ją o żywsze bicie serca. On też ją zauważył, bo na moment wstrzymał konia, do którego zaprzężony był pług.

– Dzień dobry, panno Weroniko – zagaił, bowiem ostatnio tak właśnie się do niej zwracał, choć wcześniej wołał ją po imieniu. Być może jednak sięgająca niemalże do kostek ciemna sukienka wzbudzała w nim większy respekt. A może chodziło o to, że dziewczyna mieszkała w niedużym dworku, a on w zwyczajnej chałupie i w związku z tym traktował ją tak, jakby była ziemiańską córką? Bo do innych wiejskich dziewuch zwracał się bezpośrednio, a zwykle wręcz nazywał je rozwrzeszczanymi srokami. I nieważne, że Weronika miała koleżanki we wsi, traktował ją z większym dystansem niż inne dziewczęta.

– Dzień dobry, Nikodemie. Niech Bóg błogosławi przy pracy.

– Bóg zapłać. A skądże to panna wędruje?

– Z nauk od staniąteckich siostrzyczek – oznajmiła, po czym szybko zmieniła temat, by nie wprawiać parobka w zakłopotanie. Wiedziała bowiem, że Nikodem przez parę lat uczęszczał do niepołomickiej szkoły, lecz zakończył naukę na długo przed Zygmuntem, choć zaczynali równocześnie. – Widzę, że zaczęliście orkę, a kiedy zasiewy?

– Pewnie dzisiaj ojciec wyjdzie z ziarnem.

– Mój tatko też już obsiewa pola, choć mama mówiła, że nie ma pośpiechu, bo mogą wrócić przymrozki.

– Jak gruntu dużo, to nie ma na co czekać – odparł. – Ziemia rozmarzła, a choćby i nawet mróz znowu ścisnął, to nic się nie stanie. Zboże sobie poradzi. Ale co ja tam będę pannie opowiadał o pszenicy. – Wzruszył ramionami. – Panna Weronika ma pewnie ciekawsze sprawy na głowie. A czego uczą siostrzyczki?

– Różności. Trochę lekcji jest takich jak w niepołomickiej szkole. Uczona więc jestem kaligrafii, rachunków oraz robótek ręcznych, choć panna Gierczeńska znała mniej ściegów niż benedyktynki. Prócz tego mam jeszcze wykłady z historii i przyrody. Siostry sporo uwagi poświęcają żywotom świętych oraz takim zajęciom, które są dobre dla

szlachcianek, a mnie mało potrzebne. Chyba wolałabym dalej chodzić do starej szkoły, tam miałam milsze koleżanki, choć nie tak serdeczne jak tutejsze dziewuchy – odparła.

W rzeczy samej wciąż była rozdarta pomiędzy matczynymi marzeniami a tym, co dyktowało serce. Nie czuła się dobrze wśród ziemiańskich córek, gdyż mocno od nich odstawała. Dla wiejskich dziewczyn też była obca, ponieważ nosiła zupełnie inne ubiory i więcej musiała się uczyć. Mimo wszystko jednak lepiej czuła się pomiędzy nimi – nie musiała tak starannie dobierać słówek i uważać na każdym kroku, by czymś się nie ośmieszyć.

***

Eliasz Mojsiejowicz był znacznie rozmowniejszy od Trzosa. Gdy Maksymilian wcisnął w jego garść kilka srebrnych talarów, bez większego namysłu wyliczył nazwiska osób, które będąc tamtego popołudnia w jego gospodzie, podżegały chłopów do napaści na dwór.

Tak naprawdę powinienem puścić z dymem całą wioskę – rozmyślał Żelechowski. – *Niechby się przekonali na własnej skórze, jak to jest, gdy traci się wszystko: dom, rodzinę, przeszłość, pamiątki po przodkach.*

On, choć w chwili rzezi był nasciturusem[23], wciąż nosił w sercu poczucie krzywdy. Cóż z tego, że matka ocalała, skoro zmarła zbyt młodo, by opowiedzieć mu o dziejach rodu? Niewiele zapamiętał z jej skąpych wypowiedzi, tak naprawdę więcej usłyszał od wuja Antoniego. Nie miał pojęcia, jacy naprawdę byli jego rodzice i krewni. Jak wyglądali, co ich pasjonowało. Nie posiadał ani jednego portretu, dagerotypu, niczego! Z „tamtego" życia matka zachowała wyłącznie dwa pierścionki oraz kolczyki, które miała przy sobie w czasie masakry. Prócz nich była jeszcze obrączka ślubna, lecz ta pozostała na jej dłoni, gdy grzebano doczesne szczątki Kornelii. Skąd wzięła te precjoza? Stanowiły pamiątkę po jej przodkach czy prezenty od Tadeusza? Czy ojciec podarowałby mu własną szablę i pistolety, z chwilą gdy wchodził

w dorosłość? Polowaliby razem? Uczyłby się od niego, jak prowadzić majątek? Kim był dziadek? I babcia? Na kogo wyrosłaby Oleńka? Czy z bratem łączyłaby go równie dobra nić porozumienia jak z Juliuszem?

Czy wolno mu było złamać słowo, które dał przed laty Antoniemu? Wszak przysięgał na prochy matki, że poniecha zemsty, lecz robił to niejako pod przymusem, ponieważ został przyciśnięty do muru.

– Śmierć za śmierć – stwierdził, bawiąc się solidnym powrozem.

Siedział w bawialni. Obok w popielniczce dymiło się cygaro. Prócz niego na stole stała karafka z alkoholem i opróżniony kieliszek. Maks nareszcie czuł się swobodnie, tutaj rzeczywiście był sobą. Nie krępowały go żadne zasady ani ograniczenia narzucane przez Cecylię. W myślach już nie określał Parnickiej ciocią, choć wdzięczny był jej za wszystkie trudy wychowawcze. Mimo że okazywała mu wiele czułości, nie była w stanie zastąpić matki.

Leniwym gestem sięgnął do kieszonki w kamizelce i wyjął z niej złoty zegarek z dewizką. Na cyferblacie w kolorze kości słoniowej odcinały się czarne rzymskie cyfry. Żelechowski żachnął się na myśl, że powinna to być pamiątka po dziadku lub ojcu, ewentualnie prezent od kogoś bliskiego. Coś, co ma w sobie duszę i historię, co odmierzało czas minionym pokoleniom, a nie lśniący nowością anonimowy nabytek.

– Ciekaw jestem, ile zrabowanych przedmiotów wytrząsnąłbym im z sienników, pierzyn i poduszek – powiedział sam do siebie, wstając.

***

Zdzisiek Czop ledwo powłóczył nogami, lecz mimo to nie rezygnował z wychodzenia wieczorami do gospody. Po tym, jak przed laty rozbójnicy omal nie wytrzęśli z niego duszy, doszedł do wniosku, że życie jest zbyt krótkie, by spędzać je pod pierzyną. Gdy tylko jako tako doszedł do siebie, zaczął znowu bywać u Mojsiejowicza, nierzadko zostawiając w jego kieszeni ostatnie krajcary. Na miejscu przywitał się z ziomkami, po czym zdjął z głowy mocno wyświechtany kaszkiet

i klapnął na ławie. Kazał sobie przynieść grzanego piwa, bo dzień był zimny.

– Co dobrego powiecie? – rzucił do siedzących przy stole chłopów.

– Stara bieda – sapnął Edmund, którego twarz na starość zaczerwieniła się jeszcze mocniej, a dodatkowo posiekały ją, prócz zmarszczek z wżartym w nie brudem, fioletowe nitki żyłek. Nos mu się dziwacznie powiększył, tak że przypominał krwistej barwy kalafior. Mężczyzna oddychał ciężko, z wysiłkiem, a i poruszał się niczym zniedołężniały starzec. Fakt, młody już dawno nie był. Ale i do grobu jeszcze się nie wybierał, ponieważ pochodził z rodziny długowiecznych kmieci.

– To może i lepiej, że tylko stara. Bo nowa bieda to zawsze nowe kłopoty. A człowiek chciałby pożyć w spokoju – stwierdził przybyły. – A tobie co, Jaśku? – Poklepał po plecach starego Bielaka, który siedział struty, jakby mu kto dziegciu dał pokosztować.

– Ano kłopot, bo Krystek chce się żenić, ale znalazł se dziewuchę równie biedną jak my, więc musi sprowadzić ją do domu. A nam tylko dziada z babą brakuje, bo bez tego mamy ciasno i głód człowiekowi zagląda w oczy. Też nie mogła nam się spalić chałupa tak jak Dylom? Tyś się ustawił, Alojzy. – Pokiwał głową do siedzącego naprzeciwko kuma. – U Trzosów masz jak u Pana Boga za piecem.

– Nie narzekam – przyznał Dyl. – Lepiej mi u Prokopa nawet teraz, gdy zubożał, niż ongiś u bogaczy Żelechowskich. Tfu! Na psa urok. Ile razy se o nich przypomnę, to wszystko się we mnie wywraca.

– A dałbyś już spokój, Alojzy – rzucił krótko organista. – Toć gryzą ziemię blisko trzydzieści lat. A nam już bliżej niż dalej do mogiłki.

– O to właśnie chodzi – Alojzy zniżył głos do szeptu – że spać nocami nie mogę, tak mnie sumienie gniecie. Czym więcej czasu mija, tym mocniej się to jątrzy, choć myślałem, że z czasem człowiek puści wszystko w niepamięć.

– Może by i tak było – przyznał Bednarek, choć sam nie brał udziału w rzezi, bo szczęśliwie ćwiczył wówczas nową pieśń; nikomu nie

przyszło na myśl, by go wywlec zza organów i pociągnąć z innymi – gdybyście nie pomordowali dziatek. Dziedzic był jaki był, ale kobiety i maluchy? Na Boga! Do dzisiaj nie pojmuję, po coście to wtedy uczynili.

– Należało im się – burknął Filuś. – A i faktycznie dałoby się zapomnieć, gdyby wszyscy poszli do grobu. Wszyscy – zaakcentował. – Trza było ścigać dziedziczkę do skutku i jej także ukręcić łeb, nim wydała na świat panicza.

– A co ci panicz zawinił? – zdziwił się Dyl.

– A to, że źle mu z oczu patrzy – odparł Edmund.

– Skądże ty wiesz, skoro tutaj go nie widujemy? Jeszczem go nie spotkał ani we wsi, ani w kościele, ani tutaj w gospodzie. Stary Żelechowski zachodził niekiedy, niby żeby nam gorzałkę postawić, a w rzeczywistości, by posłuchać, o czym człek bełkocze po pijanemu. A potem tylko w kajdany zakuwał i nakładał domiar do pańszczyzny! – rzucił milczący do tej pory Zalipiak.

– Ja żem go widział w Niepołomicach na rynku. Zaglądał od sklepu do sklepu, najdłużej zabawił u Achlera, a na ostatek usiadł w karczmie Szwarcbauma. Łypał na ludzi spode łba tak nieprzyjaźnie, że ciarki po grzbiecie przelatywały.

– Nie ma się czym przejmować. Starym Żelechowskim też źle z oczu patrzyło. – Organista wzruszył ramionami. – Jakby miał coś do was, dawno by się z wami policzył.

***

Filomena siłą woli powstrzymywała się od ciągłego zerkania w okno. Zapadał zmierzch, więc z każdą chwilą malała szansa na to, że Maksymilian przyjedzie z wizytą. Tak rzadko go ostatnio widywała! O wiele częściej zaglądał Marcel Branicki, który nie krył się z poważnymi zamiarami. Filomena wszelkimi sposobami usiłowała trzymać go na dystans. Unikała jakiegokolwiek sam na sam, by przypadkiem nie sprowokować go do śmielszego gestu czy pogawędki.

Choć matka podchodziła dość liberalnie do przyzwoitek, panna sama dbała o to, by stale ktoś towarzyszył jej i Marcelowi.

Cecylia z przygnębieniem spoglądała na córkę. Dziewiętnastolatka siedziała właśnie przy fortepianie, grając bez większego zapału Poloneza g-moll. Obok instrumentu stał młody Branicki, bodajże najlepsza partia w okolicy Niepołomic – majętny jedynak, który miał perspektywy na dodatkowy spadek po bezdzietnym wuju posiadającym ładne dobra położone z drugiej strony Wisły.

Jego krewni byli wielkimi dobrodziejami lokalnej parafii. Pod koniec szesnastego wieku ówczesny starosta niepołomicki, Jan Branicki, ufundował kaplicę grobową dla swych rodziców: Katarzyny i Grzegorza. Dobudowano ją po południowej stronie kościoła według projektu nadwornego architekta królewskiego Santiego Gucciego[24], który był również twórcą umieszczonego w niej pomnika oraz bramki w murze otaczającym świątynię. Braniccy dbali nie tylko o wyposażenie swej kaplicy, ale również o zaopatrzenie kościoła w sprzęt, szaty i naczynia liturgiczne. To im zawdzięczano stalle w prezbiterium Jana Branickiego oraz srebrną pozłacaną monstrancję gotycko-renesansową.

To nieprawdopodobne – pomyślała – *jak z wiekiem człowiek zmienia zapatrywanie na świat.* Kiedyś obiecywała sobie, że nie będzie wywierała na Filomenie presji przy wyborze narzeczonego. Marzyła, by córka wyszła za mąż z miłości. Tymczasem teraz roiło jej się, aby panna przyjęła oświadczyny tego młodego człowieka, ponieważ tworzyliby doskonałe stadło. *Filutka ma ten sam wdzięk, który cechował Eulalię. Nic dziwnego, że Branicki wypatruje za nią oczy.*

Co z tego, gdy dla odmiany córka wciąż spoglądała to w stronę drzwi, to w okno, jakby pragnęła przyciągnąć wzrokiem kogoś innego.

On nie przyjedzie. Zdziczał do reszty w tym swoim majątku. – Westchnęła cichutko, co nie uszło uwadze Marcela.

– We mnie także Chopin wzbudza tęsknoty – powiedział, obejmując Filomenę czułym spojrzeniem. Widząc jej zmieszanie, szybko zmienił

temat. – A gdzie podziewa się Juliusz? Czyżby znowu wyjechał do Krakowa?

– Tak – odparła. – Wiele wskazuje na to, że mój drogi braciszek zamierza osiąść tam na stałe. Wujek wciągnął go na dobre w swoje interesy. Julek rzadko tutaj zagląda. A i na Maksymiliana nieszczególnie można liczyć. Dobrze więc, że choć miłych sąsiadów można ugościć – dokończyła z delikatnym uśmiechem.

– Jak przyjemnie usłyszeć tak życzliwe słowo. Jeśli tylko panie się zgodzą – skłonił głowę ku *madame* Parnickiej – zamierzam jak najczęściej tutaj zaglądać. Przynajmniej na tyle często, na ile pozwalają obowiązki. Od dawna praktycznie samodzielnie zarządzam majątkiem wuja Henryka. Biedaczysko ledwo zipie, sam nie dałby sobie rady.

– A to pięknie – wtrąciła się Cecylia. – Wiele dobrego słyszałam już o pańskiej pracowitości. Pod pana ręką tamte dobra rozkwitły.

– Jest pani nazbyt łaskawa – stwierdził skromnie, choć jej słowa mile połechtały jego ego. Pragnął ten sam podziw, co w oczach Parnickiej, dostrzec również u jej córki. Zakochany był w Filomenie bez pamięci. Wystarczyłby jeden maleńki sygnał z jej strony, a padłby nadobnej pannie do stóp i poprosił ją o rękę.

– Ależ skądże! Powtarzam to, co zasłyszałam od innych. To doprawdy godne podziwu w czasie, gdy panuje trudna do przezwyciężenia stagnacja.

Mężczyzna spojrzał na Cecylię z podziwem. Słowo, które właśnie padło z jej ust, osobliwie nie pasowało do salonowych pogawędek, lecz do gabinetów, gdzie w kłębach dymu z cygar panowie bezradnie deliberowali nad sytuacją gospodarczą kraju.

– *Madame!* Trzeba działać. Mamy wyjątkowo zacofane rolnictwo, które właściwie nie ma większych szans na rozwój. Chłopi nie posiadają środków, by unowocześniać swe gospodarstwa. Nasze wsie są przeludnione, nierzadko w ciasnych chałupach tłoczy się po kilkanaście osób. Austriacy nie próbują niczego modernizować, a szlachta coraz mocniej podupada finansowo. Wielu ziemian siedzi w lichwiarskich

kieszeniach u Żydów. Nie mamy także szansy na rozwijanie przemysłu, na większą skalę działa jedynie naftownictwo, lecz ono nie podźwignie gospodarki z ruiny. Dla wielu nędzarzy jedynym ratunkiem jest emigracja, co niestety też nie wpływa pozytywnie na nasz region. Powinniśmy stworzyć biedakom lepsze warunki do życia, by nie musieli wędrować w świat za chlebem. Jeśli poprawimy byt chłopów, to pojawi się szansa na wyjście z marazmu – mówił zapalczywie, nie bacząc już na Filomenę, która zaprzestała gry na fortepianie, by lepiej wsłuchać się w jego słowa.

Dżentelmeni nigdy nie rozprawiali przy damach na podobne tematy, jakby wychodzili z założenia, że kobietom przystają wyłącznie fraszki.

– A jak tego dokonać? – zapytała panienka.

– W moim odczuciu ważna jest edukacja. Najwyższa pora skończyć z analfabetyzmem i zabobonem. Dzieci powinny chodzić do szkoły, uczyć się liter, rachunków, przyrody. Trzeba wykorzeniać z ich umysłów gusła i ciemnotę, które to pociągają za sobą ich obecną nędzę. U nas, w Niepołomicach, na ten przykład wciąż brakuje doktora, nie mamy także apteki. Świetnie za to radzą sobie znachorzy wszelkiej maści, którzy miast leczyć, trują i ściągają na ludzi jeszcze cięższe choroby. Wykształcony człowiek nie zapuści kołtuna, ponieważ będzie wiedział, że to siedlisko wszy. A wszy, jestem tego pewien, muszą roznosić różne choroby. Zauważ, panno Filomeno, że to wśród nędzarzy śmierć zbiera największe żniwa. Ludzie światli posiadają wystarczające środki, by w razie potrzeby korzystać z pomocy czy to felczera, czy aptekarza. Właśnie tego chcę na moich ziemiach: zdrowych, najedzonych do syta kmieci, którzy ochoczo stawią się u mnie do pracy, nie szukając wymówek. To wszystko jest ze sobą ściśle powiązane – tłumaczył cierpliwie, rad, że znalazł tak wdzięczne audytorium. – Głód i nędza trzymają z chorobami, a mądrość i zdrowie z sytością.

– Pan chce zmieniać świat zupełnie inaczej niż pokolenie naszych rodziców – zauważyła dziewczyna. – Oni walczyli szablą, pistoletem, czynem zbrojnym. Pan chce walczyć rozumem.

Serce Filomeny nagle zaczęło bić zupełnie innym rytmem. Już nie czuła się jak głupiutka panienka na wydaniu, z którą można pleść wyłącznie o bzdurach. Dzięki Marcelowi poczuła się nagle jak poważna partnerka w rozmowie. To było doprawdy miłe uczucie!

– Cóż innego nam zostało teraz, gdy nadzieje na zdobycie wolności zostały pogrzebane? Każde z powstań wznieconych przez naszych ojców i dziadków upadło z powodu niewystarczających sił. Jeśli coś możemy zrobić dla ojczyzny, to po prostu pracować. Kolejny zryw będzie możliwy dopiero wtedy, gdy przestaną nas dzielić poglądy, a zacznie łączyć jeden nadrzędny cel.

***

– Łobwiesił się! Ło Matko Przenajświętsza! Stary Czop się łobwiesił! – lamentowała Miecia Widłakówna, córka znachorki, stara panna, którą posądzano o rzucanie uroków, choć bywała nader przydatna ze swą znajomością ziół.

To najbliżej chałupy Widłaków rósł potężny dąb, na którego gałęzi dyndało uwiązane na grubym postronku ciało starca. Zaraz zewsząd zbiegli się ludzie, by popatrzeć na truchło.

– Sumienie go jednak zjadło – bąknął półgębkiem organista.

– A kogo by nie gryzło w tej sytuacji? To on rozłupał toporem maluśkiego panicza. I on najmocniej podżegał do buntu – rozległ się szmer wśród chłopów, z którymi poprzedniego dnia popijał w gospodzie grzane piwo.

– Nawet jeśli, to i tak nie wyglądał na kogoś, kto zamierza ze sobą skończyć – skwitował Filuś.

– Zdurniał na stare lata, ot co. Przecież mógł pójść do spowiedzi, pokajać się za grzech. A teraz co? Diabeł ręce zaciera i już ciągnie jego duszę w czeluści piekielne – odparł Ambroży Bednarek.

– Wszystkich nas czeka potępienie. Niejednemu strach w oczy zagląda – stwierdził podminowany Dyl.

Wszak i on był ze swoim Klemensem tamtej nocy pod dworem. Zabrał wyrostka i pozwolił mu patrzeć na rzeź. Potem smarkacz przez długi czas budził się w nocy z krzykiem i mówił, że goni go ekonom trzymający pod pachą odrąbaną głowę. A gdy pożar strawił ich dom, z czego cudem ocaleli, tracąc cały dobytek prócz kilku mórg nieurodzajnej ziemi przy bagnie, niejeden mówił, że to kara boska. Byli wtenczas wszyscy Dylowie u księdza, a ten grzechy śmiertelne im odpuścił, nakazując wiele postów oraz modlitwy. Pościć i tak pościli, bodajże od zawsze, bo byli z nich najwięksi nędzarze we wsi. Dopiero jak Prokop się ulitował i przygarnął ich do siebie, to odczuli poprawę. Może więc miłosierny Bóg wybaczył im tę ciężką przewinę, o której i tak przypominał w koszmarach sennych zupełnie jakby ku przestrodze.

Ale żeby wieszać się na postronku?

Nie! To było niepojęte!

***

Zapadał zmierzch, gdy Maksymilian usiadł przy biurku i wysunął zamykaną na kluczyk szufladę. Wyjął z niej arkusz, na którym jakiś czas temu wykaligrafował starannie listę swoich wrogów. Pierwszy z nich trafił właśnie do piekła.

Zemsta przybrała cierpkawy smak brandy, w której kieliszku umoczył usta.

Miał przed sobą jeszcze wiele takich nocy jak wczorajsza, gdy czekało go czajenie się w mroku, by wymierzyć sprawiedliwość mordercom. Dopiero gdy pomści swych rodziców, będzie mógł zacząć nowe życie.

Kto wie? Może nawet ożeni się wówczas z Filomeną, której tęskne spojrzenia ścigały go za każdym razem, gdy odwiedzał Parnickich? Lubił ją. Z niezgrabnego podlotka wyrosła na całkiem miłą panienkę. Była taktowna i delikatna jak przystało na dobrze urodzoną damę, a jednocześnie miała w oczach cudnie figlarne iskierki – zapewne po ciotce Eulalii. Potrafiła także jasno wyrażać swe myśli i, jak na

dziewczynę, była wyjątkowo bystra. Posiadała także dodatkowy atut w postaci posagu znacznej wartości. Te pieniądze na pewno pozwoliłyby na przywrócenie świetności mocno podupadłemu majątkowi Maksymiliana.

Tak, to był dobry pomysł, ale na razie ważniejsza była zemsta.

Nie chciał bałamucić Parnickiej i dawać jej złudnych nadziei, póki nie rozprawi się z demonami z przeszłości. Dopiero gdy ostatni morderca spocznie w mogile, przyjdzie czas na inne sprawy.

Sęk w tym, że kilku uszło sprawiedliwości.

Taki na przykład Adam Skoczylas, którego zabrała cholera. Z nim już się nie policzy.

Słusznie, że zdychał w mękach – pomyślał. – *Ale każdą winę trzeba odkupić. Skoro on gryzie ziemię, spotkam się z jego synami. Kto wie, czy któryś z nich nie przypatrywał się temu, co wyrabia stary? Może i tamci parobkowie przyłożyli ręce do zbrodni?*

Rozdział 7.

Głos rozsądku

Młocka cepami

Ludwik? Gdzie się chowasz! Dawno cię nie widziałem! – wykrzyknął Zygmunt na widok młodego Sosnowskiego. Spotkał go w Niepołomicach na targu, gdy zajechał tam wozem pewnego wiosennego dnia. Miał ze sobą na sprzedaż trochę jaj oraz zboża, które zostało po zasiewach. Ojciec coraz częściej powierzał mu tego rodzaju sprawy do załatwienia, by uczył się targowania z ludźmi i gospodarowania. Chciał tego czy nie, pomału stawał się kmieciem, choć wciąż każdą wolną chwilę poświęcał na czytanie książek.

– Ano przyjechałem właśnie z Tarnowa. Puścili mnie do domu na święta.

– I jak? Podoba ci się w gimnazjum? – zapytał Trzos.

Ludwik pokręcił głową.

– Nie. Nigdy nie porzuciłem marzeń o scenie – odparł. – Ucieknę, zobaczysz – rzucił z zaciętością.

Pogwarzyli jeszcze chwilę, a potem się rozeszli. Zygmunt westchnął. Zazdrościł koledze determinacji. Sam coraz częściej odnosił wrażenie, że tak naprawdę nie żyje dla siebie, lecz dla innych. Czasami miał o to pretensje do Wojtka, bo gdyby nie fanaberie brata, dzisiaj wszystko wyglądałoby inaczej. O ile dawniej jego powstańcza przygoda wydawała mu się romantyczna i wzniosła zarazem, to teraz bliższy mu był pogląd ojca obwiniającego Wojciecha o wszystkie problemy rodziny. Czuł się zdradzony, bo to nie on miał uprawiać ziemię.

Pewnego dnia jątrew[25] zaproponowała mu, by poszedł wraz z nią do lasu na spotkanie z Wojtkiem. Ponoć rozbójnik sam o to poprosił.

– Jeszcze czego! – zaperzył się wtedy. – Może i mnie chce wciągnąć do bandyckiego fachu?

– Nie, Zygmuś, on po prostu tęskni. Chciał cię zobaczyć, porozmawiać z tobą jak brat z bratem.

– A na jaką cholerę mi taki brat? – żachnął się młody. – Nawarzył nam wszystkim piwa, niech więc teraz sam je wypije. Ja na spotkanie z bandziorem nie pójdę. Nie będę nadstawiał karku, bo a nuż wpadnę wraz z nim w jakąś zasadzkę?

– Aż tak bardzo go nienawidzisz? – zmartwiła się bratowa.

– Nawet sobie tego nie wyobrażasz – syknął. – Ty też siedź lepiej na dupie, boś jest u ojców moich na łaskawym chlebie. Jak będziesz gonić za Wojtkiem po puszczy, to jeszcze nieszczęście na nas ściągniesz. Chcesz zrobić swoje bachory sierotami?

Od tamtej rozmowy minęło kilka dni. Zauważył, że Dominika wyraźnie schodzi mu z drogi. Nie rozmawiała już z nim tak swobodnie jak niegdyś. Mało go to obchodziło. Złość na brata przeniosła się również i na nią.

Gdy już dobił targu, rozejrzał się wśród ciżby. Liczył, że spotka jakiegoś znajomka, z którym choć na chwilę przysiądzie w gospodzie. Mimo postu nie odmawiał sobie piwa czy kieliszeczka gorzałki, choć ojciec usilnie namawiał go do abstynencji, omijając w tym czasie karczmy szerokim łukiem. Tego dnia na targowisku panował niebywały tłok – jak to zwykle bywało przed świętami wielkanocnymi. Baby oczywiście oblegały kramy z koralami, wstążkami i innymi zbytkami. Dzieciarnia tłoczyła się przy łakociach, w nadziei, że uda się uprosić matkę o choćby najmniejszą kukiełkę.

– Pościć trzeba! – fuknęła tuż przy jego uchu jakaś kobieta do wyjątkowo upartego malucha. Pociągnęła go za sobą dalej, nie bacząc na jego błagania. Zygmuntowi trochę się go zrobiło żal. Pamiętał, że gdy był dzieciakiem, to też trudno mu było zachowywać wstrzemięźliwość od pokarmów. Kiedy na stole w domu stawiano jałowy żur, kartofle, gotowaną brukiew czy pamułę[26], on śnił o maślanych bułeczkach z miodem, kukiełkach i innych łakociach.

Z daleka Trzos dostrzegł ciemną czuprynę Zalipiaka. Nie mógł się ku niemu przecisnąć. Pomachał do niego ręką i wskazał na karczmę. Ten pokiwał głową w odpowiedzi i zaczął sobie torować drogę.

W gospodzie także panował ścisk, a do tego zaduch nie z tej ziemi. Ponieważ nie szło znaleźć miejsca przy ławie, mężczyźni stanęli w drzwiach.

– Co dobrego? – zagadnął Zygmunt kolegę.

– Nic dobrego. Kuźnia się wczoraj spaliła. Nie słyszeliście o tym?

– Ano nie. Co ty mówisz? – wykrzyknął Trzos.

Zasadniczo mieli prawo o niczym nie wiedzieć, ponieważ ich dworek znajdował się po przeciwnej stronie wsi. Kuźnię ulokowano z dala od pozostałych zabudowań, w pobliżu niewielkiego stawku. Nic więc dziwnego, że nikt nie zwrócił uwagi na pożar. Zwłaszcza że domostwo Trzosów położone było w pewnej odległości od sioła.

– Wszystko się spopieliło do cna, łącznie z ich domem. Z chaty zdołali uciec wszyscy, poza malutkim Jędrzejem – wspomniał o wnuku kowala. – Pewnie chciał się ukryć przed ogniem. Jak rano ludzie przetrząsali pogorzelisko, to natrafili na kosteczki dziecka. Stary Marcińczyk poparzony, leży w chałupie Czopów, ledwo dycha. Była u niego Widłakówna, odczyniała jakieś czary, poiła go zielem, by nie cierpiał, ale tak jest osmalony, że pewnikiem się nie wyliże. Dorota lamentuje, włosy rwie z głowy, bo i po wnusiu żałoba, i całe utrzymanie z dymem poszło. Przecież ta kuźnia to było niemalże wszystko, co posiadali. Z chałupy nie uratowali nic, zostali jeno w tym, co mieli na grzbietach.

– Ale jakże to się stało? Przecież kowal całe życie spędził przy ogniu – zdziwił się Zygmunt. – A i kuźnia nie stała przy samym domu.

– Diabelska sprawka – mruknął Nikodem.

***

– Nie mogę uwierzyć, że Bożydar nie żyje – stwierdził Prokop po powrocie z pogrzebu.

– Przykre to doprawdy – przyznała Bernadeta. – Straszne nieszczęście. Najpierw Marcińczykowie stracili najmłodszego wnusia

i dorobek życia, a teraz i ten biedak oddał duszę Bogu. Wierzyć się nie chce.

Śmierć kowala zdawała jej się tym smutniejsza, że Prokop był z nim daleko spokrewniony. I to właśnie Marcińczyk podawał do chrztu malutkiego Wojtusia. A teraz syn nawet nie przyszedł na ostatnie pożegnanie chrzestnego.

Trzosowa miała już dość tej sytuacji. Pierworodny od wielu lat krył się po lasach, zbójował, narażał życie swoje i innych. A ona tak pragnęła, by wrócił do domu, zajął się rodziną i gospodarstwem, choć to ostatnie wydawało jej się coraz mniej prawdopodobne. Prokop coraz mocniej angażował w swoje sprawy Zygmunta. Obydwaj natomiast byli mocno zacietrzewieni i gdy szło o Wojtka, to albo nie chcieli się odzywać, albo mówili wszystko, co najgorsze. Obawiała się, że tego już nic nie naprawi.

– Powoli odchodzą ludzie, których znałem od zawsze. Pomarło pokolenie dziadków, potem naszych rodziców. Teraz zaczynają się wykruszać nasi rówieśnicy.

– Ależ Prokopie! Co ty mówisz? – żachnęła się ślubna, rozpinając guziki w odświętnej sukience. Mąż siedział na łóżku, też przyszedł do sypialni z zamiarem włożenia codziennej odzieży, bowiem czekało go jeszcze trochę zajęć w obejściu. – Przecież żyje moja matula i ciotki. A śmierć kowala i Jędrzejka to po prostu bardzo smutny wypadek.

– No ale zmarł jeszcze Zdzisiek Czop – przypomniał Prokop.

– Nie zmarł, lecz sam się ukatrupił – odparła od razu. – Tak naprawdę z naszego pokolenia odeszli tylko ci, których zmogła cholera, tyfus albo jakieś przypadki. Nikt nie umarł ze starości! Nie wpadaj w przygnębienie – łajała delikatnie ślubnego, choć zwykle bywało odwrotnie: to ona plotła jakieś banialuki o klątwach i przeznaczeniu, a on ściągał ją kilkoma słowami na ziemię.

– Niby racja. Ale zobaczysz, że gdy złożymy do grobu ostatnich ludzi z pokolenia naszych rodziców, to czas zacznie płynąć znacznie szybciej i pewnego dnia przyjdzie pora na nas.

Bernadeta już dawno nie widziała go równie przygnębionego. Choć miała huk zajęć i nie wiedziała, w co włożyć ręce, ponieważ nazajutrz wypadał Wielki Piątek, a zaraz po nim święta Wielkiej Nocy, usiadła obok męża i pogładziła go po siwej skroni, jakby był chłopcem szukającym pociechy.

– Nie frasuj się, najmilejszy. Co też ci przyszło na myśl? Naprawdę to nie jest jeszcze nasz czas. Ja wiem, że niezbadane są wyroki boskie i nigdy nie wiadomo, komu pierwszemu pisana domowina, ale trzeba ufać, że jeszcze niejedno przed nami: i to dobre, i niestety to złe. Skądże więc u ciebie takie ponure wizje? – dopytywała łagodnym tonem.

– Latka lecą. Mam już pięćdziesiąt trzy wiosny. Coraz częściej łupie mnie w kościach, mniej mam sił do pracy. Tymczasem zamiast cieszyć się życiem, spoglądam na majątek, który przecieka mi przez palce. Odnoszę wrażenie, że zawiodłem. Nie zdołałem pomnożyć tego, co dostałem od ojca. Straciłem posadę u dziedzica. Źle wychowałem pierworodnego. Nie spełniłem twoich marzeń – zaczął wyliczać z goryczą.

– Nie mów tak, Prokopie. Dobrze wiesz, że niczemu nie jesteś winny. Przyszło nam żyć w ciężkich czasach…

– Każde czasy są ciężkie, a jednak ludzie jakoś dają sobie radę. To tylko mnie coś się nie darzy. Jakby ktoś przeklął…

– Nie! Nie ma żadnej klątwy. Nie pamiętasz już, jak sam mi to perswadowałeś? Taka dola: raz na wozie, raz pod wozem. Nie zawiodłeś nikogo. Ani Wojtka, bo on po prostu taką już miał naturę, ani ojca, bo nie ze swej winy nie zdołałeś pomnożyć majątku, ani Żelechowskiego, bo przecież wiadomo było, że praca dla niego nie jest czymś stałym. A już na pewno nie zawiodłeś mnie. Spełniłeś moje marzenia, Prokopie. Mamy piękny dom, o jakim inni chłopi nawet nie mogą śnić. Zdrowe i mądre dzieci. A przede wszystkim mamy siebie. Podarowałeś mi dobre i piękne życie. Zawsze mnie szanowałeś, słuchałeś tego, co mam do powiedzenia, spełniałeś moje prośby. Nigdy nie usłyszałam od ciebie złego słowa, nie podniosłeś na mnie ręki ani nawet mnie nie

szturchnąłeś. To też znacznie więcej, niż mogłaby sobie zamarzyć niejedna kobieta.

Podniósł wzrok na siedzącą obok niego połowicę. Mimo delikatnych zmarszczek na twarzy i posiwiałych włosów wciąż była dla niego najpiękniejszą gąseczką świata – śliczną dziewczyną o zniewalającym spojrzeniu, którą zobaczył na odpuście w Staniątkach. Była przy nim we wszystkich dobrych i złych chwilach. Zawsze dawała mu wsparcie.

Ujął i podniósł do ust jej spracowaną dłoń.

– Jesteś najlepszym darem losu – wyznał.

***

Krótko po świętach wioską, położoną u stóp Puszczy Niepołomickiej, wstrząsnęła kolejna tragedia. Na trzęsawiskach znaleziono ciało Michała Skoczylasa, krzepkiego parobka, który jako jedyny w okolicy nie dał się cholerze, choć był nią zarażony. Jego ojciec skonał przed laty w wielkich boleściach, chłopak jakoś wywinął się z rąk kostuchy, co obwołano cudem. A teraz pochylali się nad nimi ziomkowie, z przerażeniem spoglądając na poderżnięte gardło, wokół którego zastygła brunatna plama krwi. Chłopak tkwił po pachy w bajorze, trzymając dłońmi za konar, który pewnie miał mu posłużyć jako ratunek. Jak doszło do tego, że w tak dzikim i nieprzystępnym miejscu ktoś mu zdołał zadać śmiertelne cięcie? Prędzej można byłoby podejrzewać, że to wilki jakimś sposobem dobrały się do uwięzionego w błocku chłopaka, lecz rana była równa, gładka, jakby zrobiono ją czymś dobrze naostrzonym.

Jeszcze nie zdążyli pochować młodego, gdy powiesił się Edmund Filuś. Po śmierci jego twarz z czerwonej zmieniła się na brunatną. Zawisł na konarze rozłożystego buka tuż obok przydrożnej kapliczki.

***

Prokop dumał nad tragicznymi śmierciami ziomków w przeciągu kilku ostatnich tygodni. O ile początkowo skłonny był uwierzyć, że Czop powiesił się, gdyż targały nim wyrzuty sumienia, a pożar kuźni, domu i śmierć kowala to nieszczęśliwe zrządzenie losu, to gdy znaleziono Filusia oraz młodego Czopa, w jego głowie powstało przerażające podejrzenie. Na razie nie chciał dzielić się swymi myślami absolutnie z nikim. Nie pisnął nawet słowa Bernadecie. Czuł jednak, że musi szybko podjąć jakieś kroki, by nie doszło do kolejnej tragedii.

Pewnego dnia dosiadł wierzchowca i pogalopował nim na skraj puszczy, w miejsce, gdzie często widywał panicza Żelechowskiego, ćwiczącego się w strzelaniu do tarczy. Szczęście mu dopisało, Maksymilian był sam, choć czasami tej zabawie towarzyszył jakiś sługa albo Juliusz Parnicki.

Przez chwilę w milczeniu obserwował, jak szlachcic oddaje kolejne strzały. Dłoń miał pewną, oko celne. Prokop uznałby, że to po Tadeuszu Żelechowskim, gdyby nie fakt, że panicz pod paroma względami przypominał mu kogoś zupełnie innego. Kształt nosa i żuchwy, niektóre gesty i sposób intonacji wypowiedzi… Niby drobiazgi, lecz czy możliwe było, by chłopak dorastający pod dachem zupełnie obcego człowieka przejął tak charakterystyczne cechy? I czy konająca kobieta powierzyłaby swoje dziecię komuś, kto nie był z nim spokrewniony? No i jeszcze to cudowne ocalenie Kornelii z rzezi. Prokop jakoś nie potrafił dać wiary temu, że pojechała na przejażdżkę, spotkała Parnickiego i tak po prostu zagadali się opodal plądrowanego dworu.

Jeśli jego podejrzenia były słuszne, młody Żelechowski dokonywał wendety, mszcząc się za obcych sobie ludzi – może z wyjątkiem małych paniąteczek.

Zresztą czy wieśniacy nie zostali wystarczająco pokarani przez los? Cierpieli z powodu nędzy, głodu i chorób. Dręczyły ich wyrzuty sumienia. Wiele lat po dokonaniu rzezi wspominali tamtą noc i rozlaną wówczas krew. Bali się Sądu Ostatecznego.

Czy powinienem mieszać się w cudze sprawy?

A może jednak to była jego sprawa?

– Celne oko – zagaił pogawędkę, zeskakując z wierzchowca.

Młody mężczyzna odwrócił się i spojrzał na osobnika zakłócającego mu spokój. Rewolwer wciąż trzymał w górze, lecz widząc, kto go nachodzi, powoli opuścił dłoń z bronią gotową do oddania strzału.

– A, Trzos – mruknął. – Co sprowadza na moją ziemię? – Pominął słowo „pan". Już nie tytułował w ten sposób byłego zarządcy, uznając go wciąż za chłopa. Zaakcentował także słowo „moją", jakby chciał podkreślić, że uważa go za intruza.

– Następnego zastrzelisz? – rzucił Prokop, także nie bawiąc się w zbędne grzeczności. Żelechowski mógłby być jego synem. Może i był dobrze urodzony, ale jego maniery pozostawiały wiele do życzenia. I bynajmniej nie mogła to być wina *madame* Cecylii, ponieważ z dawnych czasów Trzos zapamiętał go jako dobrze wychowanego, grzecznego chłopca. W gruncie rzeczy nie zależało mu na szacunku tego człowieka, choć przez wiele lat dbał o jego majątek tak jak o własny.

– Kto wie? Może? – odparł Maksymilian, unosząc ponownie broń i udając, że oddaje strzał prosto w serce Prokopa. W jego oczach pojawił się złowrogi błysk.

– Ci ludzie odpokutowali już za swoje winy. Młody Skoczylas nie miał z tym nic wspólnego. Ani tym bardziej Jędrzejek od Marcińczyków.

– Moje rodzeństwo też było niewinne. Podobnie jak babka, ciotka i inne zamęczone kobiety. Nie wierzę także w to, że ojciec zasłużył na aż tak podły koniec. Ta zgraja przeklętych bydlaków bestialskim sposobem pozbawiła życia kilkanaście osób. Ograbili mnie z rodziny, majątku i szczęścia. Nie wtrącaj się w to, Trzos. Bo inaczej zapomnę o tym, że dla mnie pracowałeś.

– I co? Podpalisz też moje obejście oraz stary dom, w którym mieszka rodzina Dylów? Spalisz dach nad głową ludzi, którzy już raz stracili absolutnie wszystko? Nie uważasz, że los dostatecznie ich pokarał?

– Nic ci do tego. Zresztą kim jesteś, by mnie pouczać? Sam wychowałeś syna rzezimieszka! Myślałeś, że nie wiem? – Zaśmiał mu się w twarz. – Kryjesz rozbójnika, trzymasz w domu jego kobietę i dzieci. Austriacy na pewno byliby tym zainteresowani.

Prokop struchlał.

– To nędzne potwarze – powiedział zduszonym emocjami głosem. – Nie widziałem Wojtka od wielu lat. Nie wiem, co się z nim dzieje.

– Nie wiesz? A twoja snecha obnosi się z rosnącym brzuchem – zauważył Maksymilian. – Trzymaj się z dala ode mnie, Trzos, to i ja nie będę się mieszał w twoje sekrety.

– Poniechaj zemsty na chłopach. – Mimo wszystko nie mógł dać się zastraszyć. Ci ludzie, choć dla nich nigdy do końca nie był ani swój, ani obcy, byli mu bliscy.

– A cóż ci tak na nich zależy, hę? Przecież sam chciałeś wznieść się ponad prostaków. Roiło ci się, że będziesz wielkim panem. A teraz co?

– Człowiek to człowiek. Nieważne czy pan, czy cham. Ma taką samą duszę i pragnienie przeżycia. Poniechaj, Maksymilianie – powtórzył łagodniej. – To nic ci nie da. Nie przywrócisz nikomu życia, nie cofniesz czasu. Zapamiętaj moje słowa: jeśli zginie w dziwnych okolicznościach choćby jeden mieszkaniec tamtej wioski, to nic nie powstrzyma mnie przed tym, by wskazać cię jako winnego. Nawet obawy o Wojtka. Wiedz, że jak Niepołomice długie i szerokie, ludzie gadają, że źle patrzy ci z oczu. To tylko kwestia czasu, jak ktoś jeszcze prócz mnie zacznie ci przypisywać te wszystkie zbrodnie. Życie ci zbrzydło, młody człowieku? Posłuchaj rady kogoś, kto swoje już przeżył: zaprzestań zemsty, załóż rodzinę i ciesz się tym, co masz.

Żelechowski spiorunował go wzrokiem. Nie wątpił, że Trzos może spełnić swe groźby. Prokop wyglądał mu na kogoś, kto gotów jest donieść na niego do landwójta, a za to, co zrobił, stryczek miał gwarantowany. O Wojtkowych poczynaniach tylko plotkowano i snuto domysły. Chłopak był nieuchwytny, dobrze potrafił się ukryć. Gdyby

postawiono przed obliczem wymiaru sprawiedliwości Maksymiliana, miałby poważny problem.

Kiedy odjechał Trzos, młody mężczyzna w przypływie złości wystrzelał cały magazynek. Potem zerknął na tarczę, trafił same dziesiątki.

Co się odwlecze, to nie uciecze – pomyślał. Postanowił, że na jakiś czas da sobie spokój, ale to nie oznaczało rezygnacji z zamierzeń.

Poniosło mnie, gdym podciął gardło temu parobkowi – stwierdził. Pozostałe śmierci wyglądały na przypadkowe. Każdego mogły ruszyć wyrzuty sumienia, prowadząc na sznur. Pożar także mógł być dziełem przypadku, ale nikt sam sobie nie przerżnie szyi szablą.

Pewnego dnia poślę ich wszystkich przed oblicze szatana. Każdą z tych przeklętych dusz. Pomszczę moich bliskich, zabijając morderców, ich synów, a gdy tych braknie, to nawet i wnuków.

Rok 1873

Niekiedy Gienia Bielak tęskniła za swoją dawną rodziną. Zastanawiała się, czy matka przeżyła klęski nieurodzaju i głodu oraz epidemię cholery. Czy zatroszczył się ktoś o małą siostrzyczkę, którą wypędzono z chałupy, by nie stanowiła dodatkowego ciężaru. Czas tak mocno zatarł jej wspomnienia, że nie pamiętała już, jak miało na imię to czteroletnie maleństwo. I nawet jeśli jakimś cudem ocalało, pewnie dzisiaj nie rozpoznałaby już tej dzieweczki. *Nastusia czy Zojka? Która to była?* – rozmyślała, wędrując polną ścieżką do domu teściów. Przed nią biegła Marysia, najmłodsza córeczka, ochrzczona na pamiątkę nieboszczki Trzosowej, ponieważ urodziła się w roku jej śmierci.

Odkąd Gienia sama dochowała się potomstwa, znacznie lepiej rozumiała dramat swojej matki. Wciąż bardzo bała się o dzieci, ponieważ nigdy nie było wiadomo, kiedy wybuchnie kolejna epidemia, zbierając śmiertelne żniwo. Co prawda, dobrze odżywione i zdrowe

maluchy miałyby pewnie większe szanse przeżycia, zwłaszcza teraz, gdy po latach oczekiwań pojawił się w Niepołomicach farmaceuta z prawdziwego zdarzenia.

Jan Tichy[27], jowialny trzydziestoośmiolatek, osiedlił się w jednym z domów przylegających do rynku i tam też zaczął prowadzić swą działalność. Pomiędzy ludźmi krążyły słuchy, że zamierza zostać w miasteczku na stałe, lecz warunkiem było wzniesienie nowego budynku z przeznaczeniem na aptekę. Kazimierz Bisztyga[28], nowy włodarz miasta, z miejsca przyklasnął tej idei i zlecił wykonanie projektu Władysławowi Wimmerowi[29].

Choć Gieni nie przelewało się w ostatnich latach, bo zubożali gospodarze musieli ująć swej służbie, to i tak czym mogła, tym dzieliła się ze świekrami, ci bowiem żyli w skrajnej nędzy. Stary Bielak, choć chudy jak szczapa i niedożywiony, trzymał się całkiem dobrze. Nigdy na nic nie narzekał, zawsze twierdził, że niestraszna mu kostucha. Toteż gdy sneszka weszła do lichej chałupy, zaskoczyły ją nieludzkie jęki dobiegające z zapiecka. Jeszcze w sieni myślała, że to może któreś bydlątko wydaje te odgłosy, bowiem po jednej stronie chaty mieli izbę gospodarze wraz z dziatwą, a po drugiej mieszkały krowa, świnia i kury.

W pomieszczeniu, prócz chorego mężczyzny, nie było absolutnie nikogo. W izbie przeznaczonej dla mieszkańców panoszył się drób, który powinno się wygnać na podwórze. Wokół unosił się nieprzyjemny fetor ludzkich wydzielin, zmieszany z zalatującym z drugiej strony smrodem obory.

– Co wam? – zapytała z trwogą Gienia i od razu przegnała Marię na podwórze, bo nie chciała, by Jędrzej zaraził dziecko, bowiem tyfus wciąż zbierał w okolicy żniwo. Jedni z niego wychodzili, inni trafiali do piachu.

Teść jęknął żałośnie, a potem wymamrotał cichym głosem:

– Rżnie mnie po brzuchu.

O matko! Cholera? – wystraszyła się synowa. Aż nazbyt dobrze pamiętała, jakie są objawy choroby, która zdziesiątkowała Galicję. Wprawdzie Jędrzej nie miał innych przypadłości, lecz wolała nie ryzykować.

– Dawno się tak męczycie?

– Będzie drugi dzień.

– A gdzie reszta? – zapytała o domowników.

– W polu. Im nic nie dokucza.

– Nikt z wami nie został? – Pokręciła głową ze zgorszeniem.

– Kto miałby się ze mną cackać, jak jest robota?

– Sprowadzę pomoc!

– A na co mnie Widłakówna? To tylko brzuch – wysapał. – Poboli i przestanie. A jak wróci Halina, przyłoży mi prażonego owsa, żebym wygrzał bebechy.

– Polecę do farmaceuty w Niepołomicach. A wy leżcie, nie ruszajcie się nigdzie – przykazała Gienka, bo intuicja podpowiadała jej, że to może być coś poważniejszego. Wszak świekr nigdy wcześniej nie narzekał na zdrowie.

– A gdzieżbym miał siłę, by wstać? – jęknął, co wzbudziło jeszcze większy niepokój w kobiecie.

***

Opłacony przez Gienię farmaceuta przyjechał do chaty Bielaków. Przepytał dokładnie starego, co ostatnio jadł i pił, oraz czy ktoś z domowników ma podobne objawy. Od słowa do słowa okazało się, że Bielak struł się piwem, którym poczęstował go jakiś dziadyga z wdzięczności za podwózkę. Być może Jędrzeja uratowało to, że gdy wóz podskoczył na wyboistej drodze, flaszka wypadła mu z rąk i stłukła się na kamieniach, a jej zawartość od razu wsiąkła w ziemię.

***

Galicyjskim chłopom żyło się ostatnio zdecydowanie lżej. Choć wciąż nękały ich powracające epidemie cholery i tyfusu, to jednak śmierć zbierała już znacznie skromniejsze żniwo. Łatwiej było nasycić głód, odkąd każdy robił na swoim, a na pańskie chodził wyłącznie dla zarobku. Tylko Michał Marcińczyk, syn niegdysiejszego kowala, klął niczym szewc, ponieważ nie zdołał stanąć na nogi po tym, jak przed rokiem spłonęła kuźnia oraz pozostałe budynki gospodarcze. Chałupę wprawdzie jakoś odbudowali – niewielką, przez sionkę graniczącą z oborą. Postawili też przy niej stodołę. Dobrzy ludzie wspomogli ich pracą oraz różnymi dobrami: łachami na grzbiet, garnkami, ktoś podarował starą pierzynę, która zdatna jeszcze była do użytku. Trzos ofiarował pogorzelcom kilka niosek. Ale zabrakło pieniędzy, by kupić bydło. Kuźnię też postawili, lecz wciąż brakowało w niej wielu narzędzi, więc Michał pracował jedynie na pół gwizdka, nie przyjmując tak skomplikowanych i intratnych zleceń, jakie brał jego ojciec.

– Ech… Za dziedzica to było życie! – westchnął pewnego dnia, gdy Prokop podjechał do niego z koniem do podkucia.

– Za Tadeusza? – zdziwił się przybysz.

– Owszem. Albo za *madame* Kornelii. Ja tam niewiele pamiętam z dawnych czasów, ale matczysko mówili, że gdyby taki pożar zdarzył się za rządów pańskich, to dostalibyśmy z dworu pomoc na wyposażenie kuźni. Młody nie raczył wysupłać choćby krajcara. Psami mnie poszczuł, gdym poszedł zapytać o pożyczkę. A przecież nie prosiłem o jałmużnę, wszystko bym spłacił lub odrobił, bo przecież w dworze koni nie brak.

– Ech… Michale. Do młodego lepiej ty nie chodź. On ma serce z kamienia, czemu właściwie nie powinniśmy się dziwić. Wszak kmiecie spalili mu dom i wymordowali rodzinę – przypomniał Prokop.

– Kiedy ja nie brałem w tym udziału. Ojciec podobno też nie poszedł z innymi – bąknął kowal, a potem złapał konia za pęcinę, by obejrzeć

kopyto. – Ho, hooo… Nie wierzgaj no mi, bratku. – Cmoknął na zwierzę. – Trzeba przeszlifować – stwierdził.

Wyście wszyscy niewinni – pomyślał Prokop. O ile go wzrok nie omylił, tamtej nocy widział starego Marcińczyka pod swoją chałupą, gdy po niego przyszli, by poszedł z nimi rabować dwór. Młody dziedzic pewnie o tym wiedział. *Jeśli on spalił Marcińczyków, to nic dziwnego, że pogonił Michała, gdy ten zwrócił się do niego po pomoc. Czuje uzasadniony żal. Byle tylko nie ukrzywdził nikogo więcej. Ostatnio nic złego się nie działo, więc może przejrzał na oczy i dał sobie spokój? Pomóc nie pomoże, ale jest nadzieja, że nikomu więcej nie zaszkodzi.*

***

Maksymilian nerwowo krążył po salonie, który w ostatnim czasie ciotka Cecylia wyposażyła w jakieś bezużyteczne drobiazgi, będące dziełem rąk jej oraz Filomeny. Przybyło mu zatem zbędnych w jego odczuciu serwet i serwetek, obrazków, postumencików na bibeloty i innych bzdur. Wszystko to miało zapewne ożywić ponure pomieszczenie i nadać mu przytulności, lecz Żelechowskiemu było obojętne, czy mieszka wśród nagich ścian czy zbytkownych fraszek. Irytowały go wizyty pań Parnickich, więc coraz częściej zachowywał się jak pozbawiony manier gbur, byle tylko zrazić do siebie obydwie. Dobrze wiedział, że Cecylia chętnie wyswatałaby mu Filutkę.

Jak miał myśleć o miłości, romantycznych uniesieniach i zakładaniu rodziny, skoro jego serce przepełnione było gniewem? A może to nie było serce, lecz osmalona bryła węgla – czarna niczym złowroga noc?

Tego dnia, gdy zajechały do niego z wizytą, kazał powiedzieć służącemu, że nie ma go w domu. Wyjechał. Dokąd? Nie wiadomo. Kiedy wróci? A diabli go wiedzą!

Chciał być sam ze swoimi myślami. Dręczyło go bowiem zmartwienie o to, czy Bielak rozpoznał go w żebraczym przebraniu. Być może odkrył, stary przechera, że ma do czynienia z mścicielem, i puścił tę flaszkę

specjalnie, by się stłukła. A że jechał z nimi jego syn, Maksymilian nie mógł sobie pozwolić na to, by połaskotać go sztyletem między żebrami.

Złościło go, że zemsta tak bardzo rozciąga się w czasie. Od półtora roku próbował wszelkimi sposobami wysłać swych wrogów przed oblicze szatana. Musiał działać roztropnie, ponieważ nie chciał skończyć na stryczku. Przeklęty Trzos na pewno nie omieszkałby na niego donieść komu trzeba, gdyby nabrał podejrzeń, że nie poniechał swego procederu.

Najchętniej spaliłby do cna całe sioło. Łącznie z karczmą i kościołem. Bo jeden przybytek był siedliskiem zła i rozpusty, to tam chłopi podżegali się wzajemnie do buntu. Świątynia zaś w tym miejscu była w jego odczuciu jakąś kpiną z nędznym pasterzem postawionym na czele stada baranów, skoro ówczesny pleban nie potrafił zapobiec nieszczęściu. A przecież musiał wiedzieć, co w trawie piszczy i co siedzi w głowach motłochowi. Spowiadali się u niego, na pewno wylewali przed nim swe żale.

Rok 1875

Po zakończeniu nauk u benedyktynek Weronika zastanawiała się przez jakiś czas, co dalej począć. Na guwernantkę dla dobrze urodzonej panienki była mimo wszystko zbyt słabo wykształcona. Mogłaby się ewentualnie ubiegać o posadę nauczycielki w jakiejś wiejskiej szkółce, lecz to oznaczałoby zapewne konieczność opuszczenia rodzinnego domu, na co nie chcieli wyrazić zgody jej rodzice, mimo że była już dorosłą panną.

Bernadeta marzyła, żeby znaleźć dla córki jak najlepszą partię, lecz nie miała złudzeń w tej kwestii – zubożały szlachcic nie poślubi chłopki, która nie ma posagu na tyle dużego, by stanowić dla niego łakomy kąsek.

Kiedyś roiło jej się, że córka wyjdzie za Żelechowskiego, ponieważ był czas, gdy ich majątki miały zbliżoną wartość. Niestety, nawet gdyby nie dzieliły ich różnice społeczne i finansowe, to i tak nic by z tego nie wyszło, ponieważ Żelechowski, gdy już na dobre osiadł u siebie, zmienił się nie do poznania. Niegdyś sprawiał wrażenie miłego w obyciu młodzieńca – kulturalnego, układnego. Młodzi mieli okazję się poznać w domu *madame* Cecylii. Bernadeta zwróciła uwagę na spojrzenia, jakie rzucał w kierunku córki wychowanek Parnickich. Obecnie wyraźnie zdziczał, zamknął się w dworku, nie dopuszczając do siebie nikogo. No i jeszcze obcesowo zwolnił Prokopa z posady! Po tylu latach wysiłków i trosk. Coś, co miało niegdyś stanowić rozwiązanie tymczasowe, teraz zmieniło znaczenie i brak tego zarobku mocno doskwierał Trzosom, którym przybyły koszty utrzymania dużego domostwa.

Ostatecznie stanęło na tym, że córka pozostała w domu, pomagając w matce w lżejszych pracach, a w wolnych chwilach zajmując się robótkami. Ponieważ jej wyprawa była już niemalże kompletna, rezolutna panienka zaczęła wyrabiać koronki i oddawać je do sklepu Eliasza Salmana, który płacił zdecydowanie uczciwiej niż chciwy Achler. Mogła dzięki temu zarabiać własne pieniądze, nie narzekała także na nudę. Wkrótce też w dworku Trzosów zaczęli się pojawiać swatowie, chcący naraić Weronikę to drobnemu kupcowi z Wieliczki, to austriackiemu piechurowi o polskich korzeniach. Weronika jednakże na wszystkich kręciła kształtnym noskiem. Twierdziła, że ma jeszcze czas, a rodzice nie ponaglali jej szczególnie, ponieważ wciąż liczyli na to, że pewnego dnia znajdzie się jednak kawaler, który odmieni los ich córki.

Tymczasem Weronika nie zamierzała niczego pozostawiać swatom. Jej serce od dawna biło niezmiennym rytmem i ani myślała szukać sobie innego kawalera. Tym bardziej że i on zdawał się podzielać jej uczucia. Ciemne oczy Nikodema ścigały ją w wiejskim kościółku, do którego czasami chodziła z rodziną, choć właściwie Trzosowie należeli do parafii niepołomickiej. To znowuż widywali się w gospodzie, gdzie

porywał ją w tany, mocno do siebie przyciskając. Ale tańczył także z innymi dziewuchami, niejedna bowiem miała ochotę na gospodarskiego syna, choć akurat ten był najmłodszym w przychówku Zalipiaków i mówiło się, że nie on zostanie na roli, lecz jego dwaj starsi bracia: Stach oraz Ignacy, którzy podzielą między siebie grunty. Nikodem miał dostać od nich tylko niewielką spłatę, a potem poszukać szczęścia w świecie. Nie wiedzieć czemu jakoś na razie odwlekał ten moment, wciąż siedząc w ojcowskiej chałupie i pomagając w obejściu.

Pewnego wieczoru podczas tańców wyszli razem z karczmy, by pospacerować pod kwitnącymi gałęziami jabłoni, czeremchy i bzów.

Żadne z nich nie zwróciło uwagi na podążający za nimi cień.

Pora była nadzwyczaj ciepła jak na początek maja. Nad ich głowami z wolna zapalały się gwiazdy. Wokół unosił się słodki aromat.

– Korcina pachnie – zagaił Nikodem.

– Tak. Uwielbiam wiosnę, gdy przyroda budzi się do życia, a łąki mienią się niezliczonymi barwami – westchnęła dziewczyna. – W takich chwilach świat staje się zdecydowanie piękniejszy, a smutki mniej doskwierają.

– A jakież to smutki dokuczają takiej miłej pannie?

– Każdy nosi w sercu jakieś tęsknoty – odparła, w nadziei, że właśnie on zechce je ukoić, choć przypuszczała, że taki absztyfikant może nie przypaść do gustu jej rodzicom, zwłaszcza matce. Bo o ile Bernadeta przyjęła pod swój dach Dominikę, nie komentując jakoś szczególnie wyboru dokonanego przez pierworodnego syna, to przed Weroniką stawiała konkretne oczekiwania, które były niczym innym, jak sumą niespełnionych matczynych marzeń.

Ech… tak to już jest – pomyślała – *że nam, młodym, trudno zadowolić rodziców. Tatko wciąż gniewa się na Wojtka, ja nie potrafię dogodzić matuli. Tylko patrzeć, jak wyda mnie za mąż za człowieka, który zyska jej uznanie, lecz niekoniecznie moje. Zygmuś, by im dwojgu się nie narażać, postanowił poświęcić swe szczęście i zostać na gospodarstwie. Czy którekolwiek z nas jest naprawdę zadowolone ze swego losu?*

– Gdyby mnie panna Weronika zechciała – powiedział nagle Nikodem, jakby ośmielił go zapadający mrok – to ja bym odgonił wszystkie czarne chmury znad głowy pannie. Ino mnie się wydaje, że to dla mnie za wysokie progi – dokończył ciszej, szukając dłonią jej dłoni. A kiedy złapał dziewczynę za rękę, przystanęli.

– Prawdę mówisz, Nikodemie? – zapytała zdławionym emocjami głosem, bo oto mógł się dla niej spełnić najpiękniejszy sen o miłości. Pod warunkiem że rodzice nie staną jej na drodze, a właśnie tego mogła się po nich spodziewać.

Nie na darmo matka wciąż usiłowała zrobić z niej pannę z dobrego domu, zaopatrując ją w sukienki szyte na wzór tych, które nosiły wielkie damy, choć bez tiurniur i trenów. Wyglądała więc zupełnie inaczej niż wiejskie dziewczęta, które przy niej zdawały się barwnymi, rajskimi ptakami w swych perkalowych spódnicach zakładanych jedna na drugą, bogato haftowanych gorsetach, zdobnych w pęki kolorowych wstęg. Jej za całą ozdobę musiała wystarczyć broszka wpięta w koronkowy kołnierzyk, one nosiły sznury bursztynów i czerwonych korali. Chłopskie córki zaplatały warkocze i zasłaniały głowy pstrymi chustami, ona upinała włosy wysoko, układając je w kok albo dla odmiany, podobnie jak matka, nosząc je w siateczce puszczonej na karku. Głowę przykrywała słomkowym kapeluszem, a zimą czapką z lisa, którego ojciec ustrzelił przy kurniku. Nawet trzewiki miała inne: czarne, sznurowane, na niewysokim obcasie, podczas gdy spod halek i spódnic jej koleżanek wyzierały przeważnie bose stopy, a odświętnie czerwone lub żółte cholewki.

– Prawdę mówię, panno Weroniko. Od dawna noszę twój obraz w sercu, a jeszcze dłużej mam cię na oku. Inna jesteś od wiejskich dziewuch. Elegancka, światowa, kształcona solidnie. Rączki masz bielusieńkie niczym śnieg i tak delikatne, że chciałoby się je obsypywać pocałunkami – mówił gorączkowo, gładząc kciukami skórę na jej dłoniach. – Widać, że nie znają ciężkiej pracy, stworzone zostały do

wyższych celów. Gdzie tam mnie, zwykłemu prostakowi, marzyć o takiej pannie… – Urwał wyraźnie zasmucony.

– A gdybym wam powiedziała, Nikodemie, że i moje serce wyrywa się z piersi, ilekroć was widzę?

– Nie może być! Naprawdę?

– Jak mi Bóg miły! – odparła, opuszczając skromnie oczy, gdyż sama przelękła się własnej śmiałości względem Zalipiaka.

Mężczyzna puścił jej dłoń tylko po to, by otoczyć gibką postać ramionami i przycisnąć do swej klatki piersiowej. Nim zdążyła zaprotestować, oszołomiona jego nagłą bliskością, poczuła, jak jej wargi parzy gorący oddech Nikodema. Parobek wpił się chciwie w jej usta, całując z taką pasją, jakby zaraz miały zgasnąć wszystkie gwiazdy migoczące na niebie. Aż ugięły się pod nią kolana, tak niespodziewane było to doznanie. Nigdy wcześniej nikt jej nie całował. Ba! Nawet nie dotykał jej dłoni tak pieszczotliwie jak Zalipiak. Gdyby nie trzymał jej mocno, byłaby pewnie przeciekła mu między rękami niczym struga wody.

– Miła moja, Weroniko, mój ty słodki kwiatuszku – wyszeptał. – A gdybym swatów do ciebie przysłał? Odpiłabyś do nich?

– A jakżeby inaczej? Odpiłabym. Tylko…

– Tak, ukochana?

– Matuli się marzy, że wyda mnie za mąż za jakiegoś szlachcica. Do tej pory niechętna była wszystkim swatom. A i ja każdemu podawałam czerninę[30], bo nie chciałam iść ani za kupca, ani za wojaka. Chcę pójść za głosem serca – wyjaśniła. – Ale to nic, Nikodemie, przekonam tatkę, z nim łatwiej mi pójdzie. A on ułagodzi mateczkę i wytłumaczy jej, że szczęście jest ważniejsze od splendorów. A skoro Wojtek sam mógł sobie wybrać żonę, to i ja chcę decydować o moim losie.

– W takim razie przyślę swatów za kilka dni. A na razie pójdę do naczelnika kolei w Niepołomicach i zapytam, czy znajdzie się dla mnie jakaś posada.

Z tego niespodziewanego szczęścia Weronice aż zakręciło się w głowie. Nawet przez myśl jej nie przeszło, gdy szykowała się na tańce, że spotka ją coś tak niesamowitego. Z ufnością nadstawiła ukochanemu usta do kolejnego pocałunku, marząc o tym, by ten wieczór nigdy nie dobiegł końca, a marzenia o przyszłości z Nikodemem nie prysły niczym bańka mydlana.

***

A więc tak się sprawy mają – pomyślał Maksymilian, obserwujący zza drzewa zakochanych. Nie był pewny, czy Zalipiakowie brali udział w rzezi. Mojsiejowicz wspomniał, że widział tamtego wieczoru Marcina, jak pił wraz z innymi gorzałkę. Nie dawał jednak głowy, czy on także uległ złowrogim nastrojom. *Winny czy nie, też musi ponieść karę. Choćby za to, że nie próbował przemawiać ludziom do rozsądku, albo że nie sprowadził na czas ratunku* – stwierdził.

Jakiś czas temu doszedł do wniosku, że mordowanie starców nie sprawia mu należytej satysfakcji. Mimo upływu lat jego żądza krwi nie malała. Nienawiść rosła, tętniła mu w krwiobiegu, rozsadzała umysł, wypierała z jaźni wszelkie inne problemy. Wiedział, że nie spocznie, póki nie ukatrupi wszystkich wichrzycieli. A raczej ich synów, bo chyba nie ma większego cierpienia dla zniedołężniałego rodzica nad pochowanie własnego dziecka, w którym pokładało się nadzieję na spokojną przyszłość.

Córka Trzosa przeboleje jakoś tę stratę. Młoda jest, szybko znajdzie sobie pocieszenie. W gruncie rzeczy sam mógłby wystąpić w roli pocieszyciela, to byłoby nawet zabawne. Zagrałby na nosie Prokopowi.

Ten człowiek także go irytował. Już za samo to, że próbował przed nim ukryć nazwiska morderców. Nie, karać go za to nie zamierzał, przynajmniej na razie. Wszak udzielił schronienia matce – Maksymilian dokładał starań, by o tym nie zapominać. Bo gdy choć na chwilę wyrzucał z pamięci ten fakt, to aż go świerzbiło, by posłać na tamten świat również Trzosa.

***

Zadowolony z siebie Nikodem postanowił wejść na piwo do karczmy Szwarcbauma mieszczącej się przy niepołomickim rynku. Szczęśliwie zdołał załatwić sobie posadę na kolei. Miał kursować na trasie Kraków–Wiedeń jako konduktor. Oczywiście wiedział, że będzie się to wiązało ze znaczną niedogodnością w postaci dłuższych nieobecności w domu, ale dzięki temu zdobędzie środki na utrzymanie rodziny, którą pragnął założyć. Teraz jeszcze musi rozejrzeć się za jakimś przyzwoitym lokum, by ukochana miała gdzie uwić ich wspólne gniazdko. Przyzwyczajona do wygód dziewczyna na pewno nie zadowoli się byle czym, miał tego świadomość, lecz nie przerażało go kolejne wyzwanie. Pragnął zapewnić Weronice jak najlepsze warunki, gdyby mógł, przychyliłby jej nieba, tak bardzo uszczęśliwiła go swą wzajemnością. I pomyśleć, że od paru ładnych lat skrycie o niej marzył! A teraz to marzenie było o krok – na wyciągnięcie ręki.

W karczmie nie zastał wielu ludzi, o tej porze każdy zajęty był swoimi sprawami, więc bez trudu znalazł miejsce przy oknie wychodzącym na rynek. Sączył powoli piwo, bo choć w domu jak zwykle było co robić, nie spieszyło mu się z powrotem. Chciał nacieszyć się pierwszym sukcesem, który odniósł na drodze do ręki Weroniki. Nagle poczuł klepnięcie w ramię.

– Nikodem! Jak się masz? – Usłyszał znajomy głos, a gdy się odwrócił, zobaczył przysiadającego się obok Zygmunta.

– O! Witam ziomka. Dobrze cię widzieć. U mnie wszystko w porządku, a co u was? – zagadnął.

– Będzie o czym gadać – stwierdził Trzos. Pociągnął łyk piwa ze szklanicy, potem z hukiem odstawił ją na stół.

Zalipiak poczuł lekki niepokój, lecz starał się niczego po sobie nie okazywać.

– Jakieś wieści? – rzucił.

– Owszem, dość, niekoniecznie o nas. O Sosnowskim słyszałeś?

– Nie wiem, pewnie nie. Co z nim?

– Ano spełnił swe obietnice i uciekł z domu[31] – oznajmił Zygmunt.

– Nigdy mu nie było po drodze z ojcem – przypomniał kolega. – Pamiętam, wciąż odgrażał się, że da dyla, bo nie zamierza iść w jego ślady.

– Ech… Szczęściarz – sapnął w podziwem Trzos. – Nie każdy ma wystarczająco dużo odwagi, by walczyć o swoje marzenia. Ja dla odmiany chciałbym być urzędnikiem, i gdyby tylko ojciec dał mi swoje błogosławieństwo, wróciłbym do szkół albo szukał odpowiedniej posady.

– Widzisz? A ja właśnie dzisiaj dostałem zatrudnienie na kolei. Po niedzieli zaczynam – odparł z dumą Nikodem.

– Ech, ty szczęściarzu! Wojtek by ci pozazdrościł! On od zawsze marzył o podróżach pociągami. Ubrdało mu się, że zostanie kolejarzem.

– Czasami o marzenia warto walczyć. Przecież każdy z nas ma tylko jedno życie i wolną wolę.

– Z tą wolnością nie przesadzałbym na twoim miejscu. Nie na wszystko mamy wpływ. Ty pamiętasz jeszcze czasy pańszczyzny?

Zalipiak pokręcił głową. Siorbnął łyk piwa.

– Nie. Ale wiem od rodziców, że ciężko się żyło w niewoli.

– Otóż to. Mnie też ojciec z dziadkiem opowiadali, jak drzewiej bywało. W tamtych czasach byłbyś uwiązany do ziemi jak pies do budy. A o tym, z kim się ożenisz, w dużej mierze decydowałby twój pan. – Spojrzał znacząco na siedzącego obok mężczyznę.

– Wiesz już – odgadł kandydat na swaka[32].

– Ano wiem. Weronika napomknęła wczoraj wieczorem rodzicom, że spodziewa się swatów. I że nie chce im podawać czerniny.

– No i co oni na to? – zapytał z głębokim niepokojem.

– Powiem tak: będziesz musiał trochę powalczyć o to swoje marzenie. Matczyne krzyki niosło po całym domu. Ojciec może prędzej by zmiękł,

ale matula zawzięła się jak diabli. Krzyczała, że nie po to posyłała jedyną córkę do szkół, by jej się zmarnowała na roli.

– Ale przecież ja nie zostanę na gospodarce – oznajmił Zalipiak. – Dla nikogo nie jest tajemnicą, że ojciec podzieli majątek między Stacha i Ignacego.

– Otóż moi nie wiedzieli. A jak ich Weronika oświeciła, to podniósł się raban, że nie pozwolą jej pójść na dziadowanie. Tak więc, bracie – Zygmunt poklepał go tym razem po plecach – będziesz miał pod górkę. Ale nie martw się na zapas. Ja jestem po twojej stronie. Ojca też jakoś przekabacimy. A matka może z biegiem czasu przywyknie do myśli, że Weronika za nic ma zubożałych szlachciców i kupców. Będzie dobrze.

***

W domu Trzosów panowała wyjątkowo ciężka atmosfera. Nawet dzieci Dominiki, Klemens i trzyletnia Zosia, zdawały się wyczuwać ponure nastroje dorosłych, bawiąc się cichuteńko jak myszki siedzące pod miotłą.

Krzyki za to rozlegały się, ilekroć Weronika wspominała o chęci przyjęcia oświadczyn Nikodema. Co gorsza, dzień wcześniej pracującą w polu Cecylię zagadnął Józef Tomasik, znany w okolicy z tego, że skojarzył niejeden związek małżeński, i po krótkiej grzecznościowej pogawędce zapytał, czy do Weroniki zagląda wielu swatów. Bo on ma dla niej na oku jednego kandydata, zubożałego, czterdziestopięcioletniego szlachcica z małym mająteczkiem, który owdowiał przed rokiem i poszukuje tkliwej kobiety, gotowej, by otworzyć serce dla pięciorga jego dziatek, z których najmłodsze liczyło właśnie rok, a najstarsze dziewięć lat. Jego status materialny tylko nieznacznie przewyższał zasobność Trzosów, ale tytuł szlachcica w pełni to rekompensował.

– Nie pójdę za wdowca! – piekliła się panna, zniechęcona wizją niańczenia cudzych dzieci. Na domiar złego przerażała ją różnica wieku

pomiędzy nią a kandydatem na męża. Nie chciała go widzieć na oczy, ani nawet o nim słyszeć.

– Ależ córeczko! To doskonała partia! Nie znajdziesz lepszej. U pana Dębskiego będziesz przynajmniej żyła na poziomie nie niższym niż tutaj.

– Tere-fere! Przypominam wam, matulu, że imć Dębski ma piątkę maluchów, z których w przyszłości każde trzeba będzie w coś wyposażyć. To po pierwsze. Po drugie jest stary. A po trzecie kocham Nikodema i to za niego pragnę wyjść za mąż! Jak przyjedzie Tomasik, osobiście postawię przed nim czerninę!

– Weroniko! Nie bądź naiwną gąską. Szykuje ci się wyborne małżeństwo. Nie można zaprzepaścić takiej szansy. Powinnaś za niego wyjść.

– Nie! – Młoda zaperzyła się jeszcze mocniej.

Rozmowa toczyła się w kuchni, jak większość życia rodzinnego w domu. Dominika roztropnie zabrała dzieci i wyszła z nimi, by zebrać kurom jajka. W takiej nerwówce wolała nie pchać się świekrze przed oczy, by nie dźgnąć jej czasami widokiem rosnącego brzucha, w którym zagnieździło się trzecie życie. Spodziewała się z tego powodu kolejnej awantury, więc w obecności teściów przemykała chyłkiem, kuląc się, by nic nie było widać. Prędzej czy później i tak się zorientują, ale zdecydowanie wolała, by jednak nastąpiło to jak najpóźniej. I nie w sytuacji, gdy wszyscy są nabuzowani gniewem. Nie chciała, by rozładowywali go na niej.

Zygmunt pierzchnął z lekturą do ogrodu, licząc, że ukryje się tam i przed awanturą, i przed ojcowskim wzrokiem. *Oj… Surowi ci nasi rodzice. Surowi* – westchnął. – *Więcej zrozumienia mają dla parobków i służby. Zacni z nich ludzie, pochylają się nad cudzym nieszczęściem, gdy widzą, że ktoś potrzebuje wsparcia. Ale od nas wymagają zdecydowanie zbyt dużo.*

***

Gdy kobiety zaczęły jazgotać, Prokop wcisnął na głowę kaszkiet i wyszedł. Pomyślał, że objedzie swoje włości i sprawdzi, czy trawa odpowiednio wyrosła. Mógłby po niedzieli rozpocząć kośbę. W pierwszym odruchu chciał wziąć wierzchowca, lecz ostatecznie stwierdził, że nie zaszkodzi mu, gdy pójdzie pieszo. Było przyjemne sobotnie popołudnie, każdy parobek miał wyznaczone zajęcie, a on potrzebował chwili spokoju i wytchnienia. Wiedział, że kłótnia nie dobiegnie szybko końca, ponieważ nazajutrz Weronika oczekiwała swatów od Zalipiaka. Tak więc przed ich przybyciem należałoby rozstrzygnąć wiadomą kwestię. Sam nie był przekonany do planów córki, choć od biedy mógłby się do nich przychylić.

Czy szlachcic, choćby tak drobny jak Dębski, będzie miał poszanowanie dla żony wywodzącej się z plebsu? – zastanawiał się, przemierzając swe grunty. – *Tak naprawdę Dębski potrzebuje niańki, by zdjęła mu z głowy kłopot, a z której przy okazji sam będzie miał pożytek. Zachciewa mu się młódki, staremu rozpustnikowi!* – prychnął trochę na wyrost, ponieważ różnica wieku nie była znowuż aż tak duża, by nie dało jej się zaakceptować. Podobne małżeństwa były czymś naturalnym i nikt z tego nie robił dramatu.

***

Tymczasem awantura nie cichła. Pomiędzy matką a córką trwała wojna na argumenty. Z oczu młodej płynęły łzy, starsza niemalże ciskała błyskawicami.

– Was, matulu, nikt nie zmuszał, byście szli za tatę!

– A któż ci nagadał takich bzdur?

– Kochacie się, to widać. Czemu więc mnie wydajecie za mąż bez mojej woli?

– Dziecko, dziecko… – Bernadeta pokręciła głową z dezaprobatą. – Miłość przychodzi z czasem. Mnie też rodzice nie chcieli puścić za byle kogo. Niejeden dostał czarną polewkę. A i do Prokopowych swatów

początkowo nie zamierzałam odpijać – nagięła nieco prawdę, gdyż tak naprawdę chodziło wtedy o to, by pokazać Trzosom, że ona też nie wypadła sroce spod ogona. – Ale mnie matula z tatkiem przekonali, że to dla mojego dobra. I co? Posłuchałam. Ani przez moment nie pożałowałam tego wyboru, choć to rodzice naciskali, abym wyszła za mąż. Będziesz i ty szczęśliwa, córciu. Zobaczysz.

– Z wami i ojcem to co innego, bo tatko nie jest od was wiele starszy. Raptem o siedem lat. A wy mnie chcecie wydać za człowieka, który zdążył dorosnąć, nim pojawiłam się na świecie. Między nami byłoby ćwierć wieku różnicy!

***

Nikodem uwijał się przy koszeniu łąki. Tego dnia wyszedł sam, reszta domowników zajęła się innymi pracami. Odpowiadało mu to, ponieważ mógł do woli rozmyślać o czekającym go nazajutrz stresie. Zasadniczo już teraz się denerwował na myśl o tym, z jakimi wieściami wróci do domu Ignacy, któremu przypadła w udziale rola swata. O ile uczuć Weroniki był pewny, to ukochana skutecznie zaraziła go swymi obawami o zgodę rodziców.

W połowie roboty postanowił, że zrobi sobie krótką przerwę. Dzień był gorący, bezchmurny, a jemu chciało się pić. Pomyślał więc, że zejdzie nad rzekę płynącą trochę dalej w niedużym jarze, by tam spokojnie łyknąć piwa, które przezornie zanurzył w zimnym nurcie, gdy dotarł na łąkę. Akurat ten kawałek gruntu, położony malowniczo pod lasem, oddalony był znacznie od reszty pól należących do Zalipiaków i sąsiadował z nieskoszoną łąką Trzosa. Granicę stanowił niewielki, wiecznie błotnisty parów, służący melioracji terenu.

Rzeczułka nie była szczególnie głęboka. Latem przyciągała zwykle okoliczną dzieciarnię. Parobkowie także lubili się w niej popluskać w skwarne dni, ale robili to w innym miejscu, na rozlewisku uczynionym przez bobry. Niezależnie od pory roku nad ruczajem można było spotkać baby robiące pranie. Znosiły ze sobą balie, tary,

kijanki i całe kosze bielizny. A jazgotały przy tym więcej niż kąpiący się smarkacze i od razu płoszyły ryby. Tego dnia panowała tam cisza – dzień był mimo wszystko zbyt chłodny na kąpiele, a praczki uwijały się tu onegdaj.

Nikodem sięgnął do wody po flaszkę ukrytą między kamieniami. Usiadł na obalonym przez bobry pniu i pociągnął solidny łyk, by ugasić pierwsze pragnienie. Nie zwrócił uwagi na szelest liści za sobą, dopiero gdy ktoś z całej siły uderzył go w plecy, odkrył, że nie jest sam. Siła uderzenia pchnęła go do rzeki. Krzyknął w nagłym przestrachu, lecz w tym samym momencie plasnął o powierzchnię wody. Akurat w tym miejscu sięgała ona mniej więcej do połowy uda dorosłemu mężczyźnie, więc od razu cały się zanurzył, nieudolnie próbując ratować się rękami. Zaczerpnął też wody, która zdławiła mu gardło. Mimo to usiłował wstać, lecz gdy już miał wynurzyć głowę, poczuł, że ktoś wciska ją pod powierzchnię.

Podjął rozpaczliwą walkę o życie, którego nie wiedzieć czemu, chciano go pozbawić. Przed oczami, niczym błyskawiczna parada wspomnień, przelatywały mu różne obrazy. Widział samego siebie jako małego chłopca pasącego gąski nad stawem. To znowuż jak u boku ojca pierwszy raz orze pole pługiem zaprzężonym w woły. Po chwili siedział w szkolnej klasie w Niepołomicach, gdzie drżał ze strachu pod czujnym okiem nauczyciela. Czuł razy wymierzane drewnianą linią w otwartą dłoń, gdy błędnie wskazywał rzeki na mapie. A na ostatek stał wśród kwitnących kalin i bzów, tuląc do piersi Weronikę, całując jej słodkie, drżące usta.

Czy wraz z tym obrazem miał wydać z siebie ostatnie tchnienie, wpuszczając wodę do płuc spragnionych oddechu?

Boże miłosierny ratuj! – pomyślał, czując w klatce piersiowej ból nadchodzącej śmierci.

***

Zalipiak już pół łąki skosił – zauważył Trzos, gdy w końcu dotarł na granicę swojej ziemi. Odszedł znaczny kawał drogi od domu. Trochę odetchnął i na moment zapomniał o rodzinnych problemach, choć czuł, że nawet gdy wróci, nie zastanie szczęśliwej, zgodnej rodziny, ale ludzi rozdartych waśniami.

Od dawna wyjątkowo im się nie darzyło, jakby zawisła nad nimi jakaś klątwa. Dzieci, choć dorosłe, wciąż stawały okoniem. Każde miało własne wizje przyszłości, a przecież nie mogli oddawać się fanaberiom w tych niełatwych czasach. Teraz potrzebny był głos rozsądku, troska o ojcowiznę, by nie poszła na zmarnowanie.

Namyślał się nad decyzją córki. Chciał dla Weroniki jak najlepiej. Przeznaczył dla niej dość przyzwoity posag, zważywszy na aktualną sytuację. Żałował, że nie potrafi spoglądać na kwestię zamążpójścia panny równie trzeźwo jak Bernadeta i z podobnym optymizmem.

Gdy na moment odrywał myśli od dziewczyny, przed oczami stawali mu obydwaj synowie. Żaden z nich nie garnął się do pracy na roli. Jak to było możliwe? Czemu jeden wolał uciec w lasy i parać się zbójowaniem, a drugi przyjmował swą dolę z ciężkim sercem?

Cóż może być przyjemniejszego od doglądania własnego gospodarstwa? – westchnął, trącając otwartą dłonią chwiejące się na wietrze źdźbła wybujałych traw. – *Czy jest dla oczu większa uciecha nad widok falujących w słońcu złocistych łanów zbóż?* On te obrazki ukochał nad wszystko inne.

Kolejną ciemną chmurą na nieboskłonie była snecha, która znowu wyglądała mu na brzemienną. Miał na nią oko, zresztą dość się napatrzył i na własną ślubną, i na synową, gdy obydwie chodziły z brzuchami. Dominika jeszcze ukrywała swój sekret. Na co liczyła? Że nikt go nie odkryje?

A miała, franca zbolała, nie łazić do lasu – westchnął ciężko.

Wtem jego uwagę przyciągnął dziwny plusk i sapanie dobiegające znad rzeki.

– A ki czort? – zapytał samego siebie.

Nie mogły to być baby z praniem, te bowiem mocno by jazgotały, wykorzystując spotkanie nad rzeką do plotkowania. W pojedynkę mało która wypuszczała się, by prać, zawsze gromadą łatwiej, bo jedna drugiej mogła pomóc w wyżymaniu bielizny. Dzieciaki także robiłyby sporo hałasu. Na bobra mu to nie wyglądało, gdyż te wyrządzały szkody głównie nocami, lecz mimo wszystko postanowił zejść na dół i zobaczyć, co się dzieje. Nie potrzebował, by i tutaj gryzonie urządziły sobie rozlewisko, podtapiając takie piękne łąki. Od lat walczył z tym tałatajstwem.

Coś go tknęło, by zejść cichcem, tak by nie przestraszyć intruza. Chciał sprawdzić, co lub kto buszuje nad rzeką. W ostatniej chwili doszedł do wniosku, że może to być jakaś zakochana para, która urządziła sobie schadzkę z dala od ludzkich oczu.

Kiedy jednak przedarł się przez zarośla, zaskoczył go widok mężczyzny, próbującego utopić w rzece jakiegoś człowieka. Bez trudu rozpoznał panicza Żelechowskiego.

– Na litość boską! – krzyknął, w nadziei, że wystraszy go na tyle, by puścił swą ofiarę. – Nie dość ci jeszcze mordowania? Miałeś nie szukać pomsty!

Żelechowski drgnął nerwowo i, wciąż trzymając owego nieszczęśnika, odwrócił samą głowę.

– Wynoś się stąd, Trzos, jeśli ci życie miłe – wycharczał.

– Puść tego człowieka. To, co właśnie robisz, powoduje, że stajesz w jednym szeregu z chłopami, którzy dokonali rzezi. Jesteś takim samym mordercą!

– Mylisz się. Ja nie jestem mordercą, lecz sędzią wyrównującym rachunki. Należy mi się sprawiedliwość! Bo nikt nigdy nie wymierzył im kary. Austriacy umyli ręce, pleban odpuścił im grzechy. Ja natomiast posyłam ich do piekła.

Ta odrobina nieuwagi z jego strony wystarczyła, by poluzował uścisk. Topiony przez niego parobek wypłynął na powierzchnię, jednak zwrócony był twarzą ku dnu koryta.

Olaboga, nie żyje! – przemknęło przez myśl Prokopowi.

Wciąż jeszcze był na tyle krzepkim człowiekiem, by w kilku susach dopaść Maksymiliana.

Ten, widząc, że znieruchomiały topielec odpływa, niesiony dość łagodnym nurtem, porzucił pierwszą ofiarę, by stawić czoła Trzosowi. Mężczyźni zwarli się w walce, wymierzając i parując ciosy. Młodszy i znacznie zwinniejszy szlachcic szybko wziął przewagę nad przeciwnikiem. Choć kmieć nie pozostawał mu dłużny, oddając raz za razem, w którymś momencie zdołał złapać go w niedźwiedzi uścisk i obalić z nóg. A potem także jemu zaczął wpychać głowę pod wodę.

Nikodem żył jeszcze, gdy morderczy chwyt się rozluźnił, a fale zaczęły go swobodnie unosić. Choć płuca łaknęły oddechu, ostatkiem woli utrzymał się w bezruchu. Dopiero gdy osiadł na mieliźnie, poderwał się z energią, o którą nie podejrzewałby samego siebie. I wtedy zobaczył Żelechowskiego, który usiłował kogoś utopić. Nie było czasu do namysłu. Złapał kamień, o który wcześniej zawadził stopą. Z wielkim trudem dla osłabionego brakiem tlenu ciała, pokonując opór płynącej rzeki, kilkoma susami dopadł do mężczyzny. Ten akurat odwrócony był tyłem do niego, więc łatwo było łupnąć go w głowę.

Maksymilian stęknął, osuwając się na kolana. Uderzenie było na tyle silne, by go zaskoczyć, więc puścił Prokopa. Nie pozbawiło go jednak przytomności. Już po chwili stał, mając po jednej stronie Trzosa, po drugiej Zalipiaka. A ci, wymieniwszy wcześniej spojrzenia, jednocześnie rzucili się na niego. Siłą dwóch ciał przycisnęli go do dna. Wierzgał, usiłował im się wyrwać, lecz mieli zdecydowaną przewagę.

Trzymali Żelechowskiego jeszcze długą chwilę po tym, jak jego członki stały się bezwładne. Dopiero gdy upewnili się, że szlachcic nie żyje, wspólnymi siłami wyciągnęli go na brzeg.

– Na rany Chrystusa! – wysapał Nikodem. – Co tu się wydarzyło? Dlaczego Żelechowski chciał mnie utopić? Cóżem mu był winny?

Siedzieli mokrzy jak dwa szczury na tym samym pniu, z którego dosłownie przed chwilą został zepchnięty Nikodem. U ich stóp leżało

ciało szlachcica, z twarzą zastygłą w wyrazie czy to nienawiści, czy zdumienia. Wcześniej Prokop zamknął jego otwarte oczy.

Trzos opowiedział młodemu o swych podejrzeniach dotyczących zemsty Maksymiliana na sprawcach rzezi.

– Matuchno Przenajświętsza. Toć chodzi o wydarzenia sprzed blisko trzydziestu lat!

– Otóż to, synu. Padłeś ofiarą spóźnionej zemsty.

– Ale jakże to? Przecież nikt z moich nie brał w tym udziału. Wiem, że ani ojciec, ani żaden z braci nie rabowali dworu. Niktóry nie podniósł ręki na dziedziców – powiedział oszołomiony młodzian. – Chybaby nie kłamali w tak ważnej sprawie? Przecież sumienie by im nie pozwoliło… Zdradziliby się z czymsik…

– To prawda. Twój ojciec nie brał udziału w rzezi. On aż tak mocno nie krzywdował sobie na rządy Tadeusza Żelechowskiego. Wolał trzymać się na uboczu. A Stach i Igor byli ledwo podrostkami, zbyt małymi, by mieszać się w tę kabałę. Nie wiem, czemu ten furiat postanowił zasadzić się również na ciebie. Może ktoś nagadał mu bzdur na temat rzekomych sprawek Marcina? Chciał zamordować ciebie, bo uznał, że utrata dziecka będzie dotkliwszym cierpieniem niż widmo śmierci? – snuł domysły, otrzepując się jednocześnie z wody.

– Nie do wiary! – Nikodem pokręcił głową. – Ocaliliście mi życie, Prokopie. Jakby nie wasza pomoc, już bym pewnie płynął z nurtem rzeki, jako karma dla szczupaków.

– Daleko byś nie odpłynął. – Trzos machnął ręką w stronę mielizny. – Boże litościwy, wybacz nam grzesznym. Zamordowaliśmy właśnie człowieka – westchnął ciężko, spoglądając na zwłoki.

– Co my teraz zrobimy? Przecież to pewny stryczek – jęknął Zalipiak. – Na litość boską, jutro miałem słać do was swatów, choć Weronika mnie przestrzegała, że pani Bernadeta może nie być mi rada – wyznał, wiedziony dziwnym impulsem. – Teraz pewnie i tak nic z tego nie będzie, bo jestem zbrodniarzem. I w najlepszym wypadku nie wyjdę zza krat, a w najgorszym mnie powieszą.

– Tak. Wiem, synu, o waszych marzeniach – sapnął Trzos i zerknął na przerażonego parobka. Potem poklepał go po plecach. – Nie frasuj się, nie podamy ci czerniny, a Weronika odpije do swatów. Teraz, gdy łączy nas mroczny sekret, nie mogłoby być inaczej. Musimy pozbyć się ciała – skwitował do bólu racjonalnie.

– Ale jak? Samiście mówili, że tą rzeką zwłoki nie dopłyną do Wisły – przypomniał.

– Trza zawlec drania na trzęsawiska w głąb puszczy – zadecydował Prokop. – Tam go porzucimy, może błocko wessie ciało albo leśna zwierzyna zrobi swoje. Choćby znalazł je jakiś człowiek, w co wątpię, bo na bagna nikogo żadne licho nie nosi, to nawet jeśli będzie możliwe rozpoznanie w truchle Żelechowskiego, to i tak nikt nie dociecze, jak skonał. To jedyna możliwość, abyśmy uszli kary.

***

– Prokop? Bójże się Boga! Jak ty wyglądasz, człowieku! – wykrzyknęła Bernadeta, gdy mąż wrócił do domu.

Trzos brudny był jak nieboskie stworzenie. Jego spodnie były uszargane. Wilgotna odzież wydzielała nieprzyjemną woń, a we włosy miał wplątane jakieś paproszki, jakby wytarzał się w leśnym poszyciu. Na dobitkę ciężko dychał, a oczy lśniły mu dziwnym, gorączkowym blaskiem.

– Gdzieżeś się podziewał tyle czasu?

Mężczyzna z ciężkim westchnieniem zasiadł na drewnianym zydlu. Obok, przy stole zgromadzona była cała rodzina, gdyż właśnie zaczęli wieczerzać.

– A zrobiłem sobie spacer po puszczy i trochę żem pobłądził. Ale jak widzisz, cały jestem i zdrów. Zaraz się przebiorę – oznajmił. – Jedno tylko chciałem najpierw powiedzieć, by wreszcie w domu zapanował spokój. – Powiódł wzrokiem po bliskich mu osobach, a potem oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Weronika ma jutro odpić

do swatów od Zalipiaka. I niech was ręka boska broni, by im podawać czerninę.

Rozdział 8.

Koleje losu

Moczary w Puszczy Niepołomickiej

Rok 1877

Czujne oczy okolicznych dziewcząt ścigały Zygmunta, gdziekolwiek się pojawiał. Czy to na targu w Niepołomicach, czy w karczmie, czy w kościele, zawsze jakaś odważniejsza panna posyłała mu uśmiech lub choćby wiele mówiące spojrzenia. Choć nie był aż tak krzepkim mężczyzną jak Wojciech czy Prokop, podobał się młódkom ze swoimi pszenicznymi włosami i tęczówkami o intensywnej, niebieskiej barwie. Od święta nosił się z pańska, wkładając surdut i batystową koszulę i ozdabiając szyję fantazyjnie zawiązanym halsztukiem. Gdy szedł w pole, wdziewał zwyczajne łachy, jakby był prostym kmieciem. Bez względu na to, co na sobie miał, jednakowo pociągał dziewoje, a niejedna wzdychała, by ujrzeć go takim, jakim go Pan Bóg stworzył.

Cóż, gdy Zygmunt nie zachodził nad rzeczkę, gdzie często można było spotkać szukających ochłody młodzianków. Prędzej napotkało się go w puszczy z flintą na ramieniu albo na łące wspartego o kopkę siana czy na miedzy pod gruszą, zatopionego w lekturze.

Wzdychały do niego i mieszczańskie córy, i dorodne chłopki, i nawet zubożałe zaściankowe szlachcianki, na które żaden zamożniejszy kawaler nie był łasy z uwagi na brak posagu. Jedne marzyły, by zwrócić na siebie jego uwagę, ponieważ był nad wyraz przystojny, a przy tym uprzejmy jak mało kto. Ot, paniczyk, choć z prostaczego rodu. Inne widziały się u jego boku, ponieważ w gruncie rzeczy Trzos był atrakcyjną partią dla mniej zamożnych, choć dobrze urodzonych dziewcząt czy dla kmiecych cór z aspiracjami.

Widział te spojrzenia, słyszał westchnienia i szepty. Niekiedy nawet zatrzymywał wzrok na którejś pannie, lecz tylko po to, by chwilę później wbić go w karty książki. Czasami modlił się, by Bóg odmienił jego skamieniałe serce. I nie to, że liczył na cud, samemu nie podejmując wysiłków! Wciąż dokładał starań, by zainteresować się czymś ponad

książki czy modlitwę, lecz panujący w karczmie rwetes działał mu na nerwy, a do flirtowania zwyczajnie nie miał głowy.

Któregoś czerwcowego wieczoru, gdy powietrze wciąż jeszcze rozedrgane było żarem upału, postanowił, że pójdzie do Mojsiejowiczów na kufelek piwa przechowywanego w chłodnym loszku, a potem zostanie na tańce. A nuż jakaś dziewczyna wpadnie mu w oko? Czas był ku temu najwyższy, ostatnio rodzice wciąż przebąkiwali, że powinien się ustatkować. I nie chodziło bynajmniej o jego tryb życia, wszak unikał wszelkiego rozpasania, a gorzałkę pijał z umiarem, lecz o założenie rodziny.

Wysączył schłodzony napój, pogwarzył z ziomkami, zawiesił wzrok na kilku pannach. Do tańców miał dwie lewe nogi, ale mimo wszystko postanowił zaryzykować i poprosił Marcjannę Filusiównę, krzepką brunetkę z zacnymi wypukłościami, rozpychającymi pięknie haftowany gorset, na którym falowała kryza białej jak śnieg koszuli. Filusiowie może nie należeli do szczególnie zamożnych kmieci, lecz ich dziewczęta cieszyły się powodzeniem z racji tych walorów urody, które tak przyciągają męskie spojrzenia i dłonie.

Jak nie ona, to chyba żadna – pomyślał, kłaniając się w pas.

Kapela zagrała właśnie skocznego krakowiaka, gdy poprowadził pokraśniałą ze szczęścia Marcysię pomiędzy ludzi złaknionych zabawy. Hulali przez dłuższy czas, aż gorąc buchający od rozgrzanych ciał wypędził ich na zewnątrz. Poszli więc na spacer w stronę niewielkiego zagajnika. Noc była jasna, księżycowa. Wokół pachniało ziołami i kwieciem, ponad którym latały robaczki świętojańskie.

– O! Świetliki! – zauważyła dziewczyna.

– Dużo ich latoś – potwierdził.

– A wiesz, Zygmuncie, kiedyś nałapałam ich we flaszkę po okowicie i zaniosłam do domu. Myślałam, że będą świecić i będę miała darmową lampę, ale nic z tego nie wyszło. Ani jeden nie zaświecił.

– Ja też wpadłem na podobny pomysł i mnie także się nie udało. Widać nie odpowiada im niewola. Nawet maleńkie stworzonko pragnie

wolności.

– Tak, prawda. Ale są takie niewole, w które idzie się z własnej chęci.

– E tam, coś ci się chyba, Marcysiu, pomyliło.

– Ależ nie, Zygmuncie. Czyż dla kobiety nie jest zniewoleniem, gdy idzie za mąż? Wcześniej swobodna niczym ptaszyna na niebie trafia pod czujne oko teściowej, pod nadzór teścia i mężowskie widzimisię. Musi być posłuszna każdemu.

– Skoro tak źle, to po co iść za mąż? – zapytał z lekkim przekąsem.

– Abo to samej lepiej? Ludzie palcami wytykają, śmieją się ze staropanieństwa. A i cóż to za szczęście, gdy jest się samotną na starość: bez dzieci, wnuków i ślubnego?

Pojął aluzję. Marcjanna liczyła na swatów. A może powinien spróbować? Rodzice pewnie by się ucieszyli, choć matka zapewne wolałaby za sneszkę zubożałą szlachciankę. Sęk w tym, że jego nawet ta hoża dziewoja nie pociągała. Nie, nie do końca. Owszem, pofiglowałby z nią, czemu nie? Tylko nie wyobrażał sobie, że miałby przez resztę życia słuchać jej szczebiotu. Samego siebie nie potrafił zrozumieć. Czuł się coraz bardziej rozdarty pomiędzy poczuciem obowiązku a pragnieniem spokojnego życia.

Spokojnego, czyli jakiego?

Ukojenie odnajdował wyłącznie w leśnej głuszy, gdzie za całe towarzystwo miał rozświergotane ptactwo oraz dziką zwierzynę kryjącą się po ostępach. Albo w kościele, gdy bywał rozmodlony tak bardzo, że zapominał o bożym świecie.

Wiedziony impulsem zatrzymał się nagle i złapał Marcyśkę wpół, by przywrzeć ustami do jej warg. Całował ją długo, z pasją, szukając przyjemności w pieszczocie, lecz gdy już puścił dziewczynę, znowu poczuł pustkę – żadnych emocji.

Późno w noc, gdy leżał w łóżku, ćmiąc w mroku nocy cygaretkę, choć wiedział, że matka by go za to skarciła, dumał nad swoim losem.

Dlaczego, o dobry Boże, nie odnajduję przyjemności w tym, co każdemu sprawia rozkosz? Co ze mną jest nie tak? Przecież odczuwam pragnienia jak każdy zdrowy mężczyzna. A jednak nie pociąga mnie myśl o tym, by dać upust grzesznym chuciom.

***

Pieniądze pochodzące z posagu panny młodej oraz te, które Nikodem otrzymał od braci za zrzeczenie się ojcowizny, wystarczyły na zakup niewielkiego domku z ogródkiem na obrzeżach Niepołomic. Przed nimi w chałupince mieszkała bezdzietna wdowa, a gdy jej się pomarło, jacyś dalsi krewni postanowili sprzedać skromną schedę. Grunt kupił sąsiad, ale domu nie chciał, tłumacząc, że dla niego to zbędny balast. Bo nie umieści tam komorników, by zrujnowali budynek, a dla siebie nie potrzebuje, ponieważ ma solidną murowankę.

Tak więc po latach Weronika wróciła do drewnianego domku ze strzechą. Do ciasnych pokoi z malutkimi okienkami, ciemnej sionki i prostoty. Prokop wraz z Zygmuntem na ile zdołali, na tyle pomogli. Pobielili ściany i położyli nowe podłogi z desek pochodzących z ich lasu. Bernadeta, choć początkowo nieprzychylna była planom matrymonialnym jedynej córki, ofiarowała młodym haftowaną pościel, obrusy, kilimy wykonane ze starych gałganków i mnóstwo innych drobiazgów, które surowym, ciasnym wnętrzom nadały przytulności. Dopilnowała także, by dom przynajmniej wewnątrz nie przypominał zwyczajnej wiejskiej chałupy. Żyli ubogo, ale chędogo. W każdym kątku panował porządek, bowiem Weronika, po matce, była czyścioszką co się zowie.

Ech... Jak Bóg da, to może kiedyś dorobią się zacniejszego lokum – wzdychała Trzosowa, ilekroć odwiedzała córkę.

Żal jej było nieboraczki, która większość czasu spędzała samotnie, ponieważ mąż regularnie kursował koleją na trasie Kraków–Wiedeń. Weronika jednak nieodmiennie twierdziła, że do szczęścia niczego jej nie brakuje. No może z wyjątkiem dzieciaczków i częstszej obecności

męża. A ponieważ miała dość dużo wolnego czasu, nadal pracowicie wykonywała koronki, które cieszyły się w okolicy wielką popularnością. Najszykowniejsze niepołomickie damy ozdabiały nimi swe suknie i parasolki.

Młodzi żyli ze sobą zgodnie i przykładnie, co bardzo cieszyło Bernadetę, która początkowo żywiła poważne obawy, czy prosty kmieć, a obecnie pracownik kolejowy, będzie szanował i doceniał swą żonę. Weronika nigdy w życiu nie powiedziała na jego temat marnego słowa, nie płakała w matczyny rękaw z powodu zatargów, nie miewała siniaków na twarzy czy nadgarstkach. Nikodem nie pił, nie bił i wciąż szaleńczo kochał, choć często popadał w melancholię. Niekiedy, gdy pozwalał mu na to rozkład jazdy, będąc w Wiedniu, zachodził do tamtejszych magazynów, by kupić ukochanej jakiś drobny gościniec: to łakocie, to ozdoby do włosów, raz nawet przywiózł jej piękną, wyszywaną paciorkami torebkę.

Ale na tym pozornie szczęśliwym obrazku wkrótce pojawiły się pierwsze skazy. Bo o ile Weronika zaciążyła niemalże zaraz po ślubie, o czym z dumą pochwaliła się rodzicom i świekrom, to kilka tygodni później straciła dziecinkę, a potem roniła jeszcze dwukrotnie. Dopiero czwarta ciąża zaowocowała pękatym brzuszkiem, z którego lada dzień miało się wykluć pierwsze pisklę Zalipiaków.

Bernadeta, wciąż mając w pamięci swą ukochaną świekrę i jej opiekuńcze skrzydła, także trzęsła się teraz nad córką i starała się spędzać u niej jak najwięcej czasu. Prace domowe zlecała młodej gospodyni, Dominice, a sama brała kosz z owocami, jarzyną, świeżo wypatroszonym kurczęciem czy jajkami, do drugiej ręki brała nieco lżejszą niedużą kobiałkę, w której trzymała ręczne robótki, i tak zaopatrzona, zaraz z rana wędrowała traktem przez puszczę do miasteczka, by pomóc córce w ugotowaniu strawy, posprzątaniu domu, wypraniu łachów, a przynajmniej w wyrabianiu owych koronek, które tak dobrze schodziły w sklepie Salmana.

Prokop też wiele pomagał młodym, był w dobrej komitywie z zięciem. Mieli chyba jakieś wspólne sekrety, bo często siadali razem na stronie i cichutko ze sobą rozmawiali. Te pogawędki musiały dotyczyć jakichś ponurych kwestii, bo ich miny były wówczas nietęgie. A gdy pewnego dnia Bernadeta wprost zapytała o to ślubnego, usłyszała w odpowiedzi, że mężczyźni muszą mieć własne sprawy, o których nie rozmawia się z nikim. I niech się nie frasuje, bo to nic takiego. Ot, chłopskie pogaduszki.

Co było robić? Nie dociekała, ponieważ w pełni ufała ślubnemu, choć zauważalnie sposępniał, gdy córka związała się z Nikodemem.

A może po prostu nie do końca wierzy młodemu? – rozmyślała Betka, brnąc wyboistą drogą. – *Wszak Weroniczka była jego oczkiem w głowie, może Prokop wciąż ma wątpliwości, czy postąpił słusznie, oddając ją za mąż Zalipiakowi. Ech... Dzieciaki. Póki małe, to mały z nimi kłopot. A gdy dorosną, człowiek coraz mocniej się frasuje o ich przyszłość.*

Przystanęła na moment i odstawiła koszyk. Poprawiła wełnianą chustę, którą wzięła dla osłony przed chłodem. Na płaszcz było jeszcze zbyt ciepło, a na wędrówkę w samej sukni za zimno. Nie zdążyła się nawet rozgrzać wędrówką, ponieważ wiał zimny wiatr, niosąc od lasu wilgotne, przesiąknięte aromatami grzybów powietrze. Zrudziałe paprocie oblepione były ostatnimi liśćmi, które podmuchy strąciły z drzew. Powietrze było ciężkie od wilgoci.

Po chwili odpoczynku Bernadeta ruszyła w dalszą drogę. W oddali już widziała strzechę i dym snujący się leniwie z komina górującego ponad nią – znak, że młoda gospodyni zdążyła zapalić w piecu. Do porodu zostały jeszcze mniej więcej cztery tygodnie, więc Weronika stała się ociężała, a wykonywanie wielu prac nastręczało jej trudności.

Dobrze, że po południu wróci Nikodem – pomyślała Bernadeta. – *We dwoje będzie im raźniej. Smutno jest spędzać czas zupełnie samotnie w pustej chałupie, po której krążą pewnie duchy poprzednich gospodarzy.*

***

– Jestem, córuś! – przywitała się, wchodząc przez drzwi tak niskie, że trzeba się było kłaniać.

– Dobrze, że przyszłaś, matulu – ucieszyła się młoda. – Jakoś mi tak ciężko dzisiaj, dychać nie mogę.

– Pewnie małe cię uciska – odparła Bernadeta. – Mnie też się tak zdarzało. Zapaliłaś w piecu?

– Nie ja. Sąsiadka przyszła, przelękła się, że mam tak zimno, i zaproponowała, że rozpali. Mnie ciężko się schylić do popielnika – wyznała. – A to przykre, gdy człowiek potrzebuje obsługi i sam sobie nie daje rady.

– Jeszcze trochę cierpliwości, córeczko. Jak już urodzisz i dojdziesz do siebie, to zaraz będzie ci lżej. A może przyślę ci na kilka tygodni Tereskę Dylową? – wspomniała o jednej z komornic zamieszkujących stary dom.

– Przydałoby się – sapnęła młoda, choć do tej pory wzdragała się przed przyjmowaniem pomocy na stałe. – Dobrze byłoby mieć kogoś pod bokiem, gdy przyjdzie mój czas.

– No widzisz? Tereska dopiero co rodziła, więc w razie potrzeby mogłaby robić za mamkę. Bo ty, córuś, jakoś mizernie wyglądasz – zauważyła z troską. – Piersi masz małe, może tak być, że nie wykarmisz maluszka.

Weronika odetchnęła z ulgą, rada, że matka pomyślała o wszystkim. Od kilku dni dręczyły ją obawy o to samo, lecz wstydziła się do tego przyznać.

– Nikodem dzisiaj wróci – zmieniła temat – więc nie będę sama. Tereska może przyjść jutro. Tymczasem przygotuję dla niej miejsce w komórce.

– Tym się nie turbuj, ja to zrobię – odparła rezolutnie Bernadeta. Dobrze się czujesz? – zagadnęła, gdyż córka skrzywiła się nagle i wydała z siebie cichutki jęk.

– Coś chyba się dzieje. Łupie mnie w krzyżach i wszystko ciśnie jakoś nieprzyjemnie.

– Połóż się, córciu, bo jest możliwe, że nim Nikodem zjedzie, trzeba będzie wołać babkę. Wiesz ty, kto tutaj odbiera porody, czy mam wracać do wsi po starą Czopową?

– A jest tutaj zaraz taka jedna. Widziała mnie ze dwa dni temu i mówiła, że raczej nie donoszę do Barbórki.

– No dobrze, dobrze! Ty mi powiedz, w którym domu ją znajdę. Pójdę po nią, lepiej niech cię obejrzy. Na moje wyczucie, to faktycznie może być już. A jadłaś coś dzisiaj w ogóle?

Ciężarna zaprzeczyła gestem.

– Nie. Ale na stronę mnie goni.

– Maleństwo pcha się na świat. Połóż się na chwilę, córuś, bo dość się jeszcze dzisiaj pewnie umęczysz. Zaraz wrócę – obiecała, łapiąc z zydla chustę, którą zrzuciła z ramion, gdy weszła do izby.

***

Przyszła kilka minut później, prowadząc ze sobą kobietę w niezbyt świeżym przyodziewku, woniejącą stajnią, o brudnych rękach.

– Umyjcie się. – Wskazała Kowalikowej miskę z wodą, lecz ta tylko wzruszyła ramionami i wyszczerzyła żółte, niekompletne uzębienie.

– A na co, skoro i tak zaraz się ubrudzę? Kufry, beczki i skrzynie trza pootwierać w całej chałupie, by szybciej nastąpił poród – zarządziła, zerkając po kątach. – Pokaż no się, gołąbeczko – poleciła młodej.

Obmacała jej brzuch, zajrzała w oczy, pokręciła głową z dezaprobatą, widząc włosy starannie wyszczotkowane i ułożone.

– Kto to widział, by ciężarna bawiła się zaplataniem warkoczy? Toż tak nie można, bo małe się bawi pępowiną. Tylko tego brakuje, by owinęło ją sobie wokół szyi! – skarciła Weronikę. – No… Nie będzie lekko – burknęła – ale jakoś sobie poradzimy. Wstań, trzeba przejść

dookoła stołu. Wódkę i cynamon w chałupie macie? – zwróciła się bardziej do Bernadety.

– Ta… tak.

– No to naszykujcie pół szklanki gorzałki zmieszanej z przyprawą. A jak macie jeszcze jakieś korzenne zaprawy, to też dodajcie, młodej ulży. Nie będzie aż tak bolało.

Weronika, której skurcze solidnie dawały się już we znaki, niechętnie opuściła posłanie. Babka złapała ją pod ramię i oprowadziła kilkakrotnie dookoła stołu. Trwało to nieznośnie długo, Zalipiakowa niemalże omdlewała z wysiłku, gdy w końcu się zatrzymały.

– No i jak? Mniej boli? – zapytała.

– Boli! – jęknęła położnica.

– Tak myślałam. Wszystko przez te warkocze. – Stara spojrzała na nią z przyganą. – Ech… Napij się lepiej, to trochę pomoże. A potem przejdziemy się jeszcze po całej chałupie.

Weronika, krzywiąc się niemiłosiernie, wypiła przygotowany przez matkę alkohol.

– Duszkiem i do dna! – zarządziła Kowalikowa, nie bacząc na to, że rodzącą aż zapowietrzyło i od mocy trunku, i od dodanych do niego przypraw.

Zalipiakowa zaczęła się krztusić i kaszleć, a z oczu popłynęły jej łzy. Stara była jednak nieugięta. Dopiero gdy naczynie zostało opróżnione, cmoknęła z zadowoleniem, znowu ją złapała za ramię i powlekła za sobą. W ślad za nimi zostawały na podłodze mokre plamy.

– No, to teraz uważaj. Jak będziesz przechodziła przez próg, mocno masz o niego tupać piętami, to przyspieszy poród, krócej cię będzie mordowało.

Weronika stęknęła w odpowiedzi. Wypita pospiesznie gorzałka uderzyła jej do głowy, wyczyniając dzikie harce w żołądku. Do tego ciężarną mdliło od fetoru, który rozsiewała wokół siebie Kowalikowa.

– Matulu… – Nawiązała z Bernadetą kontakt wzrokowy. – A wyjdźcie no na drogę, popatrzcie, czy Nikodem nie wraca…

– A na co ci chłop w takiej chwili? – skarciła ją od razu akuszerka. – Lepiej niech się tutaj nie pokazuje. Nie wypada, by był przy porodzie.

Ciężarna nie miała sił, by tłumaczyć babce, że martwi się o męża, który powinien być już w domu. Bynajmniej nie chciała, by patrzył na nią w takiej chwili, gdy raz po raz dostawała bolesnych skurczów, płakała wniebogłosy i zostawiała na podłodze plamy z odchodzących wód.

Matka w lot odgadła jej myśli. Wzięła chustę i wyjrzała na zewnątrz. Pomyślała, że dobrze byłoby dać znać domownikom, że zostanie u córki na noc, ponieważ dziecko pcha się na świat. Poszła więc do najbliższych sąsiadów Weroniki i zapytała, czy nie puściliby parobka za las z nowinami. Pikulscy nie robili problemu, dali nawet chłopakowi konia, aby szybciej załatwił sprawę. Podziękowała więc i wróciła do domu Zalipiaków. Już na podwórzu słyszała przeraźliwe krzyki rodzącej kobiety.

Męczy się biedactwo – westchnęła.

Pamiętała swój pierwszy poród, poszło wtedy znacznie łatwiej i szybciej. Córka jednak była znacznie delikatniejsza, więc nic dziwnego, że więcej musiała wycierpieć. *Prawdziwa dama* – stwierdziła, wciąż niepocieszona, że zamiast szlachcica, Weronika wybrała Nikodema.

– Dobrze, że jesteście, gospodyni. Dejcie no mi śledzi, jak macie, i sadła.

– Głodniście? – zapytała akuszerkę, lecz ta pokręciła głową.

– Nie dla mnie, ino dla młodej – fuknęła. – Coście nigdy dziecka nie rodzili?

– A tam… Dawno temu to było – odparła skonsternowana, ponieważ nie przypominała sobie, by podczas wydawania noworodka na świat jadła jakikolwiek posiłek. A już na pewno, by były to śledzie czy tłustości.

Mimo wszystko przyniosła z komory pożądane produkty, lecz ku jej zdziwieniu akuszerka nie nakarmiła nimi rodzącej. Śledzie poukładała młodej na brzuchu dla przyspieszenia porodu. A potem wysmarowała sowicie sadłem jej miejsca intymne, by dziecko łatwiej się wyśliznęło.

Córka znowu zaczęła wypytywać matkę o Nikodema i labidzić, że pewnie spotkało go coś złego, bo inaczej już dawno byłby w domu.

Kowalikowa przestała zwracać uwagę na jej gadanie, bo robiło się późno. Uciskała więc brzuch, mamrotając jakieś zaklęcia i wmuszała w rodzącą kolejną porcję gorzałki. W końcu jej zabiegi przyniosły spodziewany rezultat i maleństwo przyszło na świat. Pępowina została odcięta nożem i zasupłana.

– Na mnie już pora – oświadczyła akuszerka. – A następnym razem pamiętaj – potarmosiła młodą matkę za ramię – by się nie czesać przynajmniej ze dwa tygodnie przed porodem. A najlepiej w ogóle nie tykać włosów grzebieniem, jakeś brzemienna, bo sama widzisz, ile potem trzeba się umęczyć.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Betka odłożyła maluszka do kołyski. Potem, na ile to było możliwe, obmyła córkę ze śledzi, sadła, potu i krwi. Pomogła położnicy przejść do sąsiedniej izdebki, gdzie wcześniej przygotowała dla niej czystą, pachnącą pościel i napaliła w piecu. W jej poczuciu niemożliwe było, by leżeć w brudzie i smrodzie, na pokrwawionym barłogu.

Wycieńczona porodem Weronika odpoczywała z dzieciaczkiem u piersi. Po chwili zajrzała do niej Bernadeta, niosąc talerz z rosołem.

– Nie jestem głodna – odparła córka, zerkając na ciemne okno.

– Nie martw się o Nikodema, na pewno zaraz wróci. A może pociąg ma duże opóźnienie? Przecież sama mówiłaś, że nierzadko się to zdarza.

– A jak się wykoleił?

– Nic z tych rzeczy, głuptasie – ofuknęła ją matka, a potem zmieniła temat. – Posłałam do nas parobka Pikulskich, aby dał znać, że powiłaś

synka. I by Prokop przysłał tutaj Terenię jak najszybciej. Tylko patrzeć jak zjadą wozem, bo wątpię, by puścił po zmroku babę z dzieckiem. A sam też będzie chciał zobaczyć Władeczka.

Rzeczywiście jakiś czas później dało się słyszeć stuk końskich kopyt i turkot. Cóż, gdy nawet ruch zrobiony przez ojca i komornicę nie rozchmurzył Weroniki. Młoda leżała w łóżku, tuląc do piersi dziecię i pochlipywała bezgłośnie. Na nic zdały się słowa pociechy, wciąż powtarzała, że ani chybi stało się coś złego.

Gdy zapadła późna noc, a Nikodem nie wracał, Bernadeta coraz bardziej chwaliła własną roztropność. Gdyby tego dnia nie przyszła do córki, biedactwo byłoby zdane samo na siebie i teraz dramat byłby jeszcze większy. Zostali więc z Prokopem u Zalipiaków, zastanawiając się szeptem, co też mogło przydarzyć się zięciowi. Niby spóźnienie nie było szczególnie długie, raptem kilkanaście godzin, ale Weronika jakimś cudem przekonała ich, że ma złe przeczucia.

Kiedy dom pogrążył się w dość lekkim śnie – wszak maleństwo co jakiś czas kwiliło, domagając się uwagi: a to było głodne, a to trzeba je było przewinąć, nad czym rzecz jasna czuwała głównie Tereska – Prokop wyszedł przed chałupę, by spokojnie wypalić cygaretkę. Noc była przenikliwie chłodna, lecz on przezornie narzucił na ramiona kożuch należący do Nikodema. Siedział na ławce ustawionej pod oknem ganku i zerkał w ciemne, pochmurne niebo, z którego lada moment mógł lunąć deszcz.

Trzos także miał złe przeczucia, lecz nie dotyczyły one wypadku na kolei, a zgoła innego problemu.

Krótko po tym, jak przed dwoma laty ukatrupili wspólnie młodego Żelechowskiego, pokusił się o wyprawę do puszczy na te same trzęsawiska, na które zanieśli ciało szlachcica. Dobrze zapamiętał miejsce, gdzie złożyli go na wieczny spoczynek. Było to na skraju bagna, na grząskim gruncie. Nakryli zwłoki gałęziami, bo jakoś nieswojo im było, że zostawiają człowieka bez szansy na godny pochówek. Miał diabła za skórą czy nie, należała mu się trumna i kawałek poświęconej

ziemi. Ku niejakiemu zaskoczeniu Prokopa doczesne szczątki Maksymiliana zniknęły. Być może wessało je błoto, może zainteresowały się nimi dzikie zwierzęta. Dość, że Żelechowski przepadł jak kamień rzucony w wodę.

– Z martwych nie powstał – bąknął wówczas sam do siebie, czyniąc znak krzyża na piersi.

O tym, że panicz zaginął, nieprędko zaczęto gadać w okolicy, bowiem już wcześniej słudzy z dworu przyzwyczaili się do tego, że potrafił na kilka dni i nocy nie wracać do siebie. Bywało, że zabierał konia, trochę prowiantu i przepadał nie wiedzieć gdzie. To znowu wychodził pieszo, zawsze sam, nic nie mówiąc nikomu. Kiedy jednak jego nieobecność zaczynała się przedłużać, zafrasowany Ziomecki – ekonom Maksymiliana – udał się do landwójta i zameldował, że pan zniknął bez wieści. Potem jeszcze pojechał do Parnickich i tam wypytał, czy czegoś nie wiedzą o dziedzicu. Trzosem nie zawracał sobie głowy. Prokop dopiero po blisko trzech miesiącach usłyszał o sprawie od *madame* Cecylii. A i to mimochodem, gdyż szacowna dama wychodziła z założenia, że mężczyzny może zwyczajnie nie obchodzić los jej podopiecznego.

Siedział więc teraz Prokop i dumał o zaginionym truchle.

A co, jeśli ktoś znalazł Żelechowskiego? Jeśli jakimś cudem odkrył, czyja to sprawka? Jeśli aresztowano Nikodema za zbrodnię i dlatego nie wrócił do domu? – rozmyślał. – *Ee... głupstwa mi się roją. Gdyby tak było, pierwszy bym trafił do paki. Nie powinienem się tym frasować. Zabijając Maksymiliana, ulżyłem światu. Wiadomo, ilu jeszcze ludzi by ukatrupił? Ile niewinnych osób pozbawiłby życia w odwecie za cudze przewiny?*

Sumienie go jednak gryzło niczym przebrzydły robak wwiercający się w umysł, powracający upiorami w snach.

A przecież niewiele zabrakło, aby tamtego popołudnia zamiast jednego, padły dwa trupy. Owszem, mogli spróbować wziąć go żywcem, powlec na posterunek policji. Pewnie przedłużyliby mu w ten sposób życie o kilka nędznych tygodni – do czasu, gdy wydano by na niego

wyrok. Zaoszczędzili mu haniebnego końca na stryczku i ludzkiego gadania. Teraz, o ile ktokolwiek o nim mówił, to raczej zachodził w głowę, dokąd go poniosło. Zakładano, że wyjechał w szeroki świat, by przeżywać jakieś przygody i być może pewnego dnia, jak gdyby nigdy nic, powróci.

***

Następnego dnia Trzos poszedł do centrum miasta, by dowiedzieć się na kolei, czy coś wiadomo o pociągu, którym miał jechać Nikodem. Może dostali jakąś depeszę o opóźnieniu?

Dzień był słotny, nieprzyjemny, wręcz malaryczny – jak to w listopadzie. Psa żal byłoby wypędzić z domu na taką pogodę, kto nie musiał się nigdzie plątać, siedział w chałupie. Nad dachami snuły się nisko dymy.

– Uszanowanie naczelnikowi – przywitał się Trzos, wchodząc do biura.

– Powitać, powitać. Co was sprowadza, Prokopie? – zapytał jegomość zarządzający stacją, jego dobry znajomy.

– Ano martwię się o zięcia. Nie wrócił wczoraj, choć zapowiedział, że będzie. Tymczasem żona powiła mu synka, a teraz leży w chałupie i beczy, że niechybnie coś złego mu się przytrafiło.

– A! Waszym zięciem jest *schaffner*[33] Zalipiak? – upewnił się *zugleiter*[34].

– Tak. Nikodem.

– To się nie martwcie, niech już córka nie wylewa łez. Przyszła wieczorem depesza, że Zalipiak musi zostać w Wiedniu, by złożyć zeznania przed policją.

– Matko Przenajświętsza! – jęknął Prokop i z miejsca pobladł, bo od razu stanął mu przed oczami trup porzucony na bagnach.

– Ady mówię wam, byście się nie turbowali o niego. Wróci niebawem.

– Ale czemu… Czemu go zatrzymali? – wykrztusił.

– Kto mówi, że zatrzymali? – zarechotał naczelnik. – To wzorowy pracownik, konduktor z niego, jak się patrzy! *Bahnpolizei*[35] potrzebowali zadać mu kilka pytań. Sprawa się rozbija o bagaż, który zginął z pociągu. Z Krakowa wyjechały kufry należące do znacznego kupca bławatnego, Gustaw Zaleski mu bodajże, wielka szycha. Miał w nich jedwabie i atłasy, różne dobra handlowe. No i cały ten towar zniknął z wagonu gdzieś na trasie pomiędzy Krakowem a Wiedniem. Prócz tego skradziono jeszcze sporo innych sakwojaży. Pewnikiem stało się to na którejś stacji – raportował bez większych emocji. Wierzył bowiem, że grabieży nie dokonano w Niepołomicach, lecz raczej gdzieś dalej.

– Ach! To faktycznie kamień spadł mi z serca – odetchnął Prokop.

Pogwarzyli jeszcze chwilę, potem Trzos pożegnał się i odszedł. Z tej ulgi, że nie poszło o mord na Żelechowskim, postanowił, że najpierw wstąpi do gospody na kieliszeczek gorzałki. Należało mu się po tych nerwach, które tarmosiły go od wczoraj. Nie będzie przecież dłużej zasiadał, wszak trzeba pocieszyć Weronisię, nim się na dobre rozślimaczy.

U Szwarcbauma spotkał kilku znajomków, więc dosiadł się do nich na moment. Akurat któryś opowiedział przed momentem jakąś zabawną historyjkę, bo zgromadzeni tam ludzie śmiali się do rozpuku. Wimmerowi nawet puściły się łzy i popłynęły po twarzy.

– A co wam tak wesoło, panowie? – zagadnął Trzos, moszcząc się na ławie. – Rad bym się ucieszył pospołu z wami.

– Ano, to posłuchaj – odparł Jędrzej Tryumfaczka[36], niedawny naczelnik miasta Niepołomice, którego na stanowisku zmienił przed czterema laty Kazimierz Bisztyga. – Znasz może Franciszka Sosnowskiego, urzędnika z sądu?

– Znam. Mój Zygmunt chodził do szkoły z jego synem. Ludwik chyba młodemu, o ile dobrze pamiętam. Chłopaki się kolegowały, więc

czasami wysłuchałem jakiejś ciekawej opowiastki. Nieźle musiał dawać w kość Franciszkowi, nim uciekł z domu – stwierdził.

– No toś teraz dobrze trafił, Prokopie, bo rzecz będzie właśnie o nim – wtrącił Jan Tichy, który opuścił na chwilę aptekę i także wpadł, by uraczyć się czymś u karczmarza.

– Byłem wczoraj u Franciszka – podjął Jędrzej. – Sprawę miałem w sądzie. Prócz mnie czekało kilku petentów, więc usiadłem w poczekalni. Obok przycupnął jakiś niepozorny chłopina. W pierwszej chwili w ogóle nie zwróciłem na niego uwagi, choć wciąż mamrotał pod nosem, jakby oczekując wśród innych osób posłuchu, że ma arcyważny dylemat do rozstrzygnięcia. Jak już wszedł, to dość długo siedział u Sosnowskiego, zdążyłem się nawet zniecierpliwić i myślałem, czy nie przyjść innego dnia. Aż tu nagle drzwi się otwierają i staje w nich jeden i drugi. Obydwaj śmieją się w głos. „No może coś z ciebie będzie" wykrztusił w końcu Franciszek. Patrzę więc ja uważnie na tego petenta, a to nikt inny jak sam Ludwik Sosnowski. Tak się ancykrys przerobił i przebrał, że nie szło go rozpoznać. Jeszcze ponoć głos zmienił, gdy gadał z ojcem. Kiedym już wszedł do biura, Franciszek mi opowiedział, jak to odwiedził go syn, że niby ma ważną sprawę sądową i przyszedł prosić o radę. Ponoć długo błaznował, kwękał, coś tam marudził, zadawał dziesiątki pytań. A stary dwoił się i troił, by mu jakoś pomóc. W końcu młody nie wytrzymał i zdradził się przed ojcem. Ponoć pracuje w teatrze, komediant jeden[37]!

Dwa dni później, ku ogromnej uldze Weroniki oraz jej bliskich, Nikodem wrócił do domu. Radość była wielka z tego powodu i podwójna, bo cieszył się zarówno świeżo upieczony ojciec, którego żona nareszcie obdarowała dzieckiem i to jeszcze synem, jak i Weronika, bo na własne oczy mogła się przekonać, że mąż jest cały i zdrowy. Chociaż Prokop objaśnił córce przyczynę opóźnionego powrotu, ona i tak nie dowierzała, bojąc się, że bliscy zataili przed nią prawdę, by mogła spokojnie urodzić i dojść do siebie.

***

Przedłużająca się nieobecność Maksymiliana spędzała sen z powiek Cecylii.

– Co ja bym dała za to, by dowiedzieć się, gdzie on przepadł. Zniknął tak nagle, bez wieści… – westchnęła, pochylając się nad kanwą z rozpoczętą robótką.

Ostatnio mocno osłabł jej wzrok, więc po zmierzchu nie brała się do precyzyjnych haftów – mogła je wykonywać jedynie przy świetle dziennym. Konsultowała przypadłość nawet z panem Tichym z Niepołomic, lecz farmaceuta niewiele mógł na to zaradzić. Oferował wprawdzie binokle, lecz nie potrafiła się przekonać do ich używania. Lorgnon był niepraktyczny, gdyż wymagał trzymania dłonią. A monokl odpadał, ponieważ żywiła obawy, że nosząc go, będzie marszczyła czoło oraz kącik oka, a to już prosta droga do powstawania coraz głębszych zmarszczek.

– Boję się, mamo, że on nigdy nie wróci – odparła nie mniej zafrasowana córka. Już dawno porzuciła złudzenia, że mogłaby wzbudzać w nim cieplejsze uczucie. – Nim na dobre zniknął, wyraźnie stronił od towarzystwa i zachowywał się dość dziwnie – przypomniała.

– Tak. Że też mnie to nie skłoniło do jakiegoś radykalniejszego działania. Ale ilekroć poruszałam z nim tę kwestię, potrafił mnie sprytnie zbyć, twierdząc, że pochłonięty jest gospodarstwem. Boję się teraz, że coś mogło mu się stać. To już grubo ponad dwa lata, jak nie ma z nim żadnego kontaktu. Gdyby choć przysłał depeszę albo najkrótszy nawet list! Przynajmniej oszczędziłby mi trosk. Może pisze do Ziomeckiego, a ten nas zbywa? To straszny gbur, Trzos nie był taki, on podzieliłby się każdą wieścią. Dusza człowiek!

– To prawda, mamo. Coraz trudniej dzisiaj o równie szlachetnych ludzi. Mnie ten cały Ziomecki też nigdy się nie podobał. Ani chybi coś wie, lecz nic nie mówi.

– A co, jeśli to on stoi za zniknięciem Maksymiliana?

– Mamo! Co też ci przyszło do głowy?

– Ano to, że jest taka możliwość. Przecież ten przechera słyszał o tym, że Maks nie ma bliskiej rodziny, wszak nie bez powodu wychowywał się u nas. A skoro nie ma rodziny, to nikt nie upomni się o jego majątek. Może ten osobnik chce przejąć dobra przez zasiedzenie?

Kobiety spojrzały po sobie z trwogą.

– Nie, nie! Mamo! Popełniłby zbrodnię? Nie wierzę. Zakładam raczej, że Maks wyjechał w jakąś daleką podróż. Siedzi pewnie teraz w jakimś uzdrowisku, popijając burbona i nie przejmując się tym, że ty się o niego zamartwiasz – stwierdziła Filomena.

– Och… Cóż z niego za niewdzięcznik – załkała Cecylia, bowiem wciąż był dla niej niczym rodzony syn i nie mogła się pogodzić z faktem, że najpierw się odsunął, a potem ot tak zniknął z jej życia.

Filomena odłożyła na bok swoje hafty i z ulubionego fotela przy oknie przesiadła się na kanapę obok matki. Objęła ją ramieniem i przytuliła policzek do jej twarzy.

– Och… Mamo. Nie płacz, tak cię proszę…

– Wiesz, córeczko, że trudno mi się z tym pogodzić. Tak pięknie układało się nasze życie przez pewien czas. Gdy już opłakałam śmierć twojego ojca, a później Eulalii, myślałam, że to koniec przykrych niespodzianek od losu. A tymczasem Maks okropnie mnie zawiódł… Kiedyś wydawało mi się, że… Odniosłam wrażenie – zaplątała się, lecz w końcu powiedziała szczerze o swych odczuciach. – Że ty i on macie się ku sobie. I nawet uważałam, że bylibyście dobraną parą, a nasze włości połączyłyby się w jedno.

Odkąd Gustaw, wciąż pogrążony w tęsknocie po zmarłej żonie, zaczął sukcesywnie wycofywać się z prowadzenia działalności kupieckiej, dla wszystkich stało się jasne, że w przyszłości to Juliusz w całości przejmie jego interesy. Poczynione już zostały ku temu formalne kroki w postaci spółki pomiędzy mężczyznami. A ponieważ w ten sposób Parnicki zyskiwał znaczny majątek, podczas rodzinnej narady zadecydowano, by Filomena objęła w posiadanie dwór i przyległe do niego grunty. Była

posażną panną na wydaniu. Nie dziwota więc, że wciąż starali się o nią i Ostrowski, i Branicki, choć na razie taktownie odrzucała ich zaloty. A może raczej obydwu trzymała na dystans, nie mogąc się zdecydować. Cecylia skłaniała się ku koncepcji, że córka wybierze jednak Branickiego. Był znacznie atrakcyjniejszą partią. Jego zaletą było także to, że nie traktował Filutki jak naiwnej gąski, która nie ma pojęcia o otaczającym ją świecie, i pięknie mówił z nią o wszystkim, a nie tylko o błahostkach.

Jakby w odpowiedzi na jej przemyślenia, córka wyznała niespodziewanie:

– Może kiedyś… Była chwila, gdy wydawało mi się, że mogłoby coś z tego wyniknąć. Ale dawno temu porzuciłam takie mrzonki. On nigdy nie dał mi odczuć, że znaczę dla niego cokolwiek więcej. A wiesz… Dzisiaj spodziewam się pana Branickiego – zmieniła temat.

– To sympatyczny młody człowiek. Dżentelmen w każdym calu. I bardzo cierpliwy – dodała znacząco Cecylia.

– Sądzę, że nie będzie musiał znosić dłużej niepewności…

– Czyżby? – ucieszyła się Cecylia, bowiem córka skończyła tego roku dwadzieścia cztery lata, a to już nie były przelewki. Pokątnie zaczynano ją nazywać starą panną.

– Owszem. Chyba nie ma na co czekać. Wszak sama widzisz, że Maks nie wróci. A jeśli nawet, to jego zachowanie wskazuje na to, że ma nas za nic – podsumowała z goryczą.

Moja biedna – westchnęła matka. – *Czyli jednak wciąż o nim myśli.*

A tak bardzo pragnęła, by córka wyszła za mąż z miłości! By nie przeżywała tych samych rozterek, które przed laty były jej udziałem. Mimo wszystko uważała jednak, że Filomena ma więcej szczęścia, ponieważ może być pewna zaangażowania ze strony Branickiego. Sama nigdy nie odczuła niczego podobnego w swym małżeństwie.

***

Chociaż Władzio urodził się zdrów jak ryba, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie, szybko zaczął niedomagać. Stracił apetyt, nieustannie marudził i miał biegunkę. Weronika, wciąż jeszcze osłabiona porodem, starała się jak mogła zajmować maleństwem, ale gdyby nie pomoc matki, która została u niej na kilka dni, byłoby jej bardzo ciężko. Na dodatek okazało się, że nie ma pokarmu, więc Tereska weszła w rolę mamki.

– On w ogóle nie chce jeść – mówiła służka za każdym razem, gdy dziecko zasypiało w jej ramionach, nie pociągnąwszy wcześniej prawie nic.

– Przystawiaj go. Nie masz nic lepszego do roboty – denerwowała się Bernadeta, która sama nigdy nie miała podobnych problemów.

Teresa posłusznie wkładała dziecku w usta brodawkę, uciskała nawet swe dość pulchne ciało, by mleko samo płynęło, lecz mimo to chłopiec nie ssał. Kwilił niczym ptaszek, a kącikiem ust wylewała się biała strużka.

– Trzeba go przewinąć – stwierdziła babcia, zabierając maluszka mamce.

Wprawnie rozwiązała pieluszki, by go oporządzić. Zaniepokoiła ją duża ciepłota chłopczyka. Malec wyraźnie miał gorączkę. Skoro już był rozebrany, ponownie przyjrzała się supełkowi zrobionemu z pępowiny. Martwiła się, ponieważ skóra w tym miejscu była wyraźnie zaczerwieniona, a kikutek zamiast zaschnąć i odpaść, wciąż sprawiał wrażenie żywego.

To się chyba jadzi – pomyślała z trwogą.

Nie chciała denerwować położnicy, która także wymagała nadzwyczajnej opieki, ale potrzebowała czyjejś rady. Kowalikowa nie spodobała jej się już od pierwszej chwili, Bernadeta nigdy nie miała zaufania do brudnych, cuchnących bab. Ale tamtego wieczoru, gdy Władeczek się rodził, nie było czasu na szukanie innej akuszerki. Zresztą leciwa Czopowa niewiele była lepsza od tutejszej.

Następnym razem sama odbiorę poród – stwierdziła. Żałowała, że wezwała do córki tę brudaskę, wszak zdążyła już się przyjrzeć kobiecym wysiłkom, gdy sneszka wydawała na świat swoje potomstwo. Tylko u kogo szukać teraz wsparcia? Wahała się pomiędzy zielarką Widłakówną a akuszerką, która pomagała i jej, i Dominice. Ostatecznie postawiła na doświadczenie, bo o zielarce różnie mówiono. O Tichym z Niepołomic nawet nie pomyślała, bo rodzenie dzieci, jak świat światem, było wyłącznie babską sprawą. Mężczyzna na pewno na noworodkach się nie znał, a i osłabionej Weronice nie potrafiłby także pomóc.

Jak na złość w domu nie było ani jednego mężczyzny. Prokop wrócił do siebie, Nikodem znowu pojechał do Wiednia. Betka zostawiła wnuczka pod opieką komornicy i pobiegła do sąsiedniego domu. Aby nie tracić czasu, uprosiła Pikulską, by puściła po Czopową swego parobka z koniem i rozklekotaną bryczką. Nim Czopowa dotelepałaby się pieszo, zapadłaby noc.

Gdy wróciła, chłopiec był jeszcze cieplejszy. Wyglądał też na wyczerpanego, nie miał nawet dość sił, by zakwilić. Aby ulżyć dziecku, przyłożyła mu chłodny kompres na czoło.

– Mamo? Co się dzieje? – zawołała córka z sąsiedniej izby.

– Wszystko w porządku, córciu, odpocznij. Teraz ja się zajmę Władeczkiem.

– Przynieś mi synusia, chcę go przytulić. On jest taki grzeczniutki, że na pewno mnie nie zmęczy. Prawie wcale nie słychać w domu jego płaczu. Tak mało mogę się nim cieszyć, bo wciąż jest u Tereni.

Bernadeta otarła spocone czółko malca i położyła na nim świeży kompres. A potem z dzieckiem na ręku weszła do pokoju położnicy.

– Mój maluszek – rozpromieniła się Weronika. – Ojej… A czemu ma okład?

– Jest trochę za ciepły. Ale nie martw się, już posłałam po Czopową, by przywiozła mu jakiegoś ziela na obniżenie gorączki.

– Ach… To dobrze, że przyjedzie. Może i mnie coś poradzi – westchnęła zawstydzona kobieta.

– A tobie co? – wystraszyła się matka.

– Swędzi i piecze – wymamrotała. – Jakoś mi to zimno, to gorąco…

Bernadeta przyłożyła dłoń do jej czoła.

– Chyba też masz gorączkę. Och! Wszystkiemu winna malaryczna pogoda – próbowała szukać wytłumaczenia dla jej dolegliwości, jakby w ogóle nie padły słowa o innym dyskomforcie. – Tobie też przyłożę mokrą szmatkę – zadecydowała, wychodząc do kuchni. Gdy wróciła po chwili, maluszek spał obok matki. Weronika leżała, ciężko oddychając, jej policzki pałały. Kompres przyniósł chorej odrobinę ulgi, lecz Bernadeta odetchnęła dopiero wówczas, gdy usłyszała szuranie w sieni. Wyszła na spotkanie Czopowej i opowiedziała jej o swoich obawach.

– No zobaczym, zobaczym – mruknęła starowinka, zdejmując z ramienia worek, w którym zwykle przechowywała swe utensylia.

Poczłapała do młodej. Najpierw wzięła dziecko, by je obejrzeć. Ułożyła chłopca na stole, kazała sobie solidnie poświecić kagankiem, bo zmrok szybko wkradał się do pomieszczenia. Przyjrzała się niezaschniętemu pępkowi, cmoknęła z niezadowoleniem i pokręciła głową.

– Dawno się jadzi?

– Wciąż było zaczerwienione, dzisiaj zauważyłam, że nie wygląda to tak, jak powinno.

– Mamo… Co się dzieje? Mamo? – Od strony łóżka dobiegł słaby, lecz mocno zdenerwowany głos Weroniki.

– Ano babka, co wam posługiwała, słabo i za daleko od brzuszka przewiązała pępowinę. Rozjadziło się to trochę, ale zaraz coś na to zaradzimy.

Pogmerała w worku, wyjęła z niego jakieś ziółka. Uważnie obejrzała do światła, czy to aby te, których potrzebuje. Na głos nigdy w życiu by tego nie przyznała, ale uważała, że Widłakowa lub jej córka lepiej znają

się na roślinach. Jej specjalnością były porody, a leczenie gorączek, zakażeń oraz innych przypadłości z reguły zostawiała znachorom konkurującym ostro z farmaceutą, który od niedawna świadczył w mieście usługi. No, ale skoro już ją tutaj przywieźli, to nie po to, by zbyła potrzebujących. Dała więc Bernadecie garść suszonego kwiecia lipy, trochę czarnego bzu i owoców maliny.

– Zagotujcie to, Prokopowa, a potem trochę przestudźcie. Trza napoić małego, żeby mu zeszła gorączka.

Potem wzięła kawałek konopnego sznurka i obwiązała nim pępowinę przy samym brzuszku. Chciała rozsupłać węzełek zrobiony przez Kowalikową, lecz ciało nie chciało się poddać. Pokręciła głową, fuknęła gniewnie pod nosem i uznała, że sznurek musi wystarczyć.

– Możecie go opatulić – poleciła Bernadecie, która stała w progu pomiędzy izbą sypialną a kuchnią, zezując to na piec, gdzie gotowały się ziółka, to na poczynania akuszerki. – A i ochrzciłabym nieboraka choćby i z wody, byle nie był poganinem, bo nigdy nic nie wiadomo – uzupełniła ku przerażeniu Trzosowej.

Bernadeta rzuciła się w stronę dziecka. Raz-dwa owinęła go w piernaty, a następnie wygrzebała z kredensu flaszeczkę wody święconej.

– Władysławie – powiedziała głosem zdławionym emocjami, skrapiając jego głowę – ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego…

Tymczasem stara podeszła do posłania położnicy, odrzuciła na bok pierzynę i bezceremonialnie zadarła jej nocną koszulę. W pierwszym odruchu Weronika chciała się zasłonić, ale Czopowa poklepała ją lekko po policzku.

– Ady się nie wstydź, nie ma czego. Każda baba ma to samo między nogami. Skoroś już żyła z chłopem i rodziła, powinnaś się wyzbyć skromności.

***

Pociąg turkotał na szynach, monotonnie kołysząc pasażerów. Potężna lokomotywa buchała gęstym dymem, który wdzierał się do wagonów przez niezbyt szczelne okna, drapiąc po gardłach i wyciskając z oczu łzy. Podróż trwała w najlepsze, lecz do Wiednia był jeszcze kawał drogi. Nic dziwnego, że niektórzy jadący pozasypiali. Nikodem czuwał, zdążył się przyzwyczaić do ciągłego kolebania. Ponieważ po pierwszej odnotowanej kradzieży nastąpiły kolejne, pozostawał czujny. Na każdej stacji wychylał się z wagonu i sprawdzał, kto i z czym wysiada. Czy czasami nie ma zbyt dużo bagażu? Czy jakiś obdartus nie taszczy kosztownie wyglądającego kufra?

Na razie nic nie przykuwało uwagi Zalipiaka.

Gdy opuścili kolejną stację, mężczyzna przysiadł na chwilę, by odpocząć, gdyż od kilku godzin wciąż był na nogach. W rzeczy samej wolałby teraz być w domu przy rodzinie. Niepokoił się, że ślubna nie doszła jeszcze do siebie po porodzie. Nigdy się z tym nie spotkał, by jakaś chłopka tak długo leżała w łóżku. Żadna z jego jątrewek nie potrzebowała wypoczynku. Rodziły dziatki, a potem wracały do swych zajęć. Najpóźniej następnego dnia były już na chodzie, pochłonięte przez wir codziennych obowiązków.

No tak, ale to zwyczajne wiejskie baby. Od początku wiedziałem, że Weronisia jest inna, delikatniejsza. Wychuchana, wydmuchana niczym panna dziedziczka – stwierdził.

Ziewnął rozdzierająco, zasłaniając dłonią usta. Był zmęczony i właściwie marzył o choćby paru minutach snu. Do następnej stacji było dość daleko – zdążył poznać już tę trasę na pamięć. Jeśli przez moment się zdrzemnie, nic nie powinno się stać. Przecież nikt nie okradnie rozpędzonego pociągu. *To nie Dziki Zachód! Tutaj nie ma bandytów i kowboi* – rozgrzeszył się w myślach, a potem odpłynął w krainę snów.

Obudził go pisk hamulców i nagłe szarpnięcie. Przetarł zaspane oczy i zerknął za okno, na dworzec oświetlony gazowymi lampami. Brzecław.

Daleko jeszcze do celu. Podniósł się, przeciągnął, rozprostował kości. Potem wyjrzał na peron, by obserwować pasażerów. Znowu nie dostrzegł niczego, co mogłoby budzić niepokój.

Po przyjeździe do Wiednia kilka osób podniosło raban o brakujące sztuki bagażu i skradzione towary.

– Ady miałem baczenie na wszystkich wysiadających – tłumaczył się później przed Leipoldem[38], austriackim urzędnikiem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo na kolei, człowiekiem srogim i wzbudzającym strach wśród podwładnych. – Na żadnej stacji nikt nie wynosił z pociągu podejrzanie dużo klamorów. Ot, przeciętnie: jakieś drobne sakwojaże. Zresztą tych, co wynosili kufry, sprawdzaliśmy z listą pasażerów i bagaży.

– Niedobrze, niedobrze! – burknął Leipold, głaszcząc swe obfite bokobrody. Czoło zmarszczył tak mocno, że pod fałdem skóry niemalże zniknęła oprawka monokla. Na jego twarzy malował się gniew. – To już nie jest jednorazowy przypadek. Ktoś regularnie łupi nasze pociągi. Pytanie tylko: kto, gdzie i jakim sposobem? – wykrzykiwał z narastającą wściekłością.

– Też chciałbym to wiedzieć – odważył się wtrącić Nikodem.

Przełożony spojrzał na niego z marsową miną.

– Dowiemy się. A na razie trzeba mieć oczy dookoła głowy! Na wagony towarowe będziemy zakładali dodatkowe plomby i zabezpieczenia. Wzmocnimy nadzór! To niedopuszczalne, by jakieś łotrzyki, bo nie wątpię, że działa kilku złodziei, grały nam na nosie! Po moim trupie! Już my ich przydybiemy, jakem Leipold! Znam ja we Lwowie jednego porucznika. Teodor Rudziński[39] to wielce utalentowany oficer żandarmerii. Powierzę mu misję wyśledzenia opryszków – snuł plany, nie bacząc na obecność podwładnego. – Pojadę do Lwowa! A ty… Ty mi dopilnuj, by każdy ładunek był porządnie zaplombowany. No! – rzucił, choć zadaniem Nikodema była przede wszystkim kontrola biletów.

Rozdział 9.

Głos z nieba

Dworzec kolejowy w Podłężu (zdjęcie współczesne)

Do rozmowy z Zygmuntem Prokop przymierzał się już od dawna. Obserwował młodego uważnie i widział, że syn każdą wolną chwilę spędza na czytaniu książek. Gdy był w kościele, nie wodził wzrokiem po jędrnych liczkach, lecz w skupieniu uczestniczył w nabożeństwie, głęboko pogrążony w modlitwie. Dziwiło go, że dorosły mężczyzna nie myśli o ożenku, nie bywa w karczmie, nie zagląda na wiejskie potańcówki. Ze szlachtą też nie przestawał, zresztą wśród dobrze urodzonych Trzosowie nie mieli czego szukać. Póki darzyło im się lepiej, była nadzieja, że zostaną zaakceptowani przez socjetę. Teraz znowu wisieli w próżni – ani pany, ani chamy. Problemem było to, że syn nie wspominał o absolutnie żadnych planach matrymonialnych. Gdy Wojtek mieszkał w domu, wyraźnie było widać jego zainteresowanie płcią piękną. Tylko patrzył, by przydusić jakąś dziewkę czy choćby podszczypać służącą. Prokop niejeden raz karcił młodego za bałamucenie dziewuch. Początkowo cieszył się, że młodszy syn zachowuje więcej dyskrecji – nie skarżyły się na niego komornice ani najmowane do roboty chłopki. Aktualnie go to martwiło, bo cóż z niego za mężczyzna, skoro odporny jest na babskie powaby? Prokop nawet teraz, gdy dobiegał sześćdziesiątki, lubił poswawolić z Betką, choć jurność już była nie ta, co dawniej. Ale żeby w młodym wieku nie korzystać z najoczywistszej uciechy życia? Nie! To było nie do pomyślenia.

– Synu, najwyższa pora, abyś poszukał sobie żony – zagadnął po kolacji, gdy siedzieli jeszcze przy stole. Miał wyborną sposobność ku takim rozmowom, gdyż Bernadeta od kilku dni przebywała u Weroniki, a Dominika wraz z dziećmi opuściła kuchnię, zapewne zamierzając odesłać całą gromadkę do spania.

Pod czujnym okiem ojca Zygmunt wyraźnie się zmieszał. Czuł, że czeka ich poważna męska dysputa, od dłuższego czasu nosił się

z zamiarem poruszenia tematu, który zaprzątał jego myśli. Bał się tej chwili, lecz nie mógł odwlekać jej w nieskończoność.

– Ojcze… Wybacz. Nie czuję się powołany do małżeństwa – wyznał w końcu szczerze to, co tak go dręczyło.

– Ale jak to? Co chcesz przez to powiedzieć? – zdziwił się Prokop i od razu ogarnął go strach, że syn cierpi na jakąś wstydliwą niemoc. – Przecież musisz założyć rodzinę, bo niby komu w przyszłości przekażesz naszą ziemię? Człowiek nie żyje sam sobie, lecz dla dzieci, które powinny przyjść na świat.

– Wiem. Ale takie życie nie jest przeznaczone dla mnie. Ani małżeństwo, ani… – zawahał się przed wypowiedzeniem dalszych słów – ani prowadzenie gospodarstwa. Ja się duszę, ojcze. Nie jestem w stanie sprostać twoim oczekiwaniom, bo pragnienia mam zupełnie inne.

Odważył się, w końcu to powiedział! Postawił sprawę szczerze, uczciwie. Miał do dodania jeszcze tylko jedno.

– Inne? – zdenerwował się Prokop. – A jakie? Co ty mi tutaj za bzdury wygadujesz? To dla kogo urabiam sobie ręce po łokcie? Dla kogo wysilam się, by utrzymać w garści to, co ocalało? Dla kogo wyrzeczenia i trud? – wykrzykiwał. – Agnieszka nie żyje, Weronika poukładała sobie życie z Zalipiakiem, a on trzyma się kolei i chwali sobie swój los. Zresztą od wieków ziemia, która nas żywi, należy do Trzosów! Trzosów! – zaakcentował. – Nie do Zalipiaków czy innych ludzi. Tutaj zawsze mają rządzić Trzosowie, bo tak zadecydował sam król! Zygmuncie! Nie wolno ci przekreślić wysiłków podejmowanych przez całe pokolenia! Masz powinności wobec rodu oraz naszej ojcowizny.

– Tato… ja nie mogę tych powinności wypełnić – oznajmił syn.

– Jeśli nie ty, to kto? – huknął zirytowany mężczyzna.

– Masz jeszcze drugiego syna – bąknął młody.

– Nawet mi nie wspominaj o tym łotrze spod ciemnej gwiazdy! Wstyd i hańba, oto co mu zawdzięczamy. Mało przysporzył nam zgryzot? Zresztą on już wybrał: woli przestawać ze zbójcami, milsze mu las, brud

i niewygody nad ciepło rodzinnego domu – podsumował z goryczą. – A może i ty chcesz iść w jego ślady? – Spojrzał srogim wzrokiem na Zygmunta. – Też poczułeś żądzę przygód i ciekawyś łatwego, lecz umoczonego w krwi chleba?

Zygmunt zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, ojcze. Dobrze wiesz, że daleko mi do awanturnictwa, cenię spokój, ciszę i bezpieczną stabilizację.

– Zatem czego więcej oczekujesz od życia, bo nie rozumiem? Wszak to wszystko znajdziesz tutaj. – Postukał palcem w dębowy stół. – Czy ja tak wiele od ciebie wymagam? Pragnę tylko, abyś założył rodzinę i objął gospodarowanie naszym majątkiem, bo mnie coraz częściej zaczyna brakować sił. Póki żyję, pomogę, pójdę w pole, posłużę ci dobrą radą. Ale nie mogę sam ciągnąć pracy na gospodarstwie i doglądania cudzych gruntów. Może nie od razu, lecz za parę lat będę potrzebował wytchnienia – tłumaczył nieco łagodniej, licząc, że skruszy bezsensowny upór syna.

– Ja to wszystko wiem i długo nad tym myślałem. Rozumiem twój słuszny żal do Wojtka, lecz masz przecież wnuki. Jest Klemens i Bronek. Któryś z nich mógłby w przyszłości przejąć gospodarstwo. Wszak obydwaj noszą nazwisko Trzos – zauważył.

– To jeszcze dzieciaki. A w sprawy gospodarcze już teraz powinien się wdrażać mój następca. Gdy byłem w twoim wieku, zajmowałem się wieloma rzeczami, by ulżyć memu ojcu. Ty robisz tylko tyle, ile ci się poleci, bez odrobiny inicjatywy czy serca. Zbyt późno się ożeniłem, moja wina, powinienem był może wcześniej… Ale umiłowałem sobie twoją matkę, czekałem na nią i nie chciałem znać innych kobiet. Liczę na to, że mnie posłuchasz i wskażesz pannę, do której poślemy swatów.

– Nie wskażę. Tato… chcę wstąpić do klasztoru. Gdyby życie ułożyło się po mojej myśli, pewnie uczyłbym się dzisiaj w seminarium. Księdzem już nie zostanę, ale mogę inaczej służyć Bogu. To moje największe pragnienie – odparł, wpędzając ojca w konsternację.

– Do klasztoru? – powtórzył za młodym, spoglądając na niego w osłupieniu. Po chwili stuporu wstał i bez słowa opuścił kuchnię.

***

Noc nie przyniosła poprawy. Zarówno matka, jak i niedawno narodzone dziecię trawieni byli gorączką. Bernadeta, choć nawet nie zmrużyła oka, wciąż czuwała przy córce i wnuczku, to pojąc ich naparami, to przykładając zimne kompresy, to znowu poganiając rozespaną Tereskę, by starała się nakarmić maleństwo. Chłopiec był jednak tak słaby, że już nie próbował ssać piersi, a gdy kobiety zaczęły delikatnie wlewać mu mleko łyżeczką do buzi, wszystko z niej wypływało.

Trzosowa nie załamywała jednak rąk. Pomyślała, że skoro nie pomogła akuszerka i jej zioła, to może trzeba będzie poszukać pomocy u Jana Tichego. Wszak gorączkę powinien wyleczyć – nie chodziło o odbieranie porodu. Powierzyła opiekę nad chorymi Teresce, a sama narzuciła kożuszek i czym prędzej udała się do aptekarza. Szła pospiesznie, nie bacząc na to, że ciemna suknia z samodziału, choć uniesiona nieco w górę zmarzniętymi dłońmi, zbiera błoto z wyboistego gościńca. Nie czas na elegancję, gdy w domu czekają chorzy!

Sapiąc niczym miech kowalski, kobieta z przygnębieniem uświadomiła sobie, że brakuje jej dawnej energii. Gdzie te czasy, gdy będąc w siódmym miesiącu ciąży, powędrowała na Studzieniec, przedzierając się przez bagnistą część lasu i nie odczuwając przy tym choćby krzty zmęczenia?

Ech... Co ja bym dała, by znowu mieć niegdysiejsze siły? – wzdychała, wędrując wytrwale naprzód. Z miejsca przypomniała sobie o przyczynie tamtej wyprawy i poczuła, jak jej serce skuwa bryła lodu. *O dobry Boże! A jeśli właśnie odzyskuje moc klątwa rzucona przez Goczałową?* – jęknęła w duchu, a potem, choć wydawało jej się to niemożliwe, przyspieszyła kroku.

***

Aptekarz wypytał szczegółowo o położnicę i noworodka. Czerwieniąc się niczym dorodny kwiat róży, Bernadeta opowiedziała mężczyźnie o wszystkich intymnych detalach, które zdecydowanie nie były przeznaczone dla męskich uszu. Tichy kiwał głową, zadając kolejne pytania, na które w innych okolicznościach nie miałaby odwagi odpowiedzieć. Teraz jednak na szale wagi rzucony był strach o córkę i wnuka, wstyd nie był w stanie przeważyć go na swoją korzyść. W końcu mężczyzna wcisnął jej w dłoń szklaną buteleczkę z jakimś proszkiem, tłumacząc, jak należy stosować specyfik. Nadmienił także, by do chorych sprowadzić z Wieliczki lekarza, bo choć rodzenie dzieci jak świat światem jest babskim zajęciem, to czasami interwencja medyka może być nieodzowna. I nie ma co się przed tym wzdragać i zasłaniać skromnością, bo nieudolne działania babek oraz wszelkiej maści znachorek niejednej położnicy skróciły życie.

Ściskając kurczowo butelkę z lekiem, wracała do domu córki. Modliła się w duchu, by nie było za późno, ponieważ farmaceuta solidnie ją nastraszył. *Wiedziałam! Ja to zawsze wiedziałam* – pomstowała w duchu – *że z brudu bierze się wszystko, co najgorsze. A jak goniłam innych do mycia, to tak się na mnie krzywili! Nigdy więcej nie dopuszczę, by moje wnuczęta przychodziły na świat pod okiem takich flejtuchów!*

Wpadła jak burza do izby.

– Co z nimi? – Złapała za łokieć Tereskę, która dla odmiany karmiła własne dziecko.

– Śpią obydwoje, niebożątka. Panienka bredzi w malignie, a Właduś to już nawet nie kwili. Położyłam im świeże kompresy, nim przystawiłam moją Agusię.

– Mam lek, który powinien pomóc – oznajmiła Bernadeta.

Bez chwili zwłoki przygotowała z proszku zawiesinę. Najpierw podała kilka kropel leżącemu w kołysce dziecku, potem podeszła do

Weroniki. Córka spojrzała na nią dość przytomnie, choć jej policzki pałały gorączką.

– Mamo… Gdzie jest Nikodem? Poślij po niego, niech jak najprędzej przyjdzie. Chcę się z nim pożegnać – wyszeptała spieczonymi wargami, napędzając matce strachu.

Bernadeta przysiadła na krawędzi jej posłania. Odgarnęła wilgotne kosmyki z rozgrzanej twarzy.

– Co ty wygadujesz, córciu? – oburzyła się, choć w głębi duszy czuła, że faktycznie może się wydarzyć najgorsze. – Przyniosłam coś, co cię uleczy.

Podała córce lekarstwo, a następnie delikatnie obmyła jej twarz i popiersie.

– Mamo… Matusiu… Chcę Nikodema… – ponowiła prośbę położnica.

– On na pewno niebawem wróci. Odpocznij, spróbuj zasnąć. To ci dobrze zrobi.

– A Właduś?

– Zajmujemy się nim na zmianę z Terenią.

– Minęła mu gorączka?

– Jest jeszcze trochę ciepły. Ale ufam, że niedługo wydobrzeje, bo jemu też dałam lekarstwo. To od Tichego, z apteki – uzupełniła. – Na pewno skuteczniejsze niż zioła Czopowej.

Odwróciła się, by zajrzeć do kołyski. Malec zakwilił cichuteńko niczym myszka. Wzięła go na ręce i pomyślała, że dobrze byłoby zmienić mu pieluszkę. W izbie było ciepło, ponieważ pouczona przez nią komornica dokładała co jakiś czas drewek do pieca. Bernadeta rozwinęła powijak, chłopiec faktycznie miał mokro i nadal męczyła go śluzowata biegunka. Oporządzając go, babcia przyjrzała się przewiązanemu na nowo pępkowi. To miejsce wciąż było mocno zaczerwienione i opuchnięte. A nieco dalej przez sinawą skórę przeświecała niełądna ciemna pręga.

Maleńka chudzinko, tylko skóra i kość na tobie. Nawet żyłki ci widać – pomyślała.

Opatulone starannie dziecko huśtała przez chwilę w ramionach. Choć chłopczyk nie płakał, nie chciała go odkładać na posłanie. Na pewno potrzebował utulenia i czułości, jak każdy maluszek. Spoglądała z miłością na maleńką buzię i wpółotwarte oczka, które wciąż pozostawały przymglone.

– *Z popielnika na Wojtusia / Iskiereczka mruga / Chodź, opowiem ci bajeczkę / bajka będzie długa* – zanuciła cichutko.

Kołysanka uśpiła Weronikę. Nie odkładając Władzia, Bernadeta wyciągnęła dłoń i dotknęła ostrożnie czoła oraz policzków młodej kobiety. Wyraźnie zaczynały stygnąć. Oddech chorej uspokoił się i sprawiał wrażenie znacznie głębszego.

– Widzisz, smyku? Lekarstwo podziałało. Mamusia zaczyna wracać do zdrowia. Wrócisz i ty, Władeczku.

Zerknęła znowu na chłopczyka i nagle serce jej zamarło. Uświadomiła sobie bowiem, że od dłuższego czasu nawet nie drgnął.

– O nie! O Boże! Tylko nie to – załkała, opuszczając izbę, by nie obudzić śpiącej córki.

Ułożyła dziecko na kuchennym stole, rozsupłała becik i zaczęła nasłuchiwać, czy maleńkie serduszko wciąż bije, to znowuż szukała oddechu, nadstawiając własny policzek, dłoń, a na ostatek lusterko. Wszystko na darmo, chłopiec nie żył. Zgasł w jej troskliwych ramionach, odprowadzany do bram raju nuconą cicho kołysanką.

***

Zafrasowana Cecylia weszła do salonu, szeleszcząc koronkami sukni z pięknie upiętą tiurniurą. Zaledwie nieuważnym skinieniem przywitała Branickiego, który ostatnimi czasy należał do stałych bywalców w jej domu. Powód miał ku temu wyborny, ponieważ od kilku dni był narzeczonym Filomeny. Młoda dama doszła bowiem do

wniosku, że oczekiwanie na powrót Maksymiliana nie ma najmniejszego sensu. Nikt nie wiedział, co się stało z Żelechowskim, ponadto panie Parnickie nie były pewne jego uczuć. A czas mijał i w oczy dziewczyny zaglądało widmo niechlubnego staropanieństwa. Wytrwałość Marcela stopiła lód wokół serca Filomeny na tyle skutecznie, że panna postanowiła wymienić z mężczyzną pierścienie zaręczynowe.

– Coś się stało, mamo? – zagadnęła córka, odrywając się od klawiatury fortepianu.

– Był u mnie pan Trzos. Przyniósł smutne wieści – odparła, opadając we wdzięcznej pozie na ulubiony fotel ustawiony tuż przy palenisku, na którym wesoło trzaskały płomienie. Służba niedawno rozpaliła w poszczególnych kominkach, nie żałując przy tym suszonych ziół, które hojnie sypano w ogień, by nadać dymowi przyjemnego aromatu. Pomieszczenia nie zdążyły jeszcze solidnie się nagrzać, a przez szczeliny pomiędzy futrynami a oknami wdzierało się mroźne, grudniowe powietrze.

Rezydentki zamieszkujące dwór zajmowały pośledniejsze miejsca, tuż obok kominka zasiadała jedynie Justyna, której ten przywilej należał się z racji wieku. Przy osobnym stoliku ulokował się Gustaw, który wprost z Wiednia, gdzie załatwiał interesy, zajechał do siostry na nadchodzące święta, oraz Marcel Branicki, któremu towarzystwo wuja narzeczonej nad wyraz odpowiadało. Starsi państwo Zalescy i Juliusz oczekiwani byli nazajutrz.

– Ojej… Spotkało ich coś złego?

– Mają żałobę. Władeczek nie żyje.

– Och… Biedna Weronika – westchnęła cichutko Filomena. – Ależ musi rozpaczać! Utracić kolejną dziecinkę… To musi być straszne. Najpierw przez parę lat nie mogła donosić do czasu, a teraz, gdy nareszcie szczęśliwie powiła, los nie oszczędził jej kolejnego ciosu. Może powinnam ją odwiedzić? Podnieść na duchu, wesprzeć dobrym

słowem? – zaoferowała się, za nic mając pełne dezaprobaty spojrzenie ciotki Justyny.

Rezydentka prychnęła zniesmaczona i przewróciła oczyma. Gdyby nie śmierć Gertrudy przed kilkoma miesiącami, tę zimę, podobnie jak poprzednią, spędzałaby w Limanowej. Amelia jednak nie kwapiła się z zaproszeniem i przysłaniem po nią koni oraz służby, choć w poprzednim roku zrobiła to na prośbę swej matki. Widać pogrążona w żałobie kobieta nie miała głowy do tego, by zadbać o wygodę samotnej ciotki. W skrytości ducha Justyna marzyła, by zamieszkać z Amelią i żywiła nadzieję, że Barska zaproponuje jej to po pogrzebie Gertrudy. Niestety nic takiego nie nastąpiło, więc gdy Cecylia zaczęła pakować swe kufry, również i ona zapełniła rzeczami sakwojaż.

Och! Przecież ten młody człowiek gotów się zniechęcić do Filomeny za jej upodobanie do przestawania z pospólstwem – pomyślała. – *Nawet jeśli tego nie okazuje wprost, musi go przerażać myśl, że w przyszłości w jego domu gościć mogą prostacy.*

– To szlachetne z twojej strony i sądzę, że jak najbardziej wskazane. Ci ludzie potrzebują teraz pokrzepienia. – Cecylia nie omieszkała pochwalić zamysłu córki. – Trzos wspominał, że Bernadeta jest załamana i obwinia się o śmierć maluszka.

– Bernadeta? Niby czemu? – zdziwiła się panna.

– Ach… Stare dzieje. Przed laty twój ojciec uratował jej życie. Uchronił ją przed stratowaniem przez konia…

– Nie miałam pojęcia. Dlaczego nigdy o tym nie wspomniałaś?

– Nie było okazji – odparła wykrętnie *madame* Parnicka. Przecież nie mogła powiedzieć córce, że chodziło o prymitywną zazdrość i podejrzenia, iż Antoniego łączy coś z Bernadetą.

– Szkoda. Ale tak właściwie co to ma do rzeczy?

– Otóż tamtego dnia pod kopytami zginął synek pewnej chłopki. Nawet nie pamiętam, jak ona się nazywała. W każdym razie tamta nieszczęśnica rzuciła wówczas klątwę na Trzosów, bo w jej odczuciu

kostucha powinna była zabrać Bernadetę. No i teraz biedaczka przypomniała sobie o wszystkim i rzewnie płacze, mówiąc, że klątwa przeniosła się na jej córkę, a z niej na te wszystkie dziatki, które przychodziły przedwcześnie na świat, oraz na Władzia.

– Ach! Zabobony! – Filomena wzruszyła ramionami.

– Tak, zabobony – przyznała Cecylia. – Nawet twój świętej pamięci ojciec pokpiwał z chłopskich guseł. Ale, jak widać, Trzosowa dała im wiarę.

– Po prostu szuka w tym, co niewyjaśnione, wytłumaczenia dla rodzinnej tragedii – wtrącił Marcel, spoglądając z uwielbieniem na narzeczoną, która gotowa była pospieszyć do prostych ludzi z dobrym słowem.

Jeszcze przez chwilę deliberowali o nieszczęściu, które dotknęło Trzosów, potem damy zajęły się snuciem planów na karnawał. W czasie gdy panowie wyszli do gabinetu, by nie psuć im powietrza dymem z cygar, rozprawiały o nowych sukniach, które już zamówiły na tę okoliczność.

– Nie mogę się doczekać na przyjazd Juliusza – oznajmiła Filomena. – Najwyższa pora ożenić mojego braciszka, nim na dobre rozsmakuje się w kawalerstwie.

Cecylia zachichotała.

– Co cię tak bawi, mamo? Czyżby zacny ożenek syna nie leżał ci na sercu?

– Owszem, Filutko, leży. Ale gdy cię słucham, to mam przed oczami siebie będącą mniej więcej w podobnym wieku. Tak samo pragnęłam, by Gustaw założył rodzinę. A ten biedak robił uniki, ponieważ był zakochany po uszy w twojej ciotce. Biedna Eulalia… Gdyby nie zgasła przedwcześnie, to pewnie do dzisiaj byliby ze sobą szczęśliwi. Być może niejedna stateczna matrona zgorszyłaby się, słuchając moich słów, lecz ja zawsze będę zdania, że idealnie dobrane stadło to nie tylko korzyści finansowe dla rodów, ale również ciepłe uczucia pomiędzy małżonkami.

– To dobrze, bo na bal trzeba zaprosić najznamienitsze rodziny z Niepołomic. I dużo miłych panien na wydaniu. Mnie już chce się tańców oraz dobrej zabawy. Adwent strasznie się dłuży…

– Cierpliwości. Przyjdzie czas i na zabawę – powiedziała matka, uśmiechając się.

– Ech… kobiety! – westchnął wymownie Branicki, który wraz z Gustawem powrócił do bawialni, niosąc ze sobą zapach cygar. – Mam nadzieję, że w przerwach pomiędzy zapełnianiem balowych karnecików znajdziecie również czas na polowania, kuligi i inne atrakcje.

– Owszem, ale tańce są najważniejsze – odparła narzeczona, otulając się szczelniej szalem, gdyż w salonie wciąż panował chłód.

– Ach, to dobrze, nie omieszkam wówczas zaprosić was wszystkich do Branic. Planuję zorganizowanie łowów i wielu innych uciech – zapowiedział Marcel.

Jemu też zależało na przyjeździe przyszłego szwagra. W domu pań Parnickich zdecydowanie brakowało męskiego towarzystwa. Gdy u nich gościł, otoczony był samymi kobietami. Prócz Filomeny oraz Cecylii roiło się wręcz od rezydentek – ubogich krewnych, panien na wydaniu czy sierot po poległych powstańcach. Istoty te wnosiły mikry wkład w życie towarzyskie rodziny, było je raczej widać, a nie słychać. Po ślubie, który zaplanowano na drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, Marcel zdecydowanie wolałby zabrać żonę do Branic, gdzie od niedawna gospodarował jako jedyny właściciel, gdyż leciwy wuj wyzionął ducha, czyniąc go, zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami swym spadkobiercą. Cóż, gdy Filutka tak bardzo upodobała sobie dwór, w którym przyszła na świat, że nie chciała słyszeć o przeprowadzce, choć tam byłoby im równie wygodnie.

Rok 1878

Śmierć Władysława mocno wstrząsnęła Bernadetą i odcisnęła piętno na jej twarzy – ściągniętej bólem, nienaturalnie pobladłej.

– On nie powinien był umrzeć. Urodził się zdrowy i silny. Weronika też, będąc w stanie błogosławionym, dobrze się czuła przez cały czas. Nie pracowała ciężko, nie przymierała głodem, nigdy nie była chorowita. Straszne nieszczęście. Donosiła dziecko tylko po to, by je od razu utracić – westchnęła Trzosowa.

Cecylię podjęła w salonie, gdzie solidnie napalono w kaflowym piecu. Na co dzień gospodarze nie korzystali z tego pomieszczenia zimową porą, by choć trochę zaoszczędzić na opale. Zimą życie rodziny toczyło się przede wszystkim w kuchni, lecz tak zacnego gościa nie wypadało przyjmować wśród garnków i rozgardiaszu.

– Tak, to doprawdy wielka niesprawiedliwość losu – przyznała Parnicka, sącząc herbatę. – Bardzo mi przykro z powodu waszej straty – dodała.

Prokop przytaknął. Gdy Cecylia przysłała umyślnego z bilecikiem zapowiadającym wizytę, pomyślał, że będzie chciała mówić o jakichś sprawach gospodarczych, więc został w domu, choć wcześniej planował wyprawę do puszczy po resztę drzewa opałowego, którego nie zdążył stamtąd zabrać jesienią. Zaświtało mu, że być może Parnicka zechce zrezygnować w końcu z jego usług albo wypowiedzieć mu dzierżawę – wciąż bowiem uprawiał jej grunty i zarządzał tym, co pozostawiła sobie do dyspozycji. Żal by mu było utraty i tego dochodu, choć może nie był szczególnie wysoki, lecz wcale nie byłby zdziwiony, gdyby po ślubie Filomeny powierzyła sprawy majątku własnemu zięciowi. Ot, kolej rzeczy.

Tymczasem jednak dama siedziała na kanapie obok Bernadety, trzymając ją za rękę i pocieszając na wszelkie możliwe sposoby, za co rad był jej niezmiernie, gdyż sam nie potrafił ukoić smutku ślubnej.

– Ach… Pani Cecylio – załkała Trzosowa. – To nic innego, jak przekleństwo, które zawisło nad naszymi głowami.

– Wiem, o czym mowa. Byłam wtedy w Niepołomicach – oznajmiła dama. – Ale na Boga, pani Bernadeto! Nie można dawać wiary zabobonom. Smutna to prawda, lecz nie czarujmy się: dzieciaczki często umierają tuż po urodzeniu. Wszak i nas dotknęła podobna strata, bo nie dość, że Pan zabrał do siebie Eulalię, to również tę kruszynkę, którą wydała na świat. I nie pomogła nawet interwencja doktora, choć *madame* Gertruda potwornie się gorszyła, że nie wypada, by w takiej chwili jakikolwiek mężczyzna miał przystęp do kobiety. – Zerknęła ukradkiem na Prokopa i spłonęła rumieńcem, ponieważ w jej odczuciu tego tematu nie wypadało w ogóle poruszać w towarzystwie. Gdyby była wśród szlachty, zapewne zostałoby to źle przyjęte. Znowu wyszłaby na parweniuszkę, która wśliznęła się w wyższe sfery poprzez małżeństwo. Trzosowie jednak byli zgoła innymi ludźmi, prostszymi, bardziej bezpośrednimi, ale czy przez to gorszymi?

Nie, zdecydowanie nie!

Były w nich prostolinijność i szczerość, których brakowało elitom.

– Chciałabym nie zapatrywać się na to w taki sposób. Doskonale wiem, ile kobiet umiera podczas porodu – wypaliła nader otwarcie Bernadeta, nie robiąc sobie nic z tego, że w pobliżu siedzi jej mąż. – Umierają też dzieciaczki. Staram się odcinać od zabobonów, lecz kiedy spoglądam na moją rodzinę, widzę oddźwięk owej klątwy. Straciłam już Agniesię, pierworodny mi się zmarnował. Weronika też była jedną nogą w grobie, a Zygmunta powołał Bóg do życia klasztornego. Lada dzień chłopak opuści nasz dom, by nieść posługę u franciszkanów w Wieliczce. Jeszcze próbujemy na niego wpłynąć, prosimy, by dobrze się zastanowił, czy na pewno czuje powołanie. W każdej innej sytuacji byłabym z niego dumna i nie próbowałabym odwodzić go od podjętej decyzji, lecz to w nim pokładaliśmy całą nadzieję na przyszłość. Wiele wskazuje na to, że Weronika nie obdarzy nas wnukami – westchnęła

ciężko. – Komu więc przekażemy to, na co pracowaliśmy przez całe życie, walcząc z przeciwnościami losu?

– A wasza sneszka i jej dziatki? – podsunęła Cecylia, dziwiąc się, że Bernadeta pomija ich w swych rozważaniach.

– *Madame*… Pani mogę wprost powiedzieć o tym, czego przed nikim bym nie przyznał – odparł Prokop. – Doszły panią pewnie już dawno słuchy o losie, jaki wybrał sobie nasz pierworodny… – Urwał, spoglądając na Parnicką.

– Ta… Tak – zająknęła się dama. – Ale ja nie daję wiary plotkom. Nikt nie złapał Wojciecha za rękę. Nikt nigdy nie widział go wśród zbójów napadających na ludzi. Nikt nie powiedział wprost, że został przez niego złupiony lub pobity…

– Błagam panią teraz o dyskrecję, lecz muszę to w końcu z siebie wyrzucić. Te plotki są niestety prawdziwe. Wyrzekłem się Wojtka, ponieważ przynosi wstyd naszej rodzinie, hańbi nasze nazwisko. Snechę trzymam tu wyłącznie z łaski i ze względu na dzieci. Ale miałbym przekazywać ojcowiznę potomkom marnotrawnego syna? Chłystka, który przysporzył nam tyle cierpienia i zgryzot? Nie! Mowy nie ma! – powiedział z całą zaciętością.

– Teraz już pani wie, dlaczego tak bardzo boleję nad śmiercią Władzia. To już czwarta niespełniona nadzieja Weroniki. Biedactwo nie może się otrząsnąć. Ech… utrata dziecka to najgorsze, co może spotkać kobietę.

– Pani Bernadeto… Wiem i ja coś na ten temat – odparła Parnicka, ściskając jej dłoń. – Choć Maksymilian nie był moim rodzonym synem, pokochałam go jak własnego. Do tej pory nie pogodziłam się z jego nagłym zniknięciem i wciąż zachodzę w głowę, gdzie się podziewa. Mam przeczucie, że spotkało go coś złego. – W jej oczach momentalnie zalśniły łzy. – Nie ma dnia, abym o nim nie pomyślała i nie zmówiła modlitwy w jego intencji – wyznała.

W salonie zapadła na moment cisza.

Prokop, spoglądając na spiętą nagłym bólem twarz Cecylii, poczuł nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej. Nie pierwszy raz dały o sobie znać wyrzuty sumienia, które nie opuszczały go od dnia, gdy posłał młodego Żelechowskiego przed oblicze diabła.

Może gdybym mu wtedy darował życie, opamiętałby się i poniechał swych zbrodniczych zamiarów? Przysporzyłem cierpienia tej zacnej istocie. Wszak wiele zawdzięczam Parnickim. Bo i świętej pamięci Antoni miał dla nas wiele życzliwości, i madame *Cecylia potrafiła dla nas otworzyć swoje serce wówczas, gdy inni się odwrócili, jakeśmy utracili część majątku.*

Wiedział, że czeka go kolejna źle przespana noc, gdy będzie dusił go majak powstały z prowizorycznej leśnej mogiły.

Moja wina, moja wina! Nawet nie zapewniłem mu godnego pochówku w poświęconej ziemi! Jego ciało zostało prawdopodobnie rozszarpane przez leśną zwierzynę, a dusza do tej pory błąka się po świecie, nie zaznając spokoju.

Gdyby tylko mógł cofnąć czas do tamtego strasznego popołudnia!

Nie zabiłby Maksymiliana. We dwóch z Nikodemem powlekliby go przed oblicze sprawiedliwości, oddali w ręce landwójta i niechby go inni sądzili, niechby kat pozbawił mordercę życia.

***

Podróż w stronę Wiednia dopiero się rozpoczynała, właśnie opuścili stację w Węgrzcach Wielkich. Nikodem stał na korytarzu i wydmuchiwał dym z papierosa w uchylone okno. Zapadał dość wczesny zmierzch – jak to marcową porą, lecz Zalipiak zarejestrował nagle jakiś dziwny ruch. Być może mu się wydawało, ale odniósł przez moment wrażenie, że widzi spadający na ziemię pakunek. Mimo przejmującego zimna mężczyzna opuścił szybę i ostrożnie wychylił głowę. Jeśli go wzrok nie mylił, w gęstniejącym mroku dostrzegł, że faktycznie ktoś wyrzuca towary z wagonu bagażowego.

– Złodzieje! Wynocha! – krzyknął, lecz powietrze wtłoczyło głos z powrotem w jego gardło, a stukot kół do reszty go zagłuszył.

Nic więcej się nie wydarzyło, nie zauważył już żadnego ruchu.

A może to tylko omamy? – pomyślał. Bo niby jak ktoś miałby cokolwiek wyrzucić z pędzącego pociągu? Wszak każda rzecz mogłaby się strzaskać o kamienny nasyp lub drzewa rosnące przy torach. Być może chęć ujęcia sprawców wywołała dla niego tę wizję. Mimo wszystko zatrzasnął okno i zaczął się przedzierać ku wagonom towarowym, lecz nim dotarł na miejsce, skład wyhamował na stacji w Podłężu. Nikodem powiadomił kierownika pociągu o swoim odkryciu. Korzystając z chwili postoju, mężczyźni poszli, by sprawdzić, czy obserwacje Zalipiaka były trafne.

Z wagonu rzeczywiście zerwano plomby i brakowało w nim kilku skrzyń oraz… świni!

– Nie do wiary! Toć te łotrzyki wyrzucili stąd żywe prosię. Olaboga! Ależ ono musiało kwiczeć!

– Nie słyszeliście kwiku? – zdziwił się Pietrzak, *packmeister*[40], którego na miejsce przygnał obowiązek.

– A nie. Turkot wszystko zagłuszył.

– Teraz to już przynajmniej wiemy, gdzie są dokonywane kradzieże. Mamy jakiś ślad dla porucznika Rudzińskiego – ucieszył się *zugführer*[41], choć nie w smak mu było, że znowu dali się obrobić. – Do tej pory działał po omacku, przeszukując w ciemno różne zakamarki w promieniu wielu mil od Krakowa. To zawęzi mu znacząco obszar poszukiwań, bo jak na razie nic nie wskórał, choć przesłuchał już wiele osób. Dobrze się spisaliście, Zalipiak. – Poklepał po ramieniu młodego.

Wyruszyli w dalszą drogę, kierując się ku Staniątkom, a omijając łukiem Niepołomice. Bliskość domu oderwała na moment myśli Nikodema od dokonanego odkrycia. Wiedział, że w odległości niespełna sążnia, w pustym, cichym domu czeka na niego Weronika, zapewne wciąż popłakując po stracie synka.

Tak się cieszyli na to dziecko! Tacy byli szczęśliwi! Tak bardzo pęczniał z dumy, gdy usłyszał, że żona powiła chłopca! Przez krótki

moment czuł się naprawdę wyjątkowo. A potem czar prysł i podła kostucha wyciągnęła sękate łapska po maleństwo. Zasadzała się i na Weroniczkę, lecz czuwająca przy córce Bernadeta uchroniła przynajmniej tę niebogę.

Jakże on ubolewał nad tym, że nie było go w domu w godzinie śmierci Władusia! Może gdyby przebywał wówczas na miejscu, to maleństwo by nie umarło? Sprowadziłby doktora z Wieliczki, nie bacząc na babski protest. Przecież dziecko to taki sam człowieczek jak każdy inny, tyle że znacznie mniejszy. Może więc, w przeciwieństwie do babek, akuszerek i znachorów, lekarz potrafiłby je uzdrowić?

Choć był tylko prostym kmieciem, nie mógł pojąć, czemu rodzące kobiety pozostawia się bez opieki medyków. Zdane wyłącznie na siebie oraz na podejrzanie wyglądające baby, często konały podczas wydawania potomków na świat. Nawet *madame* Eulalia z majątku Parnickich zbyt późno otrzymała fachową pomoc.

Władeczku mój malusieńki, obiecuję ci, że jeśli dobry Bóg obdarzy mnie synem, to choćbym miał stanąć na głowie, wykieruję go na doktora. Zaciągnę długi, jeśli będę musiał, ostatnią koszulę poświęcę, byle dzieciaka wykształcić. I będę mu kładł do głowy, by ratował każde życie, bo zbyt wiele do tej pory zmarniało. Ciebie nie było komu uratować, ale może dzięki temu ktoś inny będzie szczęśliwy? – rozmyślał, łykając skrycie gorzkie łzy.

Potem znowu sobie przypomniał o małżeństwie, które zdawało się rozsypywać niczym zamek wzniesiony z piasku, i trudnościach w porozumieniu ze ślubną. Czy była jeszcze dla nich jakakolwiek szansa?

Przeklęta moja dola, bom zabił człowieka. Teraz Bóg karze mnie za grzech śmiertelny, odbierając każdą radość. Nawet Weronika, moja ukochana żonusia, staje się obca. Może ona coś wie? Może ojciec zdradził jej, że wyszła za mordercę? Może już znienawidziła mnie za to, com uczynił? Może wie, że cierpi z mojego powodu, bo sprawiedliwy Bóg nie chce, by po stworzonym przez Niego świecie chodzili potomkowie zbrodniarza?

Pochylił się, ukrył twarz w dłoniach i zatonął w ponurych myślach.

***

Pociąg opuścił stację w Staniątkach, by pognać hen daleko w świat, wypuszczając kominem lokomotywy kłęby gryzącego, pachnącego spalonym węglem dymu.

– No stary, nie śpij! – Pietrzak klepnął Zalipiaka w ramię. – Ja rozumiem, że niemalże nakryłeś rabusia na gorącym uczynku, ale trzeba zachować czujność. Do Wiednia jeszcze daleko – rzucił na odchodnym.

Nikodem momentalnie otrząsnął się ze smętnych rozważań i wrócił do kwestii bieżącej. Zaczął analizować w duchu pewne fakty. Skoro rabunku dokonano tuż przed Podłężem, można było przypuszczać, że w tę sprawę zamieszani są rozbójnicy kryjący się w okolicznych lasach.

Matko Przenajświętsza! Wojtek! – jęknął w duchu. Czy możliwe było, żeby za kradzieżami stał szurzy? Zalipiak wiedział, dlaczego w domu Trzosów nie wspomina się jego imienia, choć Prokop trzymał pod dachem sneszkę i wnuki. Weronika objaśniła mu kiedyś, w czym rzecz, błagając go o zachowanie dyskrecji. Choć brat był dla niej zaledwie odległym wspomnieniem, nie chciała, by stała mu się krzywda. Przywiązana była do Dominiki oraz trójki jej dziatek, które przy każdej okazji pieściła niczym najczulsza mateczka. Jeśli więc Wojtek był w to zamieszany, mógł znajdować się w poważnym niebezpieczeństwie. Wszak było kwestią czasu, gdy Rudziński dobierze mu się do skóry. *Złapią go? Dostanie wyrok za napady na pociąg? A może jeszcze przypiszą mu zbójowanie na drogach i kilka trupów? Psiakrew! Powieszą go, bez dwóch zdań* – stwierdził. – *Weronika zaś będzie wypłakiwać oczy. Co robić? Co robić? Co robić?*

Nie mógł w żaden sposób ostrzec Wojtka, bo gdyby to uczynił, cała zgraja zostałaby bezkarna. W to, że grabieżców było kilku, nikt nie wątpił. Miałoby im ujść na sucho tyle szkód? Tyle zła?

Dobre sobie! Wszak i mnie upiekła się zbrodnia, za którą kiedyś przyjdzie mi się smażyć w piekle. Nie mnie go osądzać... Ale... My z Prokopem ukatrupiliśmy

panicza Żelechowskiego dlatego, że nie wiedzieć czemu, nastawał na moje życie. Tymczasem Wojtek to bandzior działający z premedytacją.

A jednak szurzy to też rodzina. Krew Weroniki i Władzia. Niby obcy, bo od wielu lat go nie widział, ale jednak swój. Pamiętał Wojtka jak przez mgłę, wszak gdy doszło do wybuchu powstania, był jeszcze pętakiem. Kiedy wysilał pamięć, przed oczami miał obraz dobrze ubranego panicza z dubeltówką przewieszoną przez ramię, kłusującego na gniadym wierzchowcu. Ojciec z matką podziwiali Trzosów, którzy ze zwykłych kmieci urastali wówczas na panów, i wróżyli młodemu świetlaną przyszłość. Wojtek imponował jego starszym braciom, każdy z nich marzył i o dubeltówce, i o koniu służącym uciechom, a nie znojnej pracy.

Ale żeby tak sobie życie zmarnować, gdy miało się u stóp niemalże cały świat? Tego nikt wśród Zalipiaków nie potrafił pojąć.

Nikodem bił się z myślami przez całą drogę do Wiednia i z powrotem, lecz gdy wrócił do domu, nie był ani odrobinę mądrzejszy. Może gdyby Weronika była w lepszym nastroju, wspomniałby jej o swym dylemacie moralnym i we dwoje gruntownie zastanowiliby się, czy powinni ostrzec Wojtka przed niebezpieczeństwem. Cóż, gdy żona wciąż pogrążona była w żałobie, snuła się po obejściu, pochlipując po kątach i rozpaczając, że i ją Bóg powinien był do siebie zabrać, bo cóż z niej za kobieta, skoro nie jest w stanie urodzić zdrowego dzidziusia.

Nie potrafił jej pocieszyć. Tak obca była w tej rozpaczy i tak daleka, że nie wiedział, jakich słów używać, gdy musiał do niej przemówić.

***

Z nastaniem wiosny przyszłość Zygmunta była przesądzona. Młody mężczyzna rozważył w głębi duszy swą decyzję, wyrzucił z pamięci Marcjannę, której wspomnienie stanowiło nielichą pokusę, i ocenił, że został powołany do służby Bogu oraz ludziom. Wprawdzie żywił

poważne obawy o to, czy zdoła wytrwać w postach, gdyż wstrzemięźliwość od smacznego jadła nastręczała mu znaczną przykrość i trudność, lecz ufał, że zdoła odeprzeć te pokusy równie łatwo, jak łatwo przyszło mu wyrzeczenie się uciech cielesnych. Nie pomogły zatem prośby zafrasowanych rodziców, tuż po Świętach Wielkanocnych wstąpił do zakonu franciszkanów reformatów w Wieliczce.

– Bóg zabrał mi syna – westchnęła Bernadeta, ocierając łzy po jego odjeździe. Nie mogła sobie pozwolić na bezczynne siedzenie w domu, więc mimo rozpaczy wyszła ze sneszką w pole, by sadzić ziemniaki. Wraz z nimi przybiegła dziatwa. Z siedmioletniego Klemensa kobiety miały sporo pożytku, uwijał się przy robocie na równi z nimi. W tym czasie Zosia piastowała dwuletniego Bronka, goniąc z nim boso pomiędzy zagonami. Obydwoje umorusani, w zgrzebnych koszulach, wyglądali jak chłopska dziatwa.

– Co też wygadujecie, matko? – oburzyła się Dominika.

– Już ja tam swoje wiem – odparła grobowym głosem.

Od słowa do słowa, ku przestrodze i pamięci potomnych, opowiedziała sneszce o klątwie, którą przed laty rzuciła Goczałowa. Ku jej uldze młoda przyjęła tę wypowiedź z należytym zrozumieniem i poważaniem. Nie próbowała tłumaczyć, że to zabobony, do których nie ma co przywiązywać wagi. Wręcz wyglądała na przejętą.

– Miej oko na Klemensa, dziecko, bo on po Wojtku ma lepkie ręce – napominała Bernadeta synową, obniżając nieco głos, by pracujący nieco dalej chłopiec nie mógł usłyszeć jej słów. – Ostatnio przyłapałam go, jak wyciągał Prokopowi z surduta krajcary. Całe szczęście, że padło na mnie, bo od dziadka pewnie dostałby cięgi jak nie paskiem, to rózgą. Odłożyłam pieniądze na miejsce, a młokosowi nagadałam do słuchu.

– Och… tak mi przykro, matko, o niczym nie wiedziałam. Trza mi było powiedzieć, już ja bym mu pokazała, gdzie raki zimują. Klemens! Klemens! Chodź tu natychmiast – huknęła na chłopaka, a gdy podszedł, złapała go za ucho i niemiłosiernie zaczęła nim tarmosić. – Już ja ci

dam, ancykrysie jeden! Masz szczęście, że nie mam żadnej rózgi, bo tak bym ci zadek wysmagała, że nie usiadłbyś przez dwie niedziele!

– Aua! Za co, matulu? – Młody się rozbeczał.

– A dajże dziecku spokój – fuknęła na Dominikę świekra. – Dyć ja już mu dość nagadałam, że nie godzi się podbierać dziadkowych pieniędzy. W ogóle nie godzi się zabierać niczego nikomu.

– Aua, mamo, ja już nie będę! – zapewnił smarkacz.

Dominika wymierzyła synowi jeszcze trzy klapsy w pośladki, a następnie przegoniła go do roboty.

Bernadeta ze stęknięciem pochyliła się nad zagonem.

Ech... Siły już nie te. Świekra, jak była w moim wieku, tryskała taką energią, że góry mogłaby przestawiać. I dzieciaki zabawiła, i gospodarowała w obejściu, jak się patrzy. Robota paliła jej się w rękach. A mnie w kościach łupie, ramiona omdlewają i najchętniej położyłabym się, by odetchnąć. Oj śmiałby się ze mnie stary Jakub, żem ladaca niczym dworska pani – westchnęła z głębokim smutkiem. Choć liczyła nieco ponad pięćdziesiątkę, coraz częściej myślała o tym, że najlepsze lata są już za nią. Odczuwała zmęczenie życiem, a lustro odbijało twarz, na której czas wycisnął swe piętno.

Świadomość przemijania była bolesna.

ROZDZIAŁ 10.

BICIE DZWONU

Rezerwat Wiślisko Kobyle w Puszczy Niepołomickiej

Esterko! Piwa nalej! – zawołał Prokop, moszcząc się na ławie w gospodzie.

W minionych tygodniach nieco częściej zaglądał do Mojsiejowicza. Wiedział, że lada moment będą mu potrzebni parobkowie do sianokosów, wypadało więc przypomnieć kmieciom o swoim istnieniu. Dużo rzeczy ostatnio się działo, niekoniecznie dobrych, a on nie cierpiał chodzić ze swymi zgryzotami pomiędzy ludzi. Może i jest człowiekowi lżej na duszy, gdy się komuś z trosk wygada, ale potem trzeba znosić ciekawskie spojrzenia i pleciugi mielące ozorami.

– Powitać wuja. – Ukłonił mu się młody Marcińczyk, dość daleko spowinowacony z Trzosami, niezapominający jednakże o zacnych koligacjach.

– A witaj, witaj, Michale. Jak zdrowie matuli? Dawnom nie widział Doroty.

– Zaniemogła trochę ostatnio. Ckni jej się chyba za ojcem, bo ostatnio se umyśliła, bym jej sprawił domowinę. Każe też trzymać talary w pogotowiu, bo jak twierdzi, lada dzień trzeba jej będzie wyprawić pochówek.

– Uchowaj Boże! Toć baba z niej zawsze była krzepka jak rzepa. A cóż ją tak zmogło?

– Kto tam ją wie? To kaszle, to stęka na duszności. Widłakowa chodzi do niej z ziołami, ale niewiele z tego pomocy. A tak przy okazji: słyszeliście, wuju, że zbójcy sponiewierali młodszą znachorkę?

– Co ty gadasz? – zdziwił się Trzos, pocierając dłonią nieogoloną szczękę.

– Ady zdybali ją w lasku na Winnicy, jak zbierała ziółka. Na szczęście trzech ich było, psubratów, bo gdyby, nie daj Boże, nadziała się na całą zgraję, to zamęczyliby bidulę na amen.

– Młoda Widłakówna niczego sobie dziewka – stwierdził Trzos. – Pewnie niejeden miałby na nią chętkę.

– Ano. We trzech ją wychędożyli tak, że Czopowa musiała się zająć niebogą. Słyszałem, jak baby o tym szeptały przy kołowrotkach – objaśnił od razu, bo nie był to temat, o którym kobiety rozprawiałyby ot tak sobie w obecności chłopów.

– Diabli nadali tych łotrzyków – wtrącił się w to Bartek Bielak. – Mogliby Austriacy zrobić raz a dobrze porządek z całą zgrają. Pańszczyznę dawno temu zniesiono, żyje się jakoś lżej. Nie ma aż takiej biedy, która usprawiedliwiałaby zbójowanie.

– A pewnie! – zaperzył się organista. – Robić nie ma komu, ino łatwego chleba szukają. Kto pracuje, ten głodu nie doświadcza.

– Racja! Każdy może pójść na zarobek do dworu, jak mu mało tego, co u siebie wygospodaruje. Mnie tam wciąż brakuje parobków, dobrze płacę – napomknął Prokop, licząc na to, że ten i ów zapamięta jego słowa. Chciał ponadto oddalić rozmowę od niewygodnego tematu. – Jakby któryś z was potrzebował paru krajcarów, to niech do mnie zajrzy, muszę zrobić w lesie wycinkę. A i bab do pielenia zaraz będę potrzebował.

– Nie martw się, zawsze jacyś chętni się trafią. A wracając do rozbójników – ciągnął organista – ja to bym ich z miejsca pogonił do roboty. W leśnej bandzie same młode parobki, stary nie pójdzie na poniewierkę w dziczy. Robić im się nie chce! Na łatwiznę idą. Pókiśmy musieli odrabiać pańszczyznę, póki nękały nas nieurodzaje i głód, miałem jakie takie zrozumienie dla desperatów. A teraz bez litości zakułbym ich w kajdany i wypędził w pole, by nie żarli chleba po próżnicy. Żeby człek bezpiecznie nie mógł się z domu ruszyć!

– Aha! To i ja wam coś rzeknę – wtrącił cichy jak zwykle Zalipiak. – Mój Nikodem wykrył niedawno, że te pociągi, co jeżdżą na Wiedeń i Kraków, rabowane są w naszych stronach. Ostatnio gdzieś między Kokotowem a Staniątkami wypatrzył, jak ktoś wyrzucał z wagonów towary. Nawet żywą świnię ukradli!

– A to musiało być kwiku! – parsknął śmiechem Marcińczyk.

– Tego nie wiem, bo młody wspomniał, że turkot kół wszystko zagłuszał. Ale już szukają zbirów rabujących kolej. Urzędnicy sprowadzili jakiegoś detektywa aż ze samiuśkiego Lwowa. Zmyślny chłop ponoć z niego, mówią, że mocno węszy na stacji kolejowej w Podłężu. Tylko patrzeć, jak pojmie złodziejaszków.

– Ani chybi to te bandziory, co się kryją po lasach – zawyrokował Bednarek. – Miejsce działania się zgadza.

– O święta sprawiedliwości! Może ten mądrala załatwi za jednym zamachem i sprawę rabowania pociągów, i kwestię zbójów. Bo jak to jedna banda, to jest nadzieja, że w końcu ich wyłapią.

– Ja bym się nie cieszył na zapas – bąknął Bielak. – Będzie z dziesięć lat, jak Austriacy zasadzili się na zgraję. Kilku z nich pojmali, kilku zabili. Ponoć trafili nawet tego cwaniaka Florka z Suchoraby. Spryciarz z niego był nie lada, bo długi czas im się wymykał.

– Jak to mówią: przyjdzie kryska na matyska – skwitował Michał.

Siedzieliby jeszcze długo, radząc nad bandziorami nękającymi podróżnych, gdyby nie wrzawa, która nagle podniosła się w drzwiach.

– A ty tu czego? Gdzie to się pchasz? – wykrzyknęła jakaś jejmość, tarasując wejście.

– Puśćcie mnie do środka! Puśćcie! Ja nie na gorzałkę, jak Boga kocham!

– Co jest? Co się dzieje? – zaniepokoił się Dawid Mojsiejowicz, najmłodszy syn starego karczmarza, jego potencjalny następca.

– Jest tutaj pan Prokop? – wysapał Wiesio Dyl, smarkacz, który miał jeszcze mleko pod nosem.

– Co tam? – huknął Prokop do komornika.

– Olaboga, panie! Nieszczęście – zawył młody. Blady był jak śmierć, pomarańczowe cętki piegów mocno odznaczały się na jego skórze. Dygotał tak, jakby go febra dopadła.

– Gadaj, co się stało.

– Panie! Chodźcie prędko do domu! Broniś wpadł do studni!

– Jakże to… jak? Wydobyliście go? Żyje? – zająknął się Trzos.

Chłopak tylko pokręcił głową, więc zasadniczo nie było wiadomo, co z dzieckiem.

Prokop wypadł z karczmy, zapominając o kaszkiecie, który odłożył na ławę, gdy przyszedł. Odplątał wodze Karego od płotu okalającego karczmę, dziękując w duchu wygodnictwu, które wyjątkowo nakazało mu pokonanie drogi wierzchem. Zwykle odcinek około tysiąca sążni przebywał pieszo, wszak nawykły był do chodzenia. Tego dnia zmęczył się jednak robotą przy zasiewach, a ponieważ ciągnęło go między ludzi, zajechał przed gospodę niczym jakieś panisko.

Gdy dotarł na miejsce, struchlał. Wszyscy domownicy wylegli na podwórze, zlecieli się też komornicy. Jęki i zawodzenie słychać było już od bramy. Blada jak śmierć Bernadeta tuliła do podołka zapłakaną Zosię. Dominika klęczała, kołysząc w ramionach bezwładne, mokre ciało chłopca. Wyła tak rozpaczliwie, że o nic nie musiał pytać.

***

Nikodem skłonny był wyznać Trzosom, najlepiej teściowi, że wie o postępach w śledztwie prowadzonym przez porucznika Rudzińskiego. Uznał, że nikt nie będzie lepszym powiernikiem niż mężczyzna, który w jego oczach uchodził za uosobienie sprawiedliwości. Mimo dręczących go wyrzutów sumienia uważał, że słusznie pozbawili życia panicza Żelechowskiego. Pewnego dnia Prokop rozwiał je przy flaszce gorzałki, zdradzając mu swe podejrzenia. Od tamtej pory szacunek młodego dla Trzosa znacząco wzrósł, choć już wcześniej łączący ich sekret stworzył pomiędzy nimi szczególną więź. Zalipiak wiedział, że właśnie owa sprawa przesądziła o ślubie z Weroniką.

– Gdyby coś ci się stało, moja córka wypłakałaby sobie oczy. Zrozumiałem to, w chwili gdyś niemal żegnał się z życiem. Dbaj o nią, Nikodemie. A o tamto się nie frasuj. Nawet jeśli jakimś cudem ktoś

wykryje sprawę, wezmę na siebie wszystko. Bo tyś jeszcze młody, a ja już przeżyłem swoje. Dla mnie ważniejsze jest szczęście moich dzieci niż własna skóra – powiedział wtedy.

Ktoś, kto czyni podobne zapewnienia, w odczuciu Zalipiaka musi być szlachetnym człowiekiem. I to właśnie Prokopowi chciał pozostawić decyzję, czy należy ostrzec Wojtka, że planowana jest obława na rabusiów.

Już szykował się do odbycia męskiej rozmowy, gdy na rodzinę spadło kolejne nieszczęście. W całym zamieszaniu po śmierci Bronka wyleciało mu z głowy śledztwo. A potem usłyszał, że Leipold z Rudzińskim wpadli na trop niejakiego Duszy[42], byłego pracownika kolei. Chodziły słuchy, że człowiek ów kilkakrotnie został zauważony, jak przewozi towary bławatne do karczmy Abrahama Lamensdorfa[43] na Balachówce. Stąd przekazywane były dalej za pośrednictwem mieszkającej w pobliżu rodziny Achlerów, którzy trudnili się handlem, robiąc interesy nie tylko w Galicji, ale również w Królestwie Polskim. Powszechnie wiadomo było, że rozbójnicy z sobie znanych powodów nigdy nie przesiadują u Lamensdorfa. Nikodem mógł odetchnąć z ulgą.

Gdy wrócił do pracy nazajutrz po pogrzebie Bronka, złapał go Pietrzak.

– Stary, słyszałeś najnowsze wieści? – zagadnął tak zaaferowany, że Nikodem bez trudu odgadł, o co chodzi.

– Nie słyszałem, ale po twojej minie widzę, że mamy kolejny przełom w sprawie kradzieży.

– Owszem. Dusza został aresztowany.

– Ten, co to zatrudniony był kiedyś jako *bremser*[44]? – upewnił się Zalipiak.

– Tak, ten. Skurczybyk, pracował z nami ładnych parę lat. Poznał się dobrze na funkcjonowaniu kolei. To on był mózgiem szajki, która

dokonywała zuchwałych kradzieży. Rudziński złapał go przedwczoraj. Odpowie teraz za wszystko ze swoimi kompanami.

– A kogo jeszcze zatrzymano? – drążył Nikodem, martwiąc się o to, by nie padło nazwisko szurzego.

– Prócz niego Achlerów i Lamensdorfa. Oj... posiedzi sobie karczmarz z Balachówki za to, że zamiast handlować okowitką, zainteresował się suknami[45].

Zalipiak miał powody do zadowolenia. Już nie musiał się martwić o to, czy Wojtek wpadnie w związku z tą aferą. Gdyby szwagier był w nią zamieszany, śledczy prawdopodobnie odkryłby koligacje rodzinne Trzosa z pracownikiem kolei. *Jeszcze i mnie mogliby podejrzewać o współudział* – przyszło mu do głowy poniewczasie. – *A że rabowano w pociągach, którymi jeździłem, nijak bym się wtedy nie wybronił. I pewnie dostałbym wyrok, choć żem niewinny. Bo nikt nie dałby wiary moim zapewnieniem, że nie mam nic wspólnego z tym bandziorem. Ech... Diabli nadali takiego szurzego!* – pomyślał z goryczą.

***

– *Kalmusowe*[46] *ziele, w obejściu się ściele*[47]. Pójdę po tatarak – oznajmiła Dominika w przeddzień Zielonych Świątek.

– A dzieci? – zapytał Prokop, widząc, że wybiera się samotnie na mokradła.

– Klemens przepowiada lekcje. Ostatnio został w kozie, bo nie umiał rachować. A Zosia poszła z babcią pod kapliczkę odśpiewać majówki – odparła, poprawiając skromny czepiec.

Mężczyzna zlustrował ją uważnie. Miała na sobie ciemną perkalową sukienkę, którą Prokop kojarzył jako powszednią. Ufał, że mówi prawdę i nie idzie na spotkanie z rozbójnikiem, a faktycznie po tatarak do umajenia domu, wrót i płotów, o czym mogła świadczyć zgrzebna płachta, którą dzierżyła w garści. Wszak na święto Zesłania Ducha Świętego należało wyścielić podłogi w izbach, podwórko, a nawet psią

budę kalmusowym zielem, które pięknie pachniało, a przy okazji odganiało pchły, komary, muchy czy inne insekty. Młoda zieleń miała także przynieść powodzenie w gospodarskich przedsięwzięciach, a wręcz strzec przed wszelkim złem, chorobami, czarami i urokami rzucanymi przez wiedźmy.

Gdy kobieta odeszła, Trzos spojrzał w niebo, szukając zapowiedzi deszczu, który teraz byłby bardzo przydatny. Wszak nie na darmo mawiano, że mokre Zielone Świątki dają tłuste Boże Narodzenie. Jak na złość nad głową miał niczym nieskalany błękit, bez choćby jednej chmurki, a jaskółki latały wysoko, przepowiadając piękną pogodę. Z braku lepszego zajęcia poszedł do drewutni, by przygotować drwa do rozpalenia sobótkowego ogniska.

***

Dominika szła szybkim krokiem ku puszczy. W umówionym miejscu zapewne czekał na nią mąż. Dawno się nie widzieli, bo od śmierci najmłodszego dziecka jakoś jej schodziło. Najpierw nie mogła otrząsnąć się z szoku, później zabrakło czasu w nawale prac gospodarczych. Z Wojtkiem dogadani byli tak, że w drugą i czwartą sobotę miesiąca zaglądali późnym popołudniem do szałasu w głębi puszczy. Nie za każdym razem się spotykali, bo niekiedy mąż musiał zostać z kompanami, gdy szykowali jakąś grubszą robotę. Niekiedy to ona nie przychodziła, bo nie zawsze znajdowała wiarygodne wymówki, by się wymknąć z domu. Gdy się rozmijali, zostawiali dla siebie drobne upominki. To Wojtek obdarowywał żonę jakąś błyskotką lub fatałaszkiem pochodzącym z kradzieży, jarmarcznymi zabawkami dla dzieciaków, baryłeczkami napitków. To znowu ona zostawiała mu pocerowane i wyprane ubrania, wypiekane w domu kukiełki zawinięte szczelnie w płachtę, by nie dobrało się do nich robactwo lub zwierzyna.

Czekał na nią, mocno stęskniony. Nawet nie zapytał, jak się miewa, ani skąd smutek w jej oczach. Po prostu wpił się zachłannymi wargami w różane usta, a potem pchnął Dominikę na posłanie z miękkiego

mchu, który porastał szałas, i zadarł w górę jej sukienkę. Wszedł w nią mocno, gwałtownie, dając upust wielotygodniowej chuci. W przeciwieństwie do pozostałych kamratów, nie korzystał z uciech, jakie nadarzały się podczas zbójowania. Nie bawiło go branie kobiet przemocą, nie szukał przygód z poznanymi w karczmach pannami. Skoro już miał żonę, której przed Bogiem ślubował miłość i uczciwość, to dokładał starań, by przysięgi dochować. Miał wystarczająco zbrukane sumienie, zdawał sobie sprawę, że jeśli zostanie pojmany, to czeka go stryczek, a w następstwie ogień piekielny. Ale może, gdy już dożyje swoich dni, zdarzy się jakiś cud i zostanie mu na Sądzie Ostatecznym policzone, że nie zdradzał ślubnej.

Gdy już było po wszystkim. Dominika poprawiła odzież, a potem wybuchła żałosnym płaczem.

– A ty co, Dominisiu, serce moje? Czego buczysz? – zagadnął, próbując ją do siebie przytulić.

– Tobie w głowie tylko jedno – załkała. – Nawet nie wiesz, jakie się nieszczęście wydarzyło! Bronek nie żyje! Utopił się w studni!

– Co mówisz? Jak to?

– Ano tak. Na chwilę spuściliśmy go z oczu. A jak pognałam Zochę, by sprawdziła, co mały robi, to właśnie przechylał się przez cembrowinę. Stąd wiedzieliśmy, gdzie go szukać. Wody było dużo, więc nim parobek opuścił się na linie, mały już nie żył – wyszlochała. – Oj dolo moja, dolo! Oj francowaty żywocie! Prawdę mówiła twoja matka, żeście są przeklęci, a teraz zły urok i na mnie się przeniósł!

Zdruzgotany mężczyzna milczał przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Rzadko widywał własnych potomków. Ze względów bezpieczeństwa żona nie przyprowadzała ich na schadzki, gdy już zaczynali dobrze mówić. Czasem zakradał się pod dworek, by choć z daleka na nich popatrzeć. Tęsknił za całą rodziną i tak naprawdę dzieciaki znał przede wszystkim z opowieści snutych przez ślubną.

Popłakali więc sobie pospołu, aż Dominika odsunęła się od niego.

– Już mnie to wszystko mierzi – powiedziała. – Chcę tak jak inne baby mieć męża w domu, dla siebie i dzieci. Wracaj ze mną, proszę. Ojciec na pewno ci wybaczy, bo odkąd Zygmunt jest w klasztorze, wciąż słychać lament, że brak młodego gospodarza i robić nie ma komu. Lata miną, nim Klemens dorośnie na tyle, by stary miał z niego pociechę. Wróć ze mną, błagam. – Uczepiła się rękawa jego brudnej koszuli.

– Przecież wiesz, że to niemożliwe.

– Wojtuś… Tak cię proszę! Mam już dość ukradkowego prania i łatania twoich łachów, dość ludzkiego gadania, żem jest przybłędą, a dzieci mi diabeł płodzi. Gdyby nie respekt przed twą matką, jawnie wytykano by mnie palcami. A tak wiem tyle, ile mi służba mimochodem powie.

– Jeśli wrócę, zaraz aresztują mnie żandarmi. Chcesz, by mnie powiesili?

– Nie! – Pociągnęła nosem. – Ale to nie jest życie, gdy jesteśmy osobno. Skoro nie chcesz wracać, to ucieknijmy gdzieś daleko w szeroki świat. Tam gdzie nikt nas nie zna…

– To zdecydowanie lepsza koncepcja, sam czasami myślę o czymś takim – odparł mężczyzna.

W gruncie rzeczy zmęczony był zbójowaniem. Miał dość leśnego życia, nad wyraz niewdzięcznego, gdy kaprysiła pogoda. Dygotania z zimna, taplania się w błocie, spania w barłogu, krycia się po ziemnych jamach, szałasach i w dziczy. Dość nieustannego strachu, że zostanie schwytany.

Czas wycisnął na nim swe okrutne piętno. Coraz częściej łamało go w kościach, cierpiał z powodu niestrawności. Czupryna mocno mu przerzedła i posiwiała, zęby poczerniały, a kilka nawet wypadło albo sam jakoś z wysiłkiem je wydłubał, gdy zaczynały boleć. Wciąż jeszcze był sprawny, zwinny i szybki, lecz wiedział, że i to się zmieni. A dla niedołężnych starców nie ma miejsca w zbójeckiej kompanii.

O tym, by porzucić bandę, myślał od dawna. Musiał jednak zrobić to racjonalnie. Ciułał więc zdobyczne krajcary i talary. Dobrze chował

kosztowności, które przypadały mu z podziału łupów. Odkładał wszystko, by w bliżej nieokreślonej przyszłości zabrać żonę oraz dzieci, i całą rodziną wyjechać tak daleko, jak tylko to możliwe. Wcześniej nie poruszał tego tematu z Dominiką, ponieważ zdawała się pogodzoną ze swym losem. Teraz jednak wyjawił ślubnej plany, jakie czynił na przyszłość.

– Naprawdę? – W końcu w jej załzawionych oczach zajaśniało szczęście.

– Jak mi Bóg miły! – rzucił niefrasobliwie, bo ze Stwórcą było mu nie po drodze. – Przysięgam na główki naszych dzieci – poprawił się z miejsca. – Poczekaj jeszcze trochę, kochana. Muszę zebrać więcej pieniędzy i na podróż, i na to, by jakoś rozpocząć nowe życie.

– Jak długo? – próbowała dociec.

– Nie wiem. Rok… Może dwa… Daję słowo, że nawet się nie obejrzysz, a będziemy razem – zapewnił.

Zatonęli we wspólnych marzeniach, aż nagle uprzytomniła sobie, że zaczyna zapadać zmierzch, a ona nie ma ani jednej łodygi tataraku. Poderwali się obydwoje na równe nogi i prędko pognali razem nad sadzawkę, by narwać ziela. Byli na otwartej przestrzeni, więc Wojtek raz po raz niespokojnie rozglądał się wokół. Na szczęście nikt go nie wypatrzył.

***

Dominika wracała do domu niesiona taką energią, jakby u jej ramion wyrosły skrzydła. Nawet tobół z tatarakiem nie ciążył zbytnio, może dlatego, że nie nazbierała go zbyt dużo. Ot tyle, by nie wrócić z pustymi rękami.

– A ciebie gdzie nosiło tyle czasu? – huknął na nią Prokop, który jak na złość kręcił się przed dworkiem. – Pewnieś była w lesie u tego zbója, by się z nim gzić!

Spojrzał na nią srogo.

Kobieta zdjęła z ramion brzemię i hardo rzuciła świekrowi:

– A choćby nawet, to co? Nic wam do tego! Nie wasza sprawa!

– A właśnie, że moja. Bo pod moim dachem mieszkasz i mój jadasz chleb. Nie potrzebuję, by znowu urósł ci bęben, a ludzie wydziwiali, żeś wszetecznica!

– Niech se gadają, co chcą. – Wzruszyła ramionami, choć w rzeczywistości nie było jej to obojętne. Ubolewała nad swoją cudaczną sytuacją i nad dziećmi, które wytykano palcami i po cichu wyzywano od bękartów.

– Miarkuj się, snecho! – warknął Prokop. – Bo przez ciebie tylko kolejne zgryzoty! Skoro żyjesz z nami, stosuj się do zasad, a jeśli coś ci się nie podoba, to fora ze dwora. Nikt nie będzie łapał cię za kulasy, byś tutaj została.

– A poszłabym, poszła! Bo już mi wszystko zbrzydło. Ino se miarkujcie, że zaraz zostaniecie tutaj całkiem sami, jak ten kołek w płocie. Szklanki wody nikt wam nie poda na starość – skomentowała zgryźliwie.

– A co to za wrzaski? Co się tutaj dzieje? – Zwabiona krzykami, wypadła przed dom Bernadeta. – Prokop! Dominika! Co to ma znaczyć? O co sobie skaczecie do oczu?

– A bo świekr chce mnie z chałupy wyżenić! – odparła młoda, łapiąc się pod boki niczym przekupka na targu.

– O święci pańscy, Prokopie! Ona jedna nam została jako nadzieja na spokojną starość. Jak możesz mówić podobne rzeczy?

– Jak? Jak? – burknął mężczyzna. – W żywe oczy się z nas śmieje. Była u tego zbója, zaraz pewnie znowu zaciąży. Jakby mało jeszcze ludzie brali nas na języki!

– Ja się śmieję? No też żeście wymyślili! Myślicie, że mnie do śmiechu? Dość mam już tej przeklętej doli, tych ciągłych kąśliwości i przepychania z kąta w kąt! Psa, co siedzi u budy, traktujecie lepiej nieźli mnie. A co ja wam jestem winna? Myślicie, że skąd się tu

wzięłam? Że przyszłam po dobrej woli? O nie! To wasz syn mnie zbałamucił i ukatrupił mi narzeczonego – wysyczała złowieszczym głosem. – A mogłam se żyć jak pani!

Bernadeta zamarła, słuchając jej słów. Do tej pory spychała na bok wszelkie myśli o tym, że Wojtek może mieć krew na rękach. Teraz nie miała najmniejszych wątpliwości, że wychowała pierworodnego na pożytek czartowi.

Rok 1880

Ostatni raz biorę w tym udział – pomyślał Wojtek, gdy wraz z kamratami zasadzili się w lasku na Winnicy, by zapolować na ludzi wracających z targu w Wieliczce. Liczył na znaczne łupy, bowiem kmiecie sprzedawali właśnie swe plony. Przy odrobinie szczęścia mógłby się trafić również jakiś kupiec. Choćby jechał z kilkoma ludźmi obstawy, byli przygotowani do bitki.

Rozlokowali się na stałych pozycjach. Wojtek z przyzwyczajenia zerknął przez prawe ramię, szukając wzrokiem smarkacza, który w razie czego osłaniał go z tyłu. A potem jak zwykle przy takiej okazji ciężko westchnął, bowiem brakowało mu kompana, który od dawna leżał w mogile. Do tej pory kości Mietka musiały się rozsypać w proch. Kilka lat temu najlepszy przyjaciel dokonał żywota po ranie, którą zadał mu broniący swego dobytku kupiec.

W ciszy oczekiwali jakiejś zdobyczy. Wprawdzie ludzie wystawieni na czaty po obydwu stronach lasu mieli ich zaalarmować odpowiednio wcześniej, lecz mimo to nie robili hałasu. Upodobali sobie gliniastą drogę biegnącą wąwozem. To był najkorzystniejszy posterunek, gdyż w tamtym miejscu często wozy grzęzły w błotnistych koleinach.

Za plecami Wojtka rozległ się podejrzany trzask. Mężczyzna odwrócił się, by spojrzeć za siebie, lecz choć wytężał wzrok, nie dostrzegł niczego

niepokojącego. Po chwili jego uwagę przykuł turkot, poprzedzony odgłosem pohukiwania – umówionym przez zbójników hasłem.

– Ale gratka! – sapnął przejęty Rudek, wskazując ruchem brody spory wóz zaprzężony w dwa dobrze utrzymane konie. Pojazd był nader obszerny, przykryty brezentem rozpiętym na pałąkach. Powoził nim młody mężczyzna. Parobek siedzący obok niego na koźle wyglądał na krzepkiego. Za wozem szło jeszcze trzech ludzi, czujnie się rozglądając. Każdy miał ze sobą po dwa pistolety zatknięte za pas.

– Chyba wiozą jakiś cenny załadunek. Uzbrojeni po zęby – zauważył Trzos.

– Łatwo się nie poddadzą. Ale my nie jesteśmy z tych, których zrażają trudności – szeptał entuzjastycznie młodziak. – Ależ tam musi być wszelakich dóbr! Pewnie beczki z gorzałką albo skrzynie pełne kosztowności.

– Już my to sprawdzimy. – Wojtek się uśmiechnął, łapiąc w dłoń pistolet.

Nasłuchiwał, czy herszt bandy da sygnał do działania. Wtem znowu za jego plecami rozległ się trzask, jednocześnie z zawołaniem do podjęcia walki. Mimo wszystko Trzos odwrócił się, ponieważ nie chciał w razie czego zostać zaskoczonym przez dzikiego zwierza, i nagle stanął twarzą w twarz z austriackim żandarmem.

– Ratujcie się, kamraci! To jest pułapka! – krzyknął ktoś, gdy z wozu wysypali się umundurowani mężczyźni.

Padły pierwsze strzały. Do ich wtóru dało się słyszeć jęki pierwszych rannych rozbójników oraz szwargotliwie rzucane rozkazy. Wojtek przytomnie odciągnął kurek w pistolecie, lecz nim zdążył pociągnąć za spust, poczuł silne uderzenie w okolicy żołądka. Przez moment spoglądał ze zdziwieniem na mundurowego, który stał zdecydowanie zbyt daleko, by sięgnąć go pięścią. Dostrzegł broń w jego dłoni, więc zerknął po sobie. W tej samej chwili zakrztusił się krwią błyskawicznie wypełniającą mu usta.

Nie zdążył nawet pisnąć, osunął się na kolana.

Przed oczami przeleciało mu naraz całe życie – od dzieciństwa w starym domu, poprzez najlepsze lata spędzone w dworku z rodzicami i rodzeństwem, późniejszą włóczęgę powstańczą i śmierć Parnickiego. Dalej zbójowanie i twarze ludzi, których skrzywdził. Dominika oraz dzieciaki. Leśne życie.

Czemu jest tak ciemno? – pomyślał w ostatnim świadomym przebłysku. *– Czy to zapadła noc? Nie... Za wcześnie...*

– Przeklęta nasza dola – rozszlochała się Bernadeta. – To wszystko przez tę cholerną klątwę. Z tego powodu straciłam córkę, syna i dwóch wnuczków, a Weronika nie może doczekać dziecka.

Kobieta stała nad świeżo usypaną mogiłą, szlochając. Prokop trzymał ją pod ramię.

– Nie ma żadnej klątwy. Nie dwaj wiary gusłom – tłumaczył z łagodną cierpliwością.

– Jest. Ja to czuję. Od tamtego dnia nie mogę zaznać spokoju. Nawet wyprawa na Studzieniec na nic się zdała!

– Proszę, otrząśnij się, Betko! Śmierć Wojtka to naturalna konsekwencja jego poczynań. Sam się o nią prosił!

– A Agnieszka? A Bronek i Władуś? Wiem! Wiem! – wykrzyknęła nagle zadziwiająco ożywiona. – Nie zdołałam odwrócić klątwy, bo nie dopełniłam wszystkiego jak należy. Znalazłam cudowne źródło, zobaczyłam w nim odbicie monstrancji. Ale nie przyłożyłam ucha do ziemi, by posłuchać, jak bije dzwon – wytłumaczyła z szaleńczym błyskiem w oku.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

Drzewo genealogiczne rodziny Trzosów

Rok 1880

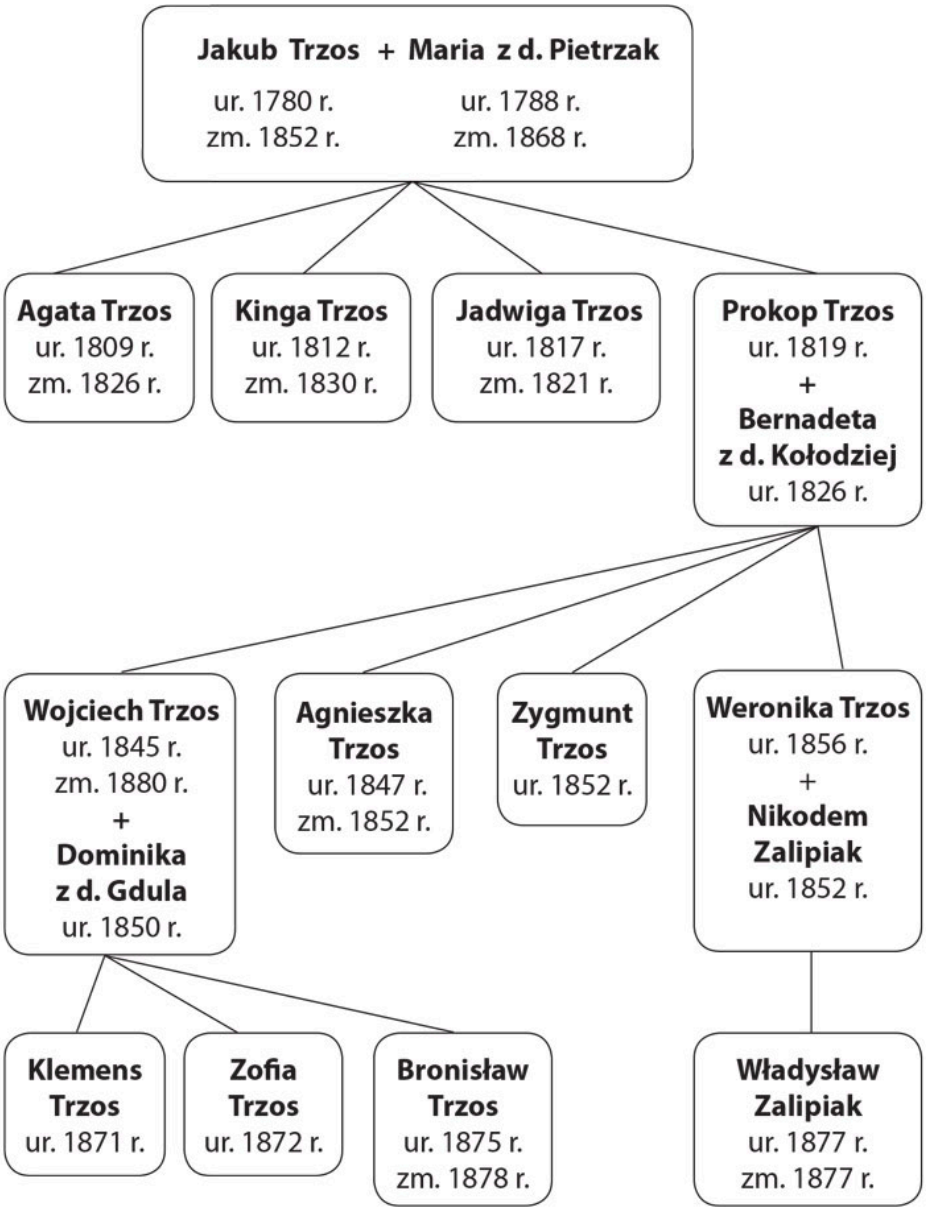

Drzewo genealogiczne rodziny Parnickich

Rok 1880

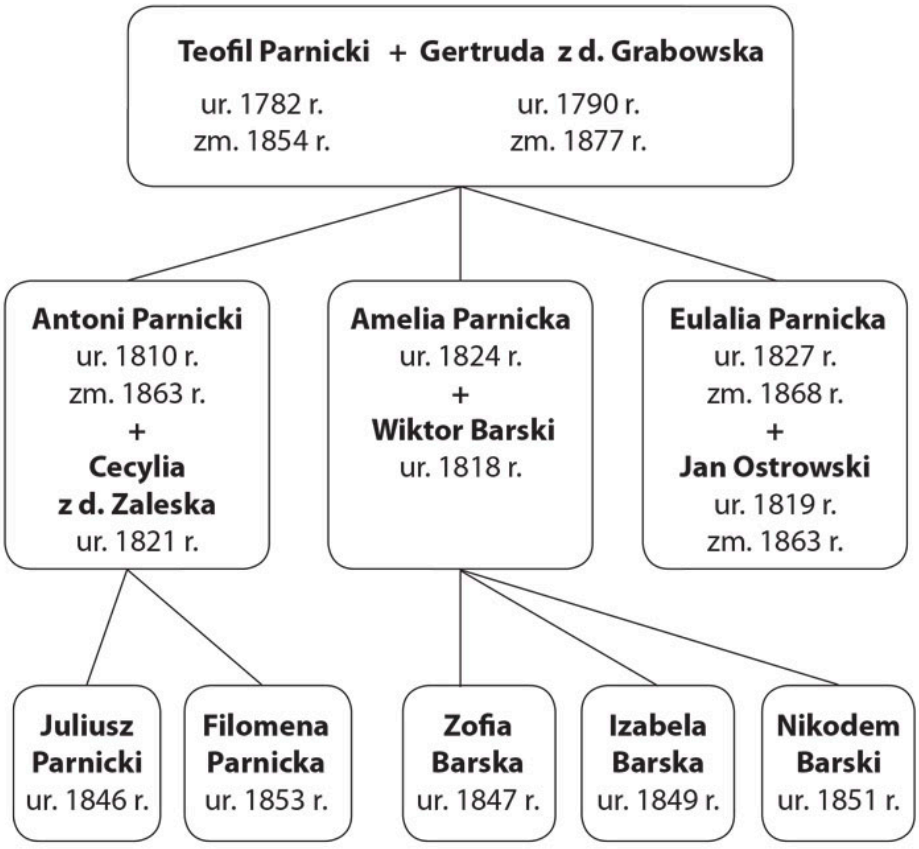

Bibliografia

Julian Zanikow, *Wokół Niepołomic i Puszczy Niepołomickiej*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2009.

Jan Kracik, *Ludzie królewskich Niepołomic*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2008.

Anna Siwek, Antoni Siwek, *Kronika Niepołomic*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2005.

Anna Siwek, Antoni Siwek, *Kronika Niepołomic 1000-1945*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 1989.

Marcin Korzec, *Niepołomice*, PUW Roksana, Krosno 2001.

Mariusz Niemycki, *O lichu, co króla mamiło*, Wydawnictwo Skrzat, Kraków 2008.

Marcin Pielesz, *Opactwo Benedyktynek w Staniątkach*, Wydawnictwo Petrus, Kraków 2015.

s. Małgorzata Borkowska OSB, *Gawędy staniąteckie*, wyd. nakładem UMiG w Niepołomicach, Niepołomice 2016.

Barbara Ogrodowska, *Polskie obrzędy i zwyczaje*, Wydawnictwo MUZA, Warszawa 2012.

Anna Sieradzka, *Tysiąc lat ubiorów w Polsce*, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 2003.

Praca zbiorowa, *Historia Polski. Atlas ilustrowany*, Wydawnictwo Demart, Warszawa 2014.

Słownik polskich wyrazów technicznych, Wydawnictwo Akademii Nauk Technicznych, Warszawa 1929.

Teresa Olearczyk, *Oświata na ziemi niepołomickiej*, Wydawnictwo Naukowe Akademii Ignatianum w Krakowie, Kraków 2020.

PORUSZAJĄCA SAGA,
W KTÓREJ MIŁOŚĆ, NIENAWIŚĆ I TAJEMNICE
SPLATAJĄ LOSY BOHATERÓW

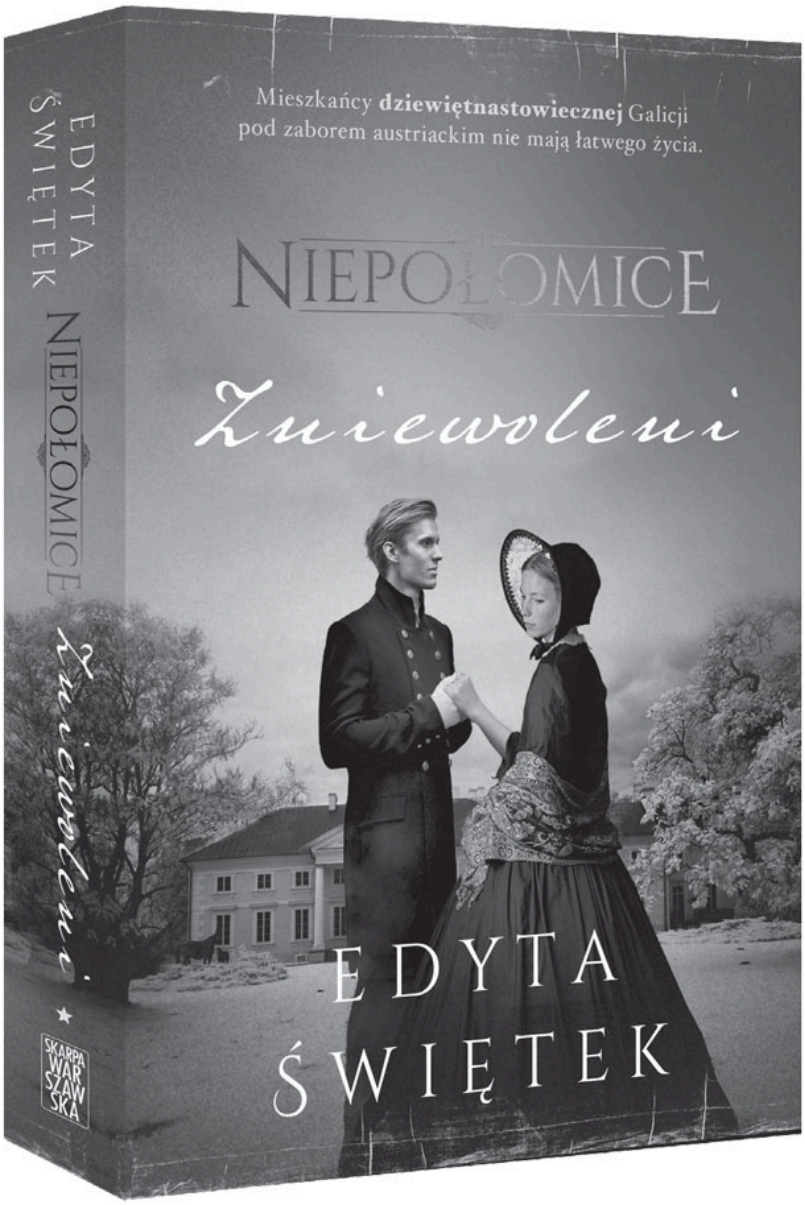

EDYTA
ŚWIĘTEK

NIEPOŁOMICE

Zniewoleni

MIESZKAŃCY DZIEWIĘTNASTOWIECZNEJ GALICJI POD ZABOREM AUSTRIACKIM NIE MAJĄ ŁATWEGO ŻYCIA.

Antoni Parnicki, zakochany w Kornelii – żonie swego sąsiada i przyjaciela, tkwi w zawartym z rozsądku małżeństwie z Cecylią Zaleską. Brat Cecylii jest emisariuszem powstańczym. Na obrzeżach puszczy Niepołomickiej, po sąsiedzku z dwoma szlacheckimi rodami: Parnickich i Żelechowskich, żyje rodzina Trzosów – wolnych kmieci, których korzenie sięgają czasów króla Kazimierza Wielkiego. W skutek nieszczęśliwego wypadku na rodzinę Trzosów zostaje rzucona klątwa.

Mieszkańcy dziewiętnastowiecznej Galicji pod zaborem austriackim nie mają łatwego życia. Chłopi pańszczyźniani, nękani nieurodzajami, tyfusem i cholerą, marzą o zrzuceniu jarzma niewoli. Zubożała szlachta podrywa się do nierównej walki z zaborcą, lecz ich zryw zostaje krwawo stłumiony przez zbuntowanych kmieci.

SKARPA WARSZAWSKA

skarpawarszawska.pl

Przypisy

[1] Szarpie – rodzaj bandaży wykonywanych przeważnie ze starej bielizny pościelowej itp.

[2] Józef Ludwik Hauke pseud. Bosak od rodzinnego herbu Bosak (1834–71) – generał broni, dowódca sił zbrojnych województw krakowskiego i sandomierskiego w powstaniu styczniowym.

[3] Siestrzan – gruba belka stropowa biegnąca wzdłuż pułapu w drewnianej chałupie.

[4] Borg – dawniej: kredyt.

[5] Łoński – gwarowo: ubiegły.

[6] Waleria Gierczyńska – postać autentyczna, od 1858 r. nauczycielka w niepołomickiej szkole.

[7] Jan Borowiec – postać autentyczna, od 1856 r. nauczyciel w niepołomickiej szkole.

[8] Jan Zabłocki – postać autentyczna, naczelnik Dyrekcji Ekonomii Niepołomickiej.

[9] Ludwik Napoleon Sosnowski znany jako Ludwik Solski (1855–1954) – polski aktor, reżyser, dyrektor teatru.

[10] *Mademoiselle la verge* – z francuskiego „panna rózga”.

[11] Florek z Suchoraby – postać autentyczna, nazwisko nie jest znane.

[12] Mowa o Józefie Dietlu (1804-78) polsko-austriackim lekarzu, rektorze UJ i polityku, który w latach 1866-74 pełnił funkcję prezydenta Krakowa.

[13] Feliks Radwański (1756–1826) – architekt, profesor UJ, senator Rzeczpospolitej Krakowskiej.

[14] Stanisława Rzewuska – postać autentyczna.

[15] Cheder – szkoła żydowska o charakterze religijnym utrzymywana przez gminę wyznaniową.

[16] Fragment piosenki ludowej – autor nieznany.

[17] Cytat pochodzi z IV części utworu *Dziady* Adama Mickiewicza, Warszawa 1982, s. 81.

[18] Fragment katolickiej pieśni pogrzebowej, autor nieznany.

[19] Obecnie ten potok nosi nazwę Bogusława.

[20] Jakub Bystrowski – postać autentyczna, naczelnik miasta Niepołomice w latach: 1867-71.

[21] Kłonica – drążek utrzymujący boki wozu.

[22] Fragment piosenki ludowej – autor nieznany.

[23] Nasciturus – z łaciny: mający się urodzić.

[24] Santi Gucci (1530–1600) – architekt i rzeźbiarz włoskiego pochodzenia.

[25] Jątrew – staropolska bratowa.

[26] Pamuła – postna zupa z suszonych owoców.

[27] Jan Tichy – postać autentyczna, farmaceuta prowadzący od 1873 r. pierwszą aptekę w Niepołomicach.

[28] Kazimierz Bisztyga – naczelnik miasta Niepołomice w latach 1873–87.

[29] Władysław Wimmer – postać autentyczna, architekt.

[30] Czernina – inaczej czarna polewka, czarna zalewajka, mała czarna – polska zupa, której podstawowymi składnikami są rosół i krew. Podawano ją jako poczęstunek dla niepożądanych kandydatów na męża, co symbolizowało odpowiedź odmowną.

[31] Dokładna data ucieczki Ludwika Solskiego nie jest znana.

[32] Swak – staropolski szwagier.

[33] Schaffner – z niemieckiego: konduktor.

[34] Zugleiter – z niemieckiego: urzędnik wydziału lub oddziału ruchu, mający nadzór nad prawidłowością ruchu pociągów oraz nad prawidłowością obiegu parowozów i wagonów.

[35] Bahnpolizei – z niemieckiego: policja kolejowa.

[36] Jędrzej Tryumfaczka – postać autentyczna, naczelnik miasta Niepołomice w latach 1871-73.

[37] Na podstawie prawdziwej historii. Faktyczna data tego wydarzenia nie jest mi znana.

[38] Leipold – postać autentyczna, imię nieustalone.

[39] Teodor Rudziński – postać autentyczna. Porucznik, który faktycznie brał udział w śledztwie dotyczącym kradzieży na linii Kraków–Wiedeń.

[40] Packmeister – z niemieckiego: konduktor bagażowy.

[41] Zugführer – z niemieckiego: kierownik pociągu.

[42] Dusza – postać autentyczna, imię nieustalone.

[43] Abraham Lamensdorf – postać autentyczna.

[44] Bremser – z niemieckiego: pracownik drużyny konduktorskiej obsługujący hamulce ręczne.

[45] W sprawie zapadły następujące wyroki skazujące: Dusza – 8 miesięcy więzienia, Achlerowie – 9 miesięcy, Lamensdorf – 6 miesięcy. Teodor Rudziński kontynuował karierę w armii austriackiej, uwieńczoną w 1907 roku Krzyżem Kawalerskiego Orderu Franciszka Józefa. Źródło: https://wegrzcewielkie.wordpress.com/2017/10/21/1877-rok-afera-kryminalna-z-balachowka-w-tle/

[46] Kalmus – inaczej tatarak (ajer).

[47] Powiedzenie ludowe.